

Z cukrzycą można naprawdę wiele!

Historie tutaj opisane są oparte na autentycznych wydarzeniach.
W mojej książce znajdziesz prawdziwą, cukrzycową codzienność.

Anna Przybylak

Diabetyczka od wielu lat, założycielka bloga
oraz kanału na YouTube: BAJKcukrzycOWO

Dla mnie to zdecydowanie nie tylko książka o zmaganiach z cukrzycą. Opowieść jest plastyczna, szczerą, wciągającą. Wzrusza i motywuje. Polecam z całego serca.

Prof. dr hab. n. med. **Aleksandra Araszkiewicz**
Diabetolog

Czytając „Cukrzycowy zawrót głowy”, uświadomiłem sobie, jakimi bohaterami są moi pacjenci z cukrzycą typu 1... Moi? O nich pomyślałem w pierwszej kolejności, ale bohaterami są chyba wszyscy...

Dr n. med. **Andrzej Gawrecki**
Diabetolog

Książka jest naprawdę wciągająca, czyta się ją niemalże jednym tchem. Polecam ją każdemu, komu towarzyszy cukrzyca – osobiście albo u osoby bliskiej. To bardzo prawdziwa, a zarazem pokrzepiająca lektura!

Anna Śliwińska
Prezes Zarządu Głównego Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków

„Cukrzycowy zawrót głowy” to świeży powiew pozytywnych myśli dla wszystkich Czytelników. Historia, która stawia w centrum, nie chorobę, a pacjenta, uświadamia nam wszystkim, że z cukrzycą można mieć piękne i pełne wartościowych chwil życie. Serdecznie polecam!

Katarzyna Iwaszkiewicz – Balsam
Prezes Zarządu Synoptis Pharma Sp z o.o.

Patroni medialni:

mojacukrzyca.org



Sponsorzy:



www.shop.bikel.pl



CUKRZYCOWY ZAWRÓT GŁOWY

Anna Przybylak

CUKRZYCOWY ZAWRÓT GŁOWY

Moje wspomnienia o młodości i dorosłych latach zmagania z niełatwą chorobą – cukrzycą



Anna Przybylak

CUKRZYCOWY ZAWRÓT GŁOWY

CUKRZYCOWY ZAWRÓT GŁOWY

Moje wspomnienia o młodości i dorosłych
latach zmagania z niełatwą chorobą – cukrzycą

Anna Przybylak

©2022 Bikel.pl

Autorka: Anna Przybylak

E-mail: bajkcukrzycowo@bikel.pl

Blog: <https://bajkcukrzycowo.bikel.pl>

YouTube: bajkcukrzycowo

Sklep: <https://shop.bikel.pl>

© Copyright 2022 by Bikel.pl

Wydanie 2

ISBN 978-83-961140-2-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie lub publiczne wykorzystanie treści tej książki bez pisemnej zgody autorki jest zabronione. Zezwalam na udostępnienie okładki książki w Internecie.

Ta książka nie stanowi ani nie zastępuje leczenia diabetologicznego czy psychologicznego. W razie potrzeby należy zwrócić się do specjalisty. Autorka nie ponosi odpowiedzialności za decyzje, jakie podejmujesz w trakcie swojego leczenia.

Książka jest również dostępna w wersji e-book oraz audiobook.

W celu ochrony prywatności rodziny, przyjaciół i lekarzy, wszystkie osoby, poza imieniem autorki, występują pod pseudonimem.

Podziękowania

Historie opisane w tej książce,
są oparte na autentycznych wydarzeniach z mojego życia:
z cukrzycą i bez niej.

Jeszcze kilka lat temu walczyłam ze sobą, aby kontynuować życie.

Nie napisałabym tej książki,
ponieważ nie byłoby mnie tutaj z Wami.

A jednak dzięki Wam i swojej pracy
podniosłam się i żyję dalej.

Szczególnie dziękuję kochanemu mężowi, rodzicom, braciom
i mojemu najlepszemu diabetologowi
za wsparcie przy tworzeniu tej książki.

*Dedykuję tę książkę sobie i mojej chorobie.
Naprawdę wiele razem przeszliśmy i dokonaliśmy.*

SPIS TREŚCI

<i>Wstęp</i>	9
<i>Rozdział pierwszy</i> <i>Okropne wesołe miasteczko</i>	11
<i>Rozdział drugi</i> <i>Pączkowe, beztroskie dzieciństwo</i>	16
<i>Rozdział trzeci</i> <i>Zimowy sen</i>	21
<i>Rozdział czwarty</i> <i>Czy ja jestem na pustyni?</i>	25
<i>Rozdział piąty</i> <i>Turbosłodka nagroda</i>	31
<i>Rozdział szósty</i> <i>W skafandrze do szpitala w kosmosie</i>	38
<i>Rozdział siódmy</i> <i>Dzielna, „słodka” pacjentka</i>	45
<i>Rozdział ósmy</i> <i>W poszukiwaniu pozytywów</i>	68
<i>Rozdział dziewiąty</i> <i>Musisz zjeść cukier!</i>	79
<i>Rozdział dziesiąty</i> <i>Czyżbym wyzdrowiała?</i>	87
<i>Rozdział jedenasty</i> <i>Gimbowa, doszprycowana rakietą</i>	96
<i>Rozdział dwunasty</i> <i>Pożrę wszystko i nie zjem niczego</i>	110

<i>Rozdział trzynasty</i>	
<i>Skóra i kości.....</i>	<i>130</i>
<i>Rozdział czternasty</i>	
<i>Turecki rausz.....</i>	<i>152</i>
<i>Rozdział piętnasty</i>	
<i>Po burzy zawsze wychodzi słońce.....</i>	<i>163</i>
<i>Rozdział szesnasty</i>	
<i>Podziurawione ciało.....</i>	<i>172</i>
<i>Rozdział siedemnasty</i>	
<i>Do odważnych świat należy.....</i>	<i>180</i>
<i>Rozdział osiemnasty</i>	
<i>Bezkarne hamburgery.....</i>	<i>197</i>
<i>Rozdział dziewiętnasty</i>	
<i>Życie nie na garnuszku rodziców.....</i>	<i>207</i>
<i>Rozdział dwudziesty</i>	
<i>Przetańczyć z Tobą chcę całe życie.....</i>	<i>222</i>
<i>Rozdział dwudziesty pierwszy</i>	
<i>Szalona pani!.....</i>	<i>228</i>
<i>Rozdział dwudziesty drugi</i>	
<i>Domek z kart.....</i>	<i>238</i>
<i>Rozdział dwudziesty trzeci</i>	
<i>(Nie)możliwe BAJKcukrzcycOWE 400km.....</i>	<i>245</i>
<i>Rozdział dwudziesty czwarty</i>	
<i>(Nie)idealne życie.....</i>	<i>256</i>
<i>Epilog.....</i>	<i>264</i>

Wstęp

Droga Czytelniczko / Drogi Czytelniku,
mam na imię Ania i od wielu lat choruję na cukrzycę typu 1. Tak, to jest ta wersja cukrzycy, jak to niektórzy określają, „cięższa”, na tę chwilę nieuleczalna i na pewno insulinozależna. Moja trzustka nie wytwarza insuliny.

Zachorowałam dawno, bo w 1997 roku. Zupełnie inaczej leczyło się wtedy cukrzycę, niż leczy teraz, w 2022 roku. I to powinnaś/powinieneś wiedzieć, gdy za chwilę przeniesiesz się do tamtych, odległych czasów. Będę przedstawiać tam swoje dzieciństwo jeszcze przed chorobą, a przede wszystkim uchwycę moment, kiedy zachorowałam. Miałam wtedy rocznikowo jedenaście lat (kalendarzowo dziesięć) i byłam małą, zagubioną dziewczynką, której w jednej chwili życia miało przewrócić się do góry nogami. Z czasem rosłam, dojrzewałam i stawałam się nastolatką. Później już dorosłą kobietą. Przez te lata zmagalam się nie tylko z cukrzycą, ale też i z innymi zaburzeniami, o których tutaj przeczytasz.

Mimo, że dziś jest inna świadomość cukrzycy, niż była w tamtym stuleciu, większy jest też dostęp do informacji, tak cały czas łączy te okresy jedno – emocje: smutku, niepewności, wstydu, złości, buntu, frustracji, a czasem satysfakcji czy radości oraz poczucie: niesprawiedliwości, krzywdy i niezrozumienia. Z pewnością część z nich dobrze znasz. I właśnie je znajdziesz tutaj, w tej książce.

Ciesz się, że sięgnęłaś/sięgnąłeś po tę pozycję. To jest już dla mnie duże wyróżnienie, że spędzisz ze mną kilka dobrych godzin. Dziękuję Ci za to. Wiedz, że dołożyłam wszelkich starań, by przedstawić te

cukrzycowe życie takim, jakie ono jest. Od razu powiem, że nie jestem alfą i omegą, nie wiem wszystkiego, czasem coś robię źle lub nieprawidłowo. Takie było i jest właśnie moje życie. Nieidealne. I takie też je przedstawię. Życzyłabym sobie jednak, abyś wyciągnęła/wyciągnął z mojej książki, jak najwięcej dobrego dla siebie.

Rozsiądź się zatem wygodnie, gdziekolwiek teraz jesteś. Zapraszam Cię do mojego szalonego świata, bo z pewnością trochę „zawrócę Ci w głowie”, jak w tytule tej książki. Nie tylko cukrzycowo.

Ania Przybylak

Rozdział pierwszy

Okropne wesołe miasteczko

Rok: 1991

Wiek: 5 lat

Staż cukrzycy: jeszcze nie zachorowałam

Jak wielka była moja radość, kiedy mama zakomunikowała nam, że po południu zabiera nas do wesołego miasteczka. Do naszego małego miasta przyjeżdżało ono niezwykle rzadko. Września, w której się urodziłam, nie jest dużą miejscowością. W porównaniu z odległym o 50 km Poznaniem wydawała się być bardzo mała. Zatem przyjazd takiej atrakcji był niewątpliwie dużym wydarzeniem dla miasta.

Nie przeszkadzało mi, że znowu musiałam wcisnąć na siebie białoniebieską, dziewczęcą sukienkę. Nienawidziłam jej. W ogóle nie cierpiałam nosić sukienek. Nie bardzo mogłam zrozumieć, czemu mój, o osiem minut, młodszy brat może chodzić w wygodnych spodniach, podczas gdy ja musiałam zakładać te wstrętne, białe rajstopki i spódnickę w falbanki. Najważniejsze, że podobałam się w niej mojej mamie. W końcu zawsze marzyła, żeby mieć córeczkę. Z nosem na kwintę grzecznie się ubrałam i cieszyłam z faktu, że za chwilę przejadę się na karuzeli.

— Aniu — strofowała mnie mama, gdy udawaliśmy się na naszą

obietaną atrakcję — dziewczynki powinny stawiać drobniejsze kroczyki.

— Dobrze, mamusiu — odpowiedziałam grzecznie, po czym zupełnie nie zważając na jej słowa, puściłam rękę Marcina i podbiegłam do wielkiej karuzeli.

Z perspektywy pięcioletniego dziecka wydawała się być ogromna. Wagoniki, w kształcie białych łabędzi, mieściły po dwie osoby. W każdym z nich znajdowała się dźwignia, którą sterowało się samodzielnie: góra – dół.

— Mamusiu, ja chcę na tej jechać! Teraz, teraz! Proszę! — krzyknęłam, jakby łabędź miał za chwilę odfrunąć.

— A nie będziesz się bała? — mama spojrzała na mnie niepewnie. Wagoniki w pozycji górnej znajdowały się dobre pięć metrów nad ziemią.

— Nie! — oznajmiłam zdecydowanym tonem, żeby przypadkiem mama się nie rozmyśliła i pozwoliła mi na nią wsiąść.

— Dobrze — przytaknęła. — A ty, Marcinku, też chcesz jechać?

— Tak... — brat się trochę zawahał, po czym popatrzył na mnie wzrokiem zbuntowanego i rozżalonego dziecka. — Ale ja nie chcę jechać z Anią. Ona i tak nie da mi prowadzić...

Dobrze mnie mały gagatek wyczuł. Lubiłam mieć kontrolę i nadawać bieg naszym zabawom. Przeważnie to on mnie słuchał, a nie ja jego.

I całe szczęście! Niech sobie jedzie sam. Przynajmniej będę miała cały wagonik dla siebie! Obym tylko mogła...

Mama podeszła do pana, który sterował karuzelą. Nie wiem, o czym rozmawiali, ale gdy zauważyłam, że ten skinął głową, wpakowałam się od razu, bez zgody mamy, do wagonika. Marcin również ruszył. Celowo usiadł przede mną. Doskonale wiedział, że mnie to wkurzy. Mało tego, w drodze do swojego łabędzia zdążył mi jeszcze wytknąć język. Nie mogłam pozostawić tak jego gestu obojętnie i również pokazałam mu swój różowawy jęzor. Był jeszcze dość mocno zaczerwieniony i rozcięty na 1,5 cm po ostatnim upadku, kiedy to impetem drobnego ciała wpadłam na poręcz domowego fotela. Obyło się na szczęście bez szycia.

Łabędzie ruszyły, a w powietrzu rozległ się dźwięk dzikiej muzyki,

która początkowo nawet mi nie przeszkadzała. Denerwowałam się za to widokiem brata, a raczej jego pleców. W pozostałych nikt więcej nie jechał.

Jak ten gnojek mógł się tak wpakować przede mną? To ja powinnam siedzieć w pierwszym łabędzie, nie on!

Przez chwilę pomyślałam, że go nawet dogonię i wyprzedzę, ale moja młoda osoba nie rozumiała, że wagoniki były na stałe przytwierdzone do walca, który kręcił je wokoło. Mój łabędź nie doganiał więc brata i nadal był trzy metry z tyłu. Zwolniłam blokadę, chcąc, aby chociaż poszedł do góry, i abym choć przez chwilę mogła przodować nad Marcinem. Poszedł... i tam został. Chciałam spuścić wagonik, a on ni jak nie chciał mnie słuchać.

Jejku... co się dzieje? Dlaczego nie mogę jechać w dół? Jej... Ja chcę do mamusi!

— Aniu! — krzyknęła z dołu mama. — Spuść dźwigienkę, to się opuścisz.

— Nie mogę! — wykrztusiłam przez łyzy.

— Co? Jak to nie możesz? — patrzyła zdziwionym wzrokiem ku górze. — Musisz nadusić tę dźwigienkę.

— Ale, mamusiu... Nie mogę! To coś się nie rusza! — krzyczałam dalej z wielkim przerażeniem w głosie.

Zobaczyłam, jak mama dyskutuje z panem od karuzeli. Wyglądało, jakby mu tłumaczyła, że coś się stało. Taką miałam przynajmniej nadzieję. Z tego strachu nic nie słyszałam. Dudniąca i piskliwa muzyka, którą słyszałam w tle, skutecznie zagłuszała ich rozmowę. Przez chwilę wydawało mi się, że mama zaraz sobie pójdzie do domu, zostawi mnie w tym łabędzie, a ja tam umrę przy dźwiękach tej okropnej melodyjki. Moje pięcioletnie życie przelatywało mi przed oczami. Na dodatek Marcin w najlepsze dozował sobie atrakcji, będąc raz wyżej, drugi raz niżej nad ziemią. Zupełnie nie zwracał uwagi, że ja tam ginę.

Nagle muzyka ucichła i kolejka powoli zaczęła się zatrzymywać. Marcin już dawno zdążył wysiąść z wagonika, a ja cały czas byłam tam – pięć metrów nad ziemią. Sama. Z tamtego widoku mama zdawała się być jeszcze mniejszą niż była w rzeczywistości. Jej ciało o niskiej i drobnej budowie ledwo było dla mnie zauważalne. Przez chwilę

wydawało mi się, że jest łysa, choć przecież nosiła, co prawda, krótką, ale zawsze ładnie ułożoną, blond fryzurkę. Brat, który mimo tego, że był wyższy ode mnie prawie o głowę, to i tak z tamtej perspektywy był małą, ledwie widoczną, blond kropeczką.

Słyszałam, że coś pokrzykują, starając się pocieszyć, ale i tak prawie żadne słowa do mnie nie docierały. Miałam śmierć w oczach.

Ja nie chcę tutaj umrzeć! Proszę... nie zostawiajcie mnie! Mamusiu, ja się boję! Ratunku!

I nie wiem, czy mówiłam to sama do siebie, czy tylko powtarzał to mój wewnętrzny, przestraszony głos. W kółko wołałam o pomoc, a ona nie nadchodziła, bo łabędź utknął w miejscu. Czas leciał koszmarnie wolno. W końcu wagonik lekko się poruszył i łabędź powoli zaczął opadać. Znowu jeszcze wyraźniej usłyszałam ten denerwujący dźwięk, wydobywający się z czeluści „atrakcji”.

Gdy tylko wylądowałam i pan kierujący otworzył mi drzwiczki, wybiegłam pośpiesznie, jakby zaraz łabędź miał wybuchnąć. Podbiegłam do mamy, chwytając się jej nóg. Z tego rozpędu prawie ją przewróciłam.

— Biedna, moja córeczka — tuliła mnie. — Widzisz, coś się musiało popsuć... Ale nie przejmuj się, pójdziemy na inną karuzelę. To może pojedziecie na tamtych małych motorkach? — pokazała palcem na dwa czerwone motory, które nie wyglądały groźnie. A już na pewno nie poruszały się góra – dół, a tylko kręciły wokoło.

— Nie chcę już tego okropnego miasteczka! — szlochałam, nie mogąc złapać oddechu. — Chcę już wrócić do domku!

— Dobrze, Aniu. Ale nie płacz już. Jak chcesz, to możemy pójść do sklepu i kupię wam z Marcinem po lizaku. Co ty na to?

— Tak, idziemy! — podchwycił brat, łapiąc mamę za rękę. Widocznie tym gestem chciał przypieczętować swoją decyzję.

— Ale... na... naprawdę... możemy zjeść... liza... lizaczka? — wydukałam niepewnie. W głosie miałam jeszcze duże przerażenie, choć przecież już byłam z powrotem na ziemi.

Propozycja mamy wydała mi się kusząca, a już na pewno mnie nią bardzo zaskoczyła. Dobrze wiedziałam, że taki rarytas jadłam chyba ostatnio na Wielkanoc. A był środek lata.

— Tak, dzieciaczki! Kupię wam po dobrym lizaku.

Ostatecznie zanim dostaliśmy słodycz minęło jeszcze dobre pół godziny. Marcin nie mógł tak obojętnie przejść koło tamtych motorków. I mnie udało się namówić, abym wsiadła, choć byłam początkowo niechętna. Gdy jednak zobaczyłam, że brat wsiada, nie mogłam tak po prostu odpuścić i być mięczakiem. Moje wiotkie nóżki trzęsły się jak świeża, zastygnięta na pół, galaretka. Bez owijania w bawełnę – najzwyczajniej w świecie się bałam, choć za nic nie chciałam się do tego przyznać.

W końcu wyszliśmy z „okropnego” wesołego miasteczka. Rzuciłam okiem jeszcze raz na tamtego łabędzia, na którym miałam godzinę temu tragicznie „zginąć”, na oczach mamy, brata i jeszcze innych, nic nie znaczących dla mnie, osób.

Przeżyłam, a mama mnie nie zostawiła. Pozostała tylko trauma, którą miał złagodzić słodki truskawkowo-śmietankowy smak lizaka. Cmokałam go długo, wciąż nie mogąc otrząsnąć się po zaistniałym incydencie.

Rozdział drugi

Pączkowe, beztroskie dzieciństwo

Rok: 1995

Wiek: 9 lat

Staż cukrzycy: jeszcze nie zachorowałam

Poranne słońce prażyło przez okno pokoju. Z trudem odkleiałam oczy. Piękna pogoda już od rana wprawiła mnie w dobry nastrój. Nie chciało mi się za bardzo zwlec z wyrka, w końcu były wakacje. Z kuchni naszego małego mieszkanka na pierwszym piętrze czteropiętrowego bloku dolatywał wspaniały, słodki zapach pieczonych pączków. Uwielbiałam go, zwłaszcza, że oznaczał on, że w domu gościliśmy moją kochaną babcię, jedyną, którą miałam.

— Dalej dzieciaki, wstawajcie — w drzwiach stanęła właśnie ona. Mała, przygarbiona kobietka, w jej charakterystycznym, szmacianym fartuchu i z umorusanym od mąki policzku. — Dalej, dalej! Zjecie śniadanie i możecie spać dalej.

Babcia miała swoje zasady, z którymi nie bardzo dało się dyskutować — śniadanie to podstawa i trzeba je zjeść. Wstałam pierwsza. Mój brat bliźniak, dopiero co w najlepsze obrał drugi bok.

Och, jaki wspaniały dzień się zapowiada! Gdzie są moje pączusie?

Kuchnia tętniła życiem. W drzwiach zobaczyłam starszego o

dwanaście lat brata Piotrka, skubiącego surowy groszek i uśmiechającego się w moim kierunku. Mama również przywitała mnie ciepłym uśmiechem, kulając kolejny rząd tych małych, drożdżowych kuleczek. Nie należała ona do osób bardzo wylewnych w uczucia. Często trzymała dystans do drugiego człowieka, zwłaszcza do domowników. Razem z tatą wychowywali nas w dość żelaznej dyscyplinie: grzeczności, posłuszeństwa i porządku. Jednym słowem, byliśmy trzymani – krótko.

— Tylko uważaj, ostrożnie, żebyś się nie poparzyła — babcia rzuciła do mnie poważniej, doglądając, czy już kolejna partia ciasta była gotowa do włożenia na rozgrzany tłuszcz.

— Pączki, hurra! — wparowałam uradowana. — Tylko dla mnie bez dżemu, proszę — nie lubiłam, jak pączki były napchane jakimiś dziwnymi rzeczami. A już na pewno nie powidłami.

— Tak, tak, wiemy — skinęła mama głową, czuwając nad dobrą organizacją całej tej rodzinnej produkcji. — Tutaj już masz osobno usmażone, specjalnie dla ciebie, Aniu.

I już moja mała rączka sięgała po tego okrągłutkiego, śmiejącego się do mnie pączusia, gdy usłyszałam za plecami małą reprimendę. Od razu pod nos babcia podsunęła mi dwie skibki chleba. Standardowo, jak co rano, z żółtym serem.

— Najpierw śniadanie, później deser — wydała rozkaz, klepiąc po niesfornej ręce.

Mimo, że ślinka ciekła mi na widok łakoci, musiałam najpierw posłuchać babci. Chudym dupskiem wcisnęłam się na taboret, koło Piotrka. Tak bardzo się za nim stęskniłam. Piotrek rzadko bywał w domu. Cieszyłam się, że na weekend dostał przepustkę z wojska, więc każdą jedną chwilę chciałam wykorzystać, by być bliżej niego.

— A Marcin już wstał? — dopytała mama.

Mój dziewięcioletni braciszek jeszcze leżał. Tylko zza zamkniętych drzwi od kuchni słychać było ciche jego mruknięcia, że już wstaje. Zanim zjawił się w kuchni, ja już byłam do przodu o jedną skibkę chleba, która to coraz szybciej przybliżała mnie do skonsumowania tych małych słodkości.

— Ośłodziłaś mi? — zapytał Marcin w moim kierunku, chwytając

letnią już herbatę i nie przejmując się, że zostawił otwarte drzwi kuchenne. — Faj! Gorzka!

— A bo też musisz słodzić... — wtrąciła się od razu mama. — Zobacz, ile tutaj słodkich bułeczek babcia dla was przygotowała!

— Marcin, zamykaj te drzwi! — furknęła, orientując się, że to o niej mowa. — Pączki muszą się dobrze wygarować.

Niewątpliwie, w domu było dziś prawdziwe, słodkie święto. Przyznaję, że łakocie gościły u nas niezwykle rzadko.

— Babciu, pyszota! — nie mogłam znaleźć słów, jak bardzo mi smakowały. — Mm... Palce lizać!

Nim zdążyłam sięgnąć po drugi pączek, na korytarzu rozległ się dzwonek do domofonu. Mama podeszła do słuchawki.

— Jeszcze jedzą śniadanie. Może później... Tak, Ania też wyjdzie — dorzuciła.

Skapnęłam się, że musieli być to moi podwórkowi koledzy. Wszyscy doskonale wiedzieli, że nie było zabawy: „bez Ani”. Jak jest Ania, to jest zabawa. Zawsze byłam bardzo żywym dzieckiem. Wszędzie było mnie pełno. Mnóstwo spontanicznych, często szalonych pomysłów.

Na naszym małym osiedlu nie było za dużo dzieciaków. Zawsze z Marcinem bawiliśmy się z tą samą ekipą: Krysią, Basią, Andrzejem i Jakubem. Jakub był jednak od nas dużo starszy. Chodził do piątej klasy. Tę trzyletnią różnicę dało się wyczuć. Wyrzłam przez okno. Zobaczyłam całą czwórkę. Andrzej mnie od razu dostrzegł i zaczął wymachiwać, żebyśmy z Marcinem szybko do nich dołączyli.

Na jednym pączku, póki co, musiało się skończyć. Zanim Marcin zdążył przekłnąć ostatni kęs chleba, ja już miałam założone buty. Nie szło czasem za mną nadążyć. Widać było wyraźną różnicę między nami. Marcin spokojny, ja rzutka i promienna. Niczym isierka.

Najbardziej lubiłam bawić się w chowanego. Jedno z nas liczyło do dziesięciu, a pozostali mieli w tym czasie schować się za jakimś samochodem czy najlepiej w krzakach. W końcu tam było najwięcej skrytek i tajemnych przejść. A już najkorzystniej dla mnie, jak te krzaki były jak najbardziej oddalone od miejsca, w którym zaczynała się zabawa. Trzeba było dobiec do miejsca odliczania, odbić się ręką i

krzyknąć: „wolny”. Przeważnie tym punktem były drzwi od klatki schodowej. „Wolny” z kolei oznaczało, że nie trzeba być tym, który szuka następny. Ja, jako swoją skrytkę, wybierałam oczywiście te najdalsze krzaki.

— Raz, dwa, trzy, Baśka za samochodem! — krzyczał Andrzej, który z całej tej naszej sześćciosobowej paczki był najbardziej „misiowatym” dzieckiem. Z tym okrągłym brzuszkiem było mu nawet do twarzy.

— Za którym? — cienki głosik Basi nie dawał za wygraną, że została złapana.

— Za czerwonym maluchem.

— A wcale, że nie! — wyskoczyła uradowana zza białego kaszlaka. — To jest biały, ciamajdo! — powiedziała to z taką dumą, jakby właśnie wygrała misia na loterii.

— Jeszcze nasza blondi, tak? — Andrzej wyraźnie posmutniał, wiedząc, że był już bliski, żeby ponownie nie musiał szukać.

A ja zadowolona, przyczajona pięćdziesiąt metrów od drzwi klatki, tylko wychylałam się z dziupli, by zobaczyć, czy Andrzej mnie nie widzi. Po Andrzeju nie było ani widu, ani słyhu, a przynajmniej nie mogłam go dostrzec, wypatrując chłopca przez grube szkła w oprawkach. Wiedziałam, że wzrok mi się znowu pogorszył i nie widzę już tak wyraźnie oddalonych ode mnie przedmiotów. Ludzi też.

No chyba aż tak ślepa nie jestem... Widocznie polazł gdzieś w innym kierunku. Teraz zdążę dobiec!

Śmielej wysunęłam się zza krzaka i wyskoczyłam jak z procy. Gruba gałąź zraniła drobne ramię, ale kto by się tym przejmował. Biegłam. Nie! Pędziłam niczym „Struś Pędziwiatr”. Kątem oka zobaczyłam pięć metrów przede mną biegnącego Andrzeja.

Skąd on wyszedł? O nie! Nie zdążę!

Odpaliłam mojego nożnego, naładowanego rannymi paczkami dopalacza i ze strusia zamieniłam się w Irenę Szewińską, medalistkę olimpijską. Ja nie biegłam po medal. Biegłam o honor i podziw reszty podwórkowej ekipy. A ci zaczęli drzeć się na całe gardło:

— Ania, Ania, Ania! — kibicowali mi tak głośno, że aż dziw, że sąsiedzi znosili te krzyki.

— Wolna! — wykrztusiłam ostatnim tchem i od razu padłam na ziemię.

— No... No nie i zno...wu muszę li... liczyć... — Andrzej też ledwo mówił, ale po trzech sekundach stał już ponownie tyłem do nas i zaczął odliczanie. — Dzie... Dziesięć, dziewięć, o...siem, siedem...

I tak potrafiliśmy bawić się do późnego wieczora. Piękny czas szczęśliwego dzieciństwa. Nie przeszkadzała nam temperatura, która tamtego lata była potwornie wysoka. Kto by tam siedział przed telewizorem i oglądał te nudne obrazy. Dwór był naszym życiem, a zegarkiem zachodzące słońce lub rodzice, którzy wołali na obiad czy kolację. Mieliliśmy niespożyte ilości energii, a wyobrażnia, w co się w danej chwili będziemy bawić, nie miała końca. Stare torebki po cukrze czy mące, by móc do nich nasypać piasku i bawić się w sklep. Gумы, skakanki, koce do pikników na trawie. Piłkę do nogi, w którą uwielbiałam grać z chłopakami. A to towarzystwo lubiałam najbardziej.

Miałam sporo chłopięcych zachowań. A przeszczęśliwa mama na siłę ubierała mnie w bufiaste kiecki, które całym swym dziecięcym jestestwem nienawidziłam. Tak, zdecydowanie byłam taką chłopczycą, która bardzo dobrze odnajdowała się w tej roli. Niekoniecznie godziło się to z marzeniami rodziców, którzy inaczej wyobrażali sobie dziewczęce dzieciństwo. Dostawałam lalki Barbie, by za pięć minut ukręcić im łąpek, samochodzik, by skakać z radości.

Inną kwestią jest fakt, że zawsze ciągnęło mnie do adrenaliny i niebezpieczeństw. Wspinanie się na drzewa, wywrotki na rowerze przez za szybką jazdę. Miałam niezliczone ilości zwariowanych pomysłów, które przeważnie kończyły się jakimś potłuczeniem. Licznych siniaków czy strupków na nogach i rękach nikt nie liczył.

Te dni dziecięcych lat mogłyby trwać wiecznie. Nasza zgrana ekipa tylko czekała, kiedy będzie można wyjść na dwór i się wspólnie pobawić. Młode dzieciaki, bez zmartwień, problemów i chorób. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że beztroskie dzieciństwo tak szybko miało się dla mnie skończyć, a isierka energii powoli zacząć gasnąć.

Rozdział trzeci

Zimowy sen

Rok: 1997

Wiek: 11 lat

Staż cukrzycy: miesiąc przed diagnozą

Lubiliśmy z Marcinem szkołę. Pierwsze kroki w nauce, jak czytanie i pisanie, przychodziły nam z dużą łatwością. Szczególnie było to widać po bracie. Zawsze uważnie i z ciekawością wsłuchiwał się w temat lekcji. On umysł ścisły, ja humanistka. Różnił się ode mnie nie tylko pod względem matematycznej i logicznej inteligencji, ale też i w sporcie. Ja, co nie dociągnęłam na lekcji pod kątem wiedzy, to z dużym zapasem nadrobiłam na WF-ie. Tutaj zawsze wiodłam swój prym, nie tylko nad bratem, ale także w klasie, a nawet i w szkole. Sport był moim „konikiem”. Uwielbiałam ruch. Im szybciej biegałam, rzucałam czy skakałam, tym jeszcze bardziej to kochałam. Może dlatego, że miałam okazję czuć smak zwycięstwa i być przed bratem? Taki trochę nieoficjalny, rodzinny pojedynek. Jednak od początku roku 1997 zaczęło dziać się ze mną coś niepokojącego.

Wybiła godzina 10:35 i w końcu rozległ się dzwonek na długą przerwę. Przeszłam korytarzem z jednej sali do drugiej. Różnęłam od niechcenia plecak pod ścianę, tak jak zresztą większość z nas to robiła.

Na korytarzu było zimno, ale uznałam to za normalne. W końcu był luty i zima na dobre się rozhulała. Nie wiem, czy z tego zimna, czy od czegoś innego, ale kompletnie nie miałam siły. Postanowiłam, podobnie jak mój plecak, podeprzeć szkolne mury. Usiadłam na nim. Nawet nie za bardzo chciało mi się jeść, stąd przymknęłam na chwilę oczy, by trochę odpocząć. Gdzieś z oddali dochodził jazgot dziecięcych krzyków, a ja „odpływałam”. Nagle usłyszałam wołanie nauczycielki.

— No wchodzić, wchodzić! — poganiała katechetka, więc stwierdziłam, że chyba przespałam dzwonek na lekcję. — Na co czekacie? Ruszajcie się, bo grzebiecie się, jak takie muchy w smole.

Coś w tym było, bo faktycznie z trudem się podniosłam. To były jedne z tych zajęć, które większość z nas, uczniów, nie cierpiała.

— Pomódlmy się — zakomunikowała, zanim większość zdążyła rozsiaść się w ławkach. Ja zdążyłam.

Marcin spojrzał na mnie trochę zezłoszczony.

— Ania, wstawaj! Modlimy się.

Nie czułam się dobrze. Było mi słabo. Z racji tego, że siedzieliśmy z bratem w przedostatniej ławce, miałam nadzieję, że nikt nie zauważy, że nie stoję do modlitwy.

— Ania, co jest? Jak się źle czujesz, to idź do higienistki — powiedział zły, a jednak trochę zatroskany.

— Nie, już wstaję.

Po skończonej modlitwie mogliśmy już oficjalnie usiąść. Na tych lekcjach nie było zbytnej dyscypliny. To nie to samo, co na lekcjach z panią Krysią, naszą polonistką. Mi te lekcje religii nawet aż tak bardzo nie przeszkadzały. Czasem robiliśmy wspólnie w grupach jakieś ciekawe kolaże czy zadania. Dziś też mieliśmy pracować zespołowo.

— Dobierzcie się w pary — wydała polecenie katechetka.

— Marcin, będziesz ze mną? — zapytał Damian, który miał ławkę tuż za nami.

Sporo osób chciało być z Marcinem w parze, a to głównie dlatego, że gdy ktoś czegoś nie wiedział w klasie, to odpowiedź znała przeważnie tylko jedna osoba – mój brat. Zawsze siedziałam razem z nim we wspólnej ławce. Jak coś robiliśmy, to przeważnie razem. Damian próbował mimo to dobrać się z najlepszym. Tym razem jego

próba zakończyła się fiaskiem.

— Hm... Nie. Ja dziś będę z Anią — odmówił Marcin, spoglądając na mnie niepewnie. Nadal nie wiedział, co się ze mną dzieje. Miał jednak przeczucie, że ma dziś pracować tylko ze mną. Wyglądałam kiepsko.

Naszym zadaniem było opisanie, jak wyobrażamy sobie idealną rodzinę. Zadanie było dla nas z Marcinem łatwe. My mieliśmy dobrą rodzinę. Mimo tego, że starszy brat robił trochę problemów wychowawczych rodzicom, to nie mogliśmy przecież na nic narzekać. Mieliśmy mamę i tatę, dach nad głową, aż tak biedni też nie byliśmy, choć nigdy nam się nie przelewało. Od pierwszego do pierwszego jednak zawsze starczyło. Wszyscy byli zdrowi.

Tak przegadaliśmy w parze ponad połowę lekcji, zapisując przy tym swoje notatki. Może „przegadaliśmy” to za dużo powiedziane, bo to Marcin rzucał większością pomysłów i to on zapisywał je na kartce. Ja jakoś tak tylko słuchałam, od czasu do czasu coś dopowiedziałam.

— Kto przeczyta swoją pracę? — usłyszałam kątem ucha nauczycielkę. Myśli mi odejżdżały. Byłam zmęczona, potwornie zmęczona. — Bartek z Pauliną, może wy? Proszę!

Patrzyłam na Paulinę, która żywo prowadziła dyskusję podczas wspólnej prezentacji z Bartkiem. Nie kojarzę, co mówili. Niby otwierali buzię, gestykulowali, a ich głos do mnie nie docierał. Miałam wrażenie, że widzę ich jak przez mgłę.

Co oni w ogóle gadają? Nic nie rozumiem... Najchętniej poszłabym spać...

Oparłam podbródek na stole. Powieki stawały się coraz cięższe. Niespodzianie dobiegł mnie głos Marcina.

Oo... Chyba teraz czas na naszą prezentację.

Brat przedstawiał przy tablicy nasz kolaż, a mnie już tam w klasie nie było. Trwało to może minutę, może pięć czy dziesięć minut. Nie wiem.

— Ania! — poczułam szturchnięcia brata. — Ania, idziemy!

Lekcja chyba się już skończyła. Widziałam wychodzących z klasy kolegów.

Zasnęłam? Co się właściwie stało? Jak długo spałam?

Podniosłam swój i tak mocno wychudzony tyłek z krzesła. Wydawało mi się, że moje ciało ważyło tonę.

— Marcin — usłyszałam wołanie katechetki, która zatrzymała nas w drzwiach — a ty czasami nie podjadasz kanapek siostrze? Jakoś tak blado i mizernie wygląda.

— Nie, Ania ma swoje — odpowiedział, spoglądając na mnie kątem oka.

Może faktycznie trochę schudłam, ale przecież sporo ostatnio jadłam, choć też nie zawsze miałam apetyt. Ale co, do licha, się dzieje, że chce mi się tak bardzo spać?

W oczach Marcina dojrzałam mocne zaniepokojenie. Wyglądał na bardzo strapionego. Jakby dostrzegł jakąś zbliżającą się chorobę. I słusznie. Bo ona właśnie się zaczynała. Tylko jeszcze ani on, ani ja, ani nikt inny nie wiedział, jak ta choroba się nazywa.

Rozdział czwarty

Czy ja jestem na pustyni?

Rok: 1997

Wiek: 11 lat

Staż cukrzycy: tydzień przed diagnozą

To był marcowy, zimny poranek. Mieliśmy wolne od szkoły. Nadszedł upragniony przez większość uczniów tydzień rekolekcji. A że należeliśmy do katolickiej rodziny, to wizyta w kościele, w ramach szkoły, była naszym obowiązkiem. Nigdy nie uznawałam się za osobę głębokiej wiary, ale wychowana w duchu harmonii i jedności z Bogiem, czułam, że coś tam jest mi „na górze” pisane.

Na dyżurze w domu była nasza kochana babcia. Rodzice pracowali w jednej firmie i często ich zmiany w pracy zaczynały się bardzo wcześnie rano, stąd nie miał nas kto wyszykować do szkoły. Lubiłam te wizyty babci. Choć bardzo skryta, ale zawsze nam jakoś podmaślała. Kiedy razem z Marcinem wstaliśmy rano, mieliśmy już gotowe, świeżo uszykowane śniadanie. Oczywiście czekały też na nas kanapki na wynos, zgrabnie owinięte w papier i zapakowane do pudełka. Nie wspominając o ciepłym obiedzie od razu po skończonych lekcjach. A biada nam było, gdy się na niego spóźniliśmy.

Tamten poranek, poza tym, że spaliśmy o godzinę dłużej, niczym

więcej nie różnił się od pozostałych. Ta sama rutyna: ja wstałam pierwsza, później brat, szybkie „myju, myju” i do kuchni na śniadanie. Tam babcia przywitała nas kanapkami z żółtym serem i osłodzoną herbatą z dodatkiem cytryny.

— No prędko, prędko, bo się spóźnicie — poganiała.

Kościół nie był daleko od domu. Niecały kilometr. Mieliliśmy zameldować się tam na godzinę 9:00. Czekają na nas trzy godzinny siedzenia w zimnych murach świątyni.

— Babciu, nalej mi jeszcze jedną szklankę wody — poprosiłam w pośpiechu.

— A co ty tak pijesz, dziecko? W kościele nie ma toalety, gdzie się wysikasz?

— Nalej, nalej — nalegałam, nie zastanawiając się, co będzie potem. Chciało mi się po prostu bardzo pić.

Chwyciłam kubek i wypilałam jednym duszkiem, chcąc jak najszybciej ugasić pragnienie. Dostałabym drugi, to wypilałabym go z podobną łapczywością. Ale babcia mnie już większą ilością nie uraczyła. Było zimno, więc zanim wcisnęliśmy na siebie wełniane czapki, szaliki i rękawiczki oraz ciepłe kozaczki i kurtki, minęło kilka dobrych minut.

— Weź jeszcze sweterek, Aniu, jakby zrobiło ci się zimno. W kościele może być chłodno o tej porze roku — dorzuciła.

Grzecznie zgarnęłam sweter i wyszliśmy z domu. Marcin szedł trzy kroki przede mną. To dziwne, bo zazwyczaj nie mógł mnie dogonić i to ja zawsze czułam jego oddech na plecach. Tym razem było odwrotnie. Z trudem stawiałam kroki. Może to przez ten śnieg na chodnikach, którego tej zimy było naprawdę sporo.

— Marcin, czekaj! — zawołałam brata. — Muszę się wrócić do domu.

— Ale po co? — stanął jak wryty. — Spóźnimy się!

— To ty idź już, a ja cię najwyżej dogonię.

Marcin potrząsnął tylko głową i pobiegł przed siebie. Gdy weszłam do domu, babcia stała przy zlewie i zmywała naczynia po śniadaniu. Zdziwiła się na mój widok. Ale ja w tym pośpiechu nic nawet jej nie tłumaczyłam.

— No... — przełknęłam ostatni łyk. — Lecę, lecę, bo się spóźnię — i uciekłam przed kolejnym dopytywaniem babci, co tak piję. Zresztą i tak nie miałam bladego pojęcia, co mnie tak suszy.

Do kościoła dotarłam jako ostatnia. Wnętrze było podzielone na dwie kolumny ławek. Po jednej stronie zasiadały dziewczyny, po drugiej chłopacy. Tak też zresztą było na komunii, którą mieliśmy dwa lata wcześniej. Koledzy już siedzieli. Oczywiście wszystkie miejsca były zajęte. Zostało kilka pojedynczych, w pierwszym rzędzie. Wparowałam do środka, nie zważając na spojrzenia i miny koleżanek, których najwyraźniej śmieszyła moja mała obsuwa. Ksiądz też już zdążył pojawić się przed ołtarzem, ale na szczęście oszczędził mi indywidualnych powitań.

Każdy z nas dostał modlitewnik i wspólnie mieliśmy śpiewać pieśni. Zanim jednak nastąpiła ta chwila „rozrywki”, trzeba było wysiedzieć godzinę w ławce i wysłuchać, co ksiądz przygotował na te rekolekcje. Godzina trwała jak wieczność. Część moich koleżanek zaczęła się już wiercić. Z drugiego boku kościoła dobiegały większe szумы. Chłopacy prowadzili coraz głośniejsze pogaduchy, zupełnie nie związane z religią. Od razu wychwyciła to katechetka, która spojrzała wymownie na księdza.

— Wstańcie, dzieci — wygłosił ksiądz. — Otwórzcie modlitewniki na dwudziestej czwartej stronie i zaśpiewajmy wspólnie pieśń.

Wszyscy zerwali się z ławek. Ja zrobiłam to bardzo oswiale. Czułam dość miękkie nogi.

Gdzie ta moja energia...?

W kościele rozległ się dziecięcy głos. A ja nie mogłam otworzyć ust.

Boże, ja chcę pić! Daj mi wody!

A Bóg nie słuchał, bo Sahara w buzi panowała okrutna. Przeraziłam się przez chwilę, bo pomyślałam, że tu Boga nie ma, za to opętał mnie szatan. Zdawało mi się, że niczym pijawka krew, wyssał mi całą wodę z organizmu, a już na pewno z buzi. Z trudem odnalazłam kawałek śliny i dołączyłam do śpiewających. Druga zwrotka... Śpiewać już nie byłam w stanie. Tym razem tylko nuciłam melodię.

— Pięknie, dzieci. Usiądźcie — zakomunikował ksiądz.

Wszyscy jak stado słoni klapnęliśmy ponownie w ławkach.

Rozpoczęła się druga część monologu wielebnego. Jakoś tak szybciej mi zleciała. Miałam wrażenie, że przysypiam, ale słowa do mnie docierały. Zawsze słuchałam uważnie. Przeczucywałam, że będzie z pewnością do napisania wypracowanie z tych rekolekcji. Mówiłam do siebie jakieś bzdety, starając się za wszelką cenę nie zasnąć i jednocześnie zakodować treść kazania.

W trzeciej części zajęć czekało na nas trochę „sportu”. Katechetki czytały litanie, a my klęczeliśmy i odpowiadaliśmy wyklepaną regułkę odpowiedzi. Największą atrakcją było dla mnie przyjęcie Komunii Świętej. Nie dość, że lubiłam opłatek, to jeszcze można było się w końcu ruszyć z ławki i wyprostować młode kości. Jako że siedziałam w pierwszym rzędzie, to mnie komunია skapnęła się jako pierwszej. Miałam nadzieję, że równie sprawnie uda mi się wyjść z kościoła przed tą całą bandą dzieciaków. W myślach już obierałam strategię, jak tu najszybciej go opuścić, gdy tylko rzucą hasło do wymarszu. Chciałam położyć się do łóżka, choć była dopiero 11:30. Ewidentnie coś było ze mną nie tak.

Po słowach księdza: „Ciało Chrystusa”, znowu z trudem otworzyłam usta. Były zaklejone. Może nie na amen, bo „amen” powiedziałam i spożyłam Ciało Pańskie. Opłatek od razu przykleił się do podniebienia.

Chryste Panie... Gdzie jest ta cholerna ślina? O nie! Najmocniej przepraszam za mój niewyparzony język. Żałuję i obiecuję poprawę. Tylko, że ja tu usycham!

Usiadłam w ławce i uklęknęłam. Zaczęłam się modlić, rzecz jasna, głównie o dostęp do wody.

Rekolekcje i msza dobiegły końca i mogliśmy wyjść „na wolność”. Strategie ucieczki innych uczniów ze świątyni widocznie były bardziej przemyślane, ponieważ spora część opuściła go szybciej niż ja. Przed kościołem tworzyły się już małe grupki, z którymi zawsze każdy się trzymał. A że ja zawsze szłam w parze razem z bratem, tak też podeszłam do naszej paczki – samych chłopaków.

— Lecimy zaraz pokopać w piłę. Na tym śniegu będzie zabawnie. Dołączasz? — zapytał mnie Krzysiek.

— Ee... Ja dzisiaj odpuszczam — niechętnie odpowiedziałam.

— No co ty, Ania! Chora jesteś? Jak to odpuszczasz? Ty!? — zdziwił się.

— Ano... — zbyłam go i bez wahania obróciłam się, kierując do domu.

— Ty też? Nie idziesz z nami? — zdziwił się Adam, patrząc, jak Marcin ruszył za mną.

— Tak, jak Ania nie idzie, to mi się też nie chce. Na razie, chłopaki!

— Ale jesteście słabeusze! — wykrzyczał Adam. — Jak tam sobie chcecie... My idziemy.

Tego przezwiska już za dobrze nie usłyszałam, bo z pewnością rzuciłabym zgrabną ripostą. Udałam, że nie słyszę i mu odpuściłam. Nawet przestałam walczyć z odklejeniem od podniebienia pozostałej reszty opłatka. Przykleił się tam na dobre.

Do domu wracaliśmy z Marcinem w milczeniu. Widziałam, że Marcin spogląda na mnie z zaniepokojeniem. Coś mu nie grało i czuł, że dzieje się ze mną coś niedobrego.

Zanim zdążyłam się przywitać z babcią, wparowałam migiem do kuchni. Kilkoma haustami wypiałam pełne trzy szklanki wody.

— Ale mi się chciało pić... Ale ulga! — od razu poczułam, jakby mi dano zastrzyk z adrenaliną. Zaraz po tym pognałam do łazienki opróżnić i tak już mocno bolący pęcherz.

— Jak było na rekolekcjach? — zapytała babcia Marcina.

— Nudno babciu, nudno. Ksiądz głądził godzinami, jedynie co, to dostaliśmy takie fajne znaczki — wyciągnął z kieszeni okrągły emblemat z kolorowym, mieniącym się napisem: „Jesteś cudem świata”.

— A gdzie jest Ania? — rozejrzała się po chwili.

— Nie wiem, może w łazience albo poszła się położyć.

Ten dzień dopiero się zaczął. Było południe, a ja leżałam w pokoju szczelnie przykryta puchową kołdrą. Zza okna dobiegał zgiełk tętniącego życia. Chciałam nawet wstać i zasiąść do biurka, by napisać zadane wypracowanie, ale łóżko przyciągało mnie niczym największy magnes. Powieki opadały bezwładnie. Nie wstałam nawet na obiad, bo wcale nie chciało mi się jeść. Jedyne co, to przebudziłam się, by zgasić pragnienie i drzemałam dalej.

— A Ania śpi? — usłyszałam zmartwiony głos mamy, która właśnie wróciła z pracy.

— Tak, córciu... Już od południa tak leży... Martwię się o nią. Nawet na obiad nie wstała. Musisz iść z nią do lekarza! To nie jest normalne. Ciągłe pije. Nie wiem, nie liczyłam dokładnie, ale dziś to chyba wypila z dziesięć szklanek, minimum.

— Tak, mamó. W przyszłym tygodniu, jak tylko skończą się rekolekcje, to ją zapiszę.

Ja też wiedziałam, że coś niepokojącego się ze mną dzieje.

Może serio szatan mnie dorwał? Ale przecież grzecznych dzieci on nie dopada... Co prawda, ostatnio trochę posprzeczałam się z Marcinem, ale to chyba nie powód, by zaraz miał mnie tak karcić?

Obiecuję, że już więcej nie będę wyzywać go od „palanta”. No chyba, że mi znowu nie pożyczy swojej wyścigówki z Lego. Jest odlotowa! Ale ja naprawdę nie chciałam go tak przezywać. Dobra jest, trochę mogłabym być dla niego miłsza... Może to coś pomoże i nie będzie chciało mi się już tak pić? Przynajmniej się postaram. Od jutra, bo dziś i tak nie mam już siły na staranie się być aniołkiem.

Za to miałam siłę, by ponownie zasnąć.

Rozdział piąty

Turbosłodka nagroda

Rok: 1997

Wiek: 11 lat

Staż cukrzycy: 3 dni przed diagnozą

W poniedziałek, gdy tylko skończyłam lekcje w szkole, udałyśmy się z mamą do ośrodka zdrowia. W tamtym dniu przyjmowała moja pediatra, kobieta w średnim wieku. Była to znajoma mamy z jej czasów szkolnych. Razem z nami czekali też inni rodzice ze swoimi pociechami.

— Antek, zostaw to! — warknął na syna jeden z ojców. — Zobacz, jak ta dziewczynka grzecznie siedzi — mężczyzna spojrzał na mnie.

Rzeczywiście siedziałam cicho i grzecznie. W rękę trzymałam małą buteleczkę wody. Była już prawie pusta, a dopiero co wyszłyśmy z domu.

— Mamusiu, gdzie jest toaleta? — zapytałam po ciuchu, by nikt nie słyszał.

— Tam, dziecko — wskazała palcem na drzwi na końcu korytarza.

Mama wyglądała na strapioną, może trochę rozkojarzoną. Próbowала słuchać opowieści innych kobiet w poczekalni, ale robiła to tak nie do końca uważnie. Jej wzrok cały czas gdzieś błądził. Pogodne

nastawienie do innych ludzi było wyraźnie zachwiane. Gdy wróciłam z powrotem do poczekalni, usiadłam koło niej, przytuliłam się do ramienia i przymknęłam oczy. Chciało mi się znowu spać.

— Pani Alicja i Ania — po pół godzinie wezwała nas lekarka. — Wejdźcie proszę!

Gabinet był niewielki. Na środku pokoju stało biurko, a pod oknem długa kozetka.

— Co się dzieje? — zaczęła lekarka.

— Mam problem z Anią. Jest jakaś taka osowiała, bardzo dużo pije i śpi. Przypuszczam, że ma anemię, bo jest bardzo blada i też ostatnio wydaje mi się, że schudła.

— A chorowała ostatnio na coś? — lekarka popatrzyła na mnie zamyślona.

— W sumie to teraz nie. Dwa albo trzy miesiące temu miała jednak taki mocny kaszel. Doktor Psztyć przepisał jej antybiotyki. Ale już nie kaszle. Teraz jest wszystko w porządku.

— Ściągnij sweterek, dziecko, i połóż się tutaj! — wskazała na kozetkę. — Zbadam cię.

Choć krępowałam się rozebrać, zdjęłam posłusznie górę. Podkoszulkę zostawiłam.

— Czy to cię boli? — nadusiła na brzuch.

— Nie.

— A tutaj? — kontynuowała badanie delikatnie, schodząc w okolice podbrzusza.

— Nie.

— Dobrze, wstań proszę! Oslucham cię.

Wstałam, ale znowu zrobiło mi się słabo. Wyprostowałam się, wdychając i wydychając głęboko powietrze, by lekarka mogła mnie dobrze zbadać. Jak zwykle, zadanie musiałam wykonać należycie. Pani doktor zadała jeszcze kilka pytań i wypisała skierowanie na badania.

— Jutro rano, na czczo, przyjdziecie tutaj do ośrodka zdrowia i pobierzemy Ani krew. Trzeba zobaczyć, co to może być.

— Pani doktor — nie wiem czemu mama zwróciła się oficjalnie do koleżanki, przecież ją dobrze знаła — czy to poważne?

— Nie wiem, Ala, może stres w szkole. Nie chce za bardzo się

wypowiadać. Poczekajmy na wyniki. Powinny być w ciągu trzech do czterech dni, może wcześniej. Wtedy będziemy radzić, co dalej.

Te słowa ani mnie, ani mamę nie uspokoiły. Liczyłyśmy na to, że lekarka powie, że to nic groźnego, przepisze specyfik i po sprawie. Nadal żyłam w przekonaniu, że chyba tak źle ze mną nie jest.

*

Rok: 1997

Wiek: 11 lat

Staż cukrzycy: 2 dni przed diagnozą

Pani pielęgniarka kazała mi wyprostować rękę. Mocno zacisnęła opaskę, a resztą materiału mogłaby owinąć, równie dobrze, całą kończynę. Z opakowania wyciągnęła długą, grubą igłę. Była naprawę gigaantyczna. Popatrzyłam, jak się wbija. Chciałam przez to pokazać, że się nie boję, choć tak naprawdę byłam małym i przestraszonym dzieckiem, które za trzy miesiące miało skończyć jedenaście lat. Mama została na korytarzu, także poczułam wyzwanie wykazania się podwójną odwagą. Przed pielęgniarką oraz igłą. Ból się nie liczył.

Krew coś słabo leciała, więc kobieta poruszyła igłą, a ja od razu mocniej zacisnęłam zęby. Poczułam napływające ciepło. Zabolalo, ale nie pisałam nawet słówka.

Z tego wszystkiego najbardziej cieszyłam się, że tamtego dnia nie musiałam iść od rana do szkoły. Marcin poszedł, a ja nie musiałam.

— Wyniki będą tak za trzy dni — pielęgniarka odprowadziła mnie za rękę z powrotem do mamy. — No chyba, że działoby się coś poważniejszego, to zadzwonimy.

Poważniejszego? A może ja jestem śmiertelnie chora? Babcia i mama ostatnio są takie smutne... Ale dlaczego nie chcą mi powiedzieć, co mi jest? Może nie chcą mnie martwić, że zaraz wykituję? Ale czy to czas, żeby mieli mnie już zakopać w ziemi? Przecież małe dzieci nie

umierają tak prędko...

Na myśl o rychłej śmierci, zrobiło mi się niedobrze, dlatego jak najszybciej wyszłam z przeraźliwego laboratorium. Do domu z ośrodka miałyśmy blisko, może półtora kilometra. W drodze powrotnej mama chciała mi jakoś wynagrodzić fakt zostania „dzielną pacjentką”. Zaproponowała, że wejdziemy do sklepu i kupi mi to, na co będę miała ochotę. Dwa razy nie trzeba było mnie namawiać. Weszłyśmy do samoobsługowego marketu na osiedlu. Od razu udałam się w stronę lodówki. Wypatrywałam tubki z mleczkiem. Było to turbosłodkie, gęste mleko, takie do wyciskania. Coś podobnego jak szkolny klej do papieru. Spojrzałam niepewnie na mamę, czy na pewno mogę włożyć do koszyka upolowaną zdobycz. Mama kiwnęła głową, a ja bez chwili namysłu wybrałam smak czekoladowy. Nie pytając się, odruchowo chwyciłam dwie tubki: jedna dla mnie, druga dla Marcina. Mamie chyba mój gest braterstwa się spodobał, bo nic nie mówiła.

Niezwykle rzadko coś dostawaliśmy „w gratisie” od rodziców. Raczej nas nie rozpieszczali, choć nigdy nam niczego nie brakowało. Owszem, dostawaliśmy z Marcinem co miesiąc drobne kieszonkowe, jak to razem nazywaliśmy – „pensję”, ale byliśmy raczej nauczeni oszczędności. Jeśli już, to zbieraliśmy na konkretniejszy wydatek. Mi zamarzył się rower, który kiedyś dostrzegłam w hipermarkecie. Górski, z grubszymi oponami i niebiańsko pięknym kolorem, zresztą moim ulubionym – jasnobłękitnym. Niestety kosztował tyle, że do cioci i wujków musielibyśmy jeździć nie raz na miesiąc, a przynajmniej kilka razy w tygodniu. Od czasu do czasu skapnął się od nich drobny, dodatkowy pieniążek.

Gdy weszłyśmy z powrotem do mieszkania, było cicho. Tata, jak zwykle w pracy, Marcin w szkole, a babci tym razem nie gościliśmy. Mama zakrzętała się w kuchni, aby uszykować mi śniadanie. Dostałam polecenie od lekarki, abym przed pobraniem krwi nic nie jadła. Zresztą za bardzo nie miałam apetytu na jedzenie, za to nawet nie wiem kiedy, ale po przyjściu, wypilałam dwie szklanki wody. Stąd mój żołądek zapełnił się jeszcze bardziej. Mama poganiała, abym zrobiła herbatę i mogła szybciej wrócić do szkoły. Chociaż na trzecią lekcję. Mi nie spieszyło się za bardzo, zresztą byłam w ostatnich miesiącach dość

spowolniona w swoich ruchach. Wiedziałam jednak, że ostatnie dwie lekcje to matematyka, więc tym bardziej nie miałam dobrego argumentu, by gnać tam na złamanie karku. Jediną motywacją było mleczko w tubce, które miałam uszykowane dla brata. Swojego jeszcze nie napoczęłam. Czekałam, aż zjemy je sobie wspólnie na przerwie.

— Co jest, Aniu? Dlaczego nie jesz? — zapytała z niepokojem mama. — Ja też zaraz muszę wrócić do pracy. Jedz, proszę!

— Nie wiem, mamuś... Jakoś nie mam apetytu. Jestem zmęczona. Najchętniej położyłabym się i poszła spać.

— Oj, dziecko, dziecko... To może dzisiaj nie pójdziesz do szkoły? Marcin przyjdzie, to ci powie, co było w szkole — sama zdawała się być zaskoczona swoją propozycją. Mnie też nią zdziwiła.

Opuścić lekcje? Ale jak to? Jedynym powodem, dla którego nie byliśmy z Marcinem w szkole była może grypa. Dziwne to... Najpierw ten prezent w sklepie, teraz mogę nie iść do szkoły?

— No nie wiem, mamusiu, może pójde. Mam do Marcina niespodziankę — uradowana wskazałam na lodówkę, do której włożyłam słodką tubkę.

— To mu dasz, jak wróci ze szkoły. Dokończ śniadanie, połóż się i poczytaj sobie najwyżej książkę. Ja muszę już lecieć do pracy. Poradzisz sobie?

Skinęłam głową i po chwili zostałam sama. Pokiwałam mamie przez okno. Wyszłam z kuchni, zostawiając nadal niedokończone śniadanie. Położyłam się, ale było mi jakoś tak nieswojo. W sumie, prawie nigdy nie zostawałam w domu sama. Często chciałam mieć dom tylko dla siebie, a jednocześnie tego nie lubiłam. Zawsze ktoś się tutaj kręcił. Znowu do głowy zaczynały dopływać negatywne myśli o chorobie.

Ta cisza w końcu zaczęła mi mocno przeszkadzać. Wzięłam do ręki książkę, żeby zająć czymś głowę, ale coś nie mogłam się skupić. Czytałam, ale nie wiedziałam, co czytam. Czułam się jak w letargu. Obecna i nieobecna. Czasami miałam wrażenie, że słyszę bicie mojego serca, a biło naprawdę pośpiesznie. Uznałam, że to przez poddenerwowanie.

Musiałam czymś zagłuszyć tę ciszę, panującą w pokoju, bo przecież nie w zmartwionej duszy. Tam się kotłowało. Na półce dostrzegłam

magnetofon i włożyłam do niego moją ulubioną kasotę – „Calineczkę”. Naciśnęłam przycisk odtwarzania, który był już mocno zdezelowany. Nie chciał za bardzo wskoczyć, stawiając spory opór. Po chwili naszej wspólnej walki bokserskiej „przycisk kontra ja”, udało mi się go obalić na łopatkę.

Ha, nokaut, mały, czarny gnojku!

Usłyszałam głos lektorki. Był bardzo ciepły, przez co poczułam lekkie uspokojenie. Przymknęłam oczy, wyobrażając sobie, że pływam na liściu, jak ta mała dziewczynka.

Nagle z okna pokoju usłyszałam gromadkę dzieci. To przedszkolaczki, które z opiekunkami zmierzały w kierunku miasta. Słyły wesołe, trzymając się za rączki i żywo nimi wymachując.

Też tak sobie z bratem kiedyś spacerowaliśmy... Dziś już nie jestem takim brzdącem, ale przecież nadal jestem dzieckiem...

I wcale nie boję się, że z szafy zaraz wyjdzie tu jakiś potwór!

W chwili przyływu energii podniosłam się z tapczanu. Podbiegłam żwawo do szafy.

Ha, gadziny! Was tutaj nie ma, prawda?

Chwyciłam za klamkę i... zawahałam się.

A może jednak jestem jeszcze małą dziewczynką?

Jak sobie tak siedzicie, małe potworki, to sobie tam grzecznie siedzcie. Nie będę wam przeszkadzać. Ale sprawdzę, czy nie zezarłicie mi mojego słodkiego mleczka.

Weszłam do kuchni. Niedokończona kanapka nadal leżała na stole. Po ciuchu miałam nadzieję, że jeśli nie stwory, to może jakieś kuchenne myszki ją zjedzą. Nie zjadły, bo kromka nadal tam była. Pomyślałam, że muszę ją gdzieś schować przed rodzicami, żeby nie byli źli. W końcu wyrzucanie jedzenia traktowali jak grzech śmiertelny. Przez chwilę wystraszyłam się tym oszustwem i chciałam ją nawet zjeść. Zobaczyłam jednak, że ser tak jakby się na niej skurczył.

Nie, nie dziś. Przyszłam przecież po lepszy smakołyk. Ale miałam go zjeść razem z Marcinem... Ee tam... najwyżej tylko trochę sobie spróbuję. Jeden, góra dwa chapsy.

Otworzyłam lodówkę i chwyciłam tubkę. Zupełnie mi nie przeszkadzało, że była lodowata. Moje dłonie i tak zdawały się być

jeszcze bardziej zimne niż ona.

Miodzio, ale słodziutkie!

Pogłaskałam się po wklęsłym brzuchu, delektując każdym łykiem. Tak się rozpędziłam, że prawie pochłonęłam całą tubkę.

Ależ się Marcin ucieszy, jak wróci ze szkoły.

Pomyślałam i szczęśliwa opuściłam kuchnię, aby z powrotem położyć się do łóżka. Kanapkę zostawiłam w spokoju. Nikomu krzywdy nie robiła, leżąc sobie bezbronnie na talerzu. Potworki w szafie też siedziały cichutko, bawiąc się ze sobą. Na szczęście tylko ze sobą. Postanowiłam im również nie przeszkadzać.

Rozdział szósty

W skafandrze do szpitala w kosmosie

Rok: 1997

Wiek: 11 lat

Staż cukrzycy: dzień rozpoznania

Od popołudnia w biurze mamy nikt już za bardzo nie pracował. Była to raczej praca na pół gwizdka. Rysunki techniczne do głośników wszyscy mieli już od tygodni dokończone. Września słynęła z wielkiego zakładu wytwórczego głośników Tonsil, w której zresztą pracowała większość mieszkańców, w tym i moi rodzice. Tym razem praca taty wypadła na drugą, popołudniową zmianę. Czasami zdarzyło się, że brał on podwójne zmiany, aby zapewnić nam lepszy byt.

Przed południem do biura mamy wszedł jej kolega.

— Ala, wołają cię na portiernię. Masz telefon z przychodni — dorzucił.

Mama z miejsca wstała i od razu skierowała się do wyjścia. Telefonów w biurze nie było.

— Pewnie mają wyniki Ani — powiedziała na głos. — Oby to nic poważniejszego.

— To weź w razie czego torebkę, jakbyś musiała wyjść — doradził drugi kolega, który miał ważniejsze zajęcie niż pracowanie — palenie

kolejnego papierosa.

W portierni czekał na mamę ochroniarz i zaraz, gdy weszła do środka, przekazał słuchawkę.

— Rozumiem... Dobrze, zaraz będę — odłożyła słuchawkę, po czym zwróciła się do portiera. — Proszę przekazać kierownikowi i moim kolegom, że natychmiast muszę jechać do ośrodka zdrowia. Dostałam pilne wezwanie.

Zanim zobaczyła jego przytaknięcie, już była za drugimi drzwiami zakładu. Chwyciła w biegu rower i ruszyła w stronę ośrodka zdrowia.

Laboratorium znajdowało się przy budynku przychodni. W drzwiach od zabiegowego stanęła postawna pielęgniarka.

— Pani Miśkiewicz, tak? — spojrzała na mamę. — Proszę pójść do poradni, pod gabinet nr 5. Tam już czeka na panią lekarz — przekazała zwinięty papier. Na koniec dodała — Proszę wejść bez kolejki.

Mama odebrała wręczoną kartkę. Nie zaglądała do niej, nawet nie wiedziała, co tak naprawdę dostała. Była bardzo zestresowana. Jak zaprogramowana maszyna, podążała za wydawanymi komunikatami.

— Czy jest już pani Miśkiewicz? — wyrzał z gabinetu doktor Psztyć, ten sam, który trzy miesiące temu przepisał mi antybiotyk na uporczywy kaszel.

— Tak, to ja — dziesięć par oczu skierowało wzrok na nią.

— Zapraszam. Państwa proszę chwilę poczekać — oznajmił lekarz, widząc poirytowanie w oczach czekających pacjentów.

Zanim lekarz zdążył zamknąć za sobą drzwi, mama podała mu trzęsącą się ręką wilgotną od zdenerwowania kartkę papieru.

— Doktorze, co się dzieje? — wykrztusiła przerażonym głosem.

— Nie, nie trzeba. Wyniki są dla pani. Proszę siadać — wskazał na krzesło, po czym po chwili ponownie zaczął. — Pani Miśkiewicz, sprawa jest poważna. Pani córka ma mocno podwyższony poziom cukru we krwi. Musi natychmiast trafić do szpitala. Czy córka przyszła teraz z panią?

— Nie, córka jest w domu — odpowiedziała mechanicznie, nie zastanawiając się, co oznacza stwierdzenie „podwyższony poziom cukru”.

— Dobrze, w takim razie przyślemy do pani karetkę. Na jaki

adres?

— Ale, panie doktorze, o co chodzi? Do jakiego szpitala? — dopytała załamującym się głosem.

— Ania ma złe wyniki i musimy ją zawieść na oddział w Poznaniu. Tam mamy specjalistów, którzy odpowiednio zajmą się pani córką i wdrożą leczenie. Proszę zrozumieć, stan córki jest poważny. Musimy działać szybko — dorzucił pośpiesznie.

— O Boże... Dobrze, ale proszę nie przyjeżdżać karetką. Zaraz spakuję Anię i przyjdziemy tutaj na izbę przyjęć. Karetka będzie czekała, tak?

— No jak tam pani uważa — pokręcił nosem lekarz. — W takim razie poinformuję kolegów. Proszę się pośpieszyć.

Mama wyszła z gabinetu. Nie chciała, aby na osiedlu wścibscy sąsiedzi zaczęli coś gadać. Myśli kłębiły się jej jedna po drugiej. „Stan jest poważny”, „Proszę się pośpieszyć”. Nic z tego nie rozumiała.

Drogi do domu za bardzo nie pamiętała, zastanawiała się tylko, co ma mi spakować do torby. Kiedy weszła do domu, razem z Marcinem i tatą siedzieliśmy w kuchni. Była pora obiadowa, więc w progu poczuła przyjemny zapach smażonej kiszki z cebulką. Weinaliśmy, aż miło.

Popatrzyłam na mamę. Była bardzo blada. W oczach miała łzy, choć te jeszcze nie zdążyły wypłynąć z zbłąkanych oczu.

— Aniu, musisz iść do szpitala — wykrztusiła z siebie, po czym jedna z łez spłynęła po jej policzku.

— Do szpitala? Al... ale... po... po co? — niemal zakrztusiłam się kiszka, którą miałam w buzi.

— Wszystko ci po drodze wyjaśnię. Marcin zostaniesz pewnie w domu sam, dobrze? Tata idzie zaraz do pracy. Ja muszę teraz spakować Anię.

Rodzice wyszli w biegu z kuchni. Spojrzałam na Marcina, on spojrzał na mnie. Nic nie rozumieliśmy. Siedzieliśmy tak w milczeniu jeszcze przez dłuższą chwilę. Tata prowadził żywą dyskusję z mamą za ścianą. Drzwi od kuchni były przyknięte, więc nie za bardzo słyszeliśmy, o czym tak nerwowo debatują. Zrobiło mi się niedobrze.

Może zjadłam za dużo tej pieprzonej kiszki, a może była popsuta? Nie, to chyba nie przez nią jest mi niedobrze. Chyba zaraz zwymiotuję...

Chociaż niekoniecznie.

O jakim szpitalu mówiła właśnie mama? Mam nadzieję, że tutaj we Wrześni i rodzice będą tam razem ze mną? Ale ja nie chcę jechać do żadnego szpitala... Zwymiotuję!

Wstałam, by pójść do łazienki, ale poczułam miękkie nogi. Panujący w powietrzu stres, posadził mnie z powrotem na kuchenny taboret. Z kiszka w gardle poczekałam, aż torba będzie spakowana.

*

Droga do szpitala w Poznaniu zleciała lotem błyskawicy. Pierwszy raz w życiu miałam „przyjemność” jechać w karetce, i to jeszcze na sygnale. Leżałam na noszach. Mama i pielęgniarz siedzieli obok mnie. Do ręki miałam podłączony wenflon, który dozował mi jakiś płyn do żyły. Nie wiedziałam, co mi podają, ale za to czułam, że bardzo chce mi się siku. To pewnie przez te pół litra wody, którą zdążyłam wytrąbić tuż przed wejściem do karetki. Nie sądziłam, że podawany dożylnie płyn też nie ułatwiał sprawy.

Portier otworzył szlaban. Szpital na ulicy Szpitalnej wydawał mi się ogromny.

To nie to co w naszej małej Wrześni. Ale kolos!

Zanim dotarliśmy do izby przyjęć, było już dość późno, a na dworze z racji zimy zrobiło się już ciemno. Słońce szybko zachodziło. Na korytarzach były zapalone duże lampy, przez co wyraźnie widziałam szpitalne szczegóły. To był mój pierwszy pobyt w szpitalu, który kojarzyłam, więc wszystko było dla mnie bardzo obce i nowe.

Mama udzielała informacji pani w okienku na izbie przyjęć, natomiast mnie kazali pójść z inną kobietą, ubraną w biało-zielonkawy fartuch.

— Niech pani weźmie od córki ten skafander. Nie będzie potrzebny — pielęgniarzka podała mamie kurtkę.

Jaki skafander? To gdzie ona mnie zabiera? W kosmos?

Starałam się uważnie analizować wszystkie komunikaty personelu, czy oby na pewno nie porywają mnie jakieś ufoludki gdzieś do odległej galaktyki.

— Mamusia zaraz przyjdzie — pielęgniarka chyba dostrzegła moją zaniepokojoną minę. — My teraz jedziemy na pierwsze piętro. Jechałaś już kiedyś windą? — zagaiła, próbując mnie czymś zająć.

Nie jechałam, ale co to ja w tym momencie w ogóle interesowało? A jak faktycznie lecimy w kosmos? Nawet nie zdążyłam pożegnać się z mamusią...

Może w innych okolicznościach uznałabym tę przejażdżkę za atrakcję. Teraz miałam inne zmartwienia – szłam za rękę z kompletnie obcą mi kobietą przez ten wielki, szpitalny korytarz. Pytanie przemilczałam, ona nie ciągnęła tematu dalej.

Oddział znajdował się na pierwszym piętrze. Pielęgniarka otworzyła kluczem drzwi do środka. Wisiało na nich mnóstwo plakatów ze strzykawkami i z igłami. Na jednym z nich zobaczyłam małego chłopca z siusiakiem, który, stojąc bokiem, z rozmachem załatwiał swoje potrzeby fizjologiczne. Rozśmieszył mnie nawet przez chwilę ten obrazek.

W zabiegowym dwie pielęgniarki zaczęły mnie mierzyć i ważyć. Nawet mi się podobało, że tak nade mną chodziły. Dostałam też zastrzyk w rękę. Wenflon ze szpitala we Wrześni był cały czas wbity. Cieszyłam się, że chociaż coś swojego miałam ze sobą. Po zabiegach udałam się z inną kobietą do sali, w której leżała trójka dzieci. Dwoje z nich było na pewno starszych ode mnie, jedno chyba w moim wieku. Ucieszyłam się, że przynajmniej będę miała jakąś koleżankę. Z tego stresu nawet się z nimi nie przywitałam. Za to zagaiłam pielęgniarkę.

— Przyjdzie do mnie mama?

— Nie wiem, ale chyba zaraz przyjdzie — odpowiedziała sucho.
— Połóż się tutaj. Podłączę ci kroplówkę.

Pielęgniarka rach-ciach zrobiła swoją robotę i odeszła, a mnie ani trochę nie podniosły na duchu jej słowa. Teraz miałam czas, by uważniej rozejrzeć się po szpitalnym pokoju. Pierwsze wrażenie – było brzydko. Ściany pomalowane na zgniły, zielonkawy kolor. Duże, zachlapane okna już na pewno nie przyczyniły się do tego, bym miała zmienić zdanie. Moje łóżko znajdowało się właśnie pod jednym z nich. Wprawdzie, cieszyłam się, że jestem tak na uboczu sali, ale z drugiej strony te okna wyglądały naprawdę ohydnie. Pozostałe cztery łóżka

stały w jednej linii obok mojego. Środkowe było puste. Widocznie tam nikt nie leżał, bo pościel zgrabnie leżała na swoim miejscu. Zresztą nie było na nim plastra z imieniem i nazwiskiem. Na dwóch pozostałych je dostrzegłam. Przy każdym łóżku stała mała, metalowa szafeczka. Miała jedną, niedużą szufladę i półkę z drzwiczkami, które w moim przypadku nie do końca chciały się zamknąć. Na szafkach pozostałych dzieci stała woda, kubek, jakiś pluszak, gazety i książki. Sąsiadka to dopiero miała „biblię”. Była gruba, formatu A4. Kątem oka przeczytałam tytuł: „Cukrzyca typu 1 u dzieci, młodzieży i dorosłych”.

Nie zdążyłam się dłużej zastanowić nad tytułem, gdyż do sali weszła mama. Jeszcze nigdy jej widok tak mnie nie ucieszył.

— Mamusiu, tutaj! — zawołam, pokazując jej dumnie łóżko. — Tutaj leżę.

— Ale fajnie, przy oknie. Przyniosłam ci rzeczy. Robili ci już badania? — zapytała niepewnie, spoglądając na przypiętą do mnie aparaturę.

— Dostałam jakiś zastrzyk, nawet nie bolało — zakomunikowałam wzniośle.

— Pewnie z insuliną — usłyszałyśmy z drugiego końca sali dziecięcy głos.

Mama spojrzała na dużo starszego chłopca. Grzecznościowo się do niego uśmiechnęła, po czym zwróciła ponownie do mnie.

— Aniu, musisz zostać trochę w tym szpitalu. Dzisiaj już nie mogłam porozmawiać z lekarzem, bo skończyli dyżury, ale jutro zarutko od rana z kimś będę rozmawiać — głos zaczął się załamywać. Od razu to wyczułam. — Teraz już pewnie tylko dostaniesz kroplówkę. Jedliście już kolację? — zapytała pozostałe dzieciaki.

— Tak, o 17:00. Ale Ania i tak nie będzie mogła nic zjeść — odpowiedziała moja sąsiadka, również podłączona do kroplówki. — Pewnie ma wysoki cukier, skoro tu trafiła.

— Zobacz, Aniu — zwróciła się do mnie mama — tutaj dziewczynka też ma kroplówkę. Razem będzie wam rażniej i nie będziecie smutne, że musicie tu leżeć same w tej sali. Ja zostawiam ci piżamkę. Jakbyś chciała wodę, to najwyżej poprosisz pielęgniarki, żeby ci przyniosły. Jutro ci coś przywiozę. Dzieci, widzę, też mają wodę na

szafeczkach — rozejrzała się po pokoju.

W tej chwili do sali weszła jeszcze raz ta sama pielęgniarka. Zapytała mamę, czy ma dla mnie piżamę. Odłączyła mi na chwilę kroplówkę i kazała przebrać się w łazience. Grzecznie wykonałam polecenie i wróciłam, by położyć się z powrotem na łóżku. Mama była już ubrana w kurtkę i szalik.

— Już idziesz? — zapytałam smutnym głosikiem.

— Tak, córeczko... Muszę już niestety iść... Karetka czeka. Wracają do Wrześni, także zabiorę się z nimi. Jutro rano się zobaczymy.

Przytuliłam się do mamy, zupełnie nie zwracając uwagi, że pielęgniarka nerwowo krząta się po sali. Chyba czekała, aż się od niej odkleję, by podłączyć mi ponownie płyny. A ja nie za bardzo chciałam to zrobić. Rzadko w sumie tak mocno ją ścisnęłam. Pomyślałam, że to może przez to miejsce. Nagle poczułam wilgotną kropelkę na ręce.

To pewnie jej łza. Czemu płacze?

W końcu puściłam ją z objęć i pożegnałam zgastym wzrokiem. Zdążyłam jeszcze krzyknąć zanim zniknęła za rogiem.

— Pomacham ci tutaj — wskazałam na zapaćkane okno.

Mama nic nie odpowiedziała.

Gdzie ona się tak spieszyła? Czemu nie mogła ze mną tutaj zostać, łóżko jest przecież duże, na pewno byśmy się razem zmieścili. Chyba tu jutro wróci? Tak mi obiecała...

Pielęgniarka kazała położyć mi się do łóżka. Wyglądała na sfochowaną. Trochę się naczekała. Stała nade mną i zaczęła coś grzebać przy ręce i wenflonie. Nie obchodziło mnie, co tam robiła. Czułam się porzucona i zagubiona. Po chwili do pokoju weszły inne dzieci. To pewnie z sąsiednich sal. Chciały się ze mną przywitać. A ja niechętnie im odpowiadałam, wypatrując w oknie karetki z mamą. Tak bardzo za nią zatęskniłam, choć minęło dopiero dziesięć minut, odkąd ją ostatnio widziałam.

Karetki jechały, jedna za drugą. Na sygnale i bez. A ja, z tego pierwszego piętra budynku, nie mogłam dostrzec, w której dokładnie jedzie moja mama. Kiwałam więc do wszystkich.

Rozdział siódmy

Dzielna, „słodka” pacjentka

Rok: 1997

Wiek: 11 lat

Staż cukrzycy: 1 dzień

Poczułam szturchnięcie. W pokoju było ciemno.

Jejku... Gdzie ja jestem?

— Proszę się wysikać tutaj do tego pojemnika.

Jednym okiem zobaczyłam, jak pielęgniarka kładzie na stoliku mały, na długość wskazującego palca, plastikowy pojemnik. Drugim okiem zauważyłam, że dzieci wstają. Przypomniało mi się, że jestem w szpitalu. Też się podniosłam, choć byłam bardzo niewyspana. Nie wiem, która była godzina. Zapewne wczesna, bo za oknem świeciły uliczne latarnie. Łóżko było tak wysokie, że musiałam z niego zeskoczyć. Na szczęście nie miałam już kroplówki, choć stojak nadal stał koło łóżka.

Stanęłam w kolejce do łazienki. Inne dzieciaki były wyraźnie szybsze. Przyszła kolei i na mnie, więc weszłam do ubikacji. Do małej kliteczki i na dodatek bez zamka.

Jak ja mam trafić do tego pojemnika?

Na wierzchu był przyklejony plaster, na którym czarnym pisakiem napisano moje nazwisko: „Anna Miśkiewicz”. Poczułam wyzwanie.

Skoro kazali mi się do tego czegoś wysikać, to trzeba jakoś to zrobić. Tylko jak?

Spuściłam spodnie od piżamy i zaczęłam sikać. Trochę się zawstydziałam.

A jak ktoś wejdzie?

Nachyliłam się i w rozkroku próbowałam trafić do pojemnika. Oczywiście nie trafiłam. Poczułam ciepło moczu na palcach.

Fuj! Obłeśne!

Skończyłam. Zanim wyszłam z łazienki popatrzyłam na pudelko, czy udało mi się je zapełnić. Coś tam było. Dumnie otworzyłam drzwi łazienki, choć pojemnik skrzętnie zakryłam w dłoniach. Uznałam swój mocz za rzecz wstydliwą. Przed drzwiami zebrała się już dużo większa kolejka niż ta, w której dane mi było stać.

Albo siedziałam tak długo w tej łazience, albo po prostu nie byłam ostatnia, która zwlekła się z wyrka. Nie ważne... Co teraz? Zadanie wykonane, ale właściwie, do czego im mój mocz?

— Co mam z tym zrobić? — zapytałam cicho ostatnią osobę w kolejce, unosząc pięść z próbówką. Staralam się to zrobić na tyle dyskretnie, by nadal nikt nie zobaczył moich sików.

— Zanieś do zabiegowego — odburknęła dziewczynka o głowę niższa ode mnie.

Do zabiegowego? A gdzie to? Może tam, gdzie wczoraj mnie wazyli?

Wyszłam na korytarz. Było pusto. Duże lampy na suficie nie świeciły jeszcze pełnym światłem. Zajrzałam do tego niby zabiegowego.

Chyba to tutaj...

Bokiem do mnie stała pielęgniarka. Szatynka, znowu inna niż te wczorajsze. Klikła w jakieś urządzenie. Wyglądało jak kalkulator.

— Tutaj odłóż — wskazała palcem.

Nie wiem, skąd wiedziała, po co tutaj przyczłapałam. A wydawało mi się, że pojemnik zakryłam dość dokładnie.

Na stole znajdowało się duże pudło z innymi próbówkami, wypełnionymi żółtym kolorem. Dorzuciłam do niego mój zbiorniczek.

Dziwne... Ciekawe, dlaczego kolor mojego moczu jest taki jakiś

ciemniejszy i herbaciany?

Nietrudno było zauważyć, że większość była koloru słomkowo-żółtego. Mój ewidentnie się wyróżniał. Dopiero później dowiedziałam się, że miałam niebezpieczny cukier i aceton w moczu – stąd ten kolor. Wetknęłam pojemnik tak, aby moje nazwisko nie stało na widoku i bezzwłocznie wyszłam z zabiegowego. Już kierowałam się w stronę sali, gdy na korytarzu rozległ się głos. Ponownie z zabiegowego.

— Cukier!

Jaki cukier? Ktoś coś rozdaje, może jakieś cukierki? Ale tak od rana...?

Zastanowiłam się przez chwilę, bo wydawało mi się to co najmniej pokręcone. Na korytarz zaczęły wychodzić dzieciaki. Szły w innym kierunku niż ja.

— Ania, idziemy zmierzyć cukier — złapała mnie za rękaw Kasia. Polubiłam tę dziewczynkę, być może dlatego, że była w tym samym wieku co ja, no i była w końcu łóżkową sąsiadką.

— Jaki cukier? — dopytałam.

— No glikemię — popatrzyła na mnie, jakbym spadła z księżycy.

— Aa... — udałam, że zrozumiałam, choć tak naprawdę tylko się domyślałam, co to za badanie. Przypomniałam sobie, jak dziś w nocy pielęgniarki kręciły się wokół łóżek i dźgały czymś ostrym po palcach. Nic, co prawda, nie widziałam, za to czułam wyraźnie.

— No będą nas kłuć w palec i pobiorą kropelkę krwi do badania — wyjaśniła dalej Kasia, tak dla pewności.

Kochana...

Bez słowa sprzeciwu odwróciłam się i poszłam razem z koleżanką. Stałam w kolejce, tuż za nią. Chciałam najpierw zobaczyć, co z nią robią. Mnie też to czekało, ale co później, to później. Pielęgniarka bez namysłu wzięła do ręki pierwszy lepszy paluszek Kasi. Ukłuła.

— Auć! — wybałuszyła oczy. — To bolało, siostrzyczko.

Kobieta niewzruszona poprosiła kolejną osobę. Nim się obejrzałam, byłam to ja. Przede mną już nikt więcej nie stał. Podałam niepewnie rękę. Zobaczyłam, jak pielęgniarka z opakowania wyciąga grubą i długą igłę. Byłam przerażona. Zamknęłam oczy. Nie byłam już takim dzielnym dzieckiem, jak jeszcze wczoraj, kiedy wbijali mi wenflon.

Poczułam soczyste uklucie, ale ja w przeciwieństwie do Kasi nie krzyknęłam. Siostra zaczęła dusić palec, a mi zrobiło się znacznie cieplej. Kropla krwi za nic nie chciała się pojawić.

— Oj, chyba za słabo nakłułam — oznajmiła i zanim zdążyłam przygotować się na drugi strzał, już go znowu poczułam. — Zabolało? — zapytała, kiedy zobaczyła, jak podnoszę z bólu nogę.

— Nie... — odpowiedziałam niepewnie.

Jak ja mogę tak łgać!

Kropla krwi wyśladowała na pasku, który był wetknięty do tego kalkulatora, który przed chwilą widziałam.

— Proszę — wręczyła wacik i kazała przyłożyć do palca. — Patryk, zapraszam — zawołała kolejnego pacjenta.

Opuściłam kolejkę. W drzwiach do zabiegowego czekała Kasia.

— I jak było? Jaki masz cukier?

— Co mam? — byłam ciągle zdezorientowana.

— No jaki masz wynik?

— A nawet nie wiem. Nic mi pielęgniarka nie mówiła.

— To pewnie powiedzą ci na obchodzie.

Na jakim obchodzie? Jakim językiem oni do mnie w ogóle mówią? Najpierw cukier, później obchód? Gdzie jest moja mamusia...?

Wróciłyśmy do pokoju. Położyłam się z powrotem do łóżka, choć pielęgniarki kazały już wstawać. Po raz pierwszy poczułam się zrezygnowana i obojętna. Zobaczyłam, że obok łóżka wisi kolejna kropłówka. Wydawało mi się, że jeszcze rano jej nie było.

No nic, może mi podłączą i będę mogła sobie spokojnie tutaj poleżeć.

Za długo nie zdążyłam sobie posiedzieć. Znowu dobiegł głos z zabiegowego.

— Cukrzycy – insulina!

Wszyscy zaczęli znowu wychodzić z pokoju, to ja też wyszłam. Po prawej stronie, wewnątrz zabiegowego, stały cztery krzesła. Jeden chłopczyk siedział na jednym z nich ze spuszczonej do kolan spodniami od piżamy i z długopisem w ręku. Drugi też kierował się na krzesło. Dziwiło mnie, że są one różnej wielkości i kolorów.

O ja cię nie mogę! Oni robią sobie chyba sami zastrzyki...!

Ku uldze, mnie wyręczyła w tym siostra. Wiedziałam, że dostaję zastrzyk z insuliną. Tak przynajmniej powiedzieli nowi, szpitalni koledzy, którzy, podobnie jak ja, też czekali w kolejce po zastrzyk.

Uff... Chociaż coś już wiem.

Gdy weszłam ponownie do pokoju, przy oknie zobaczyłam niską, blond kobietę. W pierwszej chwili pomyślałam, że to mama, ale to nie była ona.

— Ania, zapraszam. Podłączymy ci kroplówkę. Masz nadal wysoki cukier. Trzeba go trochę zbić.

— A to ten płyn mi pomoże? — dopytałam z zaciekawieniem.

— Tak, musimy cię trochę nawodnić i wypłukać ten cukier — wyjaśniła, choć ja nadal nie rozumiałam, o co z tym cukrem chodzi. Przecież nic słodkiego nie jadłam.

Tego ranka już o nic więcej nie pytałam. Za dużo było pytań, za mało odpowiedzi.

Ni stąd, ni zowąd usłyszałam głośny komunikat w drzwiach.

— Proszę wyjść z sali — wparowała jakaś starsza kobieta z mopem w rękę. — No dalej, wynocha!

Sprzątaczką się nie certoliła. Swoją osobą narobiła tyle hałasu, że słychać było ją pewnie na całym oddziale. Pierwsze co zrobiła, to otworzyła okno, kompletnie nie zwracając uwagi na to, że ja miałam tutaj leżeć, podłączona do tej nieszczęsnej kroplówki. Od razu w pokoju zrobiło się zimno.

— Ja pierniczę! — burczała pod nosem. — Toż to siekierkę można by tu powiesić! Zaduch tu, jak diabli!

Najchętniej założyłabym czapkę niewidkę. Raz, by się ogrzać, a dwa, by schować się przed tym straszidłem. Sam jej gruby głos nawet i ciężko chorego postawiłby od razu do pionu. Łóżka szturchała niczym kręgle, przeciskając się swoimi krągłymi biodrami pomiędzy nimi.

— Odsuń się, moja droga! — rzuciła zimno. — Przetrę ci stół.

Jakbym jej w czymś przeszkadzała. Przedmioty na szafkach dosłownie fruwały w powietrzu. Nim się obejrzałam, wszystko było już wysprzątane. Świeżością bym jednak tego nie nazwała. Na sali wyczuwałam dziwny zapach, być może od tej stęchłej szmaty do podłogi.

— Za chwilę zamknij okno — zwróciła się ponownie oschłym tonem. — Niech się trochę przewietrzy, bo się tutaj podusicie!

Grzecznie siedziałam na łóżku. Bałam się cokolwiek ruszać, by nie dostać ochrzanu. W pokoju tak się ochłodziło, że zaczęłam się trząść. Nie wiedziałam, czy z tego zimna, czy może z nerwów.

Za dużo już dziś tego wszystkiego. A dzień się dopiero co zaczął...

Minęło zaledwie pół godziny, od kiedy się obudziłam, a miałam wrażenie, że zrobiłam już tyle rzeczy, ilu innym razem nie zrobiłabym przez większość dnia. Chwilę później okna zamknęły dwie salowe, które, gaworząc między sobą w najlepsze, zaczęły ścielić łóżka. Czapka niewidka chyba zaczęła działać, bo nawet na mnie nie spojrzały. Śmiechy, chichy. Choć trzeba przyznać, że robotę zrobiły perfekcyjnie. Kołdry i koce leżały jak od linijki.

Na czas śniadania odłączyli mi kroplówkę. Stołówka znajdowała się naprzeciw drzwi wejściowych na oddział.

To fajnie, przynajmniej będę mogła wypatrywać mamy.

Zanim wpuścili nas do jadalni, mieliśmy chwilę czekać na korytarzu. Nie wiem, ile to trwało. Długo. Ponoć, z tego, czego dowiedziałam się od Kasi, był to celowy zabieg, by insulina zaczęła działać.

Cóż, jak każą, to każą. Ale ja już jestem mocno głodna i chętnie bym coś zjadła...

Czekaliśmy na tyle długo, że w drzwiach wejściowych zaczęli pojawiać się elegancko ubrani ludzie. Domyśliłam się, że byli to lekarze, bo po wejściu na oddział kierowali się do pokoju z napisem: „Dyżurka lekarska”. Pod spodem wisiała kartka: „Proszę pukać”. Z nudów zaczęliśmy chodzić wzdłuż korytarza. Było nas sporo, pewnie około dwadzieścioro dzieci. Może więcej.

Znienacka na korytarzu zrobił się szum. Wszyscy, niczym morze na skinienie Mojżesza, zaczęli przyklejać się do ścian, tworząc przejście. Na środek wparowała tęga kobieta. Cała na biało. Szła tak zamasyżycie, że jej fartuch rozkładał się niczym skrzydła dojrzałego łabędzia, a stukanie od obcasów przypominało start odrzutowca. Chyba nawet pielęgniarki je usłyszały, wybiegając ze swojej kanciapy do zabiegowego.

— Dzień dobry, pani doktor. Dzień dobry, pani doktor — słyszałam.

Pomyślałam, że to chyba ktoś ważny. Kobieta zbliżała się w moim kierunku. Ja też, podobnie jak inni, stanęłam jak wryta. Przeszła tak energicznie, że nie zdążyłam otworzyć ust, by chórem ładnie się przywitać. Poczułam tylko duszące, kwieciste perfumy.

— To doktor M., ordynator. Leczy większość z nas — wyjaśniła mi szeptem Kasia, gdy tylko kobieta weszła do gabinetu lekarskiego. — Wszyscy się jej tutaj boją.

Trudno było tego nie zauważyć. Po chwili mogliśmy już wejść do stołówki. W poczekalni przed windą zobaczyłam mamę. Wyglądała na nieobecną i bardzo zmartwioną. Jeszcze mnie nie zauważyła. Chwyciłam za klamkę i odbiłam się od drzwi. Były zamknięte. W jednej chwili spojrzała w moim kierunku i od razu jej twarz rozpromieniała. Wskazała palcem, abym poszła na stołówkę, wraz z innymi dziećmi. A mi właśnie odechciało się jeść. Jednego, czego w tamtej chwili chciałam, to być z mamą. Posłusznie weszłam jednak do jadalni, w której poczułam wyraźny zapach zbożowej kawy.

Ble... Okropieństwo!

*

Rok: 1997

Wiek: 11 lat

Staż cukrzycy: 1 dzień

Mama weszła do pokoju doktor Mróz. Mi doktorka kazała poczekać przed drzwiami. Jako ordynator oddziału diabetologicznego miała dość duży i okazały gabinet. Na półkach było sporo lekarskiej literatury, a na ścianach wisiały liczne dyplomy i wyróżnienia. Patrząc na tę wystawkę, można było odnieść pierwsze wrażenie: „no ewidentnie – mądra kobieta”.

— Niech pani siada, pani Miśkiewicz — wskazała na krzesło

lekarka. — Czy mój personel zapoznał już panią z chorobą córki?

— Nie, pani doktor. Dopiero wieczorem trafiłyśmy z Anią na oddział. Poinformowano mnie, że córka ma cukrzycę i wysoki poziom cukru. Wyniki we Wrześni pokazały 236. Wczoraj po przyjechaniu na izbę przyjęć miała 280. Ale, pani doktor, stąd ta cukrzyca? My nigdy dzieciom nie dawaliśmy cukru! — dorzuciła niemalże rozpaczliwie.

— Szanowna pani, niech się pani uspokoi. Nerwy nic nie pomogą. Dzieci trafiają tutaj nawet i z glikemią ponad 1000 mg/dl. Z córką nie jest jeszcze tak źle. Ale bez dwóch zdań, jej stan jest obecnie poważny. Ma kwasicę ketonową.

— Kwasicę, powiada pani? Nic mi nie wspominali... — zadumała się mama. — Może to od tego Ania tak ostatnio mocno schudła? W zasadzie to większość dnia spała, no i cały czas dużo piła.

— Też właśnie. To normalne objawy, wskazujące na cukrzycę. Upraszczając: trzustka pani córki nie wytwarza insuliny w takim stopniu, w jakim powinna. Potrzebne będą zastrzyki no i odpowiednie pory posiłków. Ale o tym dowie się pani na oddziale. Radziłabym też od razu zapoznać się z tą książką — wręczyła mamie ponad trzystustronicową księgę. — Tutaj jest wszystko dokładnie opisane. Proszę przypilnować córkę, żeby też się z nią zapoznała.

— Nie ma problemu. Ania jest bardzo pilną uczennicą i bardzo dobrze się uczy. Na pewno przeczyta książkę. Pani doktor — dopytała — czy to znaczy, że Ania będzie musiała brać jakieś zastrzyki, tak?

— No tak — odpowiedziała, jakby było to oczywiste. — Wszystkie dawki jej ustawimy. Niech się pani tak nie zamartwia. Proszę pamiętać, że Ania będzie mogła dużo rzeczy robić, ale trzeba będzie się pilnować. Ta choroba wymaga dyscypliny, pomiarów cukru, podawania insuliny. Proszę przyjść jutro do poradni, to będziemy mogły dłużej na temat tej choroby porozmawiać. A teraz, wybacz pani, muszę iść na obchód.

Mama podziękowała za informacje i skierowała się do wyjścia. Gdy ją zobaczyłam w drzwiach, sprawiała wrażenie przestraszonej i zagubionej. W ręku trzymała wielką książkę.

— Proszę, żeby pani weszła do świetlicy na końcu korytarza, po lewej stronie — podeszła do niej od razu pielęgniarka. — Teraz na

oddziale będzie obchód i nie można wchodzić do sal. Z córką zobaczy się pani troszeczkę później — spojrzała na mnie, chcąc tymi słowami chyba bardziej ją uspokoić niż mnie.

Odprowadziłam mamę zatem wzrokiem do świetlicy. Zanim do niej weszła, skręciła do łazienki. Musiała choć na chwilę przemyć wodą twarz i ochłonać. Emocje puściły. Rozpłakała się.

Z jednej z kabin wyszła elegancko ubrana kobieta w jej wieku.

— Proszę nie płakać — zwróciła się do mamy. — Będzie dobrze, zobaczy pani. Pewnie świeża cukrzyca, tak? Ile dziecko ma lat?

— Dziesięć, w zasadzie w czerwcu będzie mieć jedenaście — odpowiedziała przez łzy.

— Moja Zosia zachorowała, jak miała pięć latek. Wyobraża to sobie pani? Była taka malutka... Nic nie rozumiała, a teraz sobie radzi lepiej niż ja. Dziś ma już trzynaście lat. Duża panna — zaznaczyła z dumą. — Niestety coś ostatnio jej cukry zaczęły bardzo skakać. Pewnie przez te hormony. Wie pani, nastolatki bywają naprawdę trudne. Muszę się pani przyznać, że mi też brakuje czasem sił — kontynuowała. — Cały czas musimy uważać, co córka zjadła, zapisywać, ile podałyśmy insuliny. Zmuszam ją do dyscypliny, a ona się buntuje. Sama biorę długopis i zapisuję, widzi pani? — wyjęła z torebki zeszyt i otworzyła go gdzieś w połowie. Cały był w cyferkach. Razem z nim wypadało też pół Rossmanna kosmetyków. — Tutaj wszystko notujemy, to znaczy ja, bo Zośka jest niechętna. Ostatnio do wszystkiego... Nawet zastrzyków nie chce robić. A ja się później dziwię, czemu ma takie wysokie te glikemie.

Kobieta wyglądała w tym momencie na bardziej załamaną niż moja mama. Mama, z grzeczności, zamieniła z nią kilka zdań, które zamiast spełnić rolę pocieszenia, tylko jeszcze bardziej ją zdołowały. Wyszła z toalety, zostawiając damulkę w trakcie zabiegów upiększających jej szpiczasty nosek. Mama swojego nie przypudrowała, bo nadal został mocno czerwony od płaczu.

Na oddziale rozpoczął się obchód. Jeszcze tylu białych kitli nie widziałam. Pomyślałam, że mój stan jest wciąż bardzo poważny, skoro zebrał się chyba cały szpitalny personel. Stali nade mną i debatowali. O czym? Nie przyswoiłam informacji, bo strach mi to skutecznie

uniemożliwił. Uspokoiliam się natomiast, kiedy te białe kitelki zaczęły podchodzić do innych dzieci. Od razu uznałam, że nie jest ze mną aż tak źle.

Niemniej jednak, cały czas byłam podłączona do kroplówki, wyczekując, aż skończy się ta lekarska pielgrzymka po salach i w końcu porozmawiam z mamą. Płyn kapał wolno. Kropelka po kropelce. Kusiło mnie, aby podkreślić pokrętełkiem szybkość dozowania, ale znowu zabrakło mi odwagi. Zwłaszcza, że pielęgniarka co rusz zaglądała, czy już jedna się skończyła, by móc podłączyć kolejną ciecz. Ponoć była konieczna.

Kiedy mama weszła do sali, spałam. Nie wiem, jak długo tak przy mnie przesiedziała, ale byłam bardzo szczęśliwa, kiedy otworzyłam oczy i ją zobaczyłam.

— Cześć, Aniu! — uśmiechnęła się. — Jak się czujesz? Przyniosłam ci wodę i Poniusia — z siatki wyciągnęła mojego ulubionego, dużego, pluszowego pieska. Jego widok uradował mnie jeszcze bardziej. Od razu się do niego przytuliłam i porządnie wyciąłowałam. — Tatuś cię pozdrawia, Marcin też, i mówią, że jesteś bardzo dzielna, wiesz?

Nic nie odpowiedziałam. Popatrzyłam na płaczliwy wzrok mamy i zamiast ją utulić, ścisnęłam dalmatyńczyka. Ten nie płakał.

— Pokaż paluszki — mama wzięła do ręki moją małą dłoń. — Mierzyli ci dzisiaj cukier?

— Tak, ale nie wiem, ile miałam — zawołałam mamę palcem, żeby jej coś szepnąć do ucha. — Kasia miała 250 cukru. Tylko cicho, nikomu nie mów. Ale ordynatorka na obchodzie powiedziała, że to stan znacząco powyżej normy — moje szpitalne słownictwo musiało komicznie zabrzmieć w ustach małej dziewczynki, bo mama zrobiła nietypową minę.

— Rozumiem... — choć na taką nie wyglądała. — Tutaj pani lekarka dała książkę. Nie wiem, czy będziesz chciała poczytać?

— Oo, to ta sama, co ma Kasia na szafce — wskazałam wzrokiem, tym razem nie ukrywając, że to o niej mówię. — Ale jest gruba, co? Chyba do końca roku jej nie przeczytam — próbowałam zażartować, a tak naprawdę wiedziałam, że i tak szybko się z nią uporam.

— Dobrze, teraz nie musisz. Ale doktor Mróz nalegała, że mamy się z nią zapoznać. Wezmę ją pierwsza do domu i razem z tatą przeczytamy.

— A to dziś też wracasz do Wrześni? Nie możesz tu ze mną zostać? — zapytałam rozpaczliwym tonem.

— Nie mogę, Aniu... — westchnęła. — Tutaj chyba rodzice nie zostają ze swoimi dziećmi. Ale będę codziennie przyjeżdżać. W niedzielę będzie też tata i Marcin.

Wzdrygnęłam się.

To ja mam tu zostać jeszcze dwa dni? Dziś już mija druga doba. Jak zostanę jeszcze dwie, to będą cztery! No dobra, może trzy, bo wczoraj przyjechaliśmy, fakt, późnawo.

Przemilczałam rachunki matematyczne, uznając, że ważniejszym jest to, że mogłam posiedzieć razem z mamą i już żaden biały kitel nam w tym nie przeszkadzał.

Czas zleciał piorunem. Nim się zorientowałyśmy wybiła godzina 18:00 i mama musiała opuścić oddział. Pożegnała się i wyszła na parking szpitala. Widziałam ją ze szpitalnego okna. Otworzyła samochód i do niego wsiadła. Zdałam sobie sprawę, że to chyba drugi raz w życiu, jak przyjechała sama do Poznania. Zazwyczaj kierował tata.

Siedziała tam długo.

Dlaczego nie odjeżdża? Czy coś się stało? W szpitalu źle wyglądała. Może ją zawołam? Ale przecież nasz czerwony maluch stoi daleko, po drugiej stronie ulicy. I tak mnie nie usłyszy...

Po jej policzkach zaczęły kapać łzy wielkie jak grochy. Jedna po drugiej. Chyba nie wiedziała, że ją obserwuję i chcę jej pomachać. Droga powrotna do domu ciągnęła się w nieskończoność. W zasadzie ciężko było określić, jak ta droga minęła, bo nic nie kojarzyła. Tata i Marcin od razu, gdy usłyszeli, że otwierają się drzwi, podeszli, by ją przywitać. Piotrek był w wojsku.

— Władek, Ania ma cukrzycę! — krzyczała histerycznie do taty, na Marcina nie zważając. — Boże, Ania jest ciężko chora. Do końca życia będzie musiała się kłuć i brać te straszne zastrzyki. Boże, Ania ma cukrzycę!

Powtarzała w kółko te same słowa. Jak zdartą płytę. Głośny lament słyszeli sąsiedzi nie tylko w klatce, ale pewnie i w całym bloku. Niewątpliwie zaliczyła jeden z najgorszych dni w życiu. Jej upragniona córeczka, oczko w głowie, była nieuleczalnie chora. Przed oczami przelatywały najgorsze scenariusze – jakbym zaraz miała umrzeć. A przecież ja żyłam. I, w przeciwieństwie do niej, trzymałam się bardzo dzielnie.

*

Rok: 1997

Wiek: 11 lat

Staż cukrzycy: 3 dni

Tymczasem już po trzech dniach pobytu na oddziale, poczułam się znacznie lepiej. Ku mojej radości, nie miałam za dużo kroplówek i nie musiałam leżeć przykuta do łóżka wężykiem. Piguły potrafiły „przywiązać” niektóre dzieciaki nawet na kilka dni. Określałam je jako te – kiepskie przypadki. I coś w tym było, bo wyniki glikemii miały cały czas bardzo wysokie. Kroplówki, według lekarzy, powinny w tym pomóc, by trochę nawodnić i wypłukiwać cukier i aceton z moczu. Nadal nie wiedziałam, co nam w nich podają. Czułam jednak, że bardzo chce mi się po nich siku, więc zaliczałam częste wizyty w tej wąskiej, łazienkowej kliteczce. Pomijam fakt, że ciągle mi ktoś tam włożył, bo oczywiście o pukaniu do drzwi, to zapomnij. A przecież przez małą szybką drzwi widać było, że światło się świeciło. Cóż... Z czasem jednak odwiedziny w ubikacji nie były już tak częste, ponieważ nie czułam takiego pragnienia i zaczęłam mieć też więcej energii. Apetyt również się zwiększył.

Jedzenie w szpitalu było, delikatnie mówiąc, niesmaczne. Porcje były tak skromne, że nawet ja, jako raczej niejadek, byłam naturalnie po nich głodna. Jedliśmy trzy razy dziennie: śniadanie, obiad, kolację. Z tym ostatnim posiłkiem był taki problem, że podawali go o godzinie

17:00, więc spać chodziłam zawsze bardzo wygłodniała. Ogólnie pierwsze dni choroby kojarzyły mi się przeważnie z jednym – głodem.

Na stołówce, odbierając nędzne porcje od pań kucharek, my cukrzycy, byliśmy jednak zawsze „wyróżniani”. Kobiety codziennie zadawały to samo pytanie:

— Dieta cukrzycowa?

I wielką chochłłą od ziemniaków nakładały kleks, polewając je jakimś białym, wstrętnym sosem, i dokładając do tego odrobinę gotowanego pulpeta. Z mięsem nie miał on za dużo wspólnego. Totalnie bez smaku. O warzywach też panie nie zapominały, choć czasami musiałam je szukać na talerzu. Do jadalni przychodziły również dzieci z innych oddziałów, nie chorujące na cukrzycę, jak to wtedy ich określałam – „ci lepsi”. Na ich talerzach lądowały często złociste kurczaki w panierce, czy podsmażane, otoczone w jajku i bułce, mielone. Ci szczęściarze dostawali ziemniaki z innym sosem i, nie wiem czemu, miałam wrażenie, że ich obiad, w przeciwieństwie do naszych dietetycznych, parował. No chyba, że cukrzycowe porcje były zwyczajnie zimne.

Któregoś obiadu już nie wytrzymałam. Połączenie zimnych ziemniaków z ogromną ilością białego sosu i rozgotowaną, niesłoną marchewką sprawiło, że zaczęłam mieć odruch wymiotny. Miałam wrażenie, że podano mi zupę, a było to przecież drugie danie. Zaczęłam się nerwowo kręcić przy stole, wypatrując, czy w jadalni nie pilnuje nas jakaś pielęgniarka – „kapral”, albo grasuje jakiś szpieg. Rozejrzałam się. Większość osób już wyszła, zostały raczej te niedojadki, beblające w talerzach. W tym ja. Knułam po cichu, jaką strategię ucieczki obrać.

Coś tu nas przerzedziło... Jak innym udało się tak szybko zeżreć to świństwo? A może by tak wstać i bez ceregieli odłożyć na stojak z brudnymi talerzami niedokończony obiad?

Jak pomyślałam, tak zrobiłam. Wstałam tak energicznie, że zamiast błyskawicznie załatwić planowaną ewakuację, z hukiem przewróciłam krzesło. Narobiłam przy tym tyle hałasu, że wszystkie oczy skierowały się w jednym kierunku. Na mnie i mój wypchany po brzegi talerz z ziemniakami i sosem. A raczej w odwrotnej kolejności, z sosem i z garstką poznańskich pyr. Zamarłam, jakbym zobaczyła straszliwe

pająki, które tylko czekają, by dopaść swoją ofiarę. Czyli mnie – uciekinierkę. Popatrzyłam z przerażeniem na te „pajęczaki”.

Czego się tak gapią? Jak chcą, to mogą im oddać „smaczny” obiadek. Mnie niech zostawią w spokoju...

Eh... Cholibka... Chyba powinnam się schować i usiąść grzecznie z powrotem. Nie! Muszę stąd uciekać i to w trybie pilnym! Teraz!

I ruszyłam w kierunku tacy z naczyniami. A raczej pobiegłam. Na dole stojaka były dwa wielkie, blaszane wiadra. Nie zastanawiając się, jednym ruchem widelca zgarnęłam cały obiad i go tam wrzuciłam. Chyba nie tylko ja miałam taką „misję ocalenia”. W koszu była cała hałda niedokończonych ziemniaków, pływających w biało-pomidorowym sosie. Od razu odłożyłam talerz i wróciłam do pokoju na leżakowanie. O dziwo, żaden pajak mnie nie dopadł. Uznałam ich za Spider-Man’ów, czyli z gatunku raczej tych pozytywnych żyjątek.

Kiedy weszłam do pokoju, Kasia już w nim siedziała. Coś majstrowała przy szafce. Gdy mnie zobaczyła, od razu ją zamknęła. Zrobiła to z podobnym rozmachem jak ja, wstając od stołu i przewracając krzesło.

— Zjadłaś wszystko? — zagaiła z ciekawości, jak gdyby nigdy nic.

— No... — niepewnie skłamałam, czując jednocześnie, że pójdę do piekła za te łgarstwa. W domu rodzice uczyli raczej dobrych manier, a już na pewno nie wyrzucania jedzenia czy kłamania. Babcia z pewnością nie byłaby zadowolona z postawy wnuczki. — A tobie, Kasiu, smakował? Ja miałam dziś szczęście i dostałam nóżkę od kurczaka — wyrzuconymi do wiadra ziemniakami postanowiłam się nie pograżać.

— Ja mięsa nie tknęłam — wstrząsnęła się. — Ale ziemniaki zjadłam. To pewnie jesteś głodna?

Nie czekając na moją odpowiedź, otworzyła szufladę, tę, którą przed chwilą trzasnęła. W pokoju byliśmy same. Pozostali widocznie musieli zostać na świetlicy.

— Chcesz kawałek? — podała mi już napoczęte opakowanie z wafelkami. — Tylko nikomu nie mów, że je mam, dobrze? Dziadzia mi przyniósł, ale ojciec nic nie wie. Są bez cukru.

— Nie, nie... Dziękuję — odmówiłam, trochę zmieszana.

Zastanowiło mnie sformułowanie: „bez cukru”. Chwilowo nawet ucieszyło, bo pomyślałam, że jednak będę mogła bezkarnie jeść słodczyce i nie podniosą mi glikemii. Rozczarowanie przyszło niestety dopiero w kolejnych dniach.

No ale mimo wszystko, jak, do licha, Kasia może mieć te wafelki? Przecież nie możemy nic więcej tutaj dojadać! A może powinnam powiedzieć o tym pielęgniarce? Jeszcze stanie się jej coś złego...

Zrezygnowałam szybko z tego zamiaru, kiedy pomyślałam, że koleżanka obrazi się na mnie za tę zdradę. Położyłam się zatem na łóżku, wtuliłam w pluszowego dalmatyńczyka i głodna zasnęłam.

Obudziłam się złana zimnym potem. Wyciągnęłam ręce spod kołdry. Dłonie się całe trzęsły. Popatrzyłam na zegarek na ścianie, żeby zobaczyć, ile spałam, ale nie mogłam złapać ostrości. Literki zamazywały mi się, tworząc białą-czarną, wielką plamę. Oddech miałam wyraźnie przyspieszony. W pokoju nikogo nie było.

Jezu, co mi jest...? Chyba muszę pójść do dyżurki. Nie, nie dam rady...!

Położyłam się ponownie, zanim jeszcze spróbowałam się podnieść.

Dlaczego jest mi tak słabo? Może kogoś zawołam?

— Siostro — zaczęłam cicho.

Cisza. Nikogo nie było.

— Siostro! — powtórzyłam trochę śmielej. Buzia zdawała się być jakby nie moją. Język miałam mocno odrętwiały.

— S I O S T R O! — teraz już zaczęłam panikować.

— Co się dzieje!?! Czego się tak drzesz? — wparowała po chwili zdenerwowana pielęgniarka.

— Źle się czuję, jest mi niedobrze.

— Chodź do zabiegowego. Zmierzymy cukier. Jesteś w stanie iść?
— zapytała z przyzwoitości.

Dzielny charakter małej wojowniczkii sprawił, że byłam. Wyciągnęłam nogi spod kołdry i chwyciłam za rękę pielęgniarkę. Witki ledwo chciały iść. Mocno kręciło mi się w głowie.

— Co my tu mamy? O ludzie! Cukier: 43. Siadaj tutaj, zaraz przyniosę wodę z cukrem.

Nie wiedziałam, co te wyniki oznaczają.

Raz 280 – źle, 43 – też niedobrze. To jak powinno być prawidłowo?

Wiedziałam natomiast, że bardzo źle się czuję i na pewno dużo gorzej niż przy tych wyższych wartościach.

— Trzymaj, Anka! — pielęgniarka podała szklankę z wodą. Nienawidziłam, jak ktoś zwracał się do mnie „Anka”. Określenie „Anucha” uznałabym przy tym nawet za wyjątkowo pochlebne. — Wypij do końca i posiedź chwilę. Masz bardzo niski cukier.

Chociaż dowiedziałam się, że poziom 43 mg/dl to bardzo nisko. Posłusznie chwyciłam szklankę i trzęsącymi się rękami próbowałam trafić do buzi. Nie trafiłam, oblewając część piżamy. Odstawiłam kubek i potulnie czekałam na dalsze polecenia siostry, która notowała coś w zabiegowym zeszytce.

— Zjadłś cały obiad? — spytała tonem nieufnym.

— Mm... No zupeł zjadłam. Całą. Ale yyy... ziemniaków trochę zostawiłam.

— Oj, bachory! — wykrzyknęła. — Ile razy można wam powtarzać, że macie zjadać całą porcję?! Później mi się tutaj pałętacie pod nogami i biadolicie, że źle się czujecie.

Czy ja biadolę? Czy ja kiedykolwiek, odkąd tutaj trafiłam, biadoliłam? Dlaczego ta wredna żółta potraktowała mnie podobnie, jak inne dzieci? Jak śmiała mnie tak osądzać? Czy ona wie, jak ja się w tym momencie czuję? Przecież mogłam się nie obudzić i umrzeć tam, w tamtym łóżku!

A jednak się obudziłam. Od tamtej pory postanowiłam, że nie będę informować personelu, jak się trzymam.

Jak będzie źle, to poproszę Kasię, żeby dała mi te schowane w szufladce ciasteczko i nie będę musiała pić tej okropnej wody. Wody z cukrem. Kto to wymyślił? To takie paskudne...

Poczułam, jak łzy zaczynają mi napływać do oczu.

O nie! Nie będę płakać i nie będę narzekać! Nie pokażę jej więcej, że coś mi jest!

Zbuntowana, założyłam rękę na rękę i czekałam, aż ten cholerny cukier zacznie mi wzrastać. Pielęgniarka zaczęła przekładać strzykawki z jednej szafki do drugiej. Nie wiem, kogo bardziej w tym momencie nienawidziłam, czy tej wstrętnej baby czy mojej cukrzyicy. Czekałam, aż

odejście mi ta złość, a także poczucie niesprawiedliwości i wielkiej krzywdy, jaka mnie spotkała. Na próżno. Hormony buzowały nadal, a cukrzyca nie odeszła. Jedynie odeszło złe samopoczucie z powodu niskiego cukru i powoli zaczęły powracać też siły. A te szczególnie potrzebowałam, bo tego dnia miałam zmierzyć się z jeszcze jednym cukrzycowym wyzwaniem, które jest zupełnie odwrotne do hipoglikemii – hiperglikemią.

Nie zważając na krzywą minę piguły, wstałam z krzesła i bez przyzwolenia wyszłam z zabiegowego.

*

Rok: 1997

Wiek: 11 lat

Staż cukrzycy: 5 dni

Kolejne dni w szpitalu upływały nadal na cukrzycowej edukacji oraz monotonnym i nudnym życiu szpitalnym. Jedyną uciechą było zgadywanie: „co będzie dziś do zjedzenia”. Coraz bardziej zaczęłam odzyskiwać chęci do życia, a już na pewno apetyt. Cukier mierzyli nam dwa lub trzy razy dziennie. To też było ciekawe, bo lubiliśmy porównywać swoje wyniki.

Chłopacy, któregoś dnia urządzili sobie nawet mini zawody: „kto będzie miał najwyższą glikemię”. Rekordzista zajął I miejsce z wynikiem 422 mg/dl. Musiał zaszałeć, a już na pewno zaszałały jego cukry. Cukrzycową normę glikemii określano do 180 mg/dl, także naprawdę byłam przestraszona, jak dowiedziałam się o tym wyniku. Dla mnie było to wtedy potwornie dużo. Ja w tych zawodach na pewno nie miałam zamiaru brać udziału. Bałam się, że jeszcze zatrzymaliby mnie dłużej na oddziale i by dopiero było. Drugiego dnia ponad pół oddziału musiało się tłumaczyć, skąd ich glikemie były aż tak mocno podwyższone. Wydało się to podczas jednych z rozmów „zwycięzcy” z pielęgniarką, której to dumnie pochwalił się „sukcesem”. Pech chciał, że

usłyszała to siostra oddziałowa, która od razu poskarżyła się kadrze lekarskiej. Rewizja naszych szafek była nieunikniona. Zebranych słodkości wystarczyłoby spokojnie na niejedną szlachetną paczkę. Ja mogłabym obdarować co jedynie jakąś biedniejszą rodzinę jednym kartonikiem soczku pomarańczowego. Ten mi jednak zostawili na ewentualną hipoglikemię. Całe szczęście kolejnych takich zawodów koledzy nie urządzali, bo mogłoby się to dla nich skończyć nieciekawie. Tak to jest, dzieciakom w młodym wieku przychodzą naprawdę nierozważne pomysły do głowy.

Z dziećmi na oddziale żyłam się mocno, a już najwięcej z Kasią. Niestety moja psiapsiółka już w piątym dniu pobytu na oddziale opuściła szpital. Zostałam sama, choć tak naprawdę były i inne dzieci. Z żadnym z nich nie dogadywałam się jednak tak dobrze, jak z nią. Razem grałyśmy w karty i statki, razem chodziłyśmy po korytarzu, opowiadając sobie historie z naszego życia. To właśnie ona skłoniła mnie do pierwszego cukrzykowego grzechu, częstując kawałkiem gorzkiej czekolady. Jeszcze przed „zawodami”. Tym razem jej nie odmówiłam. „Dla zdrowotności!”, tłumaczyłyśmy sobie. Jej pójście do domu wywołało u mnie dużą pustkę. Nie pocieszały wspólne obietnice, że będziemy sobie pisały listy i na pewno się kiedyś zobaczymy. Bardzo mi jej brakowało.

Dobrze, że mama przyjeżdżała mnie odwiedzać, bo z tej tęsknoty za Kasią dostałabym chyba na głowę. Mama widziała, że od momentu zachorowania stałam się bardziej zamknięta i zgaszona. Może poza pierwszymi dobami na oddziale, gdzie jeszcze wszystko było nowe, ciekawe i czasem nawet fajne. Później nie byłam już tą samą dziewczynką, która jeszcze tej zimy tak radośnie i beztrudnie rzuciła się śnieżkami z bratem przed blokiem. A minęły niespełna trzy miesiące.

Tamtego dnia mama odwiedziła mnie wcześniej rano. Jakby wyczuwała, że coś złego się ze mną dzieje. Gdy weszła do pokoju, ja leżałam skulona pod kocem, tuląc pieska. Podeszła do nas i chwyciła oboje razem.

— Jak dobrze was widzieć! — uśmiechnęła się. — Jak się czuje Poniusz? — chwyciła za łapkę pluszaka.

— Dobrze, hau, hau — odpowiedziałam mamie, imitując innym

głosem ruch głowy i zachowanie psiaka. W przeciwieństwie do jego właścicielki, której doskwierała samotność. — Przyjechałaś dziś wcześniej?

— Tak. Lekarka poprosiła, abym dziś zrobiła ci zastrzyk z insuliną.

— Oo... cudownie! — ucieszyłam się, zapominając o „dolinie” i podrywając z łóżka. — Najlepiej, jak podasz mi zastrzyk w rękę, będzie ci najwygodniej. Chociaż wczoraj ukłuli mnie w brzuch.

— Zrobimy tak, aby było jak najlepiej. I żeby cię nie bolało... — dorzuciła smutnym głosem.

Zastrzyki z reguły mnie nie bolały. Igły, nie były aż tak grube i długie. Gorzej było z opuszkami paluszków od mierzenia poziomu glikemii. Te, po wyjściu ze szpitala, miałam całe w małych siniakach.

Przyszła pora zastrzyku. Pielęgniarka podała mamie pena z insuliną. Kazała zamieszać, ponieważ substancja we fiolce była mętna. Po kilku ruchach insulina przybrała jednorodną konsystencję i można było przystąpić do działania.

— Teraz to jest wygoda — zaczęła pielęgniarka, wskazując na pena z insuliną. — Wcześniej to dzieci mogły pomarzyć o takich długopisach. Nie było takich dobrodziejstw. Trzeba było gotować szklane strzykawki, aby podać insulinę, wyobraża to sobie pani? A teraz, proszę, taka wygoda... — zadumała się, po czym wydała służbowo kolejne polecenie. — Proszę nastawić dziesięć jednostek insuliny i później przetrzeć rękę wacikiem.

Nie wiedziałam, o jakich strzykawkach i gotowaniu mówi tamta kobieta. Za to poczułam śmierdzący zapach spirytusu z waty i zimną dłoń mamy. Zrobiło mi się jej żal, że tak się denerwuje.

— Ale pani spięta — zauważyła pielęgniarka. — Bez obaw. Teraz proszę chwycić skórę i pod kątem wbić igłę.

— Tak dobrze? — mama przyłożyła igłę niepewnie do mojego ciała, szukając jednocześnie potwierdzenia kobiety, czy dobrze robi. Ta skinęła głową, po czym poczułam delikatne uklucie. Tym razem, nie wiedzieć czemu, jakoś tak mocniej zabolalo.

— Proszę powoli podawać jednostki. Powoli... — instruowała pielęgniarka. — O tak, dobrze.

Ręką mamy delikatnie drżała. Ja stałam na baczność, w ogóle nie

dając po sobie poznać, że czuję dyskomfort. Gdy igła wyszła z ciała, pojawiła się mała kropelka krwi. Mama przyłożyła odruchowo wacik i pocałowała miejsce obok. To było bardzo przyjemne.

— Dobrze się spisałaś — poklepałam mamę po ramieniu.

— Chyba nie było tak źle, co?

— Nie bolało — skłamałam, będąc już jedną nogą w piekle. — Może wieczorem ja będę mogła zrobić sama zastrzyk?

— Nie wiem, Aniu. Musisz spytać pielęgniarek, czy ci pozwolą — spojrzała z uśmiechem w kierunku kobiety. Ta odwzajemniła przyjazną minę.

Cały dzień wyczekiwałam z podekscytowaniem na wieczór. Nie wiedziałam, czy faktycznie będę mogła zrobić sobie po raz pierwszy w życiu zastrzyk.

Wieczór szybko nadszedł. Kiedy tylko pielęgniarki zaczęły wyczytywać nazwiska, ja jako pierwsza weszłam do zabiegowego.

— Siostró, a czy ja mogę dziś sama? — zapytałam niepewnie.

— Jesteś gotowa?

— Tak! — bez chwili zawahania, pewnie opowiedziałam.

— No dobrze, to poczekaj i na końcu do ciebie podejść.

Trochę się znecierpliwiałam dalszym czekaniem, ale tak naprawdę ucieszyłam, że dostałam zgodę.

— Nakłuwamy w udo — wskazała na krzesło siostra.

— OK — przytaknęłam. Żałowałam, że nie ma już mamy i nie zobaczy, jak sobie dzielnie radzę.

Chwyciłam fałd skórny.

Halo halo, tu załoga. Czy ktoś mnie słyszy? Odbiór. Czy jest cukrzyca? Baza, odbiór. Z tej strony insulina. Czy ktoś mnie słyszy? Halo, halo, baza. Proszę przygotować się na lądowanie insuliny.

Strzał. Igła wylądowała w mojej nodze. Zrobiłam to mechanicznie, bez emocji. Nie miałam za dużo jednostek z insuliną, także sam zastrzyk trwał może dwadzieścia sekund, po czym „statek odleciał” ponownie z uda.

Pielęgniarka odebrała pena i włożyła do szafki z innymi zastrzykami. Nawet mi nie pogratulowała. Zresztą nikt mi nie pogratulował, bo już nikogo poza nami dwiema nie było w

zabiegowym.

Trudno...

Naszprycowana insuliną wróciłam do sali. Wzięłam kartkę papieru i zaczęłam pisać:

Droga Kasiu,

szkoda, że Cię tutaj ze mną nie ma. Dziś zrobiłam sobie pierwszy raz zastrzyk z insuliną. Sama! Po cichu Ci powiem, że się nawet trochę bałam. Ale musiałabyś widzieć dziś moją mamę. Też to pierwszy raz robiła, a bała się jak diabli. Ja chyba lepiej sobie z tym poradziłam. Cukier miałam nawet dobry, bo 183. Zośka miała dziś ponad 300! Oczywiście obiad był ohydny. Masz szczęście, że już wyszłaś ze szpitala. Mnie też chyba za kilka dni już wypuszczą.

Ciekawa jestem jak sobie radzisz w domu? Daj mi znać. I napisz koniecznie, co dobrego dziś jadłaś.

Pozdrawiam Cię serdecznie

Tvoja sąsiadka z łóżka – Ania

Ps. Niestety dziś ma nocny dyżur znowu pani Krysia... Nie wiem, jak to przeżyję...

Ps. Aha, i nie zapomnij, by mnie nie nazywać Anka. Muszę się zapytać jutro Zosi, czy też nie lubi, jak się tak do niej zwraca. W liście Ci napisałam: „Zośka”, a może powinnam Zosia...? Ale już nie chciałam kreślić. Kończę. Pa.

Złożyłam kartkę i schowałam do szuflady.

Jutro każę mamie go wysłać.

Wpadłam przez chwilę w zadumę.

Przedemną jeszcze dużo tych zastrzyków, całe życie zastrzyków... Ale co tam... dam radę! Nie będzie chyba tak źle... To tylko parę ukłuć, których się przecież nie boję. No może trochę...

Ale przynajmniej po raz pierwszy mogłam dziś sterować statkiem i wylądować z insuliną w moim ciałku. Przywitałam się ładnie z tobą, cukrzyco, prawda?

Te dziecięce „zabawy” i rozmowy towarzyszyły mi przez długie miesiące. Wiedziałam, że nic innego mi nie zostało. W końcu trzeba było jakoś przyjąć chorobę. Mierzenie glikemii i poziomu ciała

ketonowych w moczu, zastrzyki, dieta, głód, kontrola. Tak wtedy wyobrażałam sobie moją chorobę.

Mój pierwszy pobyt w szpitalu trwał dokładnie dwanaście dni. Lekarka dała mi wypis we wtorek. Przeważnie wypisy były przed weekendem. Ja zostałam jednak dłużej w szpitalu. Miałam lepiej zaznajomić się z chorobą oraz poczekać, aż dobrze dobiorą mi dawkę insuliny.

Przez ten czas zdążyłam się wiele nauczyć o cukrzycy. Podstawową biblią cukrzyka była ta gruba książka, którą wypożyczyła mamie lekarka. Z reguły zapoznawałam się z nią sama. Czasem razem z mamą na świetlicy próbowaliśmy ją jakoś wspólnie rozgryźć i zrozumieć przedstawianą w niej treść. Książka była niesamowicie nudna, a terminy zawile i niezrozumiane. Czasem określaliśmy je: „czarną magią”.

Wiedza naszej rodziny na temat cukrzycy była zerowa. Wśród bliskich nikt nie chorował na tę chorobę. Na żadną z jej odmian, bo, jak się okazało, odmian cukrzycy było więcej niż tylko moja, typu 1. Wtedy większość określała ją jako „dziecięcą i młodzieżową”. Chorobę, w której moja trzustka przestała wytwarzać insulinę.

Zachorowałam, nie wiedząc czemu. Medycyna nie miała jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Szukaliśmy przyczyn w przyjętych trzy miesiące wcześniej antybiotykach na uporczywy kaszel. Lekarze nie chcieli tego potwierdzić, ponieważ nie mieli na to dowodów. Pozostało zatem pytanie bez odpowiedzi: dlaczego właśnie to ja zostałam „wybranką” losu? Mama uspokajała mnie jednak, że to na pewno nie przez opętanie przez szatana czy wyzywanie brata od najgorszych. Trochę mi ulżyło, bo zaczęłam w pewnym momencie myśleć, że jestem paskudnym dzieckiem.

Uspokajał też fakt, że nie tylko my byliśmy cukrzycowo „zieloni”. Inne rodziny też wyglądały na zagubione i przerażone, studiując i pogłębiając swoją wiedzę na oddziale. Często w rozmowach z lekarzem czy innymi rodzicami padały takie pojęcia, jak m.in.: hipoglikemia, hiperglikemia, remisja, kwasica ketonowa, śpiączka cukrzycowa, hemoglobina glikowana (HbA1C), wymienniki węglowodanowe. To tylko niektóre z nich, które starałam się wykuć na pamięć. Nic mi one na początku nie mówiły, jedynie wiedziałam, że łączą się z cukrzycą.

Spora część książki poświęcona była również objawom cukrzycy oraz skutkom jej niekontrolowania. Teraz rozumiałam, że widok sikającego chłopczyka na plakacie w szpitalnym korytarzu, świadczy o zbyt wysokim poziomie cukru we krwi i przez to jego wzmożone oddawanie moczu. W książce znajdowały się również tabele z produktami, gramami i wartościami wymienników węglowodanowych. Przedstawiane cyferki były dla mnie jakby z przypadku. Za nic nie mogłam zrozumieć, dlaczego jeden plasterek szynki ma wpisaną wartość „0 WW”, podczas gdy jedno jabłko już kilkanaście wymienników. Zaczęłam główkować.

O co w tym chodzi? Przecież owoce są zdrowe. To czemu każą mi je uwzględniać w swoich cukrzycowych obliczeniach?

Jak się okazało, słusznie, ponieważ po zjedzeniu nawet małego jabłuszka rósł mi cukier. Z czasem przyznałam, że coś w tych cyferkach musiało być z prawdy.

Z pewnością też można było zaliczyć mnie do tych dzielniejszych pacjentów, którzy nie płakali na widok igły czy choćby szpitala i lekarzy. Nie miałam bladego pojęcia, jak dokładnie będzie wyglądało moje życie cukrzyka poza oddziałem. A przecież, w odległej przyszłości, czekało mnie mnóstwo zmian w leczeniu cukrzycy. Często na lepsze, ale niekoniecznie na łatwiejsze. Miał się zmienić dla mnie nie tylko rodzaj przyjmowanej insuliny, ale także ilość zastrzyków i częstotliwość mierzenia sobie poziomu glikemii. Temu wszystkiemu towarzyszyła jednak ciągle jakaś kontrola. Chociażby diety, która już za kilka lat mogła skończyć się dla mnie naprawdę tragicznie.

Słowo: „kontrola” wpisałam zatem do słownika pojęć, ściśle związanego z cukrzycą.

Rozdział ósmy

W poszukiwaniu pozytywów

Rok: 1997

Wiek: 11 lat

Staż cukrzycy: 10 dni

Ze szpitala wróciłam do domu późnym popołudniem. Zdążyłam, pomimo mojego sprzeciwu, załapać się jeszcze na szpitalny obiad. Mama wołała, abym go zjadła i nie wracała do domu „na głodniaka”. Poza tym panicznie bała się mojego niskiego cukru. Pewnie za dużo naczytała się o śpiączkach cukrzycowych. Akurat tutaj się zgadzałyśmy, bo ja też czułam duży strach przed niską glikemią. Już o bardzo złym samopoczuciu nie mówiąc.

Jako „wyprawkę” dostałam recepty na paski do glukometru, moczu i na insulinę. W małą foliówkę zapakowali mi też kilka zapasowych igieł do pena oraz glukometr.

Gdy tylko przekroczyłam próg mieszkania, od razu wparowałam do mojego pokoju. Widok własnych czterech ścian już dawno tak nie cieszył. Wyjątkowo nie przeszkadzał fakt, że dzieliłam je razem z bratem. Z rozpędu rzuciłam się na tapczan. Sprężynom najwyraźniej się to nie spodobało, bo głośno zaskrzypiały.

Moje wygodne łóżko i moja kochana poduszka... Mm... Nareszcie!

Zbliżał się czas kolacji, więc musiałam zmierzyć cukier. Za nic jednak nie mogłam znaleźć nakłuwacza, aby zrobić sobie badanie. Pomyślałam, że może zapomniałam go zapakować albo go zgubiłam.

— Mamusia, gdzie on jest? Nie widziałaś go? — zapytałam niewinnie, licząc, że nie dostanę od razu ochrzczu za roztargnienie.

— Nie wiem, dziecko, poszukaj. Pewnie gdzieś jest.

Nakłuwacz wyglądał jak gruby długopis, koloru szarego. Na wierzchu uwypuklona była mała zielona strzałeczka, mówiąca o tym, jak głęboko ma się wbić igłą. Nie był więc on szpilką, abym musiała go szukać z lupą.

— No gdzie on, do licha, jest?! — grzebałam nerwowo w foliowej torebce ze szpitala. — Marcin, nie widziałeś go?

— Nie — rzucił od niechcenia.

— To jak ja mam teraz zmierzyć cukier? — zrezygnowana zapytałam mamę, która w tym czasie zaczęła szykować kolację.

— Poczekaj, zaraz coś wymyślimy — zostawiła chleb na krajalnicy i ruszyła do pomocy.

Nie tylko ona. W poszukiwanie nakłuwacza została zaangażowana cała rodzina. Sytuacja stała się poważna. Po zaglądnięciu w każde zakamarki, wszyscy jednocześnie stwierdziliśmy, że nakłuwacza bez picu nie ma. Wsiąkł, przepadł, wyparował... I tyle!

— To może nakłujemy Anię twoją igłą do szycia? — zaproponował nieśmiało Marcin, patrząc z lekkim przerażeniem na mamę.

Innego wyjścia nie znaleźliśmy. Mama wyciągnęła igłę z maszyny do szycia, po czym podeszła do mnie chwiejnym krokiem. Zawahała się. Ogarnął ją strach. Nie wiedziała, jak głęboko ma wbić tę igłę, by krew zaczęła lecieć. Spróbowała. Na nic, bo nawet nie poczułam, że coś mnie ukłuło. Kolejną osobą był Marcin, ale i on niepewnym ruchem zadał cios. Bezskutecznie. Tata nawet się nie garnał.

— Dajcie mi tę igłę! — wkurzyłam się. — Najlepiej, jak to sama zrobię.

W końcu widziałam, jak robią to pielęgniarki w szpitalu, to i czemu tutaj miałoby mi się nie udać. Bałam się jak diabli, ale ładnie się wbiłam, i to za pierwszym razem. Kropla krwi była bardzo duża. Może nawet przesadziłam i spokojnie mogłam wykonać ruch trochę płycej.

— Brawo, Aniu! — uradowała się mama. — Jutro pójde do ośrodka i coś załatwie. Oby mieli... — westchnęła po cichu.

Do kolacji usiedliśmy wspólnie, całą rodziną. Był to nasz pierwszy domowy posiłek od momentu, gdy zachorowałam i wyszłam ze szpitala. Rodzice chcieli, aby było normalnie, tak jak zawsze. Było jednak trochę inaczej. Zazwyczaj na stole stawialiśmy osobno pieczywo na talerzu, osobno wędlinę czy ser. Każdy nakładał sobie na talerz tyle, żeby się nasycić. Tym razem na talerzach były już gotowe, przygotowane porcje. Ja dostałam odmierzony od linijki chleb – dwie dość małe kromki.

— Tyle ci starczy, córeczko? Nie będziesz głodna? — zapytała niepewnie mama.

— Tak, jest OK — odpowiedziałam, choć czułam, że będę po nich głodna.

— W szpitalu też chyba tyle zjadaliście? — zapytała, nadal nie będąc przekonana, że porcja mi wystarczy.

Nie odpowiedziałam. Pierwsze co zrobiłam, to napiłam się herbaty. Wynik glikemii wykraczał poza normy, stąd odczuwałam lekkie pragnienie.

— Marcin, podasz mi cukier? — wskazał na cukiernicę tata. Po chwili dopytał. — A ty nie słodzisz?

— Nie, ja będę solidarny z Anią. Od dziś będę pić gorzką — odparł, jakby to było oczywiste. A przecież nie było. Zawsze słodził, jedną lub dwie łyżeczki. Zrobiło mi się milej na sercu, choć to również przemilczałam.

Po skończonej kolacji Marcin poszedł dalej odrabiać lekcje. Chyba musiało być sporo zadane, skoro brat jeszcze wieczorem siedział nad zadaniami.

— Dasz mi zeszyt z polskiego? — zapytałam, zerkając przez ramię, co tak pilnie czyta.

— Tam leży — wskazał na półkę. — Wiesz, że teraz przerabiamy już nową lekturę?

Nie pytałam jaką, bo i tak jej nie przeczytałam. Wiedziałam, że mam kilka pozycji do nadrobienia. Niestety w szpitalu tkwiłam w innej książce – cukrzycowej.

Już tam martwiłam się długą nieobecnością w szkole. Dwanaście

dni pobytu na oddziale diabetologii, to jednak sporo czasu. Do tamtej pory nie opuściłam naraz aż tylu lekcji i denerwowałam się, jak to wszystko nadrobię. Na szczęście miałam brata bliźniaka, od którego później mogłam wszystko przepisać do zeszytów. Ręcznie. Polonistka często nie miała litości, dyktując treść lekcji od rozpoczęcia zajęć aż do dzwonka na przerwę. Zdawało się, że nie interesuje ją nasz ból ręki spowodowany pisaniem. Na szczęście nie musiałam chodzić po kolegach i pożyczać notatek. Pomoc Marcina była mi w tym momencie bardzo potrzebna. A mimo wszystko przerażało mnie, że materiału do nadrobienia jest tak strasznie dużo.

— Będiesz to teraz wszystko przepisywać? — brat wyglądał na zdziwionego, patrząc, jak zabieram się do pracy.

— Tak, jutro już chyba wracam do szkoły.

— Zwariowałaś?! — oburzył się. — Posiedź do końca tygodnia w domu. Zdążysz się jeszcze nachodzić do szkoły.

— Marcin, ale ja mam tyle zaległości... — jęknęłam. — Jak ja to wszystko nadrobię?

— Nie przejmuj się, pomogę ci.

Po raz pierwszy Marcin zaproponował mi pomoc, i to bezinteresownie. Bardzo mi się to spodobało. Marcin bardzo dobrze tłumaczył lekcje. Robił to z dużą dokładnością i miał przy tym sporo cierpliwości. A tej mi szczególnie brakowało, zwłaszcza przy rozwiązywaniu zadań z matematyki.

Po ustaleniu z rodzicami, miałam do końca tygodnia zostać w domu i przepisywać zeszyty. Trochę się buntowałam, bo liczyłam na to, że szybciej zobaczę się z kolegami i nauczycielami. Tak czy siak, cieszyłam się, że w końcu mam jakieś normalne zajęcia – szkołę i domowe obowiązki. Miałam nadzieję, że może to pozwoli mi na chwilę nie myśleć, że jestem nieuleczalnie chora.

Nakłuwacz do pobierania krwi z palca też dostaliśmy. Wprawdzie nie od razu na drugi dzień, ale po przebojach lekarka jakiś nam załatwiła dzień później. Dostępność cukrzycowych przyrządów okazała się być sporym utrudnieniem. Igłę do nakłuwacza mieliśmy jedną, resztę trzeba było specjalnie dokupić. Podobnie było z igłami do insuliny. Tutaj igła przypadała na jedną fiolkę z insuliną. Oznaczało to,

że co najmniej kilkadziesiąt, jak nie kilkaset zastrzyków trzeba było wykonać jedną i tą samą igłą. Z dostępnością pasków też był problem i, z tego, co widziałam po rachunku z apteki, były bardzo drogie. Stąd glikemię badałam co najwyżej dwa razy dziennie: rano i wieczorem. Tak, jak zresztą zalecano. Całe szczęście w domu nie trzeba było już sikać do tego miniaturowego pojemnika, by określić poziom ciał ketonowych w moczu. Mogłam spokojnie do większego słoika. Później doszłam już do takiej wprawy, że bez problemu trafiałam bezpośrednio na pasek. O ile ten pomiar robiłam, bo naprawdę nie lubiłam tego zabiegu. Oczywiście nie przyznałam się do tego lekarce, bo to postępowanie z pewnością by się jej nie spodobało.

W kolejnym tygodniu czekała na mnie i na mamę wizyta w poradni, u „milej” pani doktor Mróz. Szczerze, bardziej wolałam sto razy wrócić do szkoły niż zaliczyć to „przesłuchanie”. Niestety tutaj wyboru za bardzo nie miałam. Trzeba było jechać „na komisariat” i przyznać się do paru wtop.

*

Rok: 1997

Wiek: 11 lat

Staż cukrzycy: 2 tygodnie

W szkole, jak to w szkole. Mój powrót chyba nikogo za bardzo ani nie zaskoczył, ani też nie ucieszył. Nikt z koleżanek i kolegów nie pytał, dlaczego tak długo mnie nie było. Nie wiem, czy klasa wiedziała, że zachorowałam na cukrzycę. Wszyscy rozmawiali i zachowywali się wobec mnie normalnie. Ja też nie zamierzałam się nikomu tym chwalić.

O chorobie musieli wiedzieć natomiast nauczyciele. Mama zdążyła ich o tym poinformować jeszcze przed moim powrotem.

— Proszę się nie martwić — uspokajała. — Marcin wie w razie czego, jak pomóc Ani. Gdyby się coś działo, proszę go pytać. My też jeszcze się wszystkiego, co prawda, uczymy, ale w razie czego Marcin

pomoże.

— Dobrze, w takim razie będziemy go pytać — odpowiedziała wychowawczyni, choć wyraźnie dało się wyczuć lekki strach.

Nauczyciele nie znali tej choroby. W szkole, do której chodziłam, nie było dziecka chorego na cukrzycę. Byłam takim małym, „słodkim” wyjątkiem. Temat cukrzycy nigdy nie był poruszany i każdy go unikał. Ani jeden nauczyciel nie zapytał, jak się czuję po szpitalu, czy może mi w czymś pomóc, albo tylko, abym ich poinstruowała, co mogliby zrobić na wypadek, gdyby coś złego zaczęło się ze mną dziać. Nic takiego nigdy nie miało miejsca.

Dla opiekunów, z pewnością, moja bohaterska postawa radzenia sobie z chorobą, była, szczerze mówiąc, wygodna. A przecież kryła się za nią wielka trauma, samotność i poczucie wyobcowania. Koledzy jedli andruty na przerwie, popijając bombelkującą, czerwoną oranżadą, a u mnie o podjadaniu raczej nie było mowy. Mogli biegać wokół boiska, gdy ja siedziałam w tym czasie na ławce, bojąc się o hipoglikemię lub czekając, aż cukier mi podrośnie. Chodzili na lody po szkole, a ja do domu, by zjeść z góry ustalony posiłek, o danej godzinie. Nie wcześniej i nie później.

Wszystko związane z cukrzycą było dla mnie świeże, więc nie dość, że czułam się zagubiona i wystraszona, to jeszcze bardzo niepewna. A na dodatek kompletnie w tym wszystkim sama. Nie miałam się kogo poradzić czy zwierzyć, w końcu cukrzycowych kolegów ze szpitala nie było. O pomoc też bałam się prosić, i tak nikt nic nie wiedział. I co gorsza, nie chciał wiedzieć.

W kolejnym tygodniu przyszła zaplanowana wizyta w przyszpitalnej poradni w Poznaniu. Bardzo się przez nią stresowałam. Znowu musiałam opuścić kolejny dzień szkoły. Może i się cieszyłam, ale w sumie to więcej martwiłam, że szkolne zaległości będą rosły w nieskończoność.

A jak lekarka każe mi wrócić do szpitala? Cukry nie są najlepsze... Oby tylko się tak nie darła, jak to miała w zwyczaju robić w szpitalu... Zresztą, po tej jędzy wszystkiego można było się spodziewać. Dobrze, że będzie ze mną mama...

Jak takie dwie trusie grzecznie i spokojnie usadziłyśmy się w

poczekalni, każda na swoim drewnianym krzeselku. Mama zdawała się być wciąż przerażona i mocno zagubiona. Ja, jak cicha myszka w kącie, bujałam się na krześle, trzymając w ręce zeszyt z uzupełnioną tabelką z poziomami cukru oraz podaną insuliną. Na końcu tabeli było miejsce na uwagi. Tutaj mama notowała zjedzone posiłki, a także dopisywała znaki zapytania. Trzeba przyznać – znaczków była pokaźna ilość.

Swoje wysiedziałyśmy, ponieważ lekarka mocno się spóźniła. Tak ponoć miała w zwyczaju. Wparowała do poradni, jak perszing. Wleciała żywym krokiem do gabinetu, po czym po chwili wybiegła ponownie z ośrodka.

Gdzie ona tak lata? Czy nie widzi, że siedzimy tu jak takie kolki i na nią czekamy? Co za tupet!

Mama w międzyczasie, chcąc się trochę uspokoić, chętnie wdawała się w dyskusję z innymi rodzicami. Każdą wymianę doświadczeń uznawała za bardzo cenną wskazówkę. Mnie te dyskusje nie interesowały. Patrzyłam za to na chłopca, który w rękę trzymał elektroniczną grę. Dokładnie taką samą dostałam dwa lata temu na komunię. Jednak od samego początku w nią nie grałam. Był to prezent od chrzestnego Marcina. Nie mogłam pogodzić się z tym, że gnojek dostał wypasionego górala, a mi wujaszek dał tamtą, zwykłą gierkę. Zapewne nie była to taka zwyczajna gra i kosztowała mnóstwo pieniędzy, ale rower wydał mi się cenniejszym prezentem. W poczekalni natomiast, gdy zobaczyłam tego grającego chłopca, od razu się z nią w myślach przeprosiłam. W jednej chwili zapragnęłam mieć tę zabawkę ze sobą. Niestety nie miałam. Z zazdrością zerkałam zatem na chłopca, jak układa klocki.

Jakby mi ją tylko na chwile pożyczył, to pokazałabym mu, jak się gra!

Jakoś nie miałam śmiałości, by go zagaić i poprosić, by dał mi spróbować ułożyć klocki. Siedziałam bez szemrania, wyczekując aż przyjdzie kolej na wejście do gabinetu.

Chwila nadeszła. O zgrozo, dwie godziny później.

— Pani Miśkiewicz — wywołała z gabinetu lekarka.

— Tak, pani doktor, już idziemy. Dziękuję za przyjęcie.

Też mi łaska. Za co tu dziękować? Przecież wizytę miałyśmy

umówioną na 10:15, więc musiała nas przyjąć. I, pragnę zauważyć, jest już po 12:00!

— Proszę pokazać dzienniczek z wynikami — niemalże rozkazała.

— Pani doktor — mama od razu zaczęła się tłumaczyć — największe problemy mamy z cukrami rano. Proszę zobaczyć — wskazała palcem. — Tutaj 270, a tu nawet 312.

— Tak, rano cukry mają tendencję do wzrostu. A waży produkty? Ile dała na to insuliny? — popatrzyła na rubrykę: „uwagi”, w której była zapisana porcja dwóch skibek chleba.

— Nie ważymy, nie mamy jeszcze wagi... — przyznała się cicho mama, w nadziei, że lekarka nie dosłyszysz.

Dosłyszała.

— Do jasnej cholery! Ile razy jej w szpitalu powtarzałam, że ma ważyć produkty! — furknęła doktorka.

Czy ta jędza mówi do i o mnie?

Zaczęłam się przez chwilę zastanawiać, czy nie przeoczyła przypadkiem, że też weszłam do gabinetu. Z drugiej strony cieszyłam się, że to nie na mnie się wydarła, tylko na mamę.

— Czy zdaje sobie pani sprawę, jaką krzywdę może sobie wyrządzić? Powtarzam, możecie jeść normalnie i wszystkie produkty, ale macie jeść o stałych porach i liczyć. Liczy czy nie liczy? — teraz lekarka odwróciła się w moim kierunku, oczekując odpowiedzi.

Mama od razu zauważyła moje wystraszenie. Sama straciła pewność w głosie.

— Będziemy liczyły, pani doktor — odpowiedziała za mnie. — Ale jak to wszystko ogarnąć? Tego wszystkiego jest tyle — głos mamy zaczął się załamywać.

— Proszę, żeby córka wyszła.

Oo... Dwa razy nie mów! Z miłą chęcią wyjdę. Jejku... Boję się o mamę... Co ona od niej chce? Może coś źle zrobiłam i teraz będzie się na niej wyżywać... Ale tak przecież nie można! No jędza, jak nic! Mam nadzieję, że mama się jej postawi.

Mama skinęła głową, abym wyszła. Otworzyłam pośpiesznie drzwi i opuściłam gabinet „przesłuchań”. Od razu do wejścia zerwała się kolejna pacjentka z dzieckiem. Kiedy zobaczyła tylko mnie, usiadła ze

zniecierpliwioną miną z powrotem na krzesło. Stałam pod drzwiami, próbując dyskretnie podsłuchać rozmowę z lekarką. Wiedziałam, że to nieładne zachowanie. Pech chciał, że chłopiec, który grał w grę, siedział zaraz przy drzwiach wejściowych do gabinetu. Ciągły dźwięk, dochodzący z gry, tylko zakłócał moje podsłuchy. Chciałam mu wyrwać tę zabawkę i rzucić nią o ścianę. Pohamował mnie tylko mój rozsądek.

Czekałam tak pod tymi drzwiami jeszcze z jakieś dobre dziesięć minut. Nagle poruszyła się klamka. Mama wyszła. Twarz i oczy miała wyraźnie spuchnięte od płaczu. Energicznie chwyciła mnie za rękę i opuściłyśmy poradnię. Zdążyłam tylko powiedzieć „do widzenia”, za nas obie.

— Mamusiu, co się stało? — zapytałam niecierpliwe zaraz na dworze. — Lekarka cię wyzywała? Zrobiłam coś źle? Obiecuję, że będę się starać mieć lepsze cukry, tylko się nie martw...

Mama przystanęła i popatrzyła smutnym wzrokiem. Przyciągnęła mnie do siebie.

— Nie, Aniu. Wszystko jest w porządku. Twoje cukry są dobre, moje dziecko. Niczym nie musisz się przejmować. Mamusia płacze, bo jest jej bardzo przykro, że zachorowałaś. Całe szczęście, że chociaż Marcin jest zdrowy... Poradźmy sobie jakoś, prawda? Ale to takie niesprawiedliwe...

— Jasne, że sobie poradzimy, mamusiu — odpowiedziałam pewnie, chcąc ją jakoś pocieszyć. — Pamiętasz, wczoraj wieczorem miałam przecież ładny cukier...

Uśmiechnęła się przez łzy. Do samochodu wracaliśmy w milczeniu. Stał zaparkowany dobre dwa kilometry od poradni. Gdy przyszłyśmy, szyby samochodu były całkiem zamrożone. Mama kazała mi wsiąść do środka, a sama wzięła skrobaczkę do szyb i zaczęła je czyścić. Na siedzeniu zostawiła torebkę. Kusiło mnie, by do niej zajrzeć. Zajrzałam. Ze środka wyciągnęłam mały, niebiesko-biały zeszyt formatu A6. Na wierzchu, drukowanymi literami było napisane:

„KSIĄŻECZKA Nr 30/97
CHOREGO NA CUKRZYCĘ

Nazwisko: Miśkiewicz

Imię: Anna

Data urodzenia: 16 czerwiec 1986 r.”

Jak wchodziłyśmy do gabinetu, mama chyba nie miała tej książeczki?

Otworzyłam pierwszą stronę:

„13.03.1997

DIABETES MELLITUS

Oddział endokrynologii i diabetologii

Oddział XI

Cukrzyca typu 1 – insulinozależna”

Ta łacińska nazwa mojej choroby zabrzmiała, jak jakiś wyrok na skazańcu. Brakowało tylko daty śmierci winnej. W okamgnieniu schowałam książeczkę do torby, ponieważ szron zaczął znikać z okien. Nie chciałam zostać nakryta.

Już teraz rozumiem, skąd te łzy. Może mama też to przed chwilą poczuła?

Po raz pierwszy tak dosadnie dotarło do mnie, że jestem chora na cukrzycę, i że czeka mnie mnóstwo takich wizyt w przychodni. Po tygodniu pobytu w domu, nadal nie wiedziałam jeszcze, jakie będę miała życie, co ta choroba tak naprawdę oznacza, jakie spotkają mnie po drodze trudności, wyrzeczenia i problemy.

A może jest coś pozytywnego w tej chorobie, o czym zapomnieli mi powiedzieć na oddziale? W zeszycie też nic nie zapisali dobrego... No ale chyba zaraz tak nie umrę...?

Na myśl o śmierci przeszły mnie ciarki. W końcu, po dwóch i pół tygodnia od zachorowania, czułam się już nawet całkiem dobrze fizycznie. Choć tak naprawdę nie wiedziałam, jak długo żyje się z tą chorobą. Pozostały tylko pytania, które bałam się zadać. Ciche, niewypowiedziane słowa. Uczucia, schowane pod skórą „dzielnej pacjentki”.

Popatrzyłam ponownie na okno samochodu i na mamę, która z czerwonym nosem cały czas dzielnie walczyła ze szybą.

To chyba od zimna ma tak czerwony nosek. Wygląda nawet całkiem zabawnie. Fajnie, że jest tutaj ze mną. Już dawno nie spędziłyśmy ze sobą tyle czasu...

Zaczęłam powoli dostrzegać chociaż jakieś plusy tej nieuleczalnej choroby. Sama, bo cała reszta otaczających osób, zdawała się być załamana i niezwykle pogubiona.

Rozdział dziewiąty

Musisz zjeść cukier!

Rok: 1997

Wiek: 11 lat

Staż cukrzycy: 1 miesiąc

Rok szkolny nabierał tempa. Ferie zimowe już dawno się skończyły i trzeba było zabrać się za obowiązki szkolne. Mimo, że była to dopiero podstawówka, zawsze sumiennie przygotowywałam się do lekcji. Do każdego zadania przykładałam się z dużą starannością. Często siedziałam do późnych godzin nocnych, by odrobić szpitalne zaległości, czy chociażby poczytać sobie dodatkową książkę. Czytanie sprawiało, że choćby z polskiego radziłam sobie bez problemu, a pisanie wypracowań szło mi całkiem nieźle. Potrafiłam do późnych godzin nocnych pochłaniać w łóżku kolejne tomy nieobowiązkowej literatury, co często kończyło się zaśnięciem z książką w ręku.

Razem z Marcinem „awansowaliśmy” i dostaliśmy też większy pokój po starszym bracie. Piotrek bardzo rzadko bywał w ostatnim czasie w domu. Bardzo mi go brakowało. Gdy gościnnie odwiedzał gniazdko rodzinne, musiała mu starczyć jedna szafka oraz jego tajny kredens, który zamykał na klucz. Fascynowało mnie, co brat w nim trzyma. Ilekroć próbowałam podpatrzeć, jak coś wyciągał, nic za bardzo

nie dostrzegałam. Drzwiczki otwierał na minimalnie możliwą odległość. Kredens był zawsze zagadką tego pokoju.

Co nas z Marcinem najbardziej jednak cieszyło w nowym pokoju, to fakt, że mieliśmy osobne biurka i łóżka. Jedno było ustawione prostopadle do drugiego. Moje łóżko stało dalej od wejścia, pod oknem. Nad nim miałam malutki kinkieciak i mogłam już bez problemu leżeć do późnych godzin nocnych, pożerając kolejne lektury. Czasami dochodziło tylko delikatne pochrapywanie brata, który zasypiał dużo wcześniej niż ja. Molem książkowym, w przeciwieństwie do mnie, nie był.

Któregoś ranka wparowała do nas mama. Była środa, więc standardowo na 8:00 mieliśmy zdążyć do szkoły.

— Ania, Marcin, wstawajcie. Jest już dwadzieścia po siódmej. Nie zdążycie do szkoły! — wołała, odkrywając kołdry.

Marcin pomruczał i wstał pierwszy, choć zwykle robił to jako drugi. Ciągle miał spore problemy z wczesnym zwłечeniem się z łóżka.

— Śniadanie już czeka. Aniu, proszę! — mama dalej krzyczała z kuchni, a ja nadal spałam. Prawdę mówiąc, nie słyszałam jej.

— Ania, do diabła! — weszła ponownie do pokoju z mocną irytacją w głosie. — Co się dzieje? Czemu nie wstajesz?

Odburknęłam coś pod nosem i zawinęłam się dalej pod pierzynę. Jej napominania nic nie pomogły.

— Jak tam sobie chcesz! — zniecierpliwiona wzruszyła ramionami. — Jak będziecie tak długo siedzieć wieczorami, to będę przychodzić i gasić wam wcześniej światło!

Jej słowa docierały do mnie jak przez mgłę. Nie mogłam tylko zrozumieć, dlaczego mówiła w liczbie mnogiej. Przecież Marcin wyszedł już dawno do szkoły. Beze mnie.

— Jesteś niepoważna! — ciągnęła po jakiejś chwili już mocno zdenerwowana. Nie wiem, ile czasu minęło. — Takie lekceważenie... Ja nie wiem, co ty sobie wyobrażasz? Jak tata przyjdzie po południu z pracy, to sobie porozmawiamy! — trzasnęła drzwiami i wyszła z pokoju.

Znałam ten ton. Czasem pojawiał się podczas sprzeczek ze starszym bratem. Ja natomiast, rzadko zachodziłam za skórę rodzicom. Choć

wiedziałam, że popołudniu czeka mnie starcie z nimi, tak tamtego ranka niezbyt to do mnie trafiało. Coś było ze mną nie tak. Leżałam w łóżku i wyraźnie słyszałam oskarżenia mamy: „Ania niepoważna i Ania lekceważąca”. W innym dniu, na taki zarzut po prostu bym „odszczeknęła”. A wtedy było wyjątkowo inaczej. Leżałam jak sparaliżowana. I mową, i zachowaniem. Innej osobie na pewno zaświeciłaby się lampka ostrzegawcza: „to do Ani niepodobne, Ania tak nie robi”. A mamie nic takiego się nie zaświeciło i, póki co, bezkarnie pozwoliła spać dalej. Kara dopiero miała przyjść, z tatą, po południu.

Nagle otworzyłam oczy. Spojrzałam na zegarek na ścianie. Nie mogłam dokładnie odczytać godziny, ale wydawało mi się, że jest 8:45. Pomyślałam, że jeszcze nie jest tak późno i na kolejną lekcję zdążę. Piżamę miałam całą mokrą i cała też drżałam. Wystraszyłam się.

— Mamusia! — wołałam, ale nie kojarzyłam, czy w ogóle mówię na głos, czy tylko mi się wydaje. Język miałam mocno odrętwiały. Przypominał mi, że mogę mieć niski cukier. Zasnęłam dalej.

W jednej chwili poczułam mocne szturchnięcia.

— Aniu, Aniu! Obudź się! — usłyszałam przestraszony głos mamy. — Daj mi palec, zmierzę ci cukier. Boże, cała jesteś mokra!

Wyciągnęłam rękę spod kołdry. Glukometr wskazał wynik: „LO”.

— Matko święta! Zadzwoń po karetkę. Gdzie jest glukagon? — mówiła do siebie w panice, biegnąc do lodówki. Wiedziała doskonale, że ten wynik oznacza cukier poniżej 20 mg/dl. A to z kolei oznaczało, że jestem w niebezpieczeństwie. Śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Czułam jej popłoch. Ale ja byłam jakby na innej planecie, obserwując wszystko z góry. Rozumiałam, co się dzieje, ale moje ciało nie wykonywało żadnych poleceń, jakichkolwiek bym nie wydała. Po chwili mama przyniosła małe, pomarańczowe pudełko. Od razu skojarzyłam ze szpitalnych szkoleń, że była to strzykawka z płynem ratującym na wypadek ciężkiej hipoglikemii.

— Nie, nie. Przynieś mi wodę z cukrem — poprosiłam półprzytomnie.

— A... ale... zdołasz wy... wypić? — wydukała mama.

Nim potwierdziłam już była w kuchni. Chyba uświadomiła sobie, że jednak jestem żywa i komunikuję się, więc może obędzie się bez

zastrzyku.

— Masz, dziecko, wypij! — podtrzymała mnie i szklankę.

Wypiłam i położyłam się bezwiednie. Oczy mi się same zamykały.

— Nie zasypiaj, Aniu! Postaraj się nie zasnąć! Boże drogi, jak ja cię przepraszam... — tuliła, a jednocześnie płakała. — Przecież mogłaś umrzeć! Dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz niedocukrzenie?

Nie byłam jeszcze w stanie logicznie rozmawiać z mamą. Dopiero po kilku minutach powoli zaczynałam kojarzyć fakty i zbierać myśli, co się stało. Miałam bardzo niską glikemię i mój mózg jakby przestał ze mną współpracować. Słyszałam w szpitalu o utracie świadomości z powodu hipoglikemii czy zapadaniu w śpiączki, ale nie zdawałam sobie sprawy, że i mnie to może spotkać. Minął już dobry miesiąc odkąd byłam w domu, a nic złego się nie działo. Owszem, cukier mi spadał, ale było to „kontrolowane”. Drżenie rąk, zimne poty, drętwy język, mocny głód, rozbicie i słabe widzenie. To wszystko znałam. Źle się czułam, ale nie aż tak skrajnie, jak tamtego poranka. Zazwyczaj, już po około piętnastu minutach, od momentu przyjęcia cukru po spadku, zaczynałam czuć się lepiej. Tym razem jednak dochodziłam do normalności dużo dłużej.

Pomimo tego, że po godzinie zapewniłam, że czuję się już dobrze i mogę wrócić na lekcje, mama za nic nie pozwoliła mi pójść do szkoły. Była bardzo wystraszona. Ja zresztą też, choć dość szybko starałam się zapomnieć o tej sytuacji. Można powiedzieć, że odbyłyśmy „szkołę życia” w domu. Cukrzyca dała nam prawdziwą lekcję porannych zmagania się z chorobą. To wydarzenie nie było jednak wyjątkiem. Niedługo po nim przyszło kolejne, równie groźne.

Rok: 1997

Wiek: 11 lat

Staż cukrzycy: 2 miesiące

Stałam przed drzwiczkami od piekarnika i się w nie wpatrywałam. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdybym włożyła tam placek i wyczekiwała, aż wyrośnie. Zwłaszcza ukochanego „murzynka” w czekoladowej polewie, posypanej kolorowymi groszkami. W piekarniku nic „czarnego” nie było. Był pusty i wyłączony.

Gwałtownie uchyliłam drzwiczki. Zrobiłam to z dużym rozmachem, bezwładnie.

— Ania, co ty robisz? — spojrzał na mnie Marcin, wsuwając szybko kanapkę do buzi, by nie spóźnić się do szkoły.

Na dworze zrobiło się już jasno, a my byliśmy lekko po czasie.

— Ania! — podbiegł do mnie Marcin, gdy zobaczył, że drzwiczki piekarnika otwieram po raz drugi. — Zostaw ten piekarnik! Co ty wyprawiasz!?

— Nic — odburknęłam, nawet nie zwracając na niego uwagi.

Piekarnik znajdował się obok szafki, w której miałam cały osprzęt cukrzycowy. A że rano zawsze zaczynałam dzień od sprawdzenia glikemii oraz podania penem insuliny, i tym razem tak właśnie było. Tyle, że zamiast drzwi od cukrzycowej szafki, zaczęłam otwierać te od piekarnika.

Marcin nie dawał za wygraną. Czuł, że coś jest na rzeczy. Energicznie pociągnął mnie za rękę i przesunął na środek kuchni. Stanęłam, spojrzawszy na niego gniewnym wzrokiem. Zakręciło mi się w głowie. Przewróciłam się, uderzając całym impetem o wystającą poręcz drzwiczek, które przed chwilą mi zamknął.

— Ania! — przeraził się jeszcze mocniej. — Wstawaj! Musimy zmierzyć cukier! Masz niedocukrzenie!

Wyciągnął rękę, aby pomóc mi się podnieść z podłogi. Nie

skorzystałam. Pośpieszenie samodzielnie wstałam, by po dwóch sekundach przewrócić się ponownie.

— Boże, siostra! — starał się mnie ponownie podnieść jedną ręką z ziemi. — Musisz zjeść cukier!

W drugiej ręce miał już uszykowaną łyżeczkę z cukrem. W jednej chwili tak nią trąciłam, że rozsypałam cały cukier po podłodze.

— Zostaw mnie, palancie! — majaczyłam. — Nie będziesz mi mówić, co mam robić! Nic mi nie jest! Dupku! — dodałam, aby się w końcu ode mnie odczepił.

Wybiegając z kuchni, prawie wkomponowałam się w pół przymknięte drzwi, dalej wulgarnie przy tym pomrukując pod nosem.

W tej całej furii chciałam pójść do łazienki, by się wysikać. W końcu rano miałam mierzyć też wynik cukru w moczu. Cukru z palca nadal nie zbadałam ani też nie podałam insuliny.

Chwyciłam za lustro, które wisiało tuż obok drzwi do łazienki. W ostatniej chwili podbiegł Marcin i jednym ruchem zdążył je chwycić. Gdyby nie jego refleks, roztrzaskałoby się w drobny mak, na mojej głowie.

— Weź się uspokój! Co ty wyprawiasz? — wrzasnął rozniewanym tonem. — Jesteś nieświadoma! Ania, masz niski cukier! Musisz coś zjeść!

Nie słuchałam go. Z hukiem zamknęłam się w łazience.

— Ania! — walił do drzwi. — Otwieraj! Jak rodzice wrócą, to im wszystko powiem! Rozumiesz? Masz N I E D O C U K R Z E N I E !!! — dał się w nadziei, że oprzytomnieję.

A ja stałam tam, zamknięta w łazience. Znowu bezwładnie osunęłam się na ziemię, prawie wpadając do wanny. Wczołgałam się na klapę sedesową. Zupełnie nie kontrolowałam swoich ruchów i zachowań.

Co się ze mną dzieje? Co ja tu wyczyniam?

Marcin włamał się do łazienki, przekręcając zamek nożem do masła. Gdy wszedł, ja siedziałam na kibelku poobijana i na wpół przytomna. Cały czas coś burczałam na brata, rzucając gniewnym spojrzeniem. Marcin wetknął mi łyżeczkę z cukrem do buzi, a ja prawie wyplułam go nosem. Po chwili podstawił pod nos talerz z kanapką. Zaczęłam ją

automatycznie przeżuwać, próbując się nią nie zadławić. Nie przyszło mu na myśl, by zamiast jedzenia podać mi odrobinę soku albo czegoś o płynniejszej konsystencji. W końcu był też tak samo małym dzieckiem jak ja.

Siedziałam na tym łazienkowym „fotelu” dobre pół godziny. Z talerzem na kolanach, z kanapką w ręce i z gorzką herbatą na zlewie. Czułam, jak powoli wracała świadomość.

Tamtego ranka obydwój spóźniliśmy się kilka minut na lekcje, ale fortunnie nauczycielka tego nie odnotowała. Brat nie zostawił mnie samej w łazience, choć jeszcze kilka minut wcześniej wyzywałam go od najgorszych.

Nie wiem, jaki wynik miałam, ale po zachowaniu jedno było pewne – glikemia musiała być bardzo niska. Rodzice, gdy wrócili po południu z pracy, zastali dom w nienaruszonym porządku. Piekarnik stał cały, lustro wisiało niezbite. Nasz poranny incydent zachowaliśmy do siebie.

Z tego wszystkiego prawie zapomnieliśmy z Marcinem podać mi insuliny. Gdy rodzice wspólnie mieli poranną zmianę w pracy, brat przeważnie podawał mi rano zastrzyk. Robił to po mistrzowsku. Jedenastoletni chłopczyk. I jako jedyny z rodziny w dość niewygodne miejsce – pod łopatkę. Tam „lubił” najbardziej.

Dostałam zalecenia ze szpitala, by często zmieniać punkty wstrzykiwania insuliny. Moim ulubionym, jak również najlepiej dostępnym, był brzuch oraz pośladek. Ręce zarezerwowała mama. Tata chyba nie miał odwagi na bawienie się w pielęgniarza. Każdy wybrał tutaj swoje ulubione miejsce na moim ciele. Kilka takich polubiłam szczególnie, co doprowadziło później do zrostów od ciągłego podawania insuliny. Tych twardych grudek za nic nie szło zniwelować. Nie pomagało masowanie, o maściach nie słyszeliśmy. Długo też nie wiedziałam, co to są za wypuklenia na ciele. Wydawało mi się początkowo, że przytyłam i urósł mi brzuch. Dopiero po kilku latach, podczas jednego z kolejnych pobytów w szpitalu, pielęgniarka uświadomiła, że mam zrosty. Wy tłumaczyła mi też, że insulina w tych miejscach może wchłaniać się nie tak dobrze, jak powinna. Zalecenie miałam takie, by nie wbijać się w nie więcej. A ja nie wiem czemu, wciąż kułam się właśnie tam. To pewnie tak z automatu, niczym

najlepsza linia produkcyjna.

Zastrzyki, zastrzykami, ale żał mi było Marcina, że musiałam narażać go na stres. Nie tylko spowodowany szprycowaniem mnie, ale wieloma cukrzycowymi incydentami, które razem przeszliśmy. Szczególnie, gdy towarzyszył temu niski cukier. Czasem, bez wyraźnego powodu, stawiałam się bardzo nieprzyjemna. Zdawałam sobie sprawę, że miałam nie przezywać brata od najgorszych. A jednak nie potrafiłam się pohamować. Wiedziałam też, że złożone Bogu obietnice: „poprawy w tej kwestii”, i tak nie przyniosły oczekiwanej nagrody. Miałam nie zachorować, a jednak zachorowałam. Nieuleczalnie.

Później dowiedziałam się, że rozdrażnienie mogło być objawem właśnie hipoglikemii. Nie przypuszczałam, że będzie ono aż tak silne. Równie dobrze mogłabym brata rąbnąć, gdybym tylko była w stanie to zrobić. Natomiast nie miałam ani siły fizycznej, ani umysłowej świadomości. Najbliżsi musieli uzbroić się w wiele cierpliwości do mnie i moich zachowań. Przez to napięcie, towarzyszące przy niskim cukrze, nie chciałam przyjmować od nich pomocy. Wręcz mnie ono drażniło. A ta pomoc była czasem wręcz niezbędna. Ja ją odrzucałam, a oni pozostawali bezradni. O konflikt w takich sytuacjach nie było trudno.

Do cukrzycowego słownika pojęć należało dopisać kolejne słowo: „cierpliwość”.

Zapisałam... Swoją drogą, dużo jeszcze tych wyrazów będzie? Bo cholerstwa stają się coraz bardziej wymagające...

Rozdział dziesiąty

Czyżbym wyzdrowiała?

Rok: 1997

Wiek: 11 lat

Staż cukrzycy: 3 miesiące

Problemy z porannym cukrem nie powstały bez przyczyny. Po niecałych trzech miesiącach od zachorowania dostałam tak zwaną remisję. Moje zapotrzebowanie na insulinę drastycznie spadło. Według zaleceń doktor Mróz nadal miałam brać dwa razy dziennie insulinę, ale dawki były przynajmniej o połowę mniejsze, prawie że minimalne. Po cichu miałam nadzieję, że wyzdrowiałam.

Lipa. Nic z tych rzeczy. W poradni moja „wspaniała” doktorka momentalnie sprowadziła mnie jednak na ziemię. Wyjaśniła to dobitnie, podczas jednej z wizyt.

— Kochaniutka, ty się tak nie ciesz — zaczęła. — Nie wiadomo, ile ta remisja potrwa. U każdego jest to różnie. Może być, ale nie musi. Niewątpliwie, nie potrzebujesz teraz tyle insuliny, ile w momencie zachorowania. Jednak, jak zaczniesz dojrzewać, sporo się zmieni. Dojdą hormony. Powiedz, miesiączkujesz już?

Co ona mi tutaj teraz wyskakuje z jakąś miesiączką? Ja tu mówię o wyzdrowieniu z cukrzycy, a ona mi wciska jakąś kolejną, kobiecą

chorobę. Jak śmie?

Co prawda, wiedziałam, że dziewczynki w klasie zaczynały już miesiączkować. Ja nadal byłam małą dziewczynką. A przynajmniej taką chciałam pozostać.

— Być może będzie taki dzień, gdzie będziesz mogła odstawić insulinę — kontynuowała, jakby zaczęła czytać w moich myślach. — Ale proszę kontrolować cały czas cukier i obserwować, co się dzieje. Całkowicie zdrowa już nie będziesz! — dobiła tym samym, obwieszczając wyrok.

A jednak... Nic się nie myliłam. Ta sędzina w białym fartuszk, jest kompletnie bez serca!

Tak naprawdę, całkowitego odstawienia insuliny się bałam. Mimo wszystko dostałam na to zgodę lekarki, jeśliby zaszła taka potrzeba. Jednak brak jakiejkolwiek nadziei na wyzdrowienie sprawił, że tamtą wizytę oceniłam jako: bezduszną, bezlitosną i oziębłą do temperatury grubo poniżej zera stopni. Nadal twierdziłam, że babsztyl jest w błędzie i minimalne dawki dostrzykiwania tego hormonu potrwią w nieskończoność.

Nic bardziej mylnego.

*

Jak na czerwiec przystało, dzień stawał się powoli coraz dłuższy, a rok szkolny zbliżał do końca. Mogliśmy z Marcinem częściej wychodzić na dwór. Zapotrzebowanie na insulinę wciąż spadało. Zwłaszcza, jak miałam więcej ruchu na świeżym powietrzu. W trwającej remisji, niedocukrzenia miewałam bardzo często, stąd też niechętnie kwapiłam się, by brać się jeszcze za aktywność fizyczną. Po prostu bałam się „zjazdu”, do czego nie przyznawałam się rodzinie. Uznawałam to za wstydlive i mięczackie.

Inną kwestią był fakt, że od momentu zachorowania stawałam się coraz smutniejszym dzieckiem. Niewiele rzeczy mi się chciało i mało też cieszyło. Nic już nie było takie samo, jak przed chorobą. Tę zmianę szybko zauważyli rodzice, ale przede wszystkim brat bliźniak. Często próbował wyciągać mnie do aktywności, co kończyło się odmową.

Któregoś piątku wyszedł z propozycją.

— Ania, idziemy na rower? — zapytał. — Widzę, że Jakub dostał nowego BMX-a. Widziałaś?

— Nie wiem, Marcin... Ja chyba sobie coś poczytam. Nie mam ochoty dziś wychodzić.

— No to może, jak tata będzie jechał na działkę, to pojedziemy z nim? — nalegał, ale bezskutecznie. Próbowałam pozbierać się ze złego samopoczucia po niskim cukrze. Dopiero co odchodziło.

Nasz ogródek działkowy znajdował się na drugim końcu Wrześni. Razem z rodzicami chętnie na niego jeździliśmy rowerami. Zwłaszcza wtedy, gdy na krzakach i drzewach zaczęły pojawiać się owoce. Po zachorowaniu wszystko zdawało się mieć dla mnie jednak inne znaczenie i inną skalę trudności. Wysiłek fizyczny obniżał i tak już niski cukier, a jedzenie owoców z krzaczków go podwyższało. Czasem na tyle, że z hipoglikemii robiła się hiperglikemia.

Słyszałam jednak, jak Marcin w drugim pokoju spierał się o coś z rodzicami. Nie za bardzo wiedziałam, o co chodziło. Pochłonęła mnie książka. Czytanie przerwała mama.

— Aniu — zachęcała — Krysia i Basia bawią się, widzę, na dworze. Andrzej też już ma wyciągnięty rower. Zjesz tylko jabłko i możesz iść z Marcinem chwilę się pobawić.

— Ee... — kiwnęłam niechętnie głową. — Jak już, to może przejechałabym się na działkę, jeśli się wybieracie?

— Nie, dziecko. Dziś nie jedziemy. Mamy jeszcze tyle roboty w kuchni... — wskazała na ugotowane warzywa. — Tata musi pokroić sałatkę na jutro, ja dokończyć sernik. Ale w niedzielę, po imieninach, obiecuję ci, że pojedziemy — dorzuciła, chcąc mi poprawić jakiś humor.

Kolejnego dnia, w sobotę, przypadły imieniny mamy – Alicji. Na ten dzień zostali zaproszeni goście. Nie było ich dużo, co roku ten sam skład: kilkoro znajomych oraz siostra mamy. Ciocia zabierała również syna, który był w tym samym wieku, co ja. Z racji tego, że bardzo lubiłam bawić się chłopcami, to razem z Marcinem nie mogliśmy się doczekać, kiedy zobaczymy kuzyna. Tym razem jednak ani siostra mamy, ani Damian nie przyjechali. Zapowiadał się zatem nudny wieczór przy stole biesiadnym.

— I jak się Ania czuje? — zapytała koleżanka mamy, między jednym, a drugim kotletem. Od razu mi się to nie spodobało.

Nie ma lepszych tematów, niż moja choroba?

Byłam zła i zirytowana, ale odejść od stołu się nie dało. Mieliśmy z Marcinem grzecznie siedzieć i dopiero po skończonym posiłku zapytać, czy możemy pójść do swojego pokoju się pobawić. Tak byliśmy wychowani. Posiłek trwał w najlepsze, choć ja już dawno złożyłam swoje sztucce.

— Jakoś sobie radzimy — odpowiedziała solenizantka tonem lekko niepewnym. — Zresztą lekarka mówiła, że Ania może jeść wszystko, także widzisz, staramy się jej w niczym nie ograniczać — popatrzyła na mój talerz, który ku jej zdziwieniu był ledwo co ubrudzony od jedzenia. Nie miałam apetytu, a już na pewno nastroju na pogaduchy o chorobie.

— Widzisz... — kontynuowała znajoma. — Moja mama też ma cukrzycę, ale ona ma ścisłą dietę. Jej lekarz mówi, że powinna trochę schudnąć, bo faktycznie jest trochę gruba...

— Sugeruje pani, że dostałam cukrzycę, bo jestem gruba? — nie wytrzymałam.

Moja uwaga chyba nie spodobała się mamie, bo krzywo na mnie spojrzała. Zapewne uznała ją za niestosowną. Kobieta jednak wypuściła ją drugim uchem i ciągnęła wywód.

— No i mama nie musi brać żadnych zastrzyków, tylko ma przepisane tabletki. Dziwię się, że Ani ich nie przepisali... Lekarze... — westchnęła z zadumą do samej siebie, po czym zwróciła się tym razem do mnie. — Jaki miałaś dziś rano cukier, Aniu?

— 232 — wycedziłam, paląc przy tym dużego buraka. Doskonale wiedziałam, że zaraz czeka mnie publiczna obelga. Nie myliłam się.

— Jezus Maria! — wykrzyknęła, niemal dławiąc się kotletem. — Dziecko, jak możesz tak o sobie nie dbać? Mama w życiu nie miała tak dużego cukru. No dobrze, raz – 170, ale to przez to, że zjadła cały pucharek lodów. I na dodatek z bitą śmietaną. Mówiłam, że to się źle skończy. Nie posłuchała i proszę – 170 miała od razu. Ale żeby mieć tak jak ty, ponad 200...?

O nie! Dość! Nie mam zamiaru już dłużej słuchać bzdur tej głupiej

kobiety. Czy ona nie wie, że ja choruję na inną cukrzycę i muszę brać insulinę, a nie jakieś tam tabletki?! No chyba, że w szpitalu mi nie powiedzieli, że jednak mogę je brać i będzie to samo. Ale to byłoby dziwne, gdyby jednym kazali, a drudzy musieli się dźgać... a poza tym moja waga była i jest OK, więc co ona tu gada o jakiś grubasach? Z tym to już na dobre przesadziła...

— Mamusiu, możemy odejść od stołu i się pobawić? — zapytałam na ucho, mając nadzieję, że mama oszczędzi mi kolejnych minut wysłuchiwania tych bujd.

— Dobrze, idźcie — jakby wyczuła mój gniew. — Jak zrobimy kawę i ciasto, to was zawołamy.

— No ale Ani chyba nie będziesz go dawać? — zauważyła tym razem druga z biesiadniczek. Pewnie wystraszyła się konsekwencji po wspomnianej przez poprzedniczkę porcji lodów.

— Czy ja wiem...? — mama poparzyła na nią niepewnie. — Kawalek sernika spróbuje.

Choćbym miała cukier i 300, to zjem ten sernik na oczach tych wścibskich, maminyh koleżaneczek! Nie mam zamiaru przyglądać się, jak one smacznie palaszują. A ja co? Udowodnię im, że mogę. Zresztą, na moje boczki mi on nie zaszkodzi, a na ich miejscu byłabym nieco ostrożniejsza...

A tymczasem grzecznie, jeszcze przed imieninowym sernikiem, uciekliśmy razem z bratem do pokoju.

— Ale masakra! — rzucił się na kanapę Marcin. — Myślałem, że tam skonam przy tym stole... Szkoda, że nie ma w tym roku Damiana. Pogralibyśmy razem w Eurobiznes.

— No... Albo pobawilibyśmy się w „bazę” — dorzuciłam pomysłem.

Była to nasza ulubiona, wojskowa zabawa, w której małymi, plastikowymi pamperkami układaliśmy strategię wojenne. Często kładliśmy na podłodze koce, tworząc wielkie pole bitwy. Nagle Marcin wypalił:

— Ostatnio widziałem z mamą wielki czołg z klocków, jak ci kupowałem Poniu...

Nie dokończył zdania, za to ugryzł się w język.

— O nie! — rozpaczliwie krzyknął. — Miałem ci nie mówić! Wydałem się...

— Co mi kupiłeś, no powiedz, powiedz! Proszę! — podchwyciłam.

— Nie no, to miała być niespodzianka! — lamentował, wiedząc, że moje imieniny będą dopiero za miesiąc. Prezent był spalony. A mi to nie przeszkadzało. Ciekawość brała górę.

— Ale niespodzianki już nie ma. To co dostanę?

— Teraz, jak już ci powiedziałem, że dostaniesz nowego Poniusia, to już wszystko popsulem — Marcin wyglądał wciąż na załamanego. Zwłaszcza, że prezent finansował ze swojego kieszonkowego. Wiedziałam, że wybierał go z wielką starannością.

— Nie popsuleś — pocieszyłam szybko brata. — Możesz mi go dać dzisiaj — ucieszyłam się.

Zawahał się, po czym chwilę pomyślał i wyszedł z pokoju. Domyślałam się już dawno, że coś dla mnie szykuje. Kiedyś, jak pojechaliśmy razem do miasta do księgarni, kazał mi poczekać przed jednym ze sklepów. Po chwili wyszedł z papierową, małą torebką, w której był mój nowy pluszak.

— Proszę, siostra! — podszedł do mnie i wręczył mi właśnie tę torebkę. Nie mieliśmy w zwyczaju się obściskować. Marcin był raczej mało wylewnym w uczucia chłopcem. — Co prawda, z falstartem, ale wszystkiego najlepszego z okazji imienin.

— Dziękuję — odpowiedziałam mechanicznie, po czym dobrałam się do papierowej torby.

Wyciągnęłam małego, pluszowego pieska. Piękny, beżowo-biały kolorek na futerku, czarne, długie uszy i wielkie, a jednak tak malutkie, czerwone serduszko. Od razu zakochałam się w nim po uszy.

— Jest przepiękny! — aż podskoczyłam z radości. — Dziękuję! A co zrobisz z Poniusiem?

— Poniusz jest duży. Teraz, jak będziesz gdzieś jechała, choćby do szpitala, to będziesz mogła tego nowego zawsze ze sobą zabrać. Przynajmniej jest malutki.

Faktycznie, był dużo mniejszy niż poprzedni dalmatyńczyk. Mieścił się w moich dwóch małych dłoniach.

— Jak mam go nazwać? — zastanawiałam się głośno. — Może

Pieniuś?

Od razu przypasowała mi do niego ta nazwa. Wszystkie moje pluszaki zaczynały się na literę „P”.

— Dzieci, idziecie? — zawołała w drzwiach mama.

— Mamusiu, zobacz, jakiego pięknego pieska dostałam. To już prezent na imieniny, bo Marcin się właśnie wydał — uśmiechnęłam się do brata. Nie wyglądał już na tak naburmuszonego. — Powiedział, że ma dla mnie Poniusia. A to jest Pieniuś!

— Cześć, Pieniuś! — przywitała się z psiakiem mama. — To teraz będziesz mogła go wszędzie zabierać, co? A teraz wróćcie do stołu. Jest już ciasto.

Wzięłam Pieniusia za łapkę i poszliśmy razem na kawałek obiecanego sernika. Pulchnego, puszystego i słodkiego. Koleżanki mamy tylko kręciły na nas nosem. Na nas, bo w końcu bronił mnie nowy przyjaciel, którego nie chciałam puścić z objęć. Popatrzyłam na jego niewinny pyszczek.

Mój słodki Pieniuś! Twoja nowa mamusia będzie o ciebie dbać, a ty będziesz dbał o mnie. I będziemy zawsze razem. Jak będziesz chciał, to mogę cię nawet zabrać do grobu. Ale to tylko, jak będziesz chciał, dobrze?

I mój przyszły mąż (o ile w ogóle kiedyś za kogoś wyjdę) pochowa mnie razem z tobą! Nie, fuj! Co ja gadam!? Nie chcę mieć żadnego męża! Z chłopakami to co najwyżej mogę pokopać piłkę. Ty mi wystarczysz i tylko ty!

Od tamtego momentu nie rozstawałam się z Pieniusiem. Towarzyszył mi we wszystkich szpitalnych turnusach, wyjazdach klasowych czy orkiestrowych. Rówieśnicy z orkiestry dętej, w której grałam od roku, dziwili się, jak ja mogę tak bardzo kochać tego pieska. Był dla mnie całym światem. Wszystkie uczucia radości, szczęścia, a także bólu i cierpienia przelewałam na niego. Tylko on tak naprawdę „wiedział”, co dobrego i złego się ze mną dzieje. Marcin, jakby wyczuł, że potrzebuję takiego małego przyjaciela. Oczywiście, później nieraz wyżywał się na nim, gdy nie dogadywaliśmy się między sobą. Jak to w rodzeństwie bywało. W chwili wściekłości, w trymiga zapominał, że chciał mi sprawić radość tym prezentem. Wieszał go za główkę na

sznurku lub wkładał na pół dnia do zamrażarki. Takie dziecięce wyzwanie się na siostrze. Mnie natomiast nigdy bezpośrednio nie skrzywdził. Wiedział jednak, jak bardzo jestem z Pieniusiem związana i tak próbował słodkiej zemsty. Na zwykłym, szmacianym piesku. Piesku, który przyrzekałam, że będzie ze mną do grobowej deski.

Pieniuś i ja nie zostaliśmy jednak sami, tak, jak to sobie wyobrażaliśmy. Moja cukrzyca wróciła do mnie po kilku miesiącach, dokładnie z taką samą siłą, jak była na początku. Remisja przeminęła i cukry rosły. Znowu trzeba było zwiększyć dawki insuliny i pogodzić się z faktem, że jednak nie wyzdrowiałam.

Do wysokich glikemii przyczyniły się również wizyty na działce i jedzone owoce. Smakowały mi, więc je jadałam. Uwielbialiśmy z Marciem wyjadać środek od agrestu i rzucać się skórkami. A już najlepiej, jak wycelowało się prosto w twarz. Świeżo wyciśnięty owoc ze skórki, jeszcze obśliniony, po prostu musiał lądować na naszych buziach. Taka była misja i ubaw po pachy. Te działkowe zabawy choć na chwilę przywracały moją dawną radość życia. Tylko na chwilę. Podczas wieczornego pomiaru glikemii nie było mi już tak do śmiechu, gdy widziałam wysoki wynik na glukometrze. Często ponad 200 mg/dl, a nawet 300 mg/dl. Częściej i tak cukru nie mierzyłam, bo nie było takich zaleceń.

Od marca tamtego roku tak wiele zmieniło się w moim życiu. Pogodna Ania, jakby trochę przygasła. Rodzice myśleli początkowo, że to przez wiek dojrzewania, ale z czasem, obserwując moje zmagania z cukrzycą, zaczęli poddawać to w wątpliwość. Nie byłam już tak spontanicznym i beztroskim dzieckiem, jak kiedyś.

Jako rodzina musieliśmy sporo rzeczy zmienić. Również w diecie. Ale rodzice i tak byli przychylni i nie zabraniali jeść „zakazanych” produktów. Pozwalałam sobie od czasu do czasu na małe co nieco. Choć przeważnie takie słodkie grzeszki nie najlepiej się dla mnie kończyły. Nie wiedzieliśmy, jak mamy takie dodatkowe łakocie potraktować w cukrzycowym harmonogramie. W końcu, insulinę podawałam rano i jej czas działania rozkładał się na większą część dnia. Drugi zastrzyk dostawałam dopiero wieczorem i ten starczał na nockę. Dlatego też, ekstra posiłki były bardzo trudne w utrzymaniu odpowiedniego poziomu

cukru. Nie mogłam, ot tak, zerwać papierówki z drzewa i bezkarnie zjeść. Wszystko musiało być odpowiednio, cukrzycowo zaplanowane i obliczone. Z reguły wołałam takich bonusów, dla świętego spokoju i lepszego samopoczucia, po prostu unikać. Ale towarzyszyło temu ogromne poczucie niesprawiedliwości. Czasami w chwilach, gdy inni pałaszowali ciasto, zupełnie nie zastanawiając się, czy mogą, czy nie, ja obiecywałam sobie jedno – kiedyś kupię sobie całą paczkę ciastek HIT i je wszystkie zjem. Na raz!

Ten absurdalny pomysł długi czas chodził mi po głowie. I zrealizowałam go dopiero w dorosłości, kończąc na wysokim cukrze i wyrzutach sumienia z nadmiernego spożycia kalorii. Szybko przestałam kontrolować ilość spożywanego jedzenia, co przerodziło się w inne zaburzenie odżywiania. Bo we wszystkim ważny jest umiar i rozsądek. Wiedziałam to, w teorii. Nawyk kazał mi sięgać jednak po kolejne, i kolejne, i kolejne produkty. Bez kontroli, bez słowa – stop, i bez zastanowienia się, czemu jem, choć głodna wcale nie jestem. Utrzymanie przy tym stabilnych wartości glikemii było wręcz niemożliwe. Musiałam więc powalczyć i przerwać ten niebezpieczny mechanizm. Nie tylko przez wzgląd na cukrzycę, ale przede wszystkim na zaburzoną głowę.

Rozdział jedenasty

Gimbowa, doszprycowana rakietą

Rok: 2000

Wiek: 14 lat

Staż cukrzycy: 3 lata

Byłam pierwszym rocznikiem, który został objęty nową reformą oświaty. Po skończeniu szóstej klasy, przyszła pora pójść do gimnazjum. Oznaczało to również zmianę szkoły, do której trafiła ponad połowa Wrześni oraz dzieci z okolicznych wsi. Nowa szkoła oznaczała też pojawienie się delikatnego stresu i napięcia. Najbardziej bałam się, że dyrektorstwo podzieli naszą klasę i nie będę miała Marcina. Tak się jednak nie stało i od pierwszego września usiadłam razem z bliźniakiem w tej samej ławce. Początkowo rodzice chcieli nas rozdzielić, żebyśmy trafili do osobnych klas, ostatecznie rodzicielska troska o mnie pozostała. Cukrzyca odegrała tutaj spore znaczenie. Cieszyłam się, ponieważ nie bardzo wyobrażałam sobie, jak poradzę sobie bez brata, ale nie pod względem choroby. Tutaj szło mi dość dobrze. Chodziło o pomoc w nauce. Pomimo tego, że byliśmy mocno zżyci, to już coraz częściej chodziliśmy swoimi ścieżkami. Było widać też dużą różnicę w zainteresowaniach. Dla mnie liczył się sport i przedmioty humanistyczne, dla Marcina zdecydowanie przedmioty ścisłe. Nadal

często korzystałam z jego rad i wiedzy matematycznej. Miałam wrażenie, że od momentu zachorowania na cukrzycę, brat chętniej pomagał mi w lekcjach i nie robił już fochów typu „musisz sobie sama radzić”.

Za to niewątpliwie coraz bardziej samodzielna stawiałam się w temacie cukrzycy. Domownicy rzadziej dawali mi też zastrzyki. Czasem wygodniej i szybciej było mi zrobić je samej. Posłusznie stosowałam się do zaleceń lekarki i naprawdę rzadko kiedy narzekałam na tę chorobę i swój los. Nie użalałam się, jak bardzo niesprawiedliwie się z tym czuję, że zachorowałam. Ani razu też nie chciałam, by cukrzyca miała dawać mi jakieś szkolne przywileje. Na WF-ie ćwiczyłam normalnie, na przerwach jadłam śniadania razem z innymi, brałam też udział w zawodach sportowych czy wycieczkach szkolnych. Rodzice byli spokojni o mnie w szkole, bo zawsze u boku miałam Marcina. Nigdy jednak nie prosiłam go o ratunek, gdy spadł mi cukier. Byłam samowystarczalna. Brat nawet często o tym nie wiedział. Moje spadki glikemii również się unormowały. Nie traciłam już tak kontroli nad ciałem i zachowaniem. Nadal jednak czułam się słaba i rozbita przy niskim cukrze.

W moim roczniku, który liczył ponad czterystu uczniów, nikt, poza mną, nie chorował na cukrzycę typu 1. Wtedy miałam wrażenie, że tylko ja jedyna we Wrześni na nią choruję. Szkolni koledzy nadal chyba nie wiedzieli, że mam cukrzycę. Nie dawałam po sobie tego poznać. Można powiedzieć, że kryłam się z nią. Mama porozmawiała oczywiście z nową wychowawczynią o moim problemie. Nauczycielka była lekko przerażona, bo nie rozumiała, na czym ta choroba polega, i jak można mi pomóc w razie zasłabnięcia czy gorszego samopoczucia. Naprawdę mało mówiło się wtedy o cukrzycy, a jeszcze mniej wiedziano.

Jednak nie tylko w edukacji szkolnej czekały na mnie zmiany.

— Zapraszam — otworzyła drzwi do gabinetu „ulubiona” diabetolog. Niech sobie pani usiądzie — wskazała na krzesło mamie.

Standardzik, jak zawsze mnie nie zauważyła. Czy to, do diabła, moja matka choruje czy ja?

— Widzę, że hemoglobina glikowana nawet całkiem niezła: 6,8%

— zaczęła błyskotliwie, jakby te cyferki wyczytała z mojego czoła. A przed nią leżała kartka z podanym na tacy wynikiem.

— Ostatnio Ania bardzo się stresowała, między innymi zmianą szkoły, więc to chyba wyjątkowo dlatego ten wyższy wynik — wyjaśniała moja adwokat.

Lekarka milczała, a mi to stwierdzenie mamy nie do końca się spodobало.

Co ona gada? Przecież nie mam takich super cukrów... No chyba, że dzisiejsze, ranne 266 uznaje za dobry wynik? A to przecież kosmiczny wynik!

— Norma powinna być chyba nieco niższa, pani doktor, prawda? — dopytała.

Lekarka odchrząknęła, przewracając oczami.

— Pani Miśkiewicz, na oddziale pacjenci potrafią mieć nawet i powyżej 10%. Jak na wynik z trzech ostatnich miesięcy, i mówi pani delikatny stres w związku ze zmianą szkoły, to może się pani z niego cieszyć.

Cieszyć z wyniku, czy ze mnie? Ale zaraz, zaraz. Cięcie! Stop klatka! Kamery – proszę uwiecznić tę chwilę. Czyżby szanowna pani doktor Mróz mnie właśnie pochwaliła, że dobrze się prowadzę?

Słowa lekarki nie przekonały jednak mamy. Nadal miała sporo wątpliwości i zarzutów. Odniosłam początkowo wrażenie, że do mnie.

— Ale Ania ma ostatnio dość duże te wahania glikemii. Mierzymy cukier trzy razy dziennie, czasami nawet cztery. I widzi pani, raz budzi się z cukrem 65, a tu na przykład dziś rano jest 266 — wskazała palcem.

— Proszę podać mi ten dzienniczek.

Wyciągnęła z torebki zeszyt.

Poczułam się przez chwilę jak w szkole: „Proszę wyciągnąć karteczki – kartkóweczka!”. Tylko, że mnie i tak tam nikt nie widział i o nic nie pytał. Stałam więc cicho i przysłuchiwałam się kobietom.

— A ja nie widzę, że mierzy cztery razy. Proszę — zaznaczyła długopisem — tutaj są tylko dwa zapisy. A co w tym czasie jadła, ile piła? — rzuciła groźnym spojrzeniem w kierunku mamy, oczekując wyjaśnień. — To jak ja mam wam później pomóc?

Mama spuściła głowę. Ja zresztą też. Nie mogłam tego pojąć, po co

ta cała afera.

Ciągle tej kobiecie coś się nie podoba, wciąż ma o coś pretensję, czegoś wymaga. Nie dość, że ma tu zapisane wyniki, to jeszcze chce dokładnie wszystko wiedzieć: co, jak, gdzie, o której...

Jej ton sprawił, że wyobraźnia wyгнаła mnie do komisariatu. Przyszedł czas na tłumaczenia z występuku. A ja oczekiwałam od niej, że jako lekarka, ma mi pomóc, a nie przesłuchiwać. Szczerze tej policjantki w tym momencie nie cierpiałam.

— Paski macie? — zapytała szorstko po chwili.

— Mamy — odpowiedziała zbitym tonem mama.

Z dostępnością pasków zrobiło się nieco lepiej. Cena może nieznacznie spadła, ale w domu rodzice zawsze starali się, żebym je miała i mogła te trzy razy dziennie zmierzyć cukier. Choć nie lubiłam tego reżimu kontroli, to tutaj wymówki nie było – trzeba było codziennie badać poziom glikemii. I najbardziej mozolne dla mnie zadanie – zapisywać wynik w zeszycie.

— Proszę mierzyć częściej — znowu bezosobowe wydanie rozkazu. — Zmienimy też insulinę.

— Insulinę? — podchwyciłam zdziwiona.

— Tak — zauważyła mnie doktorka. — Rano i wieczorem przyjmiesz jedną insulinę, dodatkowo w południe inną. Pielęgniarka na oddziale wyda dodatkowe pen do insuliny.

— A my sobie z tym poradzimy, pani doktor? Nie musi Ania trafić na oddział?

Spanikowałam.

Co takiego? Na jaki oddział? Tylko nie to...

— Nie widzę takiej potrzeby, pani Miśkiewicz. Tutaj zapiszę dawkowanie, za dwa tygodnie proszę przyjechać na kontrolę. I proszę też przynajmniej cztery razy dziennie mierzyć poziom glikemii: na czczo, w południe, po południu i na wieczór.

Odetchnęłam z ulgą, że nie wyląduje w szpitalu. O zwiększonej ilości pomiarów i zastrzyków w tym momencie nie myślałam. Zdziwiłam się jednak, że są różne odmiany insuliny. Mama podała lekarce niebieską książeczkę, w której zapisała nowe wytyczne. Pochwalnych notatek, rzecz jasna, nie naniiosła.

Udałyśmy się zatem do szpitala po obiecanego pena. W jadalni dzieciaki zjadały obiadowe „specjały”. Od razu ucieszyłam się, że nie będę musiała się razem z nimi męczyć. Już sam ten obiadowy zapach powodował, że chciałam stamtąd jak najszybciej uciec. Na korytarzu czekało kilka pań, aż ich pociechy skończą posiłek. Wyglądały na smutne. Dwie z nich trzymały na kolanach tę grubą książkę z informacjami o cukrzycy. Ja też na widok tych kobiet posmutniałam. Stanęłam dwa metry dalej i zaczęłam im się przyglądać.

Biedne... To pewnie świeże zachorowania ich dzieci. Wyglądają na takie przestraszone. Jakbym widziała moją mamę trzy lata temu... Też tu tak siedziała, brała urlop, kombinowała ze zmianami, żeby tylko ze mną tu być...

Ocknęłam się z zadumy, kiedy usłyszałam wołanie mamy. Czekala przed zabiegowym.

W środku przywitała nas moja ulubiona pielęgniarka. Poznała mnie. Jej widok od razu trochę pocieszył. W przeciwieństwie do tamtych matek na korytarzu tryskała dobrym humorem. Pomyślałam, że pewnie już przyzwyczaiła się do tej panującej w szpitalu traumy.

— Masz, Aniu — z uśmiechem na twarzy wręczyła pena i kilka gratisowych igieł, po czym zobaczyła moje zachwianie i dodała — w razie, jakbyś potrzebowała. Pewnie ci się przydadzą.

— Ale nie trzeba — wtrąciła się mama. — Może będziecie potrzebować na oddziale?

— Niech pani bierze! Co prawda, to tylko parę igiełek, ale zawsze coś. Skandalicznym jest fakt wydawania przez apteki tylko jednej igły na całą fiolkę. Zwłaszcza, że córka robi nią kilkadziesiąt zastrzyków.

Mama grzecznie przytaknęła i zgarnęła podarunek. Swoją drogą, zaczęłam się też zastanawiać, kiedy ostatnio zmieniłam igłę w nakłuwaczu. Czasami faktycznie po ukłuciu bolały mnie opuszki palców. Igła była z pewnością stępiona. Nie był to jednak ten sam ból, co podczas pobytu w szpitalu, gdzie z sinymi i obolałymi opuszkami wracałam do domu.

Zmianę na większą ilość zastrzyków i pomiarów odczułam dość wyraźnie. Zaczął się okres jeszcze większej kontroli, od której też chciałam czasem odetchnąć. Odpoczynek przychodził w niedzielę,

kiedy zazwyczaj mieliśmy labę. Każdy z domowników robił, co chciał. W szkole na najbliższe dni nauczyciele nie zapowiedzieli żadnych sprawdzianów, także i mnie należała się chwila relaksu. Przynajmniej od szkoły, bo od cukrzycy niekoniecznie.

— Dziś was zaskoczę — zwróciłam się do domowników. — Przygotuję dla was niespodziankę na kolację.

— A co to będzie? Bo twój braciszek już by coś chętnie skosztował — podłapał Piotrek, który zjechał na weekend do domu.

— Zrobię chrupiące bagietki z masłem, topionym serem, szynką, oregano i świeżym szczypiorkiem. Pasuje?

— Mm... To dalej, dalej, siostrzyczka! Szoruj do kuchni, bo już mi ślinka cieknie.

Za bardzo nie lubiłam gotować ani przyrządzać posiłków, ale sprawienie komuś przyjemności, szczególnie starszemu bratu, motywowało mnie, abym przygotowała coś specjalnego. Zamiast siedzieć na kanapie, wołałam się ruszyć i coś porobić.

Poza tym lubiłam mieć podgląd nad zjadanymi posiłkami. Zaczęłam zwracać uwagę na to, co i ile jem. Tendencję miałam do ich redukcji. Kiedy przygotowywałam je sama, mogłam jeszcze lepiej kontrolować objętość porcji. Wtedy nic „złego” nie mogło mnie spotkać. Dokładnie wiedziałam, jak bardzo są kaloryczne, ile masła nakładałam na kanapkę, które z nich będą z grubiej pokrojonym na desce serem, a które mniej.

— Pyszne! — pogłaskał się pod brzuchu Piotr, próbując się zapewne podlizać. — Masz tam jeszcze jakąś dla brata?

— To już ostatnie dwie — zakomunikowałam, patrząc na leżące dwie kanapki na stole. W kuchni, poza zostawionym bałaganem, nic więcej nie było. — Marcin, czy ty też będziesz chciał jeszcze zjeść? — dopytałam, kiedy zauważyłam, że już się na jedną z nich czai.

— Pewnie, że tak. Muszę poprzeć brata, bo serio, wyszły ci bardzo dobre. A ty chociaż coś zjadłaś? — spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Tak, zjadałam. Mama potwierdzi — zerknęłam na nią, szukając poparcia.

— A nawet nie patrzyłam, Aniu. Tak nam z tatą smakowały, że aż nam się uszy trzęsły. Zjadłaś, tak? — dopytała po chwili. — Pamiętaj, że jutro masz zawody, także powinnaś się dobrze najieść.

Przytaknęłam. Wsunęłam braciom na talerze pozostałe dwie bagietki i zabrałam się za sprzątanie. Wolałam, by to oni je skonsumowali. Tak apetycznie jedli. Mi musiała wystarczyć tylko jedna, mała skibka. Czułam się nawet najedzona.

Przynajmniej nie będę biegła z takim napchanym żołądkiem. Rachciach posprzątać, to jeszcze zdążę przed jutrzejszymi zawodami trochę wypocząć.

*

Rok: 2000

Wiek: 14 lat

Staż cukrzycy: 3 lata

W nowej szkole mój talent sportowy od razu wychwycili wuefiści. Zresztą nie było o to trudno, ponieważ na każdych zajęciach kończyłam rywalizację z najlepszym wynikiem w klasie. Szczególnie mocne miałam nogi, także najpewniej czułam się w biegach długodystansowych. Powoływali mnie również chętnie do innych dyscyplin, nawet do drużyny koszykarskiej, mimo że byłam niską dziewczynką. Tutaj jednak wygrywałam zwinnością i naprawdę dobrą kondycją.

Zaplanowane zawody w powiatowych biegach odbyły się zaraz na początku roku szkolnego. Dystans był dość długi – tysiąc metrów, co mi w ogóle nie przeszkadzało. Im dłuższy, tym lepiej się na nim czułam. Nigdy dotąd nie startowałam jednak z tyloma rywalkami na raz. Na starcie stanęło około pięćdziesiąt dziewcząt z różnych szkół, ale wszystkie z tego samego rocznika. Zawody odbywały się w końcu września, ale w powietrzu nadal czuło się lato. Lubiłam ciepło, więc było ono moim kolejnym sprzymierzeńcem.

Stanęłyśmy do startu i po chwili sędzia dał sygnał:

— Do startu, gotowe, start!

Bardzo dobrze znałam park, w którym biegłyśmy. Często

chodziliśmy tutaj na spacer z rodzicami lub bawiliśmy się z sąsiadami z bloku.

Od początku biegu znalazłam się na samym początku stawki. Za plecami usłyszałam, jak jedna z rywalek pokrzykuje na drugą.

— Ej, uważaj!

Jak na taką liczbę uczestniczek, alejki w parku zdawały się być dość wąskie. Ja nie przejmowałam się tym, co dzieje się dookoła. Biegłam, ile sił w nogach, przed siebie. Na drzewach organizatorzy rozwiesili kartki ze strzałkami. To dobrze, bo w pewnym momencie zorientowałam się, że nie mam żadnej zawodniczki przed sobą i nie wiedziałam, w którym kierunku biec. Wbiegłam na jedno z okrążeń wokół stawku. W tym miejscu nie rośło za dużo drzew, stąd od razu poczułam, jak uderza mnie fala gorąca.

— Ania, dawaj, dawaj! — usłyszałam chłopięcy głos. — Już nie daleko, jesteś druga!

Spojrzałam kątem oka, skąd dobiega głos. Oślepiły mnie promienie słońca, ale zdawało mi się, że to chyba podbiegł kolega z klasy, który przed chwilą skończył rywalizację w swojej kategorii.

Druga? Dobrze usłyszałam? Ale jak ja mam się jeszcze bardziej pośpieszyć, jak moje nogi są już jak z waty...!?

W pewnej chwili przestałam czuć mięśnie nóg. Może to przez ten upał, może byłam już trochę odwodniona? Poczułam też pragnienie, więc przez myśl przebiegały cyferki z za wysokim cukrem. Do mety pozostało już niespełna trzysta metrów. Znajdowała się ona na dole niewielkiego wzniesienia. Jak na naszą płaską Wielkopolskę, to i tak spory pagórek.

Teraz powinno być już lepiej, w końcu będzie z góry.

Nie było. Nogi ledwo niosły, a serce waliło tak mocno, że miałam wrażenie, że zaraz wyskoczy przez gardło. Z trudem łapałam oddech.

— Ania, Ania, biegnij! — usłyszałam głos trenera.

Rywalki, która biegła na pierwszym miejscu, nie widziałam. Widziałam za to tylko metę. Przestraszyłam się, że nie trafię w miejsce czerwono-białej taśmy, tam, gdzie zrobili końcówkę trasy. Bramka ta miała może metr szerokości i pięć metrów długości. Wleciałam bezwładnie. Ktoś chwycił mnie za ramię, by przesunąć do przodu. Dwie

sekundy później wbiegła wprost na moje plecy trzecia zawodniczka. Siłą rozpędu prawie mnie przewróciła. Rozepchnęłam się szerzej, żeby czasami mnie nie ominęła. W końcu w bramkę wbiegłam przed nią. Poczułam jej ciężki oddech na plecach, co świadczyło o potwornym zmęczeniu. Ze mną było nic nie lepiej. Czułam, że jakbym tam teraz usiadła, to bym już chyba nie wstała.

Zaraz za metą podszedł Jakub.

— Gratuluję! A nie mówiłem, że jesteś druga? I dobiegłaś to!

— Aa... Kuba, to byłeś ty — spojrzałam miło na kolegę. — Słyszałam na trasie, że ktoś krzyczy, ale przez to słońce nie byłam pewna kto. Dzięki. Choć końcówkę biegu to chyba musiałam przejść, skoro już tutaj jesteś? — zażartowałam.

— Ładnie to pobiegłaś! Idź po odbiór dyplomu.

Faktycznie, dyplomy już rozdawali. Nie było żadnych oficjalnych ceremonii, żadnych medali i żadnych hymnów typu: „We are the champions”. Musiałam zadowolić się małym uznaniem w formacie kartki A5 i uściskiem dłoni zadowolonego wuefisty i organizatorów.

„II miejsce

w powiatowych biegach przełajowych

na 1000 metrów

DLA

ANNY MIŚKIEWICZ

Września, 28.09.2000 r.”

— Brawo, Ania! Dobrze się spisałaś! W szkole będziesz miała się czym pochwalić! — pogratulował dumnie opiekun.

Usiadłam na trawie, nadal mocno zziębnięta. Wzięłam kilka głębokich wdechów, by uspokoić oddech. Chyba dopiero wtedy dotarło do mnie, że właśnie odniosłam największy sportowy sukces.

Teraz mogę sobie tutaj posiedzieć nawet do wieczora... Ale chociaż zmierzę sobie cukier.

Chwyciłam plecak, który zostawiłam pod drzewem. Wynik pokazał 302 mg/dl. Bardzo dużo.

Może to dlatego chciało mi się tak pić? Tylko skąd mam dziś taki duży cukier? Przecież nic prawie od wczorajszej kolacji nie jadłam...

Nie miałam wtedy bladego pojęcia, jak różne rodzaje wysiłku fizycznego wpływają na glikemię. Nic się na ten temat nie mówiło, że spokojny wysiłek tlenowy, może powodować spadek, a beztlenowy, gdzie ze zmęczenia ledwo łapałam powietrze, wzrost glikemii. W większości przypadków, kiedy poszłam na dwór delikatnie potruchać lub pojeździć na rowerze, rzeczywiście odczuwałam spadki cukru. Przy porządnej zadyszce było wręcz odwrotnie. Chorowałam już trzy lata, a tak dużo jeszcze nie wiedziałam o chorobie. Moim celem było tylko bieganie. Wprawdzie, zauważałam czasem kiepskie wyniki na glukometrze po wysiłku fizycznym, ale nawet nie miałam z kim o tym problemie porozmawiać. A już na pewno nie z grubiańską panią doktor.

Co ona mogła zresztą wiedzieć o sporcie w cukrzycy z tymi wielkimi czterema literami?

Często tak ją niesprawiedliwie osądzałam. Być może dlatego, że była dla mnie taka ostra. Choć tak naprawdę nigdy nie dałam jej szansy, aby coś mi wyjaśniła. Mogłam tylko ten kiepski wynik zapisać w zeszycie. Często było mi głupio lub się wstydziłam, że jego poziom był tak wysoki, więc świadomie go zaniżałam. Wszystko po to, by doktorka na mnie nie krzyczała, lub żeby rodzice krzywo nie patrzyli. Bałam się, że zabronią mi uprawiania sportu, a tego bym nie zniosła.

Tego zapisywania wyników w zeszycie szczerze nienawidziłam. Może i na początku choroby byłam bardziej zmotywowana i notowałam sporo rzeczy. Również tych dodatkowych, choćby przeziębieniu, czy rozebraną na składniki pierwsze porcją makaronu z sosem. Tak już po trzech latach chorowania, poziom motywacji nieco spadł. Nieraz bazgrałam tam poziomy glikemii wyssane z palca. Ale chyba nie byłam w tym taka odosobniona, bo raz przyłapałam dziewczynę, może dwa lata starszą, która przed wizytą u doktor M., na kolanie w toalecie wpisywała cyferki. Także choć moich wyników nie było zbyt dużo, starałam się z reguły chociaż nie oszukiwać. Przekręty oczywiście się zdarzały.

Za to o żadnym przekręcie, w związku z zajęciem II miejsca w biegach w powiecie, nie było mowy. Wywalczyłam przepustkę na zawody wojewódzkie. Zawody, które mogły skończyć się dla mnie naprawdę tragicznie.

Do Kalisza pojechaliśmy szkolnym autokarem. Razem ze mną do zawodów zakwalifikowała się również trójka koleżanek z rocznika oraz piątka chłopców. W tym również Jakub. Cieszyłam się, bo w ostatnich zawodach był takim moim aniołem stróżem, który dopingował na trasie, mimo swojego wcześniejszego zmęczenia.

Jak to na połowę października niestety przysłało, o upałach już dawno zapomnieliśmy. Z nieba leciała nawet drobna mżawka. Gdy dotarliśmy na miejsce zbiórki, parking był już pełen innych autokarów oraz samochodów. Impreza zdawała się być ogromna. Rozejrzeliśmy się z trenerem, gdzie jest linia startu biegu, aby zapoznać się z trasą. Do przebiegnięcia mieliśmy osiemset metrów, także ciut mniej niż na zawodach powiatowych. Zobaczyłam duże zgrupowanie na boisku od piłki nożnej. Pomyślałam, że to właśnie tam jest start.

Nie myliłam się. Do rywalizacji ustawiały się już dzieciaczki z młodszych roczników. Było bardzo głośno, bo nie dość, że z głośników dobiegała hałaśliwa muzyka, to jeszcze ze stadionu niósł się wyraźny doping kibiców. Dzieciaki wystartowały. Mimo lekkiej mżawki i tak uniósł się tabun kurzu. Wyglądały jak stado hien, które biegną w jeden punkt, by dopaść swoją ofiarę. Tym punktem było zwężenie, dokładnie po drugiej stronie boiska. Wyglądało to przerażająco – wszystkie na komendę „start” ruszyły w te wąskie przejście. Na ten widok od razu serce podskoczyło mi do gardła.

O mój Boże, jak one się tam o siebie nie zabiją, to będzie cud...

Poczułam ścisk w żołądku, a jednocześnie byłam tym całym sportowym widowiskiem bardzo podekscytowana.

— No dobra, drużyno, podejdźcie proszę — trener zebrał nas z dala od tego zgiełku. — Wy, dziewczyny, startujecie jako pierwsze, o 11:00. Chłopacy proszę, żebyście się nie rozchodzili. Biegniecie zaraz po dziewczynach, ale to jeszcze muszę potwierdzić.

— Ile jest dziewczyn w naszej kategorii? — dopytałam w nadziei, że nie będzie nas tak dużo, jak przed chwilą widziałam w młodszych rocznikach.

— Z tego co zauważyłem, to dużo. Ciężko mi powiedzieć, może sto do stu pięćdziesięciu osób. Musicie zatem dobrze i piorunem ruszyć.

Widzieliście te zwężenie na końcu boiska, prawda? Trzeba tam dobiec jako jedno z pierwszych, w innym przypadku może się tam zakorkować i rywalki uciekną.

Słowa trenera wcale mnie nie uspokoiły.

Przecież to się nie mogło udać. Tyle dziewczyn naraz?

Ja jakoś mistrzem świata w sprincie nie byłam i czułam, że mogę mieć problem z tym, aby znaleźć się od razu po starcie w czołówce zawodniczek. Moja dotychczasowa taktyka polegała raczej na tym, że zaczynam spokojnie, by z czasem nabierać tempa i tak deklasować rywalki.

To może bezpieczniej będzie je puścić i znaleźć się na końcu stawki? A jak faktycznie zakorkuje się na tym zwężeniu i tam utknę z innymi dziewczynami? A może pobiec tak „pół na pół”, niby szybko, a jednak nie za szybko, żeby nie stracić za dużo sił na starcie?

Ta opcja wydawała mi się najbardziej moja. Nie zdążyłam nawet omówić jej z trenerem, bo już musiałyśmy udać się na linię startu. Stanęłyśmy w jednej linii chyba ze sto dziewczynek. Najgorszy tor wybrały te zawodniczki, które ustawiły się najbardziej z boku boiska, gdyż miały one najdłuższą odległość, by zbiec do zwężenia. Staralam się stanąć zatem na środku, jednak moją drobną i małą osobą nie bardzo miałam jak rozepchnąć się na boki. Zająłam miejsce w drugim rzędzie. Trochę się uspokoiłam, ponieważ te „wąskie gardło” z tamtej odległości wydawało się nawet całkiem szerokie.

— Start! — usłyszałam w tym całym zamieszaniu.

Dziewczyny ruszyły bardzo mocno, jak gdyby były to zawody sprinterskie na sześćdziesiąt metrów. Nie miałam szans tutaj konkurować, zwłaszcza, że nie stałam na linii startu jako pierwsza. Puściłam je więc, a ja dużo spokojniej znalazłam się w środku stawki. Dokładnie tak, jak to sobie zaplanowałam. Zwężenie, do którego coraz szybciej się zbliżałyśmy, okazało się jednak wąskie. Cholernie wąskie. Nagle zrobiło się gęsto i tłoczno. W powietrzu uniósł się kurz wzniecony przez zawodniczki, które jako pierwsze przebiegły zwężenie. Niespodziewanie poczułam duży ból w tylnej pięcie. Dwie sekundy później nie miałam już prawego buta. Któraś rywalka za plecami mnie popchnęła, druga uderzyła łokciem w żebro. Zabolało. Upadłam.

Czułam, jak dziewczyny po mnie przebiegają. Nie wiem, ile ich było. Dużo. Błyskawicznie zakryłam rękoma głowę i skuliłam się, żeby oberwać jak najmniej.

— Uważajcie! — słyszałam krzyki.

To chyba na mnie krzyczano, że leżę. Poczułam piasek w ustach. Moja twarz szorowała po ziemi. Trwało to dobre pół minuty, może dłużej. Każda sekunda zdawała się wiecznością. Powoli ból na ciele ustępował, bym za chwilę poczuła jeszcze jedno mocne kopnięcie w kolano.

— Au! — pisnęłam.

Momentalnie wszystko umilkło, a ziemia przestała się trząść. Stado hien pobiegło dalej. Tak stratowana leżałam przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, czy jestem cała, i czy w ogóle żyję. Odsłoniłam oczy, ale i tak nic nie widziałam poza ogromną ilością unoszącego się kurzu. Okulary korekcyjne swoją krzywizną uciskały nos.

— Pomocy! — wydusiłam. — Czy ktoś mi pomoże?

W jednej chwili uświadomiłam sobie, że jestem na zawodach wojewódzkich, reprezentuję szkołę, i muszę biec do mety.

Trzeba je gonić... Ale przecież ja ich już nie doścignę!

Ogarnęła mnie potworna rozpacz i niemoc. Po raz pierwszy w życiu musiałam odpuścić. Nazwę to dosadniej – ja się poddałam! Ania się poddała! Zawsze waleczna, do końca, do ostatniego gwizdka... A teraz? Leżałam tam, na kaliskiej ziemi, poturbowana, poobijana i... przegrana.

Jakoś dokuśtykałam do autokaru. Nikt nie dostrzegł, że schodzę z boiska. Może przeszłam jakoś bokiem. Nie wiem, bo drogi do autobusu kompletnie nie kojarzę. Usiadłam na krawężniku i zaczęłam płakać. Ryczałam tak mocno, że łzami pewnie umyłabym się z tego kurzu i krwi. Wszystko mnie bolało, a najbardziej doskwierało lewe kolano. Zobaczyłam umorusaną bluzę na czerwony kolor, ale tym się nie przejmowałam. Martwiłam się kolanem.

Strasznie boli... Matko jedyna, wygląda beznadziejnie! Choć to może tylko przez ten brud? A jak nie będę mogła już więcej biegać?

— Ania, co się stało? Nic ci nie jest? Jesteś cała we krwi, pokaż się! — trener podniósł moją rękę. Na kolano nie patrzył.

— Auć! Trenerze, nie dobiegłam. Stratowały mnie! Au, boli

mnie...! Nie dobiegłam do mety! — szlochałam rozpaczliwie, odczuwając jednocześnie ból stratowanego ciała.

— Tym się nie przejmuj, musi zobaczyć cię lekarz. Możesz wstać? Gdzie masz but? — popatrzył na moją skarpetkę.

— Nie wiem. Ale nie chcę lekarza! — lamentowałam dalej. — Trenerze, nie dobiegłam do mety!

Nie wstałam z krawężnika. Podeszedł do mnie sanitariusz. Naciskał na kolano, patrząc, czy nie jest przypadkiem zwichnięte. Nie było. Ale to nie ciało mnie w tamtym momencie bolało, a przegrana dusza. A przecież wcale nie było powiedziane, że wygram te zawody. Może były mocniejsze ode mnie rywalki? Tego już miałam się nie dowiedzieć.

Uraz psychiczny, jaki pozostał po tych zawodach, jeszcze długo mi towarzyszył. Ostatecznie nie poddałam się. Chciałam ćwiczyć dalej.

Jak trochę schudnę, to będę biegać szybciej i już mnie nie stratują. No i może ktoś mnie w końcu zauważy, że jestem dobra? Koniec z odwiecznym byciem drugą! Będę pierwsza! Najlepsza!

Nie zdawałam sobie sprawy, jak skrajne i niebezpieczne jest w tym momencie moje myślenie. Może nawet bardziej groźne niż stratowanie przez inne dziewczyny na tych zawodach. Ogarnęła mnie sportowa złość i frustracja. I, co gorsza, rodził się bardzo niebezpieczny perfekcjonizm i obsesyjna chęć zwrócenia na siebie uwagi.

Rozdział dwunasty

Pożrę wszystko i nie zjem niczego

Rok: 2000

Wiek: 14 lat

Staż cukrzycy: 3 lata

Jak postanowiłam trenować na poważnie, tak też zrobiłam. Przynajmniej trzy razy w tygodniu robiłam czterokilometrowe przebieżki, do pobliskiego lasu. Tam i z powrotem. Wciąż ta sama, powtarzalna trasa, bez żadnego nadzoru trenerskiego. Im bardziej przybiegałam do domu zmęczona, tym psychicznie czułam się lepiej. Czasami dawałam mięśniom tak popalić, że często było mi dosłownie niedobrze. Zganiałam to na niestrawności, które w rzeczywistości nie występowały.

Zresztą dość rygorystycznie podchodziłam do tego, co miałam na talerzu. Zaczęłam jeszcze intensywniej interesować się składem produktów i go przebierać. Skupiłam się na kaloriach i tłuszczu. Często wybierałam jogurty z zawartością 0% tłuszczu lub etykietką typu: „-50% kcal”. Zawartość cukru nie była dla mnie aż tak istotna. A z racji cukrzycy, powinna. Tłumaczyłam sobie jednak, że na węglowodany i tak szła insulina, więc skoro wyeliminowałam tłuszcz, to mogę sobie pozwolić na odrobinę więcej słodkiego. Dodatkowy popołudniowy

zastrzyk z nową insuliną nie wiązał się jeszcze z określaniem, ile mam podać na dany posiłek jednostek. Wszystkie trzy dawki: rano, popołudniu i wieczorem, były sztywno określone przez lekarkę i ewentualnie mogłam je nieznacznie zmieniać. Choć tych zmian raczej się bałam i za dużo nie modyfikowałam na własną rękę.

Za to zupełnym przeciwieństwem tego były moje jedzeniowe restrykcje, na które miałam wpływ, i które bardzo dobrze ukrywałam przed rodziną i lekarką. Powoli stawałam się ekspertką w kombinowaniu, ale też merytorycznie, na temat składu produktów, mało kto by mnie zagiął. Większość tabeli kalorycznych wykułam na blachę. Patrząc na produkt, dokładnie wiedziałam, jaki ma skład. Głównie kaloryczny. Do tego wszystkiego wyeliminowałam z diety niektóre składniki, tłumacząc, że mi nie smakują. Rezygnowałam z sosów na ziemniakach, kanapki były suche, tylko z drobnym obkładem, o ile w ogóle. Jadłam też dość małe porcje. Za to w diecie pojawiło się więcej owoców i warzyw. Z pozoru wyglądało więc bardzo zdrowo.

Potajemna redukcja ilości jedzenia przynosiła pożądane efekty – chudłam. Chciałam gubić ich jeszcze więcej, a jednocześnie bałam się, że ktoś ten proces zauważy i przerwie. Musiałam zadziałać. Jak na dobrą cwaniarę przystało, wyrzuciłam z garderoby opięte swetry, wybierając przewiewne szmatki. Dzięki temu ładnie ukryłam ubytek kilku kilogramów, stąd nie wszyscy wychycili, że fizycznie zaczynałam się zmieniać. Utratę kilogramów można było zresztą dobrze tłumaczyć okresem dojrzewania. Choć jakoś centymetrów w górę za bardzo mi już nie przybywało.

Niewątpliwie czułam się świetnie – fit Ania. Martwił mnie jednak pojawiający się ból w kolanie. Początkowo było to delikatne klucie w trakcie treningu, ale z czasem dolegliwość nasilała się i odczuwałam już dyskomfort podczas chodzenia. Wydawało mi się, że może to być od upadku na zawodach, ale po pierwsze po stłuczeniu dawno nie było śladu, a po drugie kolano też się odzywało. Nie tak dotkliwie, ale jednak problem był. Poprosiłam rodziców, aby zobaczył to lekarz. Dostałam skierowanie do ortopedy i wspólnie z mamą wybrałyśmy się na umówioną wizytę.

Gabinet znajdował się w jego prywatnym domu rodzinnym.

Weszliśmy do niego o wyznaczonej godzinie spotkania. W poczekalni nikt nie czekał i nim zdążyliśmy się rozsiaść, drzwi otworzył przystojny elegant w sportowym garniturze. Błękitnym na dodatek, moim ulubionym. Od razu serce mi mocniej zabiło.

— Proszę, można wchodzić — usłyszałyśmy niski, męski głos. Też przyjemny.

— Dziękujemy — odpowiedziała mama.

— Proszę sobie usiąść — wskazał mamie na krzesło. — A młoda dama może się od razu położyć na kozetkę.

Lekarz na pierwszy rzut oka nie dość, że odpicowany, to wyglądał na bardzo sympatycznego. Był w średnim wieku, z bujną czupryną, zaczesaną do tyłu i gęstym zarostem.

Ciacho jak nic!

— Co panienkę tu sprowadza? Bo zakładam, że są to kończyny dolne — uśmiechnął się łobuzersko.

I na dodatek żartowniś! Mm...

— Tak — zaczęłam trochę speszona. — Od jakiegoś czasu więcej biegam i zaczęło boleć mnie kolano. Lewe trochę bardziej niż prawe. Ale prawe też dokucza. To tak, jakby mi ktoś wbijał szpilki.

— A jak długie dystanse biegasz?

— Tutaj do lasu, przy cmentarzu. Tak maksymalnie cztery kilometry. Czasami krótsze trasy — zdałam sobie w tym momencie sprawę, że chyba jednak nie skracam dystansu. Jak już zaczynałam trening, to musiałam go przebiec od początku do końca. Całego. Cokolwiek by się po drodze nie działo.

— A często biegasz? — dopytał.

— Dwa, może trzy razy w tygodniu — mówiąc to, znowu złapałam się na tym, że tego tygodnia byłam już na czterech przebieżkach, a mieliśmy dopiero piątek i dzień się jeszcze nie skończył.

— Rozumiem — podrapał się po brodzie. — Czyli jesteś takim małym, młodym sportowcem. Pewnie w szafie pełno medali, co?

Dyplomatycznie rzuciłam tylko uśmiechem. Ponownie mnie zawstydził, ale skupiona byłam raczej na badaniu, wyczekując obwieszczenia przychylniej diagnozy. Mama siedziała tym razem cicho, dwa metry od nas. To ja przejęłam tym razem pałeczkę w rozmowie niż

to zazwyczaj u doktor Mróz bywało. Niewątpliwie zainteresowanie tego przystojniaka mną i moim problemem bardzo mi się podobało.

— Czy córka miała już kiedyś jakieś problemy, na przykład z kośćmi? Jakies złamania? — zwrócił się tym razem do mamy.

Poczułam lekką zazdrość.

— Nie, nigdy nic złego się nie działo. Córka, co prawda, ostatnio mało je mięsa i je bardzo chudo, ale często zajada żółty ser, a to chyba dobre dla kości, prawda?

Zaczerwieniłam się, a jednocześnie mocno zdziwiłam.

Jakim cudem mama zauważyła, że zmieniłam sposób odżywiania?

— Rozumiem, że... przepraszam, jak masz na imię, bo nie dopytałem? — spojrzał tym razem na mnie.

— Ania — odpowiedziałam z bijącym mocniej sercem.

— Piękne imię. Rozumiem, że Ania na nic nie choruje?

— Ma cukrzycę typu 1 — zaznaczyła smutnie mama.

— Oo... Taka młoda osoba i już choruje. To pewnie igły się nie boisz, co? — popatrzył na mnie z ciekawością.

— Nie — odpowiedziałam pewnym tonem. Czułam, że to mu się spodoba.

W punkt.

— Podziwiam cię za odwagę, młoda damo. To dobrze, bo będę musiał cię trochę ponakłuwać w okolicach kolana. Gdyby coś zabolalo, to daj mi proszę od razu znać.

— Dobrze — przytaknęłam spokojnie, choć dobrze wiedziałam, że wolałabym tam jajo znieść, niż przyznać się do bólu. Zwłaszcza przed nim.

Ortopeda wyjął igłę. Była naprawdę długa. Moje kilkumilimetrowe igły w penie, mogły się przy tej schować. Poczułam wyraźne ukłucie i mocny ból. Zajęczałam.

— Rozumiem... — wyjął delikatnie igłę, po czym wbił ją na długość kilku centymetrów w miejsce obok. — A czy tutaj coś czujesz?

Ból był nie do wytrzymania. Ponownie wydałam z siebie piskliwy dźwięk.

— Uu... Nie wygląda to dobrze, panienko — zakomunikował zamyślony, a mnie zdążył już nieźle tym stwierdzeniem zaniepokoić.

Po skończonym zabiegu usiadł za biurkiem i zaczął notować coś w świeżo założonej kartotece.

— Otóż, moje drogie panie — zaczął poważnie. — To może być złożony problem. Musimy przeprowadzić dodatkowe badania, więc wypiszę skierowanie. Póki co, Ania powinna ograniczyć bieganie do minimum. A najlepiej, aby przez jakiś czas nie biegała. Nie chcemy przecież, aby w przyszłości córka nie mogła chodzić, prawda? — spojrzał na mamę. — Obawiam się jednak, że o takim zawodowym bieganiu nie będzie mowy — dorzucił na dobiecie.

Szach mat. W jednej chwili poczułam obrzydzenie do tego, według początkowej opinii, sympatycznego elegancika.

Co on za pierdoły opowiada? Jak to nie będę mogła biegać? Czy on nie wie, jaką krzywdę mi wyrządza tymi słowami? A wydawał się taki fajny...

Popatrzyłam na mamę zrozpaczonym wzrokiem, a ona nawet na mnie nie spojrzała. Wiedziała doskonale, jak ważny jest sport w moim życiu. Po kilku wyjaśnieniach i dostaniu skierowania na dalsze badania, wyszłyśmy z gabinetu. Z tej wściekłości nawet się z nim nie pożegnałam.

Do domu wracałyśmy, zachowując się jak wściekłe przekupy na targu. Jedna krzyczała przez drugą.

— Aniu, zrobimy badania i może będzie na to jakaś rada?

— W życiu do niego już więcej nie pójde! — wydarłam się. — Nie chcę go widzieć na oczy! Na pewno się myli i jest beznadziejnym, byle jakim lekarzem. Skąd ty go wytrzasnęłaś?

— Aniu, problem jest poważny i nie możemy tego bagatelizować – starała się ostudzić emocje, nie wdając w dalsze dyskusje.

Na marne.

— Nic mi nie jest, rozumiesz?! Będę biegać, czy mi ten dupek lekarz zabroni, czy nie!

— Wykluczone! Czy ty nie możesz tego pojąć, że nie wolno ci biegać. Chcesz zrobić sobie jeszcze większą krzywdę?

— Nie będziesz mi mówić, co mi wolno, a co nie... — trochę zwątpiłam, w to co mówię, w końcu nadal byłam małąolatą. Zmieniłam taktykę obrony. — Zresztą, o jakiej my krzywdzie mówimy? —

spojrzałam na nią spod byka, zwalniając kroku. — Kolano aż tak bardzo nie boli i na pewno nie odpuszczę. Będę biegać i koniec kropka!

— Ach... Ręce mi już czasem opadają na ciebie... A może jednak kupisz sobie ten rower? — próbowała mnie podejść z innej strony. — Kiedyś o nim wspominałaś. Widzisz, lekarz też na końcu wspomniał, że trochę na rowerze możesz jeździć. Ale póki co, poczekajmy cierpliwie na badania.

Ja i cierpliwe czekanie? W życiu! A poza tym, jaki rower? Dupek przecież o nim nie wspominał. Chyba...

Kiedy weszłyśmy do domu, rzuciłam plecakiem i trzasnęłam drzwiami od pokoju. Tata i Marcin leżeli na kanapie, wyraźnie zdziwieni moją furią.

— A ją co ugryzło? — zapytał Marcin.

— Lekarz zabronił Ani biegać. Musimy zrobić dodatkowe prześwietlenie.

Słyszałam tę rozmowę. Jeszcze bardziej mnie to rozwścieczyło. W złości zaczęłam przewracać rzeczami w szafie, szukając dresu. Chwyciłam opaskę na włosy i założyłam niechlujnie na czoło.

— A ty gdzie idziesz? — zapytała gniewnie mama, gdy ja wściekle wciskałam buty. Na złość nie chciały wejść. Ale mama wiedziała przecież, dokąd idę. Ten strój był jej dobrze znany.

— No chyba nie idziesz biegać?! — kontynuowała podniesionym tonem. — Władek — zwróciła się do męża — no zobacz, co ona robi!

— A właśnie, że idę!

— Ania! — na korytarzu rozległ się męski głos. — Nie wolno ci!

— Ani wy, ani ten, pożałuj się Boże fachowiec, nie będziecie mi tego zabraniali! — wydarłam się jeszcze głośniejszym głosem niż tata i wybiegłam na klatkę, z hukiem zatrzaskując drzwi.

Pogoda na dworze zrobiła się fatalna. Wiało jak diabli, a do tego zaczęło padać. Usłyszałam, że ktoś do mnie coś woła. W oknie zobaczyłam zdenerwowaną matkę.

— To chociaż zmierz sobie cukier! — prosiła zdesperowanym głosem.

Cukrzyca i moje zdrowie były mi w tym momencie totalnie obojętne. Uświadomiłam sobie jednak, że nie zabrałam ze sobą nawet

nie słodkiego w razie spadku cukru. O cofnięciu się do domu i zmierzeniu glikemii nie było mowy.

Zupełnie nie zważając na jakiegokolwiek prośby, pobiegłam do lasu. Kolano już po kilometrze zaczęło kłuć. Nawet nie przystanęłam. W bólu biegałam dalej, drąc się na całe gardło.

— Pieprzony lekarz! Ja mu jeszcze pokażę! Ja mu jeszcze pokażę!

Po godzinie wróciłam do domu, z drżącymi od niedocukrzenia rękoma i nogami. Mogłam się spodziewać, że właśnie tak skończy się ta chwila buntu.

*

Rok: 2000

Wiek: 14 lat

Staż cukrzycy: 3 lata

Przed końcówką 2000 roku czekała mnie jeszcze jedna wizyta u diabetologa. W poradni przeprowadzali remont, stąd doktorka przyjmowała w jednym ze szpitalnych gabinetów. Jak zwykle przylazła godzinę po czasie. Na szczęście miałyśmy pierwszy numer w kolejce, dlatego od razu weszłyśmy do pokoju, za wyraźnym zapachem perfum pani Mróz. W porównaniu ze specyficznym zapachem szpitala uznałam je wtedy za wyjątkowo przyjemne.

Od momentu zachorowania nie było takiej potrzeby, żebym musiała trafić na oddział. Wyniki miałam w miarę w porządku, żadnych niebezpiecznych kwasów typowych dla cukrzyka, który utrzymuje wysokie stężenia glukozy we krwi. Nie wskazywał na to również, wykonywany za pomocą paska, poziom acetonu w moczu. Zalecano mi, abym tamto badanie wykonywała codziennie. Nie robiłam tego. Po pierwsze z lenistwa, a po drugie po kolorze i konsystencji moczu wiedziałam, kiedy coś nie jest w normie. Na początku chorowania zdarzało mi się mieć pojedyncze dni, kiedy ten aceton chwilowo się pojawiał, ale potrafiłam go sama wypłukać większą ilością spożywanej

wody i obniżeniem glikemii.

Na wizytach doktor Mróz korygowała dawki insuliny na podstawie zapisanych w zeszycie wyników. Każde spotkanie kończyło się modyfikacją w jednostkach. Przyczyn zmienności zapotrzebowania na insulinę było wiele, przede wszystkim okres dojrzewania i zmiany hormonalne, jak również ilości jedzenia. A tego było w ostatnich miesiącach jak na lekarstwo – mało, chudo i wybiórczo. Mi się to nawet podobało, natomiast mamę bardzo martwiło. Do tego stopnia, że pomimo mojego wcześniejszego sprzeciwu, postanowiła podzielić się tym z diabetolog.

— Pani doktor — zaczęła, gdy ja siedziałam obok mocno naburmuszona. Wiedziała, że zacznie zaraz tą swoją gadkę. — Martwię się o Anię. Ostatnio coś mało je. Wyniki krwi ma, owszem, w porządku, ale ostatnio mam wrażenie, że schudła. A to pewnie nie dobrego dla jej cukrzycy?

— Wie pani... — spojrzała na mnie spod okularów doktorka — dzieci w tym wieku, a w szczególności dziewczynki, przechodzą różne okresy. Wygląda na zdrową. Nie jest bardzo wychudzonym dzieckiem. Może to przejściowe.

— Siostra też mi to tłumaczyła — mama nie dała za wygraną. — Sama pani rozumie. Ja, jako matka, martwię się o nią. Bardzo dużo też ostatnio ćwiczy.

— A to akurat jest wskazane w cukrzycy — zauważyłam, wiedząc że tym się obronię. — Przecież mogę ćwiczyć.

— Ale nie aż tyle, Aniu — argument nie trafił do mamy. Tylko na mnie gniewnie spojrzała. — Ty za dużo biegasz. No nie wiem, pani doktor... — nagle się wycofała. — Co mam o tym wszystkim myśleć? Niech mi pani doradzi!

— Ile waży? — zapytała bezimiennie.

Pytanie zaskoczyło nieco mamę.

— A nawet nie wiem. Nie mamy w domu wagi. Ale tutaj możemy ją zważyć, prawda? — popatrzyła na lekarkę.

Jej pomysł nabuzował mnie jeszcze bardziej.

No chyba oszalała, że będę się tu musiała rozbierać i ważyć! Przecież nic złego się nie dzieje, to dlaczego porusza temat mojej wagi i

odżywiania, i na dodatek z tą niesympatyczną lekarką?

— Nie będę się ważyć! Nie ma takiej potrzeby — wybuchnęłam, w nadziei, że chociaż doktorka uzna ten zabieg za zbędny.

Na próżno.

— Proszę wejść na wagę — zwróciła się do mnie szorstko lekarka, jakby w ogóle nie interesowało ją, co chcę, a czego nie.

Teraz już kipiałam z wściekłości. Cały świat był przeciwko mnie, a już na pewno te dwie kobiety, które czekały, aż ruszę się z krzesła i zważę. Stałam nadąsana.

— Metr pięćdziesiąt dziewięć i niecałe pięćdziesiąt kilogramów. To jest prawidłowa waga, pani Miśkiewicz.

— Tak? A wydawało mi się, że Ania mniej waży... Ale to dobrze — odetchnęła. — Trochę mnie, pani doktor, uspokoiła. Tylko, żeby Ania nie jadła tak chudo... — westchnęła po chwili zmartwionym głosem.

Lekarka wzięła niebieską książeczkę i po raz pierwszy odnotowała moją wagę. Naprawdę nie rozumiałam, po co ten cały cyrk z cyferkami.

Po wyjściu z gabinetu skierowałyśmy się do samochodu. Szłyśmy w milczeniu. Ja najeżona na cały świat, mama wciąż zatroskana. Tam czekał na nas Marcin. Mieliśmy po wizycie pojechać na targ przy Bema w Poznaniu i kupić sobie kilka ciuchów. Rodzice obiecali mi firmowe buty, które miały być nagrodą pocieszenia za ostatnio „przebrane” zawody. Nie mogłam się ich doczekać. Długo na nie czekałam. Jeszcze nigdy nie miałam oryginalnych, firmowych butów.

Spacerowaliśmy alejkami, ale ja nie mogłam znaleźć tych jednych jedynych, które sobie wymarzyłam. Minęły dobre dwie godziny, zanim je w końcu znalazłam. Piękne, białe-niebieskie „najkaski”. W tym momencie złość na mamę ciut zelżała.

— Co powiecie na te pyszne hamburgery, które są za rogiem? Macie ochotę? — rzuciła propozycją.

— Ekstra! — Marcin aż podskoczył z radości i ruszył tanecznym krokiem w kierunku budek z jedzeniem. — Dla mnie poproszę z podwójną ilością majonezu i ketchupu.

Ta propozycja nie uradowała mnie tak jak brata. Ba, nawet mi przeszkadzało, że będę musiała zjeść tłusty fast food. Przypomniałam sobie, jak jeszcze kilka lat temu potrafiliśmy się z Marcinem za niego

dać pokroić. Uwielbialiśmy je. Teraz, kiedy zachorowałam na cukrzycę, jedliśmy tego typu jedzenie niezwykle rzadko. Nawet nie wiem, czy nie miała to być moja pierwsza taka buła. Nie zastanawiałam się jednak, jak sobie poradzi z nią cukrzyca, i jakie będą po niej cukry. Bardziej sprzeciwiała się moja głowa, która cały czas szeptała: „nie powinnaś tego jeść”, „przytyjesz”, „będziesz gruba”. A tymczasem mama chciała nam sprawić przyjemność, szczególnie Marcinowi. W końcu nie tylko wokół mnie i mojej choroby kręciło się życie.

Podeszliśmy do budki z hamburgerami. Zawsze dziwiło mnie, jak ci sprzedawcy wytrzymują tyle godzin na tym zimnie.

— Aniu, a ty co będziesz chciała? — zapytała niepewnie.

— Ja chyba nie chcę hamburgera. Nie jestem zbyt głodna.

— Czy ja dobrze usłyszałam? — od razu podchwycił Marcin. — To ja wezmę twoją porcję!

— Dlaczego nie chcesz, dziecko? — mama spojrzała na mnie zgąśłym wzrokiem. — Przecież zawsze je lubiłaś. Martwisz się cukrzycą?

— Nie, po prostu nie jestem aż tak głodna — sprecyzowałam od razu, choć w gruncie rzeczy miałam inne, psychiczne rozterki.

— To zjemy razem, na pół — zaproponowała delikatnie. — Połowę ja, drugą połowę ty. Co ty na to?

Nie spierałam się dalej. Cieszyłam się bardzo z nowo dostanych butów i nie chciałam jej robić przykrości, chociaż za prezent. Musiałam tylko wykombinować, jak nie zjeść tego burgera.

Pani w budce zawołała po odbiór naszych bułek. Byłam przerażona, bo były ogromne. Wcześniej wydawały mi się trochę mniejsze. Marcin zjadał z wielkim apetytem. Mama zaczęła swoją część jako pierwsza. Razem z Marcinem wyglądali nawet całkiem zabawnie z umorusanymi od sosu buziami. Ja przymierzałam w tym czasie moje nowe adidasy i oglądałam świeżo kupioną bluzę.

— Proszę, Aniu — wyciągnęła do mnie rękę z hamburgerem. — Teraz możesz już dokończyć.

— O Boże! — wystraszyłam się widząc, ile go jeszcze pozostało. — Nie tyle... Zjedz jeszcze trochę. Dla mnie będzie to za dużo!

— Eh... — mruknęła niechętnie. — Ale tylko dwa gryzy, reszta jest

twoja.

Dyskretnie wyciągnęłam z plecaka pena z insuliną, tak żeby nikt z przechodniów czasem nie zauważył, że się szprycuję. Przeanalizowałam migiem skład węglowodanów, który i tak nigdzie nie był zapisany. Mogłam tylko oszacować wymienniki. Zresztą i tak miałam ściśle zaprogramowane dawki przez lekarkę. Nastawiłam, dawką na oko, jednostki w penie. Od razu zdałam sobie sprawę, że mięsa nie jadłam już chyba kilka dobrych tygodni. Nie mięso mi jednak przeszkadzało, a sos, jaki kapał na papier. Kiedyś, podobnie jak Marcin, bardzo za nim przepadałam. Teraz na ten widok trochę mnie zemdliło. Odsłoniłam kurtkę i podałam zastrzyk w brzuch, by za chwilę zrobić pierwszy gryz tego, jak to określiłam: „świństwa”.

Przy kolejnym kęsie, nie wiem, czy z tego przerażenia, a być może celowo, upuściłam bułkę na ziemię. Z pewnością bardziej to drugie. Kanapka rozpadła się na dwie części i ze środka wyleciała cała zawartość.

— O nie! — wykrzyknął przerażony Marcin, jakby to on stracił swój rarytas. — Twój hamburger!

— Przepraszam, to niechcący... — spojrzałam smutnie na mamę i pośpiesznie zaczęłam zbierać rozbryzgane po ziemi jedzenie.

— Trudno — machnęła ręką. — Zamówimy drugi.

Przestałam sprzątać. Myśl o dostaniu kolejnej porcji jedzenia sparaliżowało moje wszystkie organy. Poza mową.

— Nie! — wydusiłam. — Nie trzeba. Już trochę zjadłam.

Skłamałam, bo ledwo zmienił mi się smak w ustach. Za to namówiłam mamę, że w domu coś dojem. Zgodziła się, więc moje narządy ruchu zaczęły z powrotem ze mną współpracować i ruszyliśmy w kierunku auta. Marcin i mama najedzeni, ja usatysfakcjonowana z przekrętu i radosna z posiadania kilku toreb z zakupami.

Zanim dotarliśmy do domu zrobiło się już późno. Niestety utknęliśmy w korku z powodu stłuczki dwóch aut. Szczęśliwie, nie naszych. Już w samochodzie zaczęłam się gorzej czuć. Było mi słabo i robiłam się potwornie głodna. Moje burczenie w brzuchu wychwycił nawet Marcin.

— Ojjoj, siostra... Trzeba było zamówić tego drugiego

hamburgera. Słyszę przecież, jak ci burczy w brzuchu.

Zdziwiłam się, bo przecież cicho grała muzyka. Poza tym siedział z przodu. Ale stanie w korku nie działało tutaj na moją korzyść. Odgłosy z brzucha nawet i ja słyszałam, choć głupio było mi się do nich przyznać. A już na pewno nie do tego, że stałam się potwornie głodna. W jednej chwili.

— Już niedaleko — poinformowała mama. — Zaraz coś w domu zjesz, Aniu.

Ledwie weszłam na pierwsze piętro. Byłam tak słaba, że z trudem łapałam oddech. Serce kołatało mi jak szalone, a kiszkę wręcz wykręcały. Domyślałam się, co jest tego przyczyną, bo na pewno nie fakt, że nic za bardzo nie zjadłam. Z głodem jakoś sobie dawałam radę, choć nie z takim. Organizm domagał się glukozy z racji niskiego cukru.

Otworzyłam szybko lodówkę. Połączenie chleba z dżemem i parówką absolutnie mi w tym momencie nie przeszkadzało. Na deser dorzuciłam jeszcze pączka, pół paczki ciastek i kawałek czekolady. Ten większy kawałek. Oczywiście wiedziałam, że taki „napad” bardzo źle się skończy pod względem późniejszej glikemii. Nie potrafiłam się jednak w tej chwili pohamować. Traciłam kontrolę. Powoli czułam, jak żołądek zaczyna puchnąć i kończy się w nim miejsce. Ale organizm wciąż domagał się więcej i więcej.

Jedzenie cieszyło, a sumienie gryzło. Siedziałam w tej kuchni, na taborecie, samiusieńka. Rodzinka oglądała w drugim pokoju Teleexpress, a ja kolejne ciasteczko, które przed mną leżało. Powstrzymałam się, czując jednocześnie okropne obrzydzenie. Do siebie i swojego zachowania. Zaczęło się ostre starcie z dręczącymi myślami. Miałam wrażenie, że ta osoba, która właśnie opróżniła większą część spiżarki, nie była mną. A przecież siedziałam tam ja. Nie kto inny. Szczupła dziewczynka, z wypukłym od pochłoniętego żarcia bebzołem. Wyglądał nienaturalnie spuchnięty.

Jak mogłam się tak obezreć? Co mnie opętało? Zupełnie straciłam panowanie. Jestem grubą, żarłoczną świnią! Za karę będę musiała biegać po dziesięć kilometrów i więcej, żeby spalić te zeżarte kalorie. Ciekawe, jak mi zaraz wywali cukier?

Po chwili do kuchni weszła mama. Wyglądała na zdziwioną.

— A ty nadal tu siedzisz? Myślałam, że jesteś w swoim pokoju.

— Właśnie miałam się zbierać — odpowiadałam i pośpiesznie wstałam, chowając ciastka do szafy. Mama nadal dziwnie na mnie spoglądała. Widocznie zauważyła, że zniknęło pół paczki markizów.

— Nie widziałaś może tego pączka, co rano kupiłam? Miałam wrażenie, że tu leżał... — wskazała na blat kuchenny. — Ale może tata go zjadł.

— Może... — rzuciłam i skierowałam się do pokoju. Oczywiście nie przyznałam się, że tym „tatą” byłam ja.

Już prawie uciekłam, kiedy ponownie mnie zagadała.

— A parówek też nie ma? Czyżby moja kochana córeczka się na nie skusiła?

Tym bardziej nie skomentowałam. Zamknęłam się po drugiej stronie mieszkania z milionem negatywnych myśli na swój temat w głowie.

Zastanawiałam się, czy mama chciała mnie tymi parówkami upokorzyć, czy raczej ucieszyło ją to zjawisko pałaszującej Ani. W końcu nie zdarzało się ono zbyt często. Po ciuchu miała pewnie nadzieję, że to dzięki tamtej, porannej rozmowie w gabinecie z panią doktor. Jakże inna była jednak rzeczywistość...

Po części byłam świadoma, skąd wziął się tamten wilczy głód. W Poznaniu podałam insulinę, a nie zjadłam posiłku. Musiało się to skończyć spadkiem cukru. Wiedziałam o tym, ale nie chciałam przyznać się mamie, żeby nie była na mnie zła. Co prawda, taki rodzaj niedocukrzenia z wilczym apetytem już miewałam, ale rzadko. Nie zawsze miałam te same objawy spadku cukru. Tamtym razem mogłabym pochłonąć nawet i całą budkę z hamburgerami. I na pewno nie przeszkadzałyby mi wtedy duża ilość mięsa i sosu. Ale jakoś musiałam nad tym napadem głodu zapanować. Nie było to proste, bo głowa mówiła: „nie jedz!”, a organizm: „zjedz wszystko, co widzisz!”. Konflikt interesów, z którym ni jak mogła sobie poradzić moja młoda osoba.

Hiperglikemia, po takiej dawce węglowodanów, była gwarantowana. Tamtego dnia cukier wyważyło mi na ponad 300 mg/dl. I nawet sport przy tym za bardzo nie pomógł. Czułam się fatalnie i do tego niezwykle zmęczona. Nie wiem, czy bardziej fizycznie czy

psychicznie. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że za tym „napadem” kryło się coś więcej niż tylko cukrzycowy objaw niskiego cukru. Było to bardzo niepozorne i niebezpieczne zachowanie. Nie z powodu tego jedzeniowego niepohamowania się. Choć z pewnością również. Ale tamten głód przypominał głód emocjonalny, którego jako dziecko nie byłam świadoma. I tę pustkę kołam żarłocznym jedzeniem. Takim bez kontroli. Zaczęłam niewinnie i powoli jako nastolatka, by apogeum nastąpiło dopiero w dorosłym życiu. Ale trzeba było jakoś emocjonalne „braki” zagłuszyć, zapchać, zająć i choć na ułamek sekundy odczuć prowizoryczną ulgę.

Za to fizyczną ochotę jedzenia przy niskim cukrze potrafiłam z czasem opanować i zadusić tego oszusta – wilczura głodu. Takie hipoglikemie przychodziły i znajdowałam na nie sposób. Choćby piłam pół szklanki soku od razu, a pozostałą część, o ile potrzebną, już minimalnymi łykami. Aby odeszło ciężkie do wytłumaczenia ssanie w żołądku, a włączyło się myślenie. Te bardziej świadome. Walka jednak ciągle trwała, by nie sięgnąć po coś więcej. I ile musiałam mieć siły w sobie, by odejść z dala od szafki z jedzeniem, podczas gdy organizm desperacko domagał się glukozy. A przecież wystarczyło zaledwie kilka łyków słodkiego napoju i cierpliwie poczekać, aż cukier podrośnie i poczuję się lepiej.

Trudne zadanie. Bo otworzyć lodówkę jest łatwo, natomiast zbić cukier, po nafutrowaniu się do oporu, już niekoniecznie.

*

Rok: 2000

Wiek: 14 lat

Staż cukrzycy: 3 lata

Nareszcie jest – dwudziesty czwarty. Nadeszła wigilia. W domu uniósł się charakterystyczny dla świąt zapach mandarynek. Gorszym

zapachem był smażony karp, za to chętnie patrzyłam, jak ryby pływają w naszej wannie. Później jednak nie chciałam wiedzieć, co dalej dzieje się z tymi biednym żyjątkami za zamkniętymi, kuchennymi drzwiami.

Lubiłam ten dzień, szczególnie dlatego, że po wigilii były prezenty. Choć nie tylko one mnie cieszyły. Miałam całą rodzinę w komplecie. Przyjeżdżał i Piotrek, i babcia. Każdy robił skromny upominek dla drugiej osoby. Nie były to kosztowne podarunki, bo w domu za bardzo się nie przelewało. Często z bratem malowaliśmy obrazki lub składaliśmy figurkę origami. Tylko, że moje palce były jakieś takie „drewniane”, stąd często prosiłam Marcina o pomoc. Daru plastycznego za bardzo nie miałam, zdecydowanie lepiej wyglądało to na przykład z muzyką. Był to już czwarty rok, gdzie razem z Marcinem uczęszczaliśmy na lekcje pianina oraz chodziliśmy na próby orkiestry dętej. Czas poza szkołą mieliśmy zatem bardzo wypełniony.

Zawsze dwa tygodnie przed gwiazdką rodzice dostawali podarunki z pracy. W torbie znajdowała się spora ilość słodyczy i duża paczka chipsów. W kolejnych latach pracodawcy wkładali już mniejsze paczki chipsów, ponieważ firma zdecydowanie gorzej prosperowała. Wszystkie te smakołyki musiały poczekać do dnia wigilii, do pierwszej gwiazdki. Wtedy mogliśmy je otworzyć. Ba, nawet wszystkie jednocześnie. Zawsze dziwiła mnie ta „bożonarodzeniowa taktyka”. Nie można było, przykładowo, otworzyć choćby jednego opakowania ciastek i delektować się nim każdego dnia do wigilii. To nie wchodziło w rachubę. A szkoda, bo wtedy święta mogłyby trwać o wiele dłużej niż tylko trzy dni. No, ale ze starszyzną się nie dyskutuje.

Na szczęście, przedświąteczna, nerwowa aura: „czy na pewno wszystko mamy przygotowane”, powoli się uspokajała. Nie rozumiałam nigdy, za czym tak wszyscy biegają i w galeriach, i w domu. Ja wołałam zamknąć się w pokoju i nie przeszkadzać. Zresztą często przebywałam wtedy sama. Nawet i do kuchennych pomocy zbytnio się nie garnęłam, a nie pałając się pod nogami też niejako pomagałam.

Po południu każdy już tylko czekał, aż zasiądziemy do wigilijnej wieczerzy. Każdy, tylko nie ja.

— No dwanaście potraw to tutaj chyba nie ma? — zauważył uszczypliwie Piotrek.

— Jakbyś oddzielił groch z kapustą i farsz w pierogach, to byś na pewno do dwunastu naliczył — odparł tata, któremu najwyraźniej nie spodobała się kąśliwa uwaga. — Zresztą, twoja kochana babcia i mama nie mało się natrudziły, żeby to wszystko przygotować. Docień, co masz, Piotr!

— Ale ty też mi dużo pomogłeś, Władziu! — zauważyła mama. — Wszystkie karpie usmażyłeś. Aniu, smakują ci?

Miałam nadzieję, że mnie nikt przy tym stole nie zauważy, a już na pewno nie będzie patrzył na mój talerz. Ledwo co się na nim znajdowało. Przez większość wieczery starałam się wymęczyć jeden fragment karpia. Obrzydzał mnie widok tłuszczu, dlatego brałam karpia do ręki i wycierałam palce w papierową chusteczkę.

— Tak, mamuś, jest naprawdę smaczny — z grzeczności skłamałam.

Przez chwilę utkwiałam wzrok na rybie.

Dziwne, przecież kiedyś mi smakował i był moją potrawą wigilijną numer jeden...

Spróbowałam przełknąć kolejny kawałek. Udało się z trudem, ale robiąc to czułam, że w środku znajduje się co najmniej litr oleju, na którym został usmażony. Ostatecznie podziobałam karpia do końca wieczery, zostawiając jego fragmenty porozrzucane po całym talerzu. Taka podstępna metoda – niby zjadłam, niby nie. Innych potraw nawet nie tknęłam.

— No nic nie zjedliście — zaczęła babcia, gdy już większość z nas odłożyła sztućce. — Dalej, Piotrek, Marcin, zjedzcie jeszcze trochę pierogów, nie będziemy ich przecież wyrzucać.

— Ja już czekam na coś lepszego — odpowiedział Marcin, spoglądając na choinkę z prezentami.

— Ach te prezenty, prezenty... — westchnęła.

Tylko tata podjął dalej rękawicę i zabrał się za kolejny kawałek karpia. Babcia wyglądała na wyraźnie zadowoloną. Zanim jednak rozdaliśmy paczki, trzeba było posprzątać po kolacji, umyć naczynia i przygotować kawę i ciasto. Porządek musiał być zachowany. Nie obyło się też bez corocznego narzekania mamy i babci na nieudane wypieki.

— Ten sernik tak mocno upadł — zaczęły marudzenie. — A był w

piekarniku chyba dobrą godzinę — dorzuciła babcia.

— I tak jest pyszny, babciu — zauważył Marcin, któremu nie przeszkadzało zakalcowate ciasto. — Robisz najlepszy sernik na świecie. A upieczesz po świętach pączki?

— Ależ, Marcinku! — zachnęła się. — Do tłustego czwartku to jeszcze daleko. Zobacz, ile pysznych rzeczy masz na stole — wskazała na łakocie, które faktycznie kusiły. Znowu nie mnie. Silna wola wygrywała.

— No tak, babciu, ale twoje pączki i tak są najlepsze! — odpowiedział miło.

— Władziu, nalej mamie troszkę tej naleweczki — wtrąciła się mama. — Władek sam robił, z wiśni z naszej działki — dodała po chwili dumnie. Babcia tylko pokiwała przychylnie w kierunku zięcia.

— A czy już możemy rozdać prezenty? — zmieniłam temat.

— Dobrze, Aniu — uśmiechnęła się mama. — Chcesz być dziś gwiazdorkiem?

— Tak, tak! — rzuciłam, nawet się nie zastanawiając.

Z radością podbiegłam do małej, sztucznej choinki i zaczęłam roznosić pączki. Dostałam ich chyba najwięcej. Nową bluzkę, kolczyki i srebrny wisiołek. Wszystko takie dziewczęce...

Święta zleciały jak z bicia strzelił. Smakołyki i inne tłuste ryby wylądowały w żołądkach, więc trzeba było je jakoś „spalić”. Choć ja, w przeciwieństwie do domowników, dużo nie jadłam. Od jakiegoś czasu w domu gościł rowerek stacjonarny. Mama dostała go „w spadku” od swojej siostry. Z czasem, mamie motywacja do treningów spadła, a mi wręcz przeciwnie. Ćwiczyłam ostro, pod nadzorem rodziców, którzy patrzyli na mnie z dużym niepokojem.

Powoli moje czternastoletnie ciało zmieniało się i zaczynałam stawać się kobietą. Dostałam miesiączkę, uda zaczynały być większe, pupa jędrniejsza, biodra i piersi okrągłejsze. Oczywiście, sport, którego kochałam nad życie, też przyczynił się do tych zmian. Przybywało mi mięśni. W rodzinie mama bardzo uważała na figurę. Często wspominała, że musi pilnować, co je, by nie przytyć. Nienawidziła, kiedy, jak to nazywała: „jedno udo ocierało jej się o drugie”. Zaczęłam też i ja obserwować swoje ciało i nie do końca akceptowałam tę zmianę.

Wręcz mi przeszkadzała. Za to bardzo podobała mi się męska budowa ciała – biodra wąskie, nogi szczupłe. Tatusiowe, piwne brzuszki już się do tego nie zaliczały. Na mnie, z racji genów, czekały jednak typowe kobiece krągłości.

W szkole mało mówiło się o dojrzewaniu, a w domu na te tematy nie rozmawialiśmy. Podczas, gdy dziewczyny zaczynały już golić nogi, moje były cały czas zarosnięte delikatnymi blond włoskami. Z początku mi to nie przeszkadzało. Dziewczyny zaczęły jednak zwracać uwagę na wygląd innych, porównywać się i często przy tym wytykać palcami: „ta ma ale duże cycki”, „ta ma wąsa”, „ta się nie goli”, „ta jest ale gruba”. Choć mi żadna niczego nie przygadała, to ja i tak bałam się ich negatywnych komentarzy.

Z pewnością trochę odstawałam od typowych dziewczęcych zachowań, zwłaszcza w stylu życia. Potrafiłam choćby godzinami przebywać z chłopakami na boisku i grać w piłkę nożną. Nie grały żadne inne dziewczyny, ja byłam jedyna płci żeńskiej. I radziłam sobie naprawdę bardzo dobrze. Umorusana od błota, okurzona i spocona wracałam do domu wypompowana, ale szczęśliwa. W pokoju często wieszaliśmy plakaty z sylwetkami piłkarzy. David Beckham i Michael Owen wisieli na każdej ścianie. Zakochałam się, nie tylko pod względem ich stylu gry, ale też wyglądu.

O ile akceptowałam swoją płć, tak zmieniający się wygląd już nie. Chcąc zatrzymać ten proces, ograniczyłam jedzenie, nie dopuszczając do zmiany sylwetki. A, że trudno było mi nad tym zapanować z racji cukrzycy i tego, że posiłki zawsze z kimś jadłam, choćby z bratem bliźniakiem, więc musiałam uruchomić moją drugą, tajną broń – sport, i to w dużej ilości. Wymykałam się z domu pobiegać lub pojeździć na rowerze, by inni tego nie widzieli. Zamykałam w łazience, robiąc setki brzuszków i przysiadów. Czułam się naprawdę bardzo zmotywowana, pobudzona i wysportowana. Nawet ból w kolanach aż tak bardzo nie przeszkadzał. Częściowo przyzwyczaiałam się do niego. A czasem dyskomfort w ogóle nie występował, więc jeszcze bardziej utwierdzało mnie to w przekonaniu, że trafiłyśmy na beznadziejnego ortopedę.

Najważniejszym było jednak to, że stawałam się coraz szczuplejsza. Nieświadomie, nauczyciele także „motywowali” do chudnięcia. Jako

jedni z pierwszych wychwycili, że „znikam w oczach”. O ile ubytek dwóch, trzech kilo był niewidoczny, tak już dalszego spadku wagi nie szło nie zauważyć. Kilka razy nawet zostawałam „wyróżniana” z klasy i proszona, żebym została po lekcjach na rozmowę. Martwili się o mój stan, a ja zapewniałam ich, że wszystko jest w porządku, że jem normalnie i nic złego się nie dzieje. Te ich zainteresowanie i troska stała się dla mnie wręcz obsesją. Czekałam aż mnie zawołają. Pragnęłam tych rozmów bez końca. Gdy nie wołali, byłam zła i rozczarowana. Najprościej było mi wtedy włączyć guzik „głodzenia organizmu” i dodatkowych ćwiczeń. Kończyło się to przeważnie niską glikemią, której nie dało się już oszukać niejedzeniem. Musiałam zjeść chociaż gryz kanapki, by za chwilę cukier podskoczył i znowu spadł. Te „wróbelkowe” porcje miały to do siebie, że tylko na chwilę podnosiły cukier. Znowu podbijałam go dwoma gryzami chleba i kolejny zjazd. Istny rollercoaster. Ale głodzenie dawało efekty – chudłam i wzbudzałam zainteresowanie otoczenia.

Cukrzycą tego nie osiągnęłam. Bo jej nie było widać, utratę kilogramów owszem. I choć zdarzały mi się częste hipoglikemie, rzadko kto o nich wiedział. Przytomności nie traciłam. Nie miałam przecież napisanej na czole karteczki – „mam niski cukier, teraz możesz się mną zająć”. Może to dobrze, że nikt nie podchodził i nie pomagał. W końcu, cukier powodował czasem duże rozdrażnienie, a oliwy do ognia dolewał fakt, że musiałam coś zjeść, choć nie chciałam. Cała w nerwach, z drżącym i wiotkim ciałem, siadałam cicho w kącie, skubiąc nieszczęsną kanapkę, i czekając dwadzieścia minut, aż cukier podrośnie. Czasem trochę dłużej, bo kanapka nie doprowadzała szybko do normalnego funkcjonowania. Jeszcze gorszym rozwiązaniem było sięgnięcie po ciągnącą się krówkę. Nie dość, że cała zaklejałam się od cukierka, to jeszcze długo trwało zanim zaczął on działać i cukier wrócił do normy. Mogłam go jednak łatwo wsadzić do kieszeni i mieć zawsze pod ręką, więc było to wygodne rozwiązanie. Ale z pewnością kiepski ratunek na niski cukier. Nikt mi wtedy nie wytłumaczył, jak podnosi się cukier po takiej słodkości. „Masz niedocukrzenie, to musisz zjeść coś słodkiego”. Proste. Nie mówiono o wpływie działania tłuszczu w takim cukierku. Wiedzy i dostępu do informacji było jak na lekarstwo. W szpitalach nie

edukowali, w książkach nie pisali. Sieć internetowa nie była jeszcze rozwinięta. A cukierki były niebezpieczne, zwłaszcza kiedy włączył się tryb „wilczego głodu”. Wtedy potrafiłam zjeść kilka krówek naraz, nie zważając na pochłonięte kalorie. Gdy jedną miałam w buzi, odwijiałam już następny papierek, żeby tylko zdążyć załadować kolejną.

Od tamtej zimy działało się jednak ze mną coś niedobrego. Zmieniałam się. Fizycznie chudłam, a psychicznie zamykałam w swoim świecie: katorżniczych treningów, pilnej nauki i obsesyjnej bitwy z niejedzeniem. Chciałam się wyróżnić. Miałam duże ambicje, zacięcie i kontrolę nad tym, co robię. Do czasu.

Machina ta została uruchomiona, a ja rozpoczęłam walkę, by nic, i nikt jej nie zatrzymał.

Rozdział trzynasty

Skóra i kości

Rok: 2001

Wiek: 15 lat

Staż cukrzycy: 4 lata

Któregoś zimowego wieczoru siedziałam w pokoju z książką w ręce. Próbowalam wykuć na blachę nowe słówka z języka angielskiego. W żaden sposób nie mogłam ich zapamiętać. Zdecydowanie lepiej przyswajałam niemieckie, choć i z tymi zaczęłam mieć problemy. Język angielski był przedmiotem, na który uczęszczałam dodatkowo i dobrowolnie. Tamtego wieczoru żałowałam, że się na niego zapisałam, bo przede mną były jeszcze inne przedmioty i zapowiedziane sprawdziany. Ilość wiedzy, jaką miałam przyswoić, przerażała. Nie wiedziałam dlaczego, ale szło mi to bardzo topornie. Należałam do zdolnych uczennic, ale na większość dobrych ocen musiałam ciężko zapracować. Stąd często do późnych godzin nocnych ślęczałam nad lekcjami. Tak czy siak, o szóstkach dawno już zapomniałam, piątki też coraz rzadziej wpadały do dziennika. Przez kilka ostatnich miesięcy czułam duże zmęczenie i brak energii. Wszystko przytłaczało i sprawiało ogromną trudność. Byłam bardzo rozkojarzona i osowiała, tak jakby uszło ze mnie życie. Moja radosna i pogodna osoba gasła. Na

twarży często pojawiał się smutek i niechęć do wszystkiego.

Marcin niejednokrotnie próbował odciągnąć mnie od szkolnego biurka, proponując wspólne obejrzenie meczu piłki nożnej czy jakiegoś filmu. Nie pozwalałam sobie na tę przerwę, ryjąc w książkach i próbując się skupić. Nie ułatwiał dobiegający zza ściany głos z telewizora. Szczelnie zamykałam drzwi, by w grobowej ciszy coś przyswoić. Bezskutecznie.

Nie tylko nauczyciele, ale również rodzice bardzo się o mnie martwili. Rodzicielska troska kończyła się często awanturą w stylu: „zostawcie mnie w spokoju!”. Powoli ich cierpliwość też się kończyła. Dostałam przykaz pójścia na badania. Okazało się, że wszystkie wyniki krwi były złe i zaniżone – świadczyły o anemii oraz wyraźnym osłabieniu organizmu. Lekarka rodzinna przepisała witaminy i kazała się lepiej odżywiać.

Tylko sport dawał mi jakąś prowizoryczną wenę do działania. Rodzice nadzorowali, ile czasu spędzam na pedałowaniu na rowerku stacjonarnym, ale gdy nie widzieli, dokładałam do tego jeszcze ekstra treningi – ćwiczenia aerobowe. Oczywiście rower nadal był głównym motorem napędowym treningów. Na trening zawsze znajdowałam czas. Nawet i o północy.

Tak przeczekałam do wiosny. Liczyłam na to, że promienie słońca i cieplejsza aura trochę rozweselą strapioną i zapracowaną duszę. Dzięki dobrym jesiennym wynikom w biegach zostałam nawet wytypowana do kadry w szkolnej sztafecie, w zawodach szkół gimnazjalnych. Były to pierwsze tego typu mistrzostwa. Miały się odbyć u nas, na wrześnińskim stadionie, więc tym bardziej chciałam dobrze wypaść. Cieszył również brak bólu w kolanach. Zimą zdecydowanie mniej biegałam.

Wyróżnienie przez nauczyciela WF-u sprawiło, że przez chwilę poczułam znowu tę samą iskierkę radości, co jeszcze niespełna pół roku temu. I choć stosunki z rodzicami były mocno napięte, to jednak postanowiłam podzielić się tym wyróżnieniem.

— Mamusia, tatuś, mam super wiadomość! — zaczęłam dumnie.
— Pan Grzegorz wytypował mnie do szkolnej sztafety. Zawody są teraz, w ten piątek. Będę biegła razem z Kasią, Karoliną i Martyną.

— Chyba żartujesz?! — oburzył się od razu tata. — Przecież z

twoją ostatnią ilością jedzenia, to nie starczy ci sił, by tam nawet dojść. A co tu dopiero biegać!

— Co?! Mylisz się! — uniosłam się. — Jak możesz tak twierdzić!? Właśnie, że mam ich bardzo dużo. Zdziwisz się!

— A też mogłabyś odpuścić. Wiatr cię zdmuchnie... Nie widzisz, jak ty wyglądasz? — razem z mamą spojrzeli na mnie mocno zatrwożeni. — Sama skóra i kości!

Ich reakcja rozwścieczyła mnie na dobre. Nawet Marcin nie chciał się za mną wstawić. Mój wygląd też go niepokoił.

Po co ja się im chwaliłam? Jak mogą tak we mnie nie wierzyć? Mam ich gdzieś! Jaka „skóra i kości”? Niech sobie myślą, co chcą. Dobrze wyglądam! A już na pewno dobrze biegam! Dam sobie radę sama.

Nie wyperswadowali mi tych zawodów. Stanęłam do nich nadal poddenerwowana aferami w domu i brakiem wsparcia i zrozumienia. Na dodatek narastała niepewność, czy mam faktycznie na tyle dużo siły, by dobrze pobiec. Każda z nas miała do przebiegnięcia jedno, czterystumetrowe okrążenie.

Trener wszedł do szatni, żeby wydać ostatnie wskazówki i omówić taktykę.

— Kaśka, ty ruszasz jako pierwsza. Później Karolina, Ania i na końcu nasz klucz do sukcesu – Martyna. Dajcie z siebie wszystko dziewczyny! — zawołał, mobilizując tym samym do rywalizacji. — Macie szansę to wygrać!

— Panie Grzegorzu, ja wychodzę na zmianę przedostatnia, tak? — chciałam się upewnić.

— Tak — rzucił pośpiesznie, dziwnie się na mnie patrząc. — Dziewczyny, skupcie się! Powtarzam: Kaśka, Karolina, ty – Anka i Martyna. Martyna, pamiętaj, żeby nie czekać do końca ze sprintem. Jak dostaniesz pałeczkę od Anki, to odpalasz swoją petardę. Rozumiesz? — potrząsnął za ramię, zagrzewając do walki. — Nie ma co czekać na końcówkę. Gimnazjum nr 1 ma naprawdę mocne zawodniczki. Będą też dwie drużyny z Poznania, jedna z Kalisza i chyba z Gorzowa Wielkopolskiego, także będzie ciężko.

Przedostatnia? Jak przedostatnia? Dlaczego trener nie wystawił

mnie jako pierwszej czy ostatniej, przecież to ja jestem najmocniejsza? I nie cierpię określenia „Anka”!

Weszliśmy na stadion. Kasia rozpoczęła zmianę naprawdę mocno. Po pierwszym okrążeniu prowadziła drużyna z Poznania, a zaraz za nią my. Karolina, od której miałam dostać pałeczkę, nerwowo truchtała w miejscu nogami.

— Ania — zwróciła się poddenerwowana — podbiegnę do ciebie delikatnie z lewej strony, także tam się ustaw.

— Dobrze — odpowiedziałam spokojnie, choć czułam, że i mnie udziela się jej stan.

Karolina ruszyła, a za nią goniła pozostała czwórka rywalek. Ustawiłam się z lewej strony bieżni, dokładnie tak, jak dostałam polecenie. Im bardziej zbliżała się Karolina, tym mocniej waliło serce. Nadal była druga. Chwilę później wyszła na prowadzenie. Kolejne zawodniczki biegly z kilku sekundową stratą, także mogliśmy kontrolować przebieg rywalizacji. Przekazanie pałeczki poszło nawet bardzo sprawnie, więc wystartowałam błyskawicznie. Czterysta metrów nie oznaczało dla mnie dalekiego dystansu, stąd wiedziałam, że już od samego początku muszę ruszyć bardzo mocno. Czułam na plecach zbliżający się oddech rywalek.

— Ania, no dawaj! Co jest z tobą! Szybciej! — krzyczał pan Grzegorz ze stadionu.

A ja szybciej biec nie mogłam. Kompletnie mnie odcięło. Wydawało mi się, że poruszam się w tempie żółwia. Martynie przekazałam pałeczkę jako ostatnia. Wszystkie dziewczyny mnie wyprzedziły. Odległość do ostatniej rywalki stała się ogromna. Absolutnie niedogonienia.

— Boże, Ania, co ty zrobiłaś?! — Kaśka z Karoliną wrzeszczały na mnie, jedna przez drugą. — Martyna już w życiu ich nie prześcignie. Dlaczego tak słabo pobiegłaś? Mówiłam panu Grzesiowi, że miał cię nie brać. On się uparł i teraz mamy...

Słowa koleżanki już bardziej dobić mnie nie mogły. I tak już byłam wystarczająco załamana. Ostatecznie Martyna finiszowała jako czwarta. Nie dość, że nie dostałyśmy żadnego dyplomu, to jeszcze nie zakwalifikowałyśmy się do dalszych rozgrywek.

Wszystkie położyłyśmy się na bieżni, zrozpaczone i mocno zmęczone. Podszedł do nas zawiedziony trener.

— Ania, do diabła! — zwrócił się od razu do mnie z pretensjami w głosie. — Co się stało, dlaczego tak słabo pobiegłaś?!

— Nie wiem, naprawdę nie wiem... — odparłam niechętnie, nawet na niego nie patrząc.

Nie chciałam się tłumaczyć, przepraszać. Po chwili dziewczyny poszły, chyba się pogniewały.

Nie rozumiem... Co się stało z moją kondycją? Gdzie te silne nogi? Jak mogłam tak wszystkich zawieść? Boże, moja kariera jest skończona... Pan Grzegorz już nigdy nie weźmie mnie na zawody...

Próbowałam jakoś przeanalizować bieg. Tysiące myśli krążyły w głowie i żadna, poza jedną, nie miała sensu. Zrozumiałam, że nie chodziło tutaj o złą taktykę, niesprzyjającą, wietrzną aurę, czy choćby cukrzycę. Ja po prostu nie miałam fizycznie siły na ten bieg. Moje ciało zamieniło się w wysuszony, pozbawiony mięśni i energii, wiórek.

Długo nie mogłam ochłonąć. Leżałam na torze i czułam, jak każdy kamyczek wbija się w wychudzone ciało. Popatrzyłam na wystające żebra. W leżącej pozycji uwidoczniły się jeszcze bardziej. Przeraziłam się.

Czy ja coś dzisiaj jadłam? A może tata miał rację? Może rzeczywiście źle wyglądam i mam problemem z odżywianiem?

Przez chwilę chciałam nawet sięgnąć po kanapkę, ale na myśl o jej zjedzeniu przeszły mnie ciarki. Ugryzienie choćby kęsa zdawało się być równie trudne, jak wygranie tych zawodów. Wręcz nieosiągalne. Podobnie, jak z utrzymaniem dobrych cukrów. Bałam się, że podam nieodpowiednią ilość insuliny do posiłku i cukier spadanie, a ja będę musiała ekstra dojadać. W końcu to dodatkowe kalorie, których moja zaburzona głowa nie akceptowała.

Tamte zawody dały mi jednak do myślenia. Zrozumiałam, że mogę mieć problem natury psychicznej. I to bardzo poważny.

*

Następnego ranka wstałam później niż zwykle. Oczywiście, obudziłam się, jak co dzień o podobnej godzinie, żeby podać insulinę,

ale nie miałam ochoty podnosić się wcześniej z łóżka i robić zastrzyku. Glikemii też nie chciało mi się mierzyć. W końcu była sobota, a ja załamana po klęsce w zawodach, zobojętniałam na wszystko. Równie dobrze mogłabym tak przeleżeć cały dzień, nic nie robiąc. Z cukrzycą włącznie.

Z korytarza dobiegały jednak coraz wyraźniejsze głosy domowników. Miałam wrażenie, że za ścianą zachowują się głośniejsze, tak jakby chcieli, żebym już wstała i zjadła bodaj śniadanie. Wydawało mi się, że słyszę też głos siostry mamy. Gawędzili w najlepsze. Harmider mi przeszkadzał, więc wstałam.

— Dzień dobry, Aniu! — przywitała mnie ciepłym uśmiechem ciocia. — Nie przypuszczałam, że jesteś takim śpiochem? — próbowała zażartować, bo przecież nigdy nie byłam.

— Aa... jakoś tak nie chciało mi się wcześniej wstawać — odpowiedziałam chłodno, przeczuwając, że kryje się pod tą wizytą znacznie więcej. — Nie wiedziałam, że miałaś do nas przyjechać.

— Tak. Twoja mama zaprosiła mnie na obiad.

— Cześć, Aniu! — w korytarzu pojawiła się właśnie ona. — Ale dziś długo pospałaś... — spojrzała z wymowną miną na zegarek. — Tylko, proszę cię, nie denerwuj się, ale ciocia przywiozła ze sobą swoją wagę. Chciałybyśmy, żebyś się zważyła.

No i znowu się zaczyna... Chyba śni!

— Zważyła? — furknęłam od razu. — Ale po co mam się ważyć? Przecież ważę normalnie.

— Aniu, nie upieraj się i nie rób scen przy cioci. Idź do kuchni, podaj sobie insulinę i wróć tu grzecznie. Zważymy cię.

Co za perfidny i wredny podstęp! Tu nie chodziło wcale o żadne zaproszenie na obiad, tylko o moje upokorzenie. Czy one myślą, że tego nie wiem i jestem głupia?

— Nie będę się ważyć! — upierałam się, nie myśląc ani o zrobieniu zastrzyku, ani o dobrym wychowaniu. Czułam, że zbliżają się kłopoty.

— Proszę, Aniu — zaczęła spokojnie ciocia. — Mama się o ciebie martwi. Wszyscy widzimy, że mocno ostatnio schudłaś. Ne rób przykrości mamie, i mnie też, i wejdź na wagę. Proszę!

— Przesadzacie! — wrzasnęłam na nią, jak na najgorszego wroga.
— Wszyscy przesadzacie!

— Rozumiem, Aniu, że jesteś zła. Tylko zobaczmy, co się dzieje. Może nie będzie tak źle? Choć faktycznie mocno schudłaś od ostatniego razu, jak cię widziałam... — zauważyła zatrwożona.

W mojej duszy walczyły żal i uraza.

Co za szopka z tą wagą! Wiem, że schudłam, ale żeby od razu robić z tego taką aferę i to upubliczniać, poza naszym domowym gniazdkiem...?

W domu nie potrzebowaliśmy dotychczas wagi. Nie upierałam się jednak dalej. Zanim stanęłam na urzędzeniu, chwyciłam jeszcze bluzę, tłumacząc, że jest mi zimno. Mimo tego, że tegoroczna wiosna była naprawdę ciepła, ja odczuwałam ciągłe zimno. Nie wspominając o lodowatych rękach i stopach. Tak naprawdę, ubranie dawało dodatkowe gramy, które mogły mnie „uratować” przed katastrofą.

— Czterdzieści trzy i pół kilograma — przeczytała ciocia.

— W ciuchach — dodała od razu mama.

— W jakich ciuchach? — oburzyłam się, patrząc na lekką piżamę, bluzę i kaptcie, których też nie mogło zabraknąć na stopach podczas egzekucji.

— Aniu, nie targuj się, co masz założone, a czego nie masz! — napominała mama. — Chyba teraz widzisz, że bardzo schudłaś. To siedem kilo mniej, niż miałaś na początku roku. Jak nie zaczniesz normalnie się odżywiać, to będziesz musiała pójść do szpitala. Ciocia powiedziała, że w Poznaniu jest specjalny oddział dla osób z zaburzeniami odżywiania. Tam ci pomogą.

— Nie mam przecież żadnych zaburzeń! — uparcie się broniłam. — Może ostatnio za dużo ćwiczyłam i przez to waga trochę poleciała w dół? Przygotowywałam się zresztą do zawodów — sama zaczęłam powątpiewać, czy to faktycznie dobry argument te zawody. W końcu, ćwicząc, tylko traciłam kilogramy.

— A to swoją drogą — wychwyciła spryčiuła. — Musisz przestać ćwiczyć i zacząć jeść normalnie. Inaczej trafisz do szpitala — oznajmiła, niemalże mi grożąc.

— Nie zabierzesz mi roweru! — uzmysłowiłam sobie nagle,

czekającą mnie tragedię bez ćwiczeń i roweru. — Jeść też nie mam zamiaru więcej! — rzuciłam w furii, ewakuując się do pokoju.

— Aniu, nie odchodź proszę — starała się uspokoić sytuację ciocia. Udało jej się tym samym zatrzymać mnie w korytarzu. — Wagę masz naprawdę niską. Dziewczynki w twoim wieku dopiero przybierają. A ty bardzo schudłaś. Zrozum, my się wszyscy tutaj o ciebie bardzo martwimy.

Stałyśmy w tym korytarzu, wszystkie trzy, tak jeszcze dobre dziesięć minut, żywo negocjując, co powinnam, a czego nie. Mama dobrze wiedziała, że w starciu słownym ze mną nie miałyby szans, stąd poprosiła siostrę, aby przyjechała ją wesprzeć. Ważenie mnie, zabronienie ćwiczenia, zmuszenie do jedzenia. To wszystko mogłoby się skończyć niemałą awanturą. Zresztą nikt nie chciał potyczek słownych ze mną, nawet Piotrek, który też nieprzychylnie patrzył na moje ostatnie poczynania z jedzeniem. Nawet i on mi przeszkadzał. Niby zależało mi, by zwrócić uwagę otoczenia poprzez utratę kilogramów, ale nie w ten sposób. Tu toczył się bój i czułam, że wszyscy są przeciwko mnie.

Weszłam do pokoju i zaczęłam płakać. Mama próbowała do mnie zajrzeć, ale wołaniem: „zapraszam na obiad” tylko pogarszała sytuację. Byłam nieugięta, więc na obiad nie poszłam, a upominania i ostrzeżenia rodziców: „tak nie wypada”, „dostaniesz karę”, „później sobie pogadamy”, i tak na nic się zdały. Nic mnie one nie obchodziły. Czułam tylko wielki żal, rozpacz i pustkę.

Wczesnym popołudniem ciocia pojechała do domu. Mieszkała ponad sto kilometrów od nas, także mama musiała przedstawić sytuację za poważną, skoro przyjechała taki kawał drogi. Poza tym, atmosfera w domu była naprawdę nieciekawa. Czuć było, że zaraz coś wybuchnie. We mnie wręcz się gotowało. Ciocia zostawiła wagę, „tak na wszelki wypadek”.

Potyczki słowne z zapewnianiem rodziców, że nie chudnę, kończyły się tylko moją kolejną kompromitacją. Wagę gubiłam w zastraszającym tempie. Pod koniec roku szkolnego po raz kolejny dostałam skierowanie na badania krwi, które wskazały dużo gorsze wyniki niż poprzednie. Pediatra zasugerowała, że mam anoreksję i koniecznie muszę trafić do

szpitala. Mało mówiło się wtedy o tym zaburzeniu, podobnie zresztą jak o cukrzycy. Temat tabu. Wśród znajomych nikt nie miał problemów z jedzeniem. W szkole też zdawałam się być jako ta jedna jedyna. Stałam się na pewno dobrym obiektem, by analizować na mnie układ kości człowieka. Pod koniec maja moje ciało przypominało istny szkielet.

Wiedziałam, że jestem w złym stanie, ale też nie bardzo chciałam się leczyć, a już na pewno nie przytyć. Ostatecznie wylądowałam na oddziale diabetologicznym w Poznaniu z wagą trzydziestu ośmiu kilogramów, przy wzroście metr sześćdziesiąt jeden. W szpitalu chcieli ustabilizować rozchwiane cukry i podać kilka kroplówek na wzmocnienie. Podczas pobytu, zmieniłam też diabetologa. Nowa lekarka, według zapewnień ordynatorki, miała mieć większe doświadczenie w leczeniu pacjentów z jądłowstrętem psychicznym. Czekala mnie walka z czasem, ponieważ nikłam w oczach. Wskaźnik masy ciała wskazywał wynik poniżej 15, co oznaczało wygłodzenie i fakt, że moje życie jest zagrożone.

Na tamtą chwilę w głowach wszystkich kłębiło się jedno nurtujące pytanie: „gdzie podziała się ta dawna i pełna życia Ania?”.

*

Pobyt na oddziale diabetologii częściowo nawet mnie cieszył. Po pierwsze znałam już te szpitalne rewiry, a po drugie nie musiałam trafić na oddział psychiatryczny, gdzie leczono osoby z zaburzeniami jedzenia. Bałam się go, bo kojarzył mi się tylko z „czubkami”, do których, według mojej opinii, z pewnością się nie zaliczałam. Cukrzyca trochę mnie tutaj uratowała. Zresztą, moje cukry też należało wyrównać. Ale głównie byłam zadowolona, że nie musiałam chodzić do szkoły. Właśnie rozpoczęła się końcówka roku szkolnego, która oznaczała intensywny okres odpytywania przez nauczycieli, kartkówek i sprawdzianów. Nikt nie wiedział, jak długo pozostanę w szpitalu, ale zapowiadało się, że przynajmniej dwa tygodnie mogę tam poleżeć.

Ktoregoś dnia wparowali na oddział z wizytą koledzy z orkiestry.

— Ależ ci zazdroszczę, siostra — zagaił Marcin. — Wiesz, ile jest teraz zadane lekcji? Wczoraj mieliśmy aż dwa sprawdziany – z matematyki i geografii. To było świństwo! — wykrzyknął na całe

gardło, choć sami na stołówce nie byliśmy. — Teoretycznie przecież — zaczął trochę ciszej — nie można mieć dwóch sprawdzianów w ciągu jednego dnia. Poskarżyliśmy się nawet pani Frączak, ale ona i tak nic z tym nie zrobiła. Sprawdziany i tak napisaliśmy. Dawid i ekipa pójdą z tym jeszcze do dyrektora, ale ja nie będę się w to mieszał. Szkoda, że ciebie nie ma, bo na pewno byś tam zawojowała.

— Mówisz serio, Marcin? A ja myślałam, że Ania jest taka spokojna i grzeczna — spojrzała na mnie z uśmiechem Martyna, klawecistka, puszczając mi zaczepnie oczko.

— Co, ja bym nie poszła? Poszłabym! — poczułam natchnienie w obecności orkiestrowych kolegów. — A tak zmieniając temat, fajnie, że wpadliście, i że was tutaj wszystkich wpuścili. Nie spodziewałam się. Chyba nikt jeszcze nie miał tutaj tylu odwiedzających. Przyjechaliście pociągiem?

— Tak, zajęliśmy chyba pół przedziału — zaśmiała się Gabrysia, flecistka. — A wiesz, że ostatnio dostaliśmy zaproszenie na ten konkurs w Grodzisku Wielkopolskim? Będzie duży festiwal i musztry parade. Może zdążysz się wykurować i będziesz z nami grała? Festiwal jest w lipcu.

— To powinnam już chyba stąd wyjść, cukry mam nawet dobre — wagą chwalić się nie chciałam. Zresztą nie było czym, bo od tygodnia i tak nic nie przytyłam. Oficjalnie, powodem pobytu w szpitalu była cukrzyca.

— To super, może cię wypuszczą — wtrącił się Daniel, tubista. Jego niski ton głosu zabrzmiał podobnie basowo, jak dźwięki, wydobywające się z instrumentu, na którym grał. — Ostatnio ćwiczyliśmy na próbie nowy marsz: „Europa”. Brzmi zawodowo! Ponoć będziemy grali go jako główny marsz konkursowy na scenie. Szaleństwo, bo dyrygent chce go też zagrać w przemarszu. Także wracaj, bo potrzebujemy dobrej sekcji trąbek.

— Oj, zdecydowanie — podchwycił Marcin, lider sekcji. — Wracaj, wracaj, siostra!

Uśmiechnęłam się. Byłam niesamowicie wdzięczna, że ich tam mam, i że specjalnie przyjechali mnie odwiedzić. W piętnaście osób wparowali z zaskoczenia, wprowadzie tak na piętnaście minut, ale

zrobiło mi się niezwykle miło. Siostra oddziałowa zaglądała do nas co po chwilę, tak jakby chciała ich wygonić. A zachowywaliśmy się naprawdę po ciuchu, poza jednym krzyknięciem brata. Żałowałam tylko, że nie zdążyłam zamienić z każdym z nich choćby jednego słowa.

Byłam bardzo zżyta z koleżankami i kolegami z orkiestry. Spędzaliśmy ze sobą bardzo dużo czasu, chodząc na próby, czy jeżdżąc na koncerty po całej Polsce, a nawet i później Europie. Na próby orkiestry, pomimo tego, że nie miałam fizycznie siły, i tak starałam się chodzić. W końcu należałam do niej od założenia, czyli pół roku wcześniej zanim zachorowałam na cukrzycę. Tęskniłam za tym, aby mieć więcej werwy. Potrzebowałam naprawdę mocnej i wyćwiczonej przepony, by dobrze dmuchać w instrument. A niestety moja kondycja w każdej sferze życia szwankowała. Pobyt w szpitalu miał ją trochę podreperować.

Któregoś popołudnia zostałam wezwana przez doktor Grabowską do gabinetu. Z jednej strony cieszyłam się, że nie muszę być pod okiem doktor Mróz, a z drugiej strony uznawałam jej sposób leczenia moich problemów z jedzeniem za beznadziejny. Miałam wrażenie, że się na tym nie zna, w końcu specjalność miała tylko w diabetologii.

— Ania — zaczęła poważnie — obecnie twoja waga utrzymuje się już od półtorej tygodnia na tym samym, niezmiennym poziomie. Żebyś mogła puścić cię do domu, choćby na przepustkę, musisz przytyć. Czy zjesz wszystkie posiłki? — zapytała nieufnie.

— Tak, ale one mi nie smakują...

— Poproś rodziców, żeby przywieźli ci jakieś swoje jedzenie – dodatkowe jogurty, wędliny. Specjalnie zwiększyłam ci ilość insuliny bazowej rano, abyś mogła jeść więcej w ciągu dnia. A u ciebie są duże spadki, co oznacza, że nie dojadasz.

— A ile muszę przytyć, by pójść na przepustkę? — dopytałam, nie chcąc się przyznać, że lekarka miała rację.

— Dwa kilogramy — oznajmiła zimno. — Co najmniej!

— Co? Dwa kilogramy?! — oburzyłam się, nie uwzględniając tego „co najmniej”. — Tak dużo!? Jak ja mam to niby zrobić? Chyba nigdy stąd nie wyjdę, pani doktor! — lamentowałam, próbując wziąć ją na łaskę.

— Jak nie będziesz więcej jadła, to nie przytyjesz — trafiła z uwagą prosto w zdruzgotane serce. — Pamiętaj jednak, że wszystko co zjadasz, masz zapisywać w zeszyście.

Do sposobu leczenia cukrzycy też miałam zastrzeżenia. Pewnie byłam już trochę przyzwyczajona do specyficznego i surowego prowadzenia przez doktor Mróz. Choć ta nowa również trzymała krótko. Moją „ulubienicę” – M. spotykałam na oddziale codziennie, ale nawet na mnie nie patrzyła. Zachowywała się tak, jakby mnie nie знаła. Przechodziła obojętnie i nawet nie zapytała, co słyhać. Ani razu. A miała na to całe trzy i pół tygodnia.

Kiedy opuściłam oddział, moja waga nieznacznie wzrosła. Z „co najmniej dwóch kilo” zhandlowałam, po wielkich błaganiach, do „choć dwa kilo”. W „kontrakcie” lekarka zapisała jednak, że jak nie przytyję przez kolejne dwa tygodnie do czterdziestu dwóch kilogramów, to trafię z powrotem na oddział. Ostatecznie regulaminu nie zламаłam.

Niewątpliwie, po pobycie poczułam się jakby ciut silniejsza. W dużej mierze dzięki kroplówką, a także psychicznemu odpoczynku od szkoły. Na oddziale mieliśmy, co prawda, jakieś zajęcia, ale w porównaniu z moją szkołą, to czułam się tam prawie jak na wakacjach. Po powrocie do prawdziwej szkoły, nauczyciele wystawili mi oceny końcowe z tych, które miałam do tej pory w dzienniku. Ominęło mnie sporo sprawdzianów, tylko z nielicznych przedmiotów musiałam coś ustnie zdawać. Z biedą dostałam świadectwo z czerwonym paskiem, i z najgorszą średnią, jaką do tej pory uzyskałam: 4,8. Nie mówiąc już o tym, że nie byłam drugą, najlepszą uczennicą w klasie. Najważniejsze, że dostałam szóstkę z WF-u. Widocznie, moja klęska na zawodach nie okazała się tak dramatyczna, by mnie nie docenić. Na reszcie przedmiotów przestało mi tak bardzo zależeć. Moje ambicje oceniałam nadal jako ponadprzeciętne, ale towarzyszył temu ciągle obniżony nastrój. Na szczęście już następnego tygodnia rozpoczynały się długo wyczekiwanie wakacje.

Rok: 2001

Wiek: 15 lat

Staż cukrzycy: 4 lata

Poranne słońce prażyło przez okno pokoju. Wszyscy jeszcze spali. Wysłałam ukradkiem z pokoju, tak aby nikogo nie pobudzić. Była niedziela. Weszłam do łazienki i wyciągnęłam wagę. Czterdzieści cztery kilogramy. Przeraziłam się.

Boże, ile ja przytyłam! Jak mogli mnie tak spaść w tym szpitalu!? Teraz wyglądam jak taka gruba świnia! A może to od zmiany insuliny? Kiedyś ktoś mi powiedział, że od insuliny się tyje. Może to jest prawda?

Szpitalne bzdury chłonełam jak gąbka wodę. Zwłaszcza w kwestii wagi. Przez myśl przeszła mi pokusa, aby nie podawać sobie w ogóle insuliny. Ale od razu ją odrzuciłam, kiedy pomyślałam, że zakwaszę organizm i wyląduję ponownie na oddziale.

O nie! Nie ma takiej opcji. Tam mnie tylko znowu spasz. A jeszcze wczoraj się ważyłam i miałam czterdzieści trzy i pół kilograma. Przytyłam zatem całe pół kilo! Koszmar! Już gorzej ten poranek nie mógł się zacząć...

Zeszłam z wagi, po raz trzeci tego ranka. Miałam nadzieję, że przez minutę, którą stałam w łazience, schudnę. Waga stała w miejscu, tak jak i z rozpaczy stanęło moje serce.

— Aniu, dlaczego płaczesz? — weszła do pokoju mama. Jej widok tylko jeszcze bardziej mnie rozwścieczył.

— Ważę czterdzieści cztery kilogramy! Ponad! — wyolbrzymałam wynik, chwytając fałd skórny na brzuchu. Tylko skórny. — Jestem gruba! Potwornie gruba! Widzisz? Mój tłuszcz się ze mnie wylewa... Co oni mi zrobili w tym szpitalu? To wszystko przez was, to wy mnie tam zamknęliście! — wrzeszczałam na całe gardło, rzucając pogardliwe spojżenia.

— Aniu, uspokój się, wcale nie jesteś gruba — przycupnęła na

krzesła, zakładając bojowo nogę na nogę. Czuła, że szykuje się ostre stracie. — Troszkę przytyłaś, ale nadal masz niedowagę.

— Troszkę przytyłam?! — popatrzyłam na nią jak na najgorszego oprawcę. — To jest chyba z dziesięć kilo! Wynoś się stąd! Nie chcę cię na oczy widzieć! To wszystko, to twoja wina! — krzyczałam bez opamiętania.

— Nie przesadzaj, dziecko — westchnęła, przewróciwszy oczami. — Może pięć, sześć kilo przytyłaś, więcej nie. Do pięćdziesięciu jeszcze ci daleko — wstała z krzesła, po czym zakomunikowała. — Idę przygotować śniadanie, także uspokój się i przyjdź do kuchni.

Rzuciłam wiązaną słów, które nijak miały się do panowania nad sobą. Zrobiłam to na tyle ostro, że w drzwiach pojawił się tata.

— Co to za krzyki? — zapytał oburzony.

— Ania ma dzisiaj gorszy humor. Weź ty może z nią porozmawiaj. Ja już nie mam na nią siły...

Wyszła z pokoju, zostawiając mnie sam na sam z kolejnym „wrogiem”, nieznacznie wyższym ode mnie. Na jego głowie jeżyły się włosy. Liche i siwe. Zastanowiło mnie, czy to ze starości czy z problemów ze zbuntowanymi i niesfornymi dziećmi. A ściślej mówiąc, ze mną. Tata w przeciwieństwie do mamy nie unosił się i nie lamentował. Stał twardo i w zasadzie poza słowami, że „miałam się tak więcej nie zwracać do matki” i „czy mi się podoba, czy nie, widzimy się za 5 minut na śniadaniu”, to nic więcej nie usłyszałam. Z jednej strony ulżyło mi, że nie będę musiała toczyć kolejnych, słownych szarpanin, a z drugiej miałam cichą nadzieję, że stanie w mojej obronie. Ale nawet mnie nie wysłuchał. Zresztą, rozmowa z tatą nigdy mi się nie kleiła, więc nie wiem, czego się właściwie spodziewałam. Moje wymowne milczenie chyba go zirytowało, bo po minucie wyszedł z pokoju równie zrezygnowany, jak jego poprzedniczka.

Zostałam sama. Wtuliłam się w poduszkę i płakałam dalej. Jedynym moim pocieszycielem był mały pluszaczek: Pieniuś. Zaczęłam się do niego żalić i trochę udało mi się uspokoić. O zjedzeniu śniadania nie było mowy. Nie w tamtym stanie.

Niestety, godzinę później dostałam hipoglikemii i wyjścia nie miałam – musiałam chociażby wypić coś słodkiego. Stres i napięcie nie

zawsze powodowały wzrost cukru, co było dość niespotykanym, jak na cukrzyka, zjawiskiem. Poranna pobudka hormonów też nie bardzo podnosiła glikemię.

Zebrałam się w sobie i opuściłam bezpieczne ściany. Gdy weszłam do kuchni, rodzice krzżeli się nerwowo, szykując do wyjścia. Śniadanie już na mnie czekało. A raczej, jeszcze czekało, bo kwitło tam od dobrej godziny.

— Jedziemy zaraz z Marcinem na działkę. Jedziesz z nami? — zapytał oschłym tonem tata, co tylko ułatwiło podjęcie natychmiastowej decyzji.

— W życiu! Nigdzie z wami nie jadę! Zostawcie mnie w świętym spokoju!

— A ty okres masz czy co? — wtrącił się Marcin. — Zachowujesz się jak mały, rozkapryszony bachor! Ubierz się i jedź z nami!

— Ty też się weź ode mnie odwal, Marcin!

Brat spojrział na mnie z politowaniem, obrócił na pięcie i wyszedł pakować się do wyjazdu. Tym okresem tylko mi dopiekl, bo przecież doskonale wiedział, że przez spadek masy ciała, zatrzymała mi się miesiączka. Nie namawiał mnie też na wyjazd, jak to miał w zwyczaju robić. Naocznie mnie olał i zostawił. Tak to odebrałam. Rodzice nie byli lepsi. Pół godziny później siedziałam w kuchni sama. Z cukrem sobie doraźnie poradziłam, z kanapką już nie. Leżała dalek nietknięta.

Jak oni mogli mnie tutaj samą zostawić? Nie widzą, w jakim jestem złym stanie? A jak znowu zasłabnę albo coś mi się stanie, to kto mnie uratuje?

Zrezygnowana położyłam się na kanapie i włączyłam telewizję. Nic ciekawego nie leciało. Myśli, że przytyłam od pół szklanki wypitego soku, nie dawały spokoju. Poszłam się zważyć i ku zaskoczeniu waga pokazała pół kilo mniej: czterdzieści trzy i pół kilograma.

W końcu schudłam!

Z tej radości od razu przeszła mi złość na domowników.

A może niepotrzebnie tak na nich nakrzyczałam i się źle zachowałam? Jak wrócę, to ich przeproszę.

Na dworze zrobiło się szarawo. Nadal leżałam na wersalce, stając się ponownie bardzo smutnym i zbuntowanym dzieckiem. O euforii po

schudnięciu pół kilograma i przeprosinach też zdążyłam dawno zapomnieć. Powróciły dręczące wyrzuty sumienia po zjedzonej kanapce i dwóch jabłkach. Uznałam je za sporą ilość dostarczonych kalorii. Wyniku glukozy we krwi nie znałam, bo od rana byłam na bakier z glukometrem.

Nagle usłyszałam zamek od drzwi. Pierwsza pojawiła się mama. W rękach niosła dwa wiaderka wypchane po brzegi ogórkami. Tata też obładowany po pachy. Zapowiadał się wieczór pełen roboty. Słoiki już od rana czekały gotowe do zapraw.

— I jak się czujesz, Aniu? Już ci trochę przeszło? — zapytała mama, jak gdyby porannej awantury nie było.

Nic nie odpowiedziałam. W oczach miałam łzy.

— Płakałaś? Źle się czujesz? — spytała delikatnie.

Milczałam. Z mieszkania dobiegał tylko dźwięk krzątających się po korytarzu chłopaków.

— Idę z Marcinem do piekarni po świeży chleb. Może chcesz przejść się z nami?

— Och, siostra — Marcin wparował do pokoju z entuzjazmem w głosie. — Nie bądź taką nudziarą i rusz dupsko! — wiedział, że tym określeniem „nudziara” trochę mnie poddenerwuje.

Skutecznie.

— Dobra, mogę pójść — rzuciłam od niechcenia i jednocześnie udałam, że nie słyszę dobitnego określenia mojego stanu ducha. Niekoniecznie związanego z prawdą. Kolejne kłótnie darowałam.

Cieszyłam się, że się ruszyłam. W końcu każdy jeden pretekst do spalania kalorii uznawałam za niezbędny. A tutaj czekały aż dwa kilometry spaceru. Droga do piekarni dobrze mi zrobiła. Poczułam się znacznie lepiej.

Weszłam z mamą do sklepu. Nie jadłam chętnie, ale za to lubiłam patrzeć na jedzenie, a już na pewno czuć jego zapach. Od razu od wejścia do pomieszczenia zaparowały mi okulary. Wieczorami na dworze bywało już rzeczywiście chłodnawo.

— Co dla pani? — zapytała ekspedientka, ubrana w charakterystyczny dla tej piekarni fartuch, w pięknym kolorze czerwieni. Zazdrościłam jej i tego czerwonego wdzianka i tego, że może

pracować w tak przyjemnym zapachu.

— Poproszę dwa bochenki, niepokrojone. I może jeszcze cztery bułki wrocławskie — wskazała palcem na kosz.

— Nie ma sprawy. Widzę, że dziś ma pani ładną obstawę — popatrzyła na mnie i Marcina. — A córki to już dawno u nas nie było. Ładnie wygląda. Taka zgrabna panienka się zrobiła. Chyba trochę zeszczupiałaś, co? — zwróciła się do mnie.

— Dziękuję! — odparła od razu za mnie mama, podając kobiecie gotówkę.

Wiedziała, jak nie na miejscu są jej słowa. Byłam szczupłą, ale na pewno ze zgrabnością czy dobrym zdrowiem nie miało to nic wspólnego. Jej nieświadomie wypowiedziane słowa tylko podbudowywały moje chore morale, aby utrzymać taką sylwetkę, a może nawet i chudnąć dalej. Zrobiło mi się bardzo przyjemnie po tych słowach. Zapisałam ją w pamięci, ludzi mi przychylnych.

Marcin zaraz po wyjściu z piekarni wyjął bochenek i zaczął go konsumować. Szczęśliwa po słowach kobiety, nawet i ja na chwilę zapomniałam o anoreksji oraz cukrzycy i skusiłam się na kilka gryzów. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio tak spontanicznie coś zjadłam. Bez wyrzutów sumienia o dobry cukier i figurę.

Żle się to skończyło. Wieczorem glikemia wzrosła mi do bardzo wysokiej. Wynik na glukometrze pokazywał 284 mg/dl. A przede mną była jeszcze do zjedzenia kolacja. Mój jadłospis był dość obfity w posiłki, z racji tego, że miałam jeszcze przytyć kilka kilogramów. O porannej i popołudniowej głodówce nikt, poza mną i Pieniusiem, nie musiał przecież wiedzieć.

Rzuciłam nakłuwaczem o ścianę.

— Aniu! — oburzyła się mama. — Co ty robisz?

— Mam tego dosyć! Jak ja mam później normalnie jeść, skoro mam takie wysokie cukry!?

— Nie martw się, córeczko — nagle mama złagodniała, słysząc i tak mocno napiętą w pomieszczeniu aurę. — Czasami tak się zdarza. Podaj najwyższej wcześniej insulinę wieczorną.

— Ale biorę ją przecież o określonej godzinie wieczorem, nie wcześniej. Teraz muszę wyczekiwać, aż mi ten gówniany cukier

spadnie. Nie mam już sił na to wszystko! — w oczach znowu pojawiły się łzy.

Należało odczekać, aż cukier trochę się obniży, a ten, nie wiedzieć czemu, rósł dalej. Ciepłe, białe pieczywo nigdy dobrze nie działało na glikemię. Po godzinie pozwoliłam sobie na dodatkowy pomiar. Wciąż źle się czułam.

— 302! — wykrzyczałam. — Widzisz, mamusia, nigdy mi już on nie spadnie! Prędzej umrę na powikłania cukrzycy niż na anoreksję! — wyolbrzymiałam, tracąc znowu nad sobą kontrolę.

— No musimy poczekać, Aniu. I nie umrzesz na żadne powikłania.

— Zobaczysz, utną mi nogi i już nigdy nie będę mogła uprawiać sportu — ostrzegłam, ale kto jak kto, matka na temat konsekwencji utrzymywania za wysokich cukrów zdawała się wiedzieć więcej niż sam lekarz.

— Aniu, nie przesadzaj proszę. Co ty za pierdoły opowiadasz? Jeden wieczór z wysoką glikemią nie świadczy o tym, że utną ci nogi. W poradni inne mamy pokazywały mi wyniki swoich dzieci i twoje przy nich nie są najgorsze.

— Ale przecież ponad trzysta jest już bardzo niebezpieczne!

— Myślę, że bardziej niebezpieczna jest teraz twoja waga i to, że nie jesz, a nie cukrzyca.

Słowa mamy nie uspokoiły mnie. Bardzo bałam się powikłań cukrzycy. Błędnie myślałam, że pół wieczoru wysokich cukrów będzie mieć dla mnie katastrofalne skutki. Byłam przerażona, że nastąpi to już, w tej chwili, a nie za kilka lat, o ile w ogóle. Widziałam dramatyczne obrazy, a raczej nic nie widziałam, bo wyobrażałam sobie, że stałam się ślepa. A już na pewno straciłam zdrowy rozsądek. Przez myśl przebiegały sceny siebie leżącej w szpitalu i podłączonej do aparatury potrzebnej do dializy nerek. Dodatkowo obok mojego łóżka stał wózek inwalidzki, aby pielęgniarka mogła mnie całą przetransportować do łazienki. Nie. Nie całą. Bez nóg, bo przecież podcinali mi kończyny. Do kolan włącznie. Pocieszeniem zdawało się być tylko to, że ważyłam mniej, bo jednak nogi, to spora część ciała. Abstrakcyjne sceny jak z najgorszego horroru.

Zaczęłam panicznie płakać.

— Aniu, chodź tu do mnie — przytuliła, nie wiedząc skąd ten lament. — Nie myśl teraz o cukrze. Mam do ciebie propozycję. Co ty na to, abyśmy obejrzały sobie jakiś film? Pójdziemy do wypożyczalni i coś wybierzemy. Fajnie?

Początkowo podeszłam do tej propozycji dość sceptycznie. Wiedziałam jednak, że w wypożyczalni zawsze mieli duży wybór kaset video. W dostępnej na tamte czasy tylko telewizji leciały przeważnie same „oklepańce”. Gdy jednak znowu pojawiły się te koszmarnie sceny w mojej wyobraźni, uznałam ten pomysł za całkiem ciekawy i pomocny.

Muszę iść, dopóki nie ucięli mi nóg i mogę chodzić! Glikemia też pewnie spadnie, jak się ruszę.

Ubrałyśmy się i wymknęłyśmy z domu cichaczem przed chłopakami. Potrzebowałyśmy babskiego spaceru. W wypożyczalni pan z obsługi polecił nam kilka pozycji. Zgodnie chciałyśmy jakiś melodramat. Lubiłam oglądać smutne historie ludzi. Może nie był to najlepszy pomysł dla strapionej duszy, ale czułam, że właśnie takiej pozycji potrzebuję.

— A co powiedzą panie na ten film: „Stalowe magnolie”?

Wzięłam do ręki kasety i przeczytałam opis. W filmie występowała Julia Roberts, która wcieliła się w postać dziewczyny chorej na cukrzycę typu 1.

— No lepszej pozycji na ten wieczór nie mógł pan zaproponować — powiedziałam na głos.

Uradowane, a z drugiej strony zadowolone, wróciłyśmy do domu. Nasi mężczyźni oglądali western. Mama od razu zwróciła się do nich, pokazując w ręce wypożyczoną kasety.

— Teraz z Anią obejrzymy sobie ten film.

— Ale jak to? — oburzył się od razu Marcin. — Nie widzicie, że my z tatą tutaj oglądamy?

Mama popatrzyła błagalnym spojrzeniem ponownie na syna. Marcin chyba zdał sobie sprawę, że jego upór i tak na nic się zda.

— Wasz film musi poczekać — dodała spokojnie.

— Ala, a ogórki? Musimy je dzisiaj jeszcze zakiszyć do słoików.

— Trudno, Władek! Ogórki poczekają.

Chłopacy wyszli, a my rozłożyłyśmy się wygodnie na kanapie. Od

razu poprawił mi się humor, gdy zobaczyłam ulubioną aktorkę, Julię. Jej gra aktorska była zawsze dla mnie mistrzostwem świata.

Nagle moja bohaterka zasłabła w filmie podczas sceny w salonie fryzjerskim. Miała niedocukrzenie, ale tak silne, że podany przez jej mamę sok, rozlewała na lewo i prawo. Tylko nie do buzi. Jakaś kobieta chciała ratować ciastkiem, ale tylko jej mama wiedziała, że najlepiej i najszybciej zadziała słodki napój. Julia trzęsła się jak galareta, a ja ją tak dobrze rozumiałam. Przerazenie pozostałych kobiet w salonie też było bardzo realistyczne, bo mama aż sięgnęła po chusteczki. Melodramat trwał, również w naszym mieszkaniu. Płakała mama, płakałam i ja. Obydwie jednakowo, nie zważając na to, ile tych chusteczek już wysmarkałyśmy.

W któryms momentem do pokoju wszedł Marcin. Gdy zobaczył nasze zaryczane twarze, od razu się wycofał. Za drzwiami tylko słyszałam, jak mówi do taty: „Tam nie wchodzi! Tam płaczą!”. Seans przerywałyśmy tylko moim szybkim pójściem do toalety, aby opróżnić pęcherz. Spacer trochę pomógł, ale ciągle miałam wynik glikemii ponad 200 mg/dl.

Tamtego wieczoru zmierzyłam go ponad trzy razy. Jak na wyliczoną ilość dostępnych pasków, było to ponadprzeciętnie. Miewałam dni, że cukier utrzymywał się na wysokim poziomie. Nadal insulinę przyjmowałam tylko trzy razy na dobę. Nowa lekarka zaleciła mi inny rodzaj insuliny. Ponoć miał być skuteczniejszy. Posiłku jednak nie mogłam zjeść przy takich wysokich wartościach. Mógłby wtedy urosnąć do jeszcze wyższych.

W jego zbiciu pomógłby rower stacjonarny. Niestety mój wychudzony stan nie pozwalał, abym mogła dodatkowo ćwiczyć. Nie. Ja przecież nie ćwiczyłam, ja się katowałam. Półtoragodzinny trening uznawałam za minimum normy, którą muszę dziennie zrobić. W pewnym momencie rodzice zabronili mi definitywnie treningów, ale ja i tak po kryjomu, gdy nikogo w domu nie było, kręciłam swoje kilometry. Któregoś dnia zostałam przyłapana na tym przez Marcina. Po wielkich sprzeciwach, rodzice, „dla mojego dobra”, zarekwirowali go. Dostawałam jedynie zielone światło na drobne aktywności, jak chociażby spacer do piekarni.

Kiedyś uwielbiałam tam chodzić z Marcinem i naszą brygadą z podwórka. Nawet, kiedy mieliśmy osiem lat, dostawaliśmy zgodę, by przynieść go do domu. Świeży, chrupiący i pachnący chleb, który zapachem roznosił się na pół osiedla. Nosiliśmy go w szmacianych siatkach, by w drodze powrotnej nie zaparował. Zanim jednak wróciliśmy do domu, to przynajmniej jedna trzecia bochenka została przez nas uskubana. Zapach kusił, oj kusił...

Niestety od momentu, jak zachorowałam na cukrzycę nasze koleżeńskie wycieczki po chleb się skończyły. Trudno było mi zapanować nad cukrem. Posiłki miałam wtedy przecież wyliczone i zaplanowane na konkretną godzinę. Nie mogłam pozwolić sobie na takie spontaniczne jedzenie. A już na pewno nie chleba, zwłaszcza świeżego. Nawet z wyliczoną konkretnie insuliną z dawek rannych i popołudniowych nie potrafiłam dać sobie rady i cukier bardzo wariował. Długie godziny odczuwałam skutki chwili „chlebowej pokusy”. Pokusy, która być może raz spróbowana, dużej krzywdy nie wyrządziła. W dłuższej perspektywie mogła przyczyniać się jednak do powstania niebezpiecznych powikłań cukrzycowych: chorób sercowo-naczyniowych, amputacji kończyn, utraty wzroku, dializy nerek czy śpiączek cukrzycowych. Lekarka zapewniała, że przy dobrze wyrównanej cukrzycy to wszystko mnie ominie.

Lęk mimo to się pojawiał, a do tego załamanie. W tamtym okresie po raz pierwszy byłam tak zdołowana chorobą. Nawet nie wiem, którą dokładnie. W tym momencie pewnie bardziej cukrzycą. Nie anoreksją czy depresją. Choć depresji mi jeszcze oficjalnie żaden lekarz nie zdiagnozował, ale otoczenie obserwowało moją nieustanną apatię. Rzadko załamywałam się z powodu cukrzycy, bo to raczej ja byłam dotychczas w rodzinie najmocniejszym ogniwem w zmaganiu się z nią. A przecież chorowałam nie tylko ja. Cierpiała cała rodzina. Tak naprawdę, od momentu zachorowania na cukrzycę, zmieniło się całe nasze życie. Domownicy też musieli dostosowywać się do choroby, choćby z porami posiłków czy poprzez eliminację niektórych składników z diety. Rzadko kiedy o tym w ten sposób myślałam. Wydawało mi się, że to tylko mnie spotkała krzywda, że zachorowałam. Nie lubiłam się jednak nad sobą użalać. Nie dopuszczałam myśli o

niesprawiedliwości. Nie dawałam sobie też przestrzeni, by poczuć tę traumę. Bo to była dla mnie trauma. Bałam się, że jak zacznę ją czuć, to ta lawina smutku pochłonie mnie i już z niej nie wyjdę. Nigdy. Wówczas nie zdawałam sobie sprawy, że, „co się odwlecze, to nie uciecze”. Depresja przyszła, ale znacznie później, po latach i wtedy dopiero rozpoczęła się walka, na śmierć i życie.

Tamtego dnia coś we mnie pękło, ale przecież walczyć musiałam dalej. Gorsza glikemia nie oznaczała końca świata, a już na pewno nie tak dantejskich scen cukrzycowych powikłań, jakie sobie wyobrażałam. To była jednak tylko jedna z kilkuset cięższych batalii, jaką wewnętrznie toczyłam: z wagą, jedzeniem, załamaniem i cukrzycą. Czułam się okropnie i fizycznie i psychicznie.

Pod koniec wakacji, kiedy moja waga ponownie zbliżyła się do skali zagrażającej życiu, rodzice podjęli decyzję, żeby zamknąć mnie w psychiatryku. Był to oddział leczący również zaburzenia odżywiania. Podtuczylem, stąd po dwóch miesiącach wyszłam z niego zdrowsza na ciele, na duchu niezupełnie. Przez kolejny rok musiałam kontynuować terapię. Z reżimem wytyczonym przez diabetologa i psychiatrę utrzymałam wagę na bezpiecznym poziomie, stabilizując przy tym cukrzycę. To był niemniej kolejny trudny rok walki, bo kostucha pukała do drzwi, ale nikt z bliskich nie chciał jej wpuścić do środka.

Rozdział czternasty

Turecki rausz

Rok: 2002

Wiek: 16 lat

Staż cukrzycy: 5 lat

Walizki miałam już spakowane.

— Chyba wszystko zabrałam, choć tak naprawdę na miejscu dopiero okaże się, czego zapomnieliśmy — spojrzałam na brata, licząc, że mi coś jeszcze podpowie. Marcin milczał.

— Dobra, cicho bądź — zwróciłam się do niego, jak gdyby coś mówił. — Najważniejsza jest moja cukrzycowa apteczka. Glukometr – jest – zaczęłam głośnie wyliczanie. — Paski do glukometru plus opakowanie zapasowych – jest, nakłuwacz – jest, dwa peny z insuliną i dodatkowa insulina – spakowane, glukagon – jest. Jeszcze wezmę parę zapasowych igieł. W razie czego, nie zaszkodzi. Oby mój kochany kierowca, pan Stasiu, zostawił dla mnie miejsce w autobusowej lodówce — wiedziałam, że mam taki przywilej jako jedyna z orkiestry, żeby coś tam zostawić.

Przed nami zapowiadała się dwudniowa podróż do Turcji. Dostaliśmy z orkiestrą zaproszenie na międzynarodowy festiwal orkiestr dętych. Było to dla nas duże wyróżnienie, ponieważ jako jedyna

orkiestra z Polski mieliśmy reprezentować kraj.

Tata zawiózł nas na miejsce zbiórki. Cały samochód obładowaliśmy po brzegi torbami, plecakami, poduszkami, materacami, futerałami z instrumentami, mundurami, nutami i pulpitami. Taki sam bagaż przytaszczyli również inni członkowie orkiestry. Ponad pięćdziesiąt osób, w różnym wieku: kilkanaście osób pełnoletnich, nastolatki, tacy jak ja, ale też i młodsze dzieciaki. W drugim autokarze miało jechać trzydzieści mażorettek plus kilkoro opiekunów. Dziewczyny miały trochę mniej tobołków, bo jednak nie potrzebowały tego całego orkiestrowego sprzętu. Pakowanie zajęło ponad trzy godziny. Byliśmy tak załadowani, że nawet tuba musiała jechać w autobusowej toalecie.

Tata pomachał nam, kiedy odjeżdżaliśmy.

— Udanego wyjazdu! I powodzenia na festiwalu!

Wyruszyliśmy pod wieczór. Podróż mijała bardzo wolno. Po kilku godzinach robiło się dość nudnawo. Monotonie zabijaliśmy, grając w karty, rozmawiając, a także oglądając filmy na dwóch małych, autokarowych telewizorach. Jeden znajdował się z przodu autobusu, drugi z tyłu. Na tyłach bywało przeważnie troszkę głośniejsze niż na przodzie. Tam częściej nastroje bywały luźniejsze. Domyślałam się, że „sprawcą” tego mógł być alkohol. Gdyby nie fakt, że raz rzucił mi się w oko widok wódki z otwartego plecaka starszego kolegi, to pewnie nawet nie wiedziałabym, że starszyzna pije coś wyskokowego. Trzeba przyznać, robili to niezwykle dyskretnie. Oficjalnej zgody na picie nawet i pełnoletni nie mieli.

W pewnej chwili zaczęłam im zazdrościć tego luzu i dobrego nastroju. Moja zazdrość przerodziła się do rangi wręcz „nie do zniesienia” i postanowiłam ją trochę ukoić. Nie czym innym jak... alkoholem. W głowie zrodził mi się „napad na bank”, a raczej na ten biały, 40% trunek.

Na postoju, gdy w autokarze nikogo więcej nie było, ruszyłam do akcji. Przełamłam kilka łyków do bidonu. Stresowałam się przy tym jak diabli. Przelewając trunek, tak bardzo trzęsły mi się ręce, że spora jego część zamiast trafić do termosu, skropiła dłonie. Gdyby dyrektorstwo nakryło mnie na picu alkoholu, mogłabym nawet wylecieć z orkiestry. Młoda, pewnie i głupia, ryzykowałam.

W autokarowym zaduchu, poczułam wyraźnie wysokoprocentowy odór. Powąchałam dłonie. Śmierdziały.

Jak oni piją to świństwo?! To jest przecież ohydne!

Musiałam je umyć, aby nikt się nie skapnął i nic nie poczuł. Wyleciałam z autobusu jak poparzona. Z cuchnącymi od alkoholu rękami. Przed wybiegnięciem zdążyłam zrobić jeszcze kilka łyków świeżo skradzionej zdobyczy.

— Zdążę jeszcze do toalety? — rzuciłam pośpiesznie do pana Stasia, który dogaszał papierosa i kierował do kabiny, za kółko.

— Zaraz odjazd. Ale leć! Poczekamy — rzucił.

Gdy wróciłam do autokaru, wszyscy siedzieli już na miejscach. Panował harmider. Spojrzałam na starszego kolegę, któremu właśnie podwędziłam alkohol, ale nie wyglądał mi na osobę poddenerwowaną kradzieżą. Uznałam zatem swój „napad” za pełen sukces. Spokojnie rozsiadłam się w fotelu i chwyciłam za bidon. Odkręciłam i zrobiłam małego łyka. Nie otrząsnęło mną tak, jak za pierwszym razem. Po chwili autobusowe bujanie na tyle mnie zmorzyło, że zasnęłam. Z bananem na twarzy.

Obudziłam się gdzieś na węgierskim parkingu, przy hipermarkecie. Jak na lipiec przystało, czuć już było w powietrzu upał. A zegarek pokazywał dopiero godzinę ósmą rano. Aż strach było pomyśleć, co czeka nas w Stambule, do którego jechaliśmy. Kierowcy musieli odbyć przymusowy, kilkugodzinny postój. Niestety budżet orkiestry był bardzo ograniczony i nie mogliśmy sobie pozwolić na nocleg w hotelu. Część z nas wałęsała się bez celu po sklepach, część rozkładała koce na trawnikach, a jeszcze inni chodzili na obchód miasta. Ja oczywiście zaliczałam się do tej ostatniej grupy – osób aktywnych. Musiałam zająć czymś głowę, poza myśleniem, jak bardzo jestem skacowana. Moje samopoczucie było podobne do pobudki z hiperglikemią. Byłam przybita, otępiała, z ciężką i bolącą głową, i z Saharą w ustach. Postanowiłam zmierzyć cukier. Ku mojemu zaskoczeniu glukometr pokazał wynik 80 mg/dl. Czułam jednak, jakbym miała co najmniej 300. Powtórzyłam więc test – 71 mg /dl.

Nisko, jak na czekający mnie zaraz spacer.

Chwyciłam zatem rogalika z czekoladą i powędrowałam na obchód

Budapesztu. Wyjazdy z orkiestrą dawały mi chociaż możliwość zwiedzenia Europy. Z rodzicami nie wyjeżdżaliśmy na wakacje zagranicę. Po pierwsze, że większość czasu letniego i tak spędziliśmy na koncertowaniu z orkiestrą, a po drugie najzwyczajniej nie było nas stać na takie wojaże.

Postój jakoś przetrwaliśmy, a w międzyczasie mieliśmy przynajmniej czas na uzupełnienie jedzenia i napojów na kolejny dzień trasy. Ja swojego umilacza i usypiacza podróży jeszcze zachowałam, trzymając zamkniętego w termosie.

Na miejsce dotarliśmy kolejnego dnia, w południe. Stambuł był przeogromny. Szczęśliwie obyło się bez żadnych awarii i większych korków, poza wjazdem na most, przez który mieliśmy się przedostać do tej azjatyckiej części miasta. Zachwyciłam się jego widokiem. Jeszcze w życiu nie widziałam tak długiej konstrukcji. Byłam oczarowana.

Zdążyliśmy szybko zakwaterować się w internacie i ruszyliśmy na pierwszy koncert w mieście. Rozłożyliśmy instrumenty, by móc rozgrzać mięśnie. Przyłożyłam metalowy ustnik od trąbki do ust. Miałam wrażenie, że moje wargi są niczym wielka bańka w wodą. Z tego ciepła i zmęczenia podróży nabrzmiały jak balony. Zaangażowałam więc jeszcze bardziej przeponę do pracy, aby trochę sobie pomóc, mierząc się z uporczywym upałem. Każdy szukał cienia, ponieważ popołudniowy żar, lejący się z nieba, był nie do zniesienia. W powietrzu rozbrzmiały dźwięki z instrumentów rozgrzewających się muzyków.

— Mamy ustawić się jako drudzy. Zaraz za orkiestrą z Włoch — zarządził dyrygent.

Stanęliśmy pośrodku przeogromnej ulicy, na rozgrzanej do czerwoności „patelni”. Turecka policja wstrzymała ruch. Niestety słabsze mażoretki nie wytrzymały tej gorączki i padały na słońcu niczym muchy. Ja z kolegami z orkiestry dzielnie się trzymaliśmy. Ledwo zrobiliśmy kilka kroków, a już byliśmy cali mokrzy. Nawet pomimo braku pełnego umundurowania, pot lał się z nas strumieniami. Całe szczęście tuż przed wyjazdem zarząd orkiestry zadbał, abyśmy mieli równe, letnie stroje: T-shirty, getry, sandały oraz najważniejsze – czapki na głowę, chroniące nas przed słońcem. I tak mieliśmy przemaszerować kilka ulic. Widok palm czy oklaski widzów, którzy

stali gdzieś pochowani w cieniu, rekompensował nasz trud. W pewnym momencie i mi zrobiło się słabo, ale doskonale wiedziałam, że to nie od słońca. Był to skutek niskiego cukru.

— Ania, lewa, lewa! — krzyczał za mną waltornista.

Racja, zorientowałam się, że nie idę na tę nogę, co trzeba. W przemarszu, na uderzenie bębna, lewa noga miała być zawsze z przodu. Wyrównanie w szeregu do prawej i zachowanie prostego rzędu też było bardzo istotnym elementem. Wszystko musiało wyglądać perfekcyjnie, niczym we wojsku. Jakoś się zmobilizowałam i wydłużyłam krok, wyrównując tym samym chód do innych. Chociaż tyle mogłam zrobić, bo grać nie byłam już w stanie. Ciało zaczynało całe drżeć, o ustach potrzebnych do grania nie wspominając. Mijaliśmy następne ulice, a mi ciężko było dotrzymać tempa. Wyciągnęłam z kieszeni małą torebkę cukru, która podczas tych upałów była moim podstawowym produktem. Wiedziałam, że zapotrzebowanie na insulinę w trakcie ciepła jest dużo mniejsze, ale nie sądziłam, że aż tak to organizm odczuje. Zmniejszyłam oczywiście dawki insuliny, ale cukier wciąż leciał na łeb, na szyję. Wypity poprzedniego dnia alkohol też wpływał na glikemie i z pewnością nie ułatwiał mi zadania. A, że doświadczenia w picu napojów wysokowych nie miałam, nie zdawałam sobie sprawy, że spadki cukru są częstym zjawiskiem w momencie trzeźwienia.

Przymaszerowaliśmy na stadion, gdzie mieliśmy zaprezentować musztrę paradną. Do tego momentu nabrałam już sił i dołączyłam do kolegów. Brak jednej osoby burzyłby cały efekt, także byłam ważnym puzzlem w tej całej wyuczanej układance. Rozpoczęliśmy pokaz. W pełnym słońcu i w pełnym letnim umundurowaniu. Wszystkie ruchy trzeba było wykonywać z dużą gracją, do rytmu granej przez nas muzyki: na stojąco, klęcząc, w kole czy nawet i tańcząc. Publiczność oszalała na ten widok. W okół nas zebrały się również inne orkiestry, patrząc z podziwem. Tym pokazem zrobiliśmy naprawdę dużą furorę.

— Polska! Polska! Pięknie! — krzyczał po angielsku spiker, nie kryjąc swojego zachwytu.

Po piętnastu minutach mordęgi skończyliśmy paradę. Cieszyliśmy się jednak, że publiczność przywitała nas tak żywiołowo. Po krótkim koncercie na scenie udaliśmy się na zasłużony odpoczynek. W

internacie panowały warunki spartańskie, ale to nam nie przeszkadzało. Liczyła się dobra atmosfera w zespole, integracja oraz zabawa na całego.

Wieczorem organizatorzy zabrali nas do przepięknej restauracji. Mieliliśmy jeść na zewnątrz, w ogromnym ogrodzie usytuowanym na skale i z widokiem na morze. Okrągłe stoliki tworzyły wielki okrąg wokół wspaniałej, podświetlonej fontanny. Każdy z tych stolików nakryty był śnieżnym obrusem, na którym stało schłodzone, białe wino. A te znowu zaczęło mnie kusić i już zaczęłam kombinować, jak mogę je podkraść i gdzieś w spokoju, gdy nikt nie zobaczy, wypić kilka kieliszków.

Kelnerzy zaczęli serwować co rusz to nowe dania. Z moim jedzeniem radziłam sobie bardzo różnie – raz lepiej, raz gorzej. Na pewno nie lubiłam jeść w obecności innych. Sprawiało mi to ogromną trudność. Tym razem postanowiłam jednak zostawić anoreksję na boku i spróbować chociaż części dań. Niewątpliwie, już samym widokiem tych pięknie zaserwowanych potraw, mógł się człowiek najeść. Pierwszy raz w życiu skosztowałam owoców morza. Były nawet smaczne, choć w przeciwieństwie do innych osób, nie wypowiadałam się na temat tego, czy coś mi smakuje czy nie. Cały czas jedzenie uznawałam za słabość i porażkę, a do tego przecież ciężko się przyznawać.

Być może mój apetyt podkręciło też wino, które udało mi się potajemnie wypić. W restauracji żadnej „napaści na bank” nie musiałam planować. Tak się złożyło, że przy toalecie, na uboczu, znajdował się stolik, na którym kelnerzy odkładali niedokończone trunki gości. Było ich mnóstwo, różnych. Wysokoprocentowych, o słodkim, anyżowym posmaku. Stały też w połowie napełnione kieliszki z wytrawnymi i słodkimi winami. Tu kalorii z wypitego alkoholu nie liczyłam. I przestałam też liczyć liczbę moich pielgrzymek do toalety. Z każdym wychylonym kieliszkiem, stawiałam się bardziej śmiała i odważna. Wracałam do stolika coraz weselszym krokiem. Śpiewałam, choć zawsze się tego wstydziłam. Tańczyłam, choć mistrzynią parkietu nie byłam. Za to na pewno byłam... pijana. Miałam tylko nadzieję, że nikt tego nie zauważy.

— Wskakujcie! Woda jest cudowna! — zawołał nas Adrian, nasz

pierwszy puzonista.

— Chyba oszaleliście! — chwyciłam się za głowę. — A można tam wchodzić?

— Chyba można... Ania, dalej, chodź! Nie bądź cieniem! — wołali inni. — No chodź!

No też poszłam. Zdążyłam zdjąć tylko T-shirt i z rozpędu wleciałam w samym staniku i krótkich spodenkach do fontanny. Dobrze, że nie wywinęłam orła, bo posadzka była naprawdę śliska. Zresztą moja postawa, zakropiona upojnie alkoholem, też nie należała do stabilnych, także o poślizgnięcie nie było trudno. Łaziliśmy po tej fontannie chyba jakieś dziesięć minut, chlapiąc się i robiąc różne dziwne, fikuśne figury. Czułam się wspaniale. Tak beztrosko, wariacko i szaleńczo. Z ułożoną, grzeczną i spokojną Anią nie miałam tego wieczoru nic wspólnego.

Niespodziewanie podszedł do mnie Adrian. Delikatnie pocałował mokry od wody policzek. Spojrzałam na niego i odwzajemniłam pocałunek.

Chwilo trwaj!

Do autokaru wracałam wężykiem. W drodze powrotnej stworzyliśmy naprawdę „wesoły autobus”. Inni śpiewali i się bawili, to i ja śmiało dołączyłam do tego grona.

Gorzej było rano, tuż po przebudzeniu. Wstać musieliśmy dość wcześnie, bo organizatorzy zapewnili nam zwiedzanie Stambułu. Obudziłam się z dużym bólem głowy. Chciało mi się pić, więc od razu przemknęła myśl o wysokim cukrze. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy podałam wieczorem insulinę. Kiedy położyłam się do łóżka, od razu urwał mi się film.

Zobaczyłam, że pen leżał koło mojej poduszki, więc stwierdziłam, że chyba zrobiłam zastrzyk. Ulżyło mi. Glukometr wskazywał wynik 68 mg/dl. Nisko. Pomyślałam, że pragnienie było po prostu skutkiem kaca. Wstałam, by znaleźć kosmetyczkę.

— Dzień dobry, dziewczyny! — przywitałam się, czując się jeszcze na lekkim rauszu. — Która jest godzina?

— Cześć, wywijasie! — uśmiechnęła się Martyna. — 7:30. Zaspałaś na śniadanie, ale przyniosłyśmy ci rogała. O 8:00 wyjeżdżamy na zwiedzanie Stambułu.

Na samą myśl o śniadaniu ścisnęło mnie w żołądku, ale wiedziałam, że muszę coś zjeść. Cukier spadał, a mi wydawało się, że absolutnie nic nie przełknę. Skutki upojenia alkoholowego robiły swoje. Jednak za nic nie mogłam dać po sobie poznać, że coś mi jest. Musiałam trzymać fason. A przynajmniej udawać, że to robię. I naprawdę dobrze mi to wychodziło. Odświeżona zimnym prysznicem, poczułam się dużo lepiej, ale czułam, że jeszcze nie wytrzeźwiałam.

Gdy już trochę doszłam do siebie, postanowiłam zająć się cukrzycą. Zgarnęłam pena z łóżka i odwróciłam się tyłem do dziewczyn tak, aby żadna nie zauważyła, co robię. Nadal ukrywałam się przed innymi, kiedy robiłam zastrzyki lub mierzyłam cukier. Wołałam, żeby nikt tego nie widział. Nie wiem, czy się wstydziłam. Być może. Zauważyłam jednak, że w penie jest mało insuliny, także z torby przy łóżku energicznym ruchem wyciągnęłam drugą kosmetyczkę. Nie była zamknięta i fiolka z insuliną roztrzaskała się o ścianę. Cała jej zawartość zamieniła się w mokrą, rozpluwającą się po ścianie plamę, a rozbite szkło fiolki spadło na podłogę. W powietrzu uniósł się specyficzny zapach insuliny.

— O nie! Kurwa! Co ja zrobiłam! — wykrzyknęłam na całe gardło.

Jak nie chciałam robić widowiska z wykonywanego zastrzyku, tak teraz na pewno je zrobiłam. W jednej chwili pokój zamarł. Wszystkie cztery koleżanki spoglądały w moją stronę. Myny miały nietęgę. Pomyślałam, że to przez to przekleństwo, które w moich ustach musiało wybrzmieć przynajmniej dziwnie. A już na pewno niespotykanie. Ja wiedziałam jednak, że coś innego jest na rzeczy. Nerwowo zaczęłam przewracać rzeczami w kosmetyczce, by znaleźć jeszcze jedną, zapasową fiolkę z insuliną. Znalazłam. Jedną jedyną.

— Spokojnie, dziewczyny — rzuciłam pośpiesznie, odczuwając ogromną ulgę ze znalezionej ampułki. — Nic się nie stało. Wszystko mam pod kontrolą.

— Poczekaj! — podeszła do mnie Martyna, aby zebrać szkło z podłogi. — Pomogę ci. Masz jeszcze jakąś insulinę? Może u pana Stasia w lodówce?

— Teraz mam już tylko tą jedną — trzymałam kurczowo fiolkę,

bojąc się, by i tej nie roztrzaskać o ziemię. — Cholera — nagle do mnie dotarło — nie mam już żadnej zapasowej!

Powiedziałam, czy pomyślałam?

— A ta wystarczy ci tutaj na pobyt? — zapytała koleżanka.

Jednak powiedziałam...

— Chyba tak — odparłam niepewnie.

— To nie ma się czym martwić.

Moje słowa uspokoiły Martynę, ale mnie nie wyluzowały. Nie bałam się, że zabraknie mi insuliny. Gorzej byłoby, gdyby w tym upale się ona zepsuła i straciła swą skuteczność. Co prawda, nie miałam wcześniej takiego doświadczenia, ale przecież nie na co dzień przebywałam w ponad 37-stopniowym skwarze i nie na co dzień byłam ponad 2000 km od domu. Kompletnie nie wziąłem pod uwagę, że coś takiego może się stać. Zaczęły trząść mi się ręce. I nie byłam pewna, czy to ze zdenerwowania, niedocukrzenia czy z alkoholowego kaca. Dopadł mnie strach i wyrzuty sumienia.

A jak gdzieś zgubię pena? Może gdybym dzień wcześniej tak nie zabalowała, to byłabym od rana trochę trzeźwiejsza i nie upuściłabym tej fiolki?

Poczułam, jak ktoś daje mi cukrzycowy pstryczek w nos. Tylko zastanawiałam się, kto. Na wybrańca wytypowałam swój marny los.

O tylu rzeczach muszę myśleć. Pieprzona cukrzyca! Nie dość, że bardzo trudno mi tutaj zapanować nad cukrami w związku z pogodą, tutejszą kuchnią, czy naszą koncertową aktywnością, to jeszcze tyle nieprzewidzianych rzeczy mnie spotyka. No dobra, może alkohol też doprowadził do tego incydentu, ale nie zwalajmy całej winy na alkohol... A przecież równie dobrze, mógłby mi wysiąść glukometr, a zapasowego też nie mam ze sobą.

Dla innych wszystko jest takie proste. Jadą sobie na wczasy i się dobrze bawią. A ja ani na chwilę nie mogę stracić kontroli i muszę się pilnować. To takie cholernie niesprawiedliwe!

Moje biadolenie trwałoby pewnie jeszcze dłużej, ale nagle zawołały mnie dziewczyny.

— Ania, zbieraj się! Jedziemy już. Weź też ręcznik kąpielowy, bo mówią, że zahaczymy o plażę.

Wewnętrznie wybuchalam. Zaczęłam cichą wyliczankę, wściekle wrzucając potrzebne mi rzeczy.

A pen, a insulina, a glukometr, a paski, a nakłuwacz, a coś na podratowanie cukru? To też przecież muszę zapakować! O tym mi już nikt nie przypomni?

Dziewczyny w tym czasie już dawno stały koło autobusu. A ja nadal cicho kwękałam.

Wstaję rano – zastrzyk z insuliną i zmierzenie glikemii. Po południu i wieczorem to samo. W nocy dojadam, bo zdarzają się spadki cukru. 3:00 nad ranem pobudka na skontrolowanie glikemii. Ciągłe te cholerne obowiazki. No oszaleć można!

Przyciszyłam na razie jęczącą „kaczkę” i zaglądnęłam jeszcze raz do plecaka, czy aby na pewno wszystko mam. Tak dla pewności. Na spodzie znajdował się ręcznik, strój kąpielowy, a na wierzchu kosmetyczka z cukrzycowymi przyborami.

Gdybym tak chociaż raz mogła odpocząć od tej gównianej cukrzycy... Na łeb można czasem od niej dostać! Poza tym ten kac też jest strasznie męczący!

W furii wybiegłam z internatu i z butelką wody w ręce weszłam do autobusu. Naburmuszoną „kaczkę” zostawiłam w budynku. Tym razem usiadłam grzecznie i poczekałam, aż autobus ruszy. Na swój los nikomu się nie żałac.

Złość natomiast od razu mi przeszła, kiedy wkroczyliśmy do centrum Stambułu. Dwa gigantyczne meczety – Hagia Sofia i Błękitny Meczet, po prostu zapierały dech w piersiach. Po kilku godzinach zwiedzania każdy z nas tylko marzył, by odpocząć na plaży. Spakowany wcześniej plażowy ekwipunek przydał się. Cukrzycowy oczywiście też. W końcu rozstanie się z penem z insuliną i glukometrem, choćby na pół dnia, mogłoby skończyć się wysoką glikemią i zakwaszeniem organizmu.

Nie wiem, skąd wzięło się to poranne wkurzenie na cukrzycę. Może dlatego, że podobnie do tamtych dziewczyn chciałam poczuć się, jak na prawdziwych wczasach? Wczasach bez cukrzycy. Zamarzyłam, żeby ktoś się nią zajął. Nie ja. Wyobrażałam sobie dzień, w którym ją komuś oddaję. Chciałabym poczuć, choćby na kilka godzin, ten smak wolności

umysłu i dobrego samopoczucia. Bez hipoglikemii i hiperglikemii. Ale tak się przecież nie dało. Moje życie wyglądało jak taka 24-godzinna, cukrzycowa praca na pełen etat. Od poniedziałku do niedzieli, włącznie.

Byłam na wycieczce, ale bez cukrzycowego urlopu. Za to wróciłam do domu pełna niezapomnianych wrażeń ze zwiedzania budowli i pięknych widoków. Wybawić, też się swoje wybawiłam. Oj tak... Byłam wdzięczna rodzicom, którzy z pewnością bali się o moje cukrzycowe zdrowie, a mimo wszystko puścili w świat. Nie chcieli mnie ograniczać przez chorobę. Zaufali mi też w kwestii jedzenia. Szło mi z nim nawet nie najgorzej. Choć na zjedzenie ośmiornicy się jednak nie skusiłam. Jej obślizgłe macki jakoś tak nie zachęcały, nawet jako „na zagrychę”.

Insuliny również mi w zupełności wystarczyło. Zapotrzebowanie na nią przez cały dwutygodniowy pobyt było bardzo niskie. Wypijany potajemnie alkohol też miał wpływ na glikemie. Podczas picia słodkiej anyżówki, co prawda, cukier rósł. Na drugi dzień natomiast wyraźnie spadał, doprowadzając do częstych hipoglikemii.

Niewątpliwie „szczeniackie” życie rządziło się swoimi prawami. Jako młoda, niepełnoletnia osoba szukałam sposobu na dobrą zabawę. A ta przyćmiona była ciągłą udręką ze swoją „grubą” figurą, kompleksami oraz brakiem akceptacji siebie i chorób. W wieku szesnastu lat przyszedł jednak inny etap. Nadszedł czas, kiedy chciałam się zabawić, odprężając alkoholem. Alkoholem, który w dorosłym życiu przestał być już tylko rozrywką, a zaczął być potrzebą. Uzależniłam się od niego, szukając w nim pocieszyciela i leku na smutek i samotność. I znajdowałam ukojenie, ale tylko w momentach, gdy byłam na rauszu. Przez dzień, dwa, czasem i tygodnie. Dobrze, że jako dorosła kobieta opamiętałam się i sięgnęłam po pomoc, by wyjść z tego niebezpiecznego, dla mnie i mojej cukrzycy, diadostwa.

Rozdział piętnasty

Po burzy zawsze wychodzi słońce

Rok: 2004

Wiek: 18 lat

Staż cukrzycy: 7 lat

Zawsze, kiedy wiosna budziła się do życia, ja przygasalam. Można to było oczywiście tłumaczyć popularnie i medialnie nazwanym „przesileniem wiosennym”, ale nie w moim przypadku.

W naszym mieszkaniu, pod numerem trzecim, życie płynęło zwykłym tempem. Mama na emeryturze, tata pracował, Piotrek zaczął karierę, gdzieś na drugim końcu Polski, ja z Marcinem chodziliśmy do szkół. Po gimnazjum nasze szkolne drogi się rozeszły i każde z nas poszło do innego liceum. Nauczyciele też zaczęli dużo więcej wymagać, strasząc zbliżającą się przyszłoroczną maturą i końcówką roku szkolnego.

Całe szczęście nadeszła Wielkanoc, a z nią kilka dni wolnego. Już dawno z rodziną przestaliśmy chodzić do kościoła. Woleliśmy ten czas spędzić ze sobą przy stole i na popołudniowych spacerach.

— Aniu, spróbujesz trochę mazurka? Żona Piotrka upiekła. Jest przepyszny.

— Nie, mamuś — musiałam odmówić, choć tak naprawdę chętnie

bym go skosztowała. Zaburzona głowa mówiła jednak, bym tego nie robiła. Anoreksja wracała. — Może popołudniu. Nie mam teraz ochoty.

Ochota nie nachodziła, a wręcz przeciwnie. Żaden posiłek nie smakował i nie cieszyła też żadna aktywność. Większość dnia leżałam w łóżku, przygotowując się do egzaminów maturalnych. Czułam się fatalnie. Nic nie sprawiało, żebym choć na pięć minut poczuła się lepiej.

Zaraz po świętach wielkanocnych miałam trafić na oddział szpitalny do Poznania, na diabetologię. Wszystko zgrabnie ubrane przez rodziców pod pretekstem „lepszego wyrównania cukrzycy”. Ale tutaj nie to było powodem, dlaczego chcieli mnie tam odesłać. Również nie moja nie najwyższa waga. Chodziło o depresję. Rodzice dobrze wiedzieli, że nie zgodzę się położyć ponownie na oddział psychiatryczny. Zaliczyłam już jeden epizod odsiadki w psychiatryku i wspominałam go bardzo źle.

— Aniu, trochę cię wzmocnią — tłumaczyła mi spokojnie mama, która wręcz obsesyjnie martwiła się o mój beznadziejny stan. — Będzie lepiej, odpoczniesz i przyjedziesz do domu z większą energią.

— Nie ważne, wszystko jest mi i tak obojętne.

— Wiem, dziecko... — westchnęła z takim ciężarem, jakby jej oddech ważył tonę. — Ale zobaczysz, w szpitalu ci trochę pomogą.

— Nie wiem, mamuś, mi już chyba nic nie pomoże... Najchętniej to chciałabym, żeby mnie tutaj już nie było.

— Co ty wygadujesz? — przeraziła się. — Jesteś młoda, masz jeszcze całe życie przed sobą. Zobaczysz, córeczko, po burzy zawsze wychodzi słońce.

Było to jej ulubione powiedzenie. Często je powtarzała. Ale ja nie widziałam żadnego słońca. Moje życie przykryły ciemne chmury. Chmury, z których lał się gęsty i ciągły deszcz. I nic nie zapowiadało, by miało nadejść jakieś rozpozgodzenie.

Na oddziale diabetologii byłam jedną z najstarszych pacjentek. Przeważały głównie młode dzieciaki. Ja czułam się tutaj jak weteranka. Dosłownie i w przenośni. Z licznymi ranami wewnątrz ciała.

Pewnego popołudnia, po obchodzie, podszedł do mnie Boguś. Nie powiem, bo nawet mi się podobał. Był pół roku starszy ode mnie. Staż w cukrzycy miał pięcioletni. Mimo kilkuletniego chorowania, nie prowadził dobrze swojej cukrzycy. Wylądował tutaj z kwasicą i ze

średnim wynikiem hemoglobiny glikowanej z trzech miesięcy prawie dwukrotnie wyższym niż zalecany.

— I jak, niejadku? — zwrócił się ciepłym i zalotnym tonem. — Smakował obiadek? Przecież widziałem, że większość i tak wyrzuciłaś.

— No nie mów, że ty to zjadłeś? — parsknęłam, nie uznając jego uwagi jako oskarżenie.

— Kasza jest przecież bardzo zdrowa — słusznie zauważył.

— Może i jest, ale te szpitalne sosy są o-brzy-dli-we! — wysylabizowałam, by podkreślić, jak bardzo ich nie cierpię. — Ale chociaż wyjadłam te suche ziarenka. Na drugi raz poproszę, żeby dali mi porcję bez tego zimnego świństwa — aż się wzdrygnęłam.

— Dobry pomysł — przytaknął. — Jak chcesz, to mam suche ciasteczka w szafce. Mogę przynieść?

Kusił mnie, ale to głównie dlatego, że lubiałam spędzać z nim czas. Poza tym, ja byłam dosłownie wygłodzona. Oczywiście nie przyznałam się do tego, nadal uznając uczucie głodu za niedopuszczalne. O problemach z jedzeniem, rzecz jasna, mu nie wspominałam.

Fajnie nam się rozmawiało. Na oddziale mówili na nas „papużki nierozłączki”. Gdy jednego wieczoru nakryli nas razem wtulonych i czytających książkę, zmienili nazewnictwo na „zakochana para”. Coś w tym niewątpliwie było. Boguś był, prawdę mówiąc, zgoła innym chłopakiem niż mój ideał z dzieciństwa. Niezbyt wysoki, mocno zbudowany, z kolczykiem w uchu i ogoloną głową. Zadziornego charakteru mu nie brakowało. Niejednokrotnie słyszałam, jak wchodził w dość bezczelne dyskusje z pielęgniarkami czy lekarzami, a to mi nawet imponowało. Zazwyczaj pacjenci na oddziale byli wystraszeni i potulni. On był inny. Każdą chwilę spędzaliśmy razem. Dzięki niemu trochę odżyłam. Bo z pewnością jeszcze nie od antydepresantów, które mi przepisano na lepszy nastrój. Te miały zadziałać dopiero później.

Ze szpitala wyszliśmy w jednakowym terminie. Niestety ja wróciłam do Wrześni, a on do Leszna, gdzie mieszkał. Obiecaliśmy sobie, że będziemy pisać listy i się odwiedzać. Lubiałam podtrzymywać pisemną formę kontaktu. Telefon komórkowy dzieliłam wtedy z Marcinem, także pisanie z Bogusiem miłosnych SMS-ów nie wchodziło w rachubę. Poza tym wysłanie kilku słów w wiadomości było na tamten

czas bardzo drogie, o rozmowach telefonicznych nie wspominając.

Rodzice ucieszyli się z mojego lepszego na pozór samopoczucia. Brak Bogusia i naszej bliskości ze szpitala już po kilku dniach spowodował, że znowu zaczęłam czuć się przygnębiona.

Promyk zaświecił się jednego wieczoru, kiedy dostałam SMS-a. Marcin zapukał do mojego pokoju, trzymając telefon w ręku.

— Siostra, to do ciebie. Pisze ten twój Boguś.

— Dawaj! — podbiegłam galopem do drzwi i wyszarpnęłam telefon z ręki brata.

Zaczęłam rozszyfrowywać jego treść, pozbawioną znaków interpunkcyjnych i odstępów. Wszystko, by zaoszczędzić na naliczeniu kolejnych złotych za dłuższą wiadomość. Ja robiłam dokładnie tak samo.

„CzescKotusPrzyjezdzamDoCiebiePociagiemWsoboteKCBogus”

— Hurra! — aż podskoczyłam z radości. — Boguś przyjeżdża!

— To w końcu może poznam szwagra? — spojrzał na mnie uszczypliwie.

— Zaraz tam szwagra — oburzyłam się. — Bez przesady! — uciełam szybko dalsze przekomarzanki.

Nie mogłam doczekać się soboty, choć był dopiero wtorek. Godzinę później miałam już zaplanowane wszystkie szczegóły naszego spotkania, a także zarezerwowany stolik w najsmaczniejszej restauracji w mieście. Wcale nie taniej. Uszykowałam sobie nawet na ten dzień najlepszą sukienkę i to w kolorze pięknego różu. Stwierdziłam, że w moich codziennych myszowatych barwach mogę aż tak dobrze nie wypaść. Mało tego, chciałam też rozpuścić włosy, choć zawsze chodziłam w spiętych. Zapowiadało się, że będę wyglądać zjawiskowo.

I tak też chyba było, ponieważ rodzice nie mogli wyjść z zachwyty, gdy udawałam się na dworzec, na spotkanie. Wyobrażałam sobie, że odbierając go, on przywita mnie bukietem czerwonych róż, a ja rzucę się mu w ramiona. Ostatecznie przywitało mnie lekkie rozczarowanie. Kwiatów nie było. Moja letnia i przewiewna sukienka ni jak pasowała do jego spuszczonej do kolan spodni i wymiętalonego T-shirtu. Zresztą, takie wycierusy były w modzie, no ale spodziewałam się jednak jakichś choćby zwykłych džinsów i koszuli. Sportowa, pasowałaby tu

idealnie. Zadowolić musiało mnie „buzi-buzi”. W policzek, a nie w usta.

No cóż... Chyba ostatnio zbyt dużo naczytałam się romansideł...

— Cześć, kotuś! — lubiłam, jak się tak do mnie zwracał. — Jakiś skurwiel palił papierosy w przedziale i teraz tak cuchnę. Myślałem, że mu przyłożę. Ale się opanowałem. Miło cię widzieć. A więc to jest ta twoja Września, tak? — spojrzał na peron, który wyglądał naprawdę obskurnie.

— Cześć... — odpowiedziałam lekko zamurowana. Wystraszyła mnie jego agresywność i wulgarność, które zresztą bardzo mi się nie spodobwały.

Hm... W szpitalu na takiego nie wyglądał...

O podróż postanowiłam więc nie pytać. Mogłoby go to jeszcze bardziej rozdrażnić. Zagaiłam więc o cukier.

— Jeśli chcesz i masz dobry cukier, to możemy iść coś zjeść. Jesteś głodny?

— W sumie był trochę wysoki, jak mierzyłem rano, ale walić to. Zaraz mi spadnie. Daleko do tego żarcia?

— Nie... — znowu się zawahałam, słysząc jego ostry ton. Chyba tego nie wyczuł. — Pójdziemy... do pizzerii, tutaj zaraz za rogiem. Może być?

— OK — zgodził się bez namysłu, jakby było mu to całkiem obojętne.

Zmieniłam trochę plany spędzenia z nim czasu. Obruszyła mnie jego dość „lekka” mowa i sposób zachowania, więc wolałam wybrać knajpkę gdzieś na uboczu miasta. Tak czy siak, cieszyłam się, że przyjechał i mogłam chociaż te czterysta metrów razem przespacerować, trzymając się za ręce. Chwilowo byłam nawet dumna, że mam chłopaka.

Złożyliśmy zamówienie: dla niego pizzę rzeźniczą z serem, szynką, bekonem, salami i kabanosem oraz colę, tę bez cukru, dla mnie sałatkę cezar z sosem winegret i wodą gazowaną.

— Idealnego zestawu dla cukrzyka to ty chyba nie wybrałaś, co? — zażartowałam, wertując kolejne strony karty dań.

— Lepszy niż ta twoja zielenizna — spojrzał na mnie z lekką pogardą. — Widzę, że jesteś na diecie?

— Nie — skłamałam. — Naprawdę nie jestem głodna. Wolę nasycić się tobą.

Ha, 1:0 dla mnie.

Kupiłam go tym stwierdzeniem. Objął mnie ramieniem i pocałował. Tym razem w usta. Zrobiło mi się błogo.

— Kotek — zaczął delikatnie po chwili. — Wiesz, że musisz się dobrze odżywiać, prawda? Zwłaszcza przy cukrzycy. Wiedz, że ja nie lubię wychudzonych babek. Mogłabyś mieć nieco więcej krągłości. Choć tak całkiem źle nie jest — jego ręka wylądowała na moich piersiach.

Doprawdy mógł mieć w tym trochę racji. Choć wagowo wyglądałam bardzo dobrze, tak te moje pięćdziesiąt pięć kilogramów ni jak miały się do zaburzonej duszy. Nadal chciałam być chudsza i wzbudzać tym samym uwagę otoczenia. Zaczęłam się jednak zastanawiać nad jego słowami, w ogóle nie czerpiąc przyjemności, że mnie dotyka.

A jak jestem dla niego za gruba? „Całkiem źle nie jest”, co miał na myśli? Bo dobrze, może oznaczać zbyt dobrze. Boże... czy ja stoję się faktycznie jakimś pulpetem!?

— Wiem, wiem, Boguś — odsunęłam w jednej chwili jego rękę i przerażone myśli. — Jak dostanę miesiączkę, to mam nadzieję, że piersi też trochę urosną.

Czy ja się właśnie przyznałam, że miesiączka mi się znowu zatrzymała i jej nie mam? O cholera...

— A co ma piernik do wiatraka?! — uniósł się, jak gdyby nie obchodziły go moje problemy hormonalne. — Po prostu trzeba jeść normalnie i tyle. A nie, jak jakiś królik... Zobacz na mnie — wskazał wzrokiem na pizzę, którą właśnie podała kelnerka. — Ja sobie niczego nie żałuję.

Potwierdziły to krople tłuszczu z parującego mięsa, soczyscie bulgotając.

— A jak twoje cukry po wyjściu ze szpitala? Nadal szaleją? — chciałam zmienić temat, a jednocześnie trochę mu dopiec, że po takiej porcji może mieć niezłą jazdę.

— Szaleję to czasem na twoim punkcie — i obdarował mnie

kolejnym, namiętym pocałunkiem. — Ale musisz się zmienić i o siebie dbać!

No i masz... Położył mnie na łopatki. Zatem remis, 1:1.

Dobrze słuchało mi się jego troski o mnie. Jeszcze żadna osoba się w ten sposób mną nie interesowała. Zwłaszcza chłopak. Czułam, że mu na mnie zależało. Mimo, że rozmawialiśmy o bardzo drażliwym dla mnie temacie, czyli jedzeniu, to jakoś nie burzyłam się na jego słowa. Przyjmowałam to, co miał do powiedzenia. A miał sporo. Słuchałam z uwagą i pokorą, milcząc, kiedy coś było niezgodne z moją opinią.

Do domu nie dotarliśmy, ponieważ czas w pizzerii zleciał bardzo szybko, na rozmowach nie tylko o diecie, ale też o cukrzycy, wspominkach z pobytu w szpitalu, no i na chwilach namiętności. Na szczęście Boguś wykupił bilet powrotny i nie musieliśmy czekać w kolejce do kasy. W ten sposób mieliśmy jeszcze trochę czasu tylko dla siebie, by za chwilę ruszyć w inne strony.

— Napiszesz do mnie list, jak wrócisz? — poprosiłam wtulona w jego ramiona. — Lubię je dostawać i czytać.

— Mistrzem pióra nie jestem, ale jak tam chcesz. Dobrze było cię zobaczyć — rzucił tak jakby od niechcienia, wchodząc do pociągu.

— Będę za tobą tęsknić. Szkoda, że musisz już wracać... — westchnęłam na głos, gdy on siedział już w przedziale, wyglądając przez uchylone okno. Zdążył posłać mi całusa i odjechać.

Stałam tam jeszcze przez chwilę. Choć pociąg już dawno zniknął za zakrętem, ja nadal tkwiłam na peronie, wymachując jak szalona w jego kierunku. Z jednej strony byłam szczęśliwa, że mam chłopaka, a z drugiej smutna, że sobie pojechał.

Tydzień później zobaczyłam list w skrzynce. Był od niego. Przez ten czas nie kontaktowaliśmy się ze sobą. Ani on nie pisał, ani ja. Stwierdziłam, że w tych stu sześćdziesięciu SMS-owych znakach nic więcej poza tym, że tęsknię nie napiszę. Uznałam to za mało wylewne. Za to uczucia przelałam na osiem kartek formatu A4. Napisałabym nawet dwadzieścia, ale ostatecznie stwierdziłam, że byłyby to lekka przesada. Wstrzymałam się jednak z ich wysłaniem pocztą, czekając aż Boguś pierwszy napisze. W głębi duszy czułam jednak, że nasza relacja nie jest taka, jak sobie ją wymarzyłam. Poza tym, pożegnanie też

potraktowałam jako dziwne i mało bliskie. Rzecz jasna, nic takiego w liście nie zawarłam. Treści były raczej cukierkowe. I dosłownie, i w przenośni.

Zamknęłam się więc natychmiast w pokoju. Spławiłam wszystkich, którzy do mnie zaglądali i zaczęli zawracać gitarę. No masz ci los, w tym momencie. Akurat w tym... Drżącymi rękami wyciągnęłam list z koperty. Jedną kartkę, a raczej niewielką, wpół zagiętą karteczkę. Na dodatek częściowo podartą. Wyteżyłam wzrok, bo ciężko było mi rozszyfrować jego bazgroły. Ostatecznie się udało:

Ania,

jestem rozzarowany. Jestem tobą rozzarowany! Jak możesz być tak głupia? Czy ty nie widzisz, idiotko, co ty sobie robisz za krzywdę? Przecież jak nic nie jesz, to się zabijasz, ty głupia idiotko! Jesteś stuknięta! W życiu nie spotkałem takiej osoby i to jeszcze chorej na cukrzycę. Umrzesz szybciej, niż ci się wydaje! Cukrzyca potrzebuje jedzenia! Ty potrzebujesz jedzenia. A nie te twoje zieleniny...

A skoro nie chcesz jeść i chcesz umrzeć, to ja nie chcę z tobą być! Radź sobie sama. Nie pisz do mnie, nie dzwoń. Nie chcę cię znać! I radzę ci się pozbierać, bo za chwilę będzie za późno. Albo zresztą... rób co chcesz, to twoje życie! Żegnam!

Już nie twój, Boguś

Przez chwilę zwątpiłam, czy ten list był zaadresowany do mnie. Jeszcze raz spojrzałam na kopertę, na której było wyraźnie napisane: „Anna Miśkiewicz”.

Jak on mógł tak napisać i w taki sposób mnie zostawić? Co on sobie myślał, pisząc te słowa? Przecież nie chcę się zabić, nie jedząc.

Zakryłam rękami twarz i zaczęłam płakać. Nie chciałam widzieć tej kartki. A jednak tam leżała, a łzy rozmywały wyrazy. Zaczęłam ją czytać jeszcze raz i jeszcze. W kółko. Słowo po słowie: „głupia idiotko”, „jesteś stuknięta” „nie chcę z tobą być”, „radź sobie sama”. Jego zwroty, pisane małą literą, nie bolały tak, jak treść rozstania.

Wzięłam kartkę papieru, aby od razu coś odpowiedzieć: że to nieporozumienie i na pewno źle mnie zrozumiał, może przeprosić, obiecać, że się zmienię, że zacznę jeść normalnie i bardziej dbać o

cukry. Choć o nie przecież dbałam, na tyle, na ile na tamten moment umiałam. Zaczęłam pisać:

*Drogi Bogusiu,
przepraszam, tak bardzo Cię przepra...*

Zawahałam się.

Nie! Stop! Za co ja mam go właściwie przepraszać?

Postanowiłam trochę na chłodno przeanalizować jego słowa.

To on mnie przecież zranił i obraził. Nie będę komentować tego chamstwa. Widocznie tak miało być i nie powinnam być z takim chłopakiem. Chyba... Nie ten, to będzie ktoś inny. Ktoś, kto mnie pokocha i zrozumie. Kto będzie współczuł i będzie ze mną, bez względu na to, jak wyglądam, i jak zdrowa czy chora jestem.

A może Boguś miał rację? Może faktycznie jest ze mną źle i powinnam lepiej zadbać o cukrzycową dietę...?

Popatrzyłam na wypis ze szpitala. Wyniki nie były wcale najgorsze. Miewałam wprawdzie czasem dwa lub trzy razy dziennie hipoglikemię, ale wiedziałam, że były one powodem niedojedzenia posiłku lub przeszacowania ilości insuliny. Te sztywne i stałe dawki insuliny były trudne do utrzymania dobrej kontroli nad cukrzycą. Przypomniałam sobie, jak Boguś wspominał coś w szpitalu o innej metodzie leczenia cukrzycy, na którą miał też przejść. Polegała ona na zmianie insuliny i wykonywaniu większej ilości zastrzyków oraz mierzenia cukru. Zastanawiałam się, czy ja też powinnam spróbować czegoś takiego. Tym bardziej, że stałam się pełnoletnia, więc i tak potrzebowałam zmienić przychodnię i lekarza. Dowiedziałam się, że w Poznaniu jest też inny szpital dla dorosłych cukrzyków.

Tamtego wieczoru nie wyszłam już z pokoju. Czytałam dalej list od mojego ex, rozmyślając nad jego słowami. Nawet chwilowo przeszła złość, że mnie tak brutalnie zostawił. Pewnie potrzebowałam właśnie w tamtym momencie takich gorzkich słów. Niczym zimny prysznic, żeby zacząć lepiej się odżywiać i kontrolować cukrzycę. Może był to czas, żeby „mała” Ania stała się już dorosłą osobą i przejęła kontrolę nad cukrzycowym życiem? Ta myśl nie dawała mi spokoju i, ponieważ zmuszona, musiałam coś z tym zrobić.

Rozdział szesnasty

Podziurawione ciało

Rok: 2007

Wiek: 21 lat

Staż cukrzycy: 10 lat

Minęły prawie trzy lata zanim trafiłam na oddział dla dorosłych diabetyków. Długo odwlekłam to w czasie. Wiedziałam jednak, że czeka mnie trudny pobyt w szpitalu, z dużymi zmianami w sposobie leczenia cukrzycy, o których do tej pory nie miałam bladego pojęcia. Zapewniano mnie jednak, że to najlepszy sposób, aby mieć cukry pod kontrolą. A przecież wydawało mi się, że nad nimi panuję. Po dziesięciu latach chorowania ani razu nie wylądowałam na oddziale z powodu problemów z niewyrównaną cukrzycą. Radziłam sobie w miarę w porządku, stąd ciężko było mi podjąć decyzję o jakiegokolwiek zmianie. Wahania glikemii uznawałam za skutek złego odżywiania i zdawałam sobie sprawę, że jak trochę nad tym popracuję, to i wyniki będą lepsze.

Od momentu wkroczenia w dorosłość starałam się też jakoś sama opanować, lepiej lub gorzej, odżywianie. Tym razem bez konieczności pobytu na oddziale. Przez tamten okres dynamicznie zmieniała się również moja dieta i figura. Po osiemnastce zaczęłam zdecydowanie gorzej się odżywiać. Reżim niejedzenia przerodził się w manię jedzenia.

Przede wszystkim sporej ilości słodkiego. Tu cukiereczek, tu batonik, tu ciasteczko i tak nadwyżka kaloryczna szybko sprawiła, że przybrałam dwadzieścia kilogramów i z pięćdziesięciu zrobiło się prawie siedemdziesiąt. Świadczyło to nawet o nadwadze przy moim metr sześćdziesiąt wzrostie. W zasadzie to metr sześćdziesiąt jeden. Każdy centymetr na wagę złota i niższego BMI. Potwornie źle czułam się ze sobą. Ja, która niespełna sześć lat temu wyglądałam jak szkielet człowieka. Chciałam ponownie zrzucić kilka kilogramów. Wdrożenie drakońskiej diety i anorektyczne sposoby radzenia sobie z masą ciała przyniosły efekt. W dość szybkim czasie zrzuciłam ponad dziesięć kilogramów. Później nie przybrałam już ponownie, uważając na to, co jem. I tak, na pewnym etapie, waga zatrzymała się ponownie na pięćdziesięciu kilogramach – zdawałam się być zdrową, młodą kobietą. Przynajmniej z zewnątrz. W środku dusza toczyła kolejne bitwy.

Utrata i stabilizacja wagi spowodowały też ciut lepszy nastrój, który pozwolił zabrać się za pracę nad lepszymi cukrami. Tak trafiłam do szpitala im. Franciszka Raszei w Poznaniu, na oddział diabetologiczny dla dorosłych, aby rozpocząć nowy rozdział leczenia cukrzycy.

*

Skierowanie do szpitala dostałam na piątek, 23.11.2007 r. Trochę się zdziwiłam tym terminem. W końcu w weekendy na oddziałach mało co się działo i rzadko też przeprowadzali badania. Poza tym kręcił się wtedy tylko jakiś lekarz dyżurny. A mnie czekała również zmiana diabetologa, więc chciałam mieć go pod ręką i nie pozostawać przez sobotę oraz niedzielę bez jego opieki. Cóż... Nie zawsze było tak, jak tego chciałam. Termin to termin.

Sam oddział nie był za duży. W małych, wąskich salach stało od czterech do pięciu łóżek. Kobiety i mężczyźni znajdowali się w osobnych pokojach. Siostra oddziałowa położyła mnie w pierwszej sali. Wyglądało mi, że jestem jedną z młodszych pacjentek. Nie pod względem stażu cukrzycy. Weterani notowali nawet i ponad trzydzieści lat doświadczenia z tą chorobą. Dziwiłam się, że jeszcze żyją. A co lepsze, mieli się całkiem dobrze. Pytanie zatem, co tam robili?

Do sali weszłam niepewnym krokiem. Byłam przestraszona nowym

miejszem i dużo starszymi ode mnie pacjentkami. Ulżyło mi, kiedy obok mojego łóżka zobaczyłam młodą dziewczynę o dziecięcej twarzy. Wywnioskowałam, że dopiero co świeżo zachorowała, bo była podłączona do kroplówki, a w jej oczach dało się zauważyć przerażenie. Grzecznie przywitałam się z pozostałymi paniami i usiadłam na łóżku, czekając na dalsze polecenia. Zaczęłam rozpakowywać z torby majdan do szafki. Pieniusia postanowiłam nie wyciągać, uznając, po dojrzałym wyglądzie pozostałych kobiet, przytarganie pluszaka na oddział dla dorosłych za lekki obciach. Jego cicha obecność w plecaku dodawała mi jednak otuchy.

Zanim mnie przyjęli, zrobiła się godzina 13:00, także wiedziałam, że na posiłek nie mam co liczyć. Te w szpitalach bywają już w samo południe. Zresztą nie miałam za bardzo apetytu. Byłam zbyt zestresowana, by myśleć o jedzeniu. Tak przynajmniej to sobie tłumaczyłam.

Po chwili do sali weszła rodzina Basi, mojej sąsiadki.

— Dzień dobry, panie! — przywitali się. — I jak się dziś czujesz, Basiu? Rozmawiałam z twoją lekarką i już masz znacznie lepsze cukry.

— W porządku, mam — odpowiedziała cicho. — Dzisiaj już pięć razy zmierz yli mi cukier i faktycznie tylko jeden był powyżej 200.

— O Boże! To sporo — zajęczała kobieta. Równie zagubiona i przestraszona, co Basia.

Mnie jednak zdziwiło te pięć pomiarów.

Źle dosłyszałam? To przecież bardzo dużo, a dopiero jest południe. Może w tym szpitalu tego pilnują, że tak często kłują w paluchy?

— A tu, widzę, masz nową koleżankę? — spojrzała na mnie sympatycznie kobieta. — Też świeże zachorowanie?

Rozbawiło mnie to pytanie, wiedząc, że pół roku temu pyknęło mi dziesięciolecie cukrzycowe.

Jak z bicia strzelił, swoją drogą...

— Nie, nie — zareagowałam wesoło. — Ja już choruję kilka lat, ale tutaj na oddziale dla dorosłych jestem pierwszy raz.

— No nasza bidulka dopiero co zachorowała. W tak młodym wieku... — westchnęła, a ja odczułam satysfakcję, że nie myliłam się co do jej świeżego zdiagnozowania. Satysfakcję z ludzkiego nieszczęścia...

— Basia w grudniu będzie miała dopiero dziewiętnaście lat.

Hm... Szczęściara! To przynajmniej miała normalne dzieciństwo i szkołę średnią. Z drugiej strony jaki pech, że dobrze będzie pamiętać, jak jej się lekko żyło bez choroby... Zgadza się, bidulka... Kobieta ma rację.

— Jak przyjmowali ją na oddział, to miała wynik ponad 700 — kontynuowała.

— O rety! — autentycznie się przestraszyłam. — W życiu tyle nie miałam. Ja, w prawdzie, miałam tylko ponad 200, jak zachorowałam, ale czułam się i tak fatalnie. Pewnie bardzo chciało ci się pić, co? — zwróciłam się do Basi.

— To też — przytaknęła smutnie. — Ale najgorzej, że bardzo pogorszył mi się wzrok. Ponoć to od wysokich cukrów tak się dzieje. Lekarze uspokajają mnie, że jak cukry się trochę uspokoją i unormują, to problemy z widzeniem też znikną. Mam nadzieję, bo jestem przerażona — spuściła wzrok i tak go utkwiała w jednym punkcie. Zastanawiałam się, co tam widziała. Czy w ogóle coś widziała...?

— Nie martw się — zaczęłam ją pocieszać po chwili. Na temat problemów z widzeniem wołałam się nie wypowiadać, bo nigdy o tym wcześniej nie słyszałam. — Cukrzyca to nie wyrok. Da się z nią żyć i nawet nie jest tak źle. Kilka zastrzyków dziennie no i parę razy pomiar cukrów. Przyzwyczaisz się.

— Parę razy? — popatrzyła na mnie jak na ufoludka. — Tego jest pełno! Rano insulina plus pomiar glikemii, później śniadanie i inna insulina. Po dwóch godzinach od śniadania ponowny pomiar cukru i ewentualna korekta z podaniem insuliny. O 12:00 mamy obiad i znowu pomiar glikemii i insulina. Po dwóch godzinach znowu kontrola glikemii plus ewentualna korekta w przypadku hiperglikemii. I tak do kolejnego posiłku. Nie nudzimy się tutaj, kochana, oj nie — zaśmiała się, równie smutno, jak to powiedziała, a mnie to wcale nie rozbawiło.

— Poważnie? — nie kryłam zaskoczenia.

Za nic nie mogłam doliczyć się, ile Basia zdążyła już wymienić tych zastrzyków i pomiarów glikemii. Tym razem to ja patrzyłam na nią jak sroka w gnat.

No przecież znam te zastrzyki i te pomiary, ale aż tyle? Chyba

naprawdę mają tutaj reżim. Czyżby mnie też to czekało?

Na samą myśl przeszły mnie ciarki.

— A najgorsze jest liczenie tych wymienników węglowodanowych do posiłku. Ty też tak liczysz i ważysz produkty w domu, żeby wiedzieć, ile masz podać insuliny? — spojrzała takim wzrokiem, jakby czekała, że powiem jej, że tego nie robię i ona też nie będzie musiała.

— Czasami liczę... — odpowiedziałam niepewnie, co Basię przybiło.

Wagi kuchennej to ja na oczy nie używałam od dobrych kilku lat. Nie mówiąc już o tym, że dawno zapomniałam, jaki produkt ma jaką ilość węglowodanów. Do tabel zapisanych na kartkach też nie zaglądałam. Nawet nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie je posiałam. Nie rozumiałam też nigdy, po co mam to wszystko właściwie liczyć. Lekarka i tak wyznaczała mi sztywne dawki z insuliną. Ewentualnie, z czasem, sama je delikatnie modyfikowałam. Tendencję miałam do redukcji jednostek, bo oczywiście nadal nie lubiłam doprowadzać się do niedocukrzenia, poprzez przedawkowanie.

— Baśka, nie strasz tak nowej koleżanki — wtrąciła się dużo starsza od nas pani, która leżała dwa łóżka dalej. — Wszystkiego się tutaj nauczysz, no albo sobie przypomnisz.

Ucieszyłam się, że ktoś w końcu przerwał rozżalanie Baśki. Jak na pierwszy dzień i przywitanie się z oddziałem, dostałam już i tak sporą dawkę negatywnych informacji. Poza tym, moją niewiedzą z zakresu cukrzycy, jak na taki staż, mogłabym się tylko nieźle skompromitować i pograżyć. Przy nich wydawało mi się, że jestem „zieloniutka”.

Jak przypuszczałam, weekend nie wniósł za dużych zmian w leczeniu, natomiast od poniedziałku ruszyłam z kopyta – i z nową insuliną, i z edukacją. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak ja mało wiedziałam o mojej chorobie. Po kilku kolejnych dniach byłam już jednak nieźle obcykana. W teorii. I to mnie martwiło najbardziej. Bo teoria teorią, a praktyka praktyką. Dobrze o tym wiedziałam.

— Co z tego, jak tutaj wszystko pięknie wyliczą, powiedzą i podadzą pod nos — żaliłam się mamie w jednej z telefonicznych rozmów. — Wyjdę stąd i będę musiała sama dać sobie radę. Żadnej pielęgniarki obok nie będzie. Nikt mi nic nie podpowie. Dojdzie spacer,

stres, choroba i wszystkie te ich obliczenia na nic się zdadzą! — wzdychałam do słuchawki, licząc na pocieszenie.

Mama słuchała, dodawała otuchy, a ja i tak czułam się w tym wszystkim osamotniona i niezrozumiana. Trudno było przewidzieć, co będzie za dzień, dwa, skoro ta choroba tak często potrafiła mnie zaskoczyć. A już szczególnie, kiedy wdrażałam coś nowego, czy to do diety czy sposobu życia.

W środę pod wieczór zadzwonił Piotrek. Być może mama poprosiła go, by wykręcił i pocieszył strapioną siostrę. Niesamowicie się ucieszyłam z tego telefonu, bo gnuśniałam na dobre. Jedynie rozwiązywanie krzyżówek zabijało powoli upływający czas. Szpitalnych rozmów w pokoju „o chorobie” miałam już po dziurki w nosie.

— Słyszałam, siostrzyczka, że wypuszczają cię już w piątek?

— W końcu. Nie mogę się doczekać, aż stąd wyjdę.

— To co, imprezka w akademiku będzie konkretna? — wiedział, jak ma mnie dobrze podejść, by poprawić nastrój.

— Myślę, że trochę będę musiała przystopować z niektórymi rzeczami. Czekam sporo zmian... — zadumałam się.

— Co masz na myśli?

Nie chciałam zbytnio rozmawiać o cukrzycy, a już na pewno nie o ostatnich, studenckich imprezach, zakrapianych często dużą ilością alkoholu. Brat jednak od razu wyczuł moje zawahanie.

— Mów tutaj braciszкови! — nie odpuszczał. — Co za zmiany? Chodzi o cukrzyce, tak?

— Tak — odpowiedziałam sucho, próbując go jakoś zbyć. Z drugiej strony dziwiłam się, po co pyta. W końcu to głównie wokół cukrzycy kręciło się moje życie. Nie rozumiałam, jak mógł się nie domyślić. Zwłaszcza, że byłam zamknięta w tych obskurnych murach szpitala. Poczułam narastającą złość.

— Powiedz mi coś więcej — nalegał, nie zdając sobie sprawy, że zaraz wybuchnę.

— Do dupy z tym wszystkim! — no i wybuchnęłam, wydzierając się na całe gardło, i nie zważając przy tym, że na korytarzu jest kompletna cisza. — To będzie jakaś makabra, brachol! Od teraz będę

musiała dokładnie wiedzieć, co i ile jem, odpowiednio to przeliczyć i do tego podawać do wszystkiego, co zjem, insulinę. Rozumiesz?! Do wszystkiego! — powtórzyłam, w razie jakby nie dosłyszał. Wzięłam głęboki oddech, z przepony, by głos był wyraźniejszy i kontynuowałam wykład. — Każdy posiłek to pomiar cukru i insulina. Nie mówiąc już o dwóch dodatkowych zastrzykach z inną insuliną – rano i wieczorem. Siedem zastrzyków, jak nie więcej! A palce to mi chyba odpadną od mierzenia tego gównianego cukru! Istny koszmar... Ale czemu ja ci tylek zawracam? — opamiętałam się nagle. — Mów, co tam u ciebie słychać?

— U mnie w porządku — odpowiedział od niechcienia, czekając aż mu coś więcej wyjaśnię w sprawach cukrzycowych. Zdawał się być równie „zielony”, jak ja na początku pobytu tutaj. I najwyraźniej się przejął. — Ale nie zmieniaj tematu. A dotychczas też musiałś robić tyle zastrzyków?

— Nie — odparłam szybko. — Miałam trzy zastrzyki z insuliną, cukier mierzyłam na pewno nie więcej niż cztery razy dziennie.

— Ale skoro ta metoda jest lepsza... — rzucił, nie wiedząc, co powiedzieć. — A inni też tak mają?

— Tak — westchnęłam, nie licząc już na żadne jego pocieszenie.

Rozmowa telefoniczna z bratem może i przyniosła na krótko jakąś ulgę. Z reguły nie lubiłam żalić się na to, jaki mam los z cukrzycą. Raczej kryłam emocje, trzymając zamknięte pod kluczem „twardej pacjentki”. A jednak w tym dniu przekręciłam zamek i dałam im na chwilę wypłynąć. Dopiero po tej rozmowie uświadomiłam sobie, że wiele rzeczy zmieni się w moim życiu po wyjściu ze szpitala. Docierało do mnie, że czeka mnie jeszcze większa kontrola i reżim. Wiedziałam, że dobre wyniki osiągnę w dużej mierze dzięki systematyczności, sumienności i sporej motywacji. Póki co, musiałam się z tym jakoś oswoić mentalnie. I miałam na to jeszcze niecałe dwa szpitalne dni: spokojne, ułożone, wyliczone i z reguły dość pewne.

W piątek rano dostałam wypis do domu:

„23.11. – 30.11.2007 r.

włączono metodę intensywnej insulinoterapii”

Od tego dnia, już za murami szpitala, ponownie miałam zagrać tę „dzielną i waleczną Anię”. To był czas, gdzie jeszcze intensywniej przyszło mi zmierzyć się z chorobą. Przeczuwałam, że będzie mnie to kosztowało sporo czasu, energii i cierpliwości. A przecież i tak do tej pory czułam się przytłoczona sporą ilością myślenia o cukrzycy. Każdy dzień był nowym wyzwaniem. Bardzo trudnym i obciążającym. Choć tego w ogóle nie pokazywałam i o tym nie mówiłam. Może to był błąd? Często towarzyszył mi przy tym strach i przybicie, których nie potrafiłam ot tak wyrazić, czy wyzalić się komuś. Nie byłam tego nauczona.

Efekt leczenia był za to wyraźnie zauważalny. Na plus, rzecz jasna. Gdy de facto trochę popracowałam, to cukrzyca odwdzięczała mi się lepszymi wynikami i samopoczuciem. Nie było już takich „rollercoasterowych” wahań. Wysoko – nisko, nisko – wysoko. Ale wymagało to ode mnie wiele. Już nie od rodziców, a przede wszystkim ode mnie. W końcu stałam się dorosłą, dwudziestojednoletnią kobietą. Bez mamy i taty przy boku, w przelotnych związkach, ale za to zawsze z Pieniusiem. Tyle, że ten był nadal tylko pluszową maskotką, niestety z coraz gorszym stanem technicznym futerka. Nie pomagał, ale chociaż wysłuchał. A to już sporo.

Zmiana sposobu leczenia była niewątpliwie dobrym krokiem dla lepszego zadbania o moje zdrowie. I choć na początku było to duże wyzwanie z powodu odpowiedniego przeliczania posiłków oraz dostosowywania dawki insuliny, tak już z czasem robiło się łatwiej. Pojawiało się więcej artykułów, większa była świadomość i możliwość skorzystania z różnego rodzaju aplikacji, które ułatwiały mi to zadanie. Czasem nie korzystałam już nawet z wagi kuchennej i nie obliczałam wszystkiego, co do najmniejszego grama. Spoglądałam na talerz i wiedziałam, jaka jest proporcja węglowodanów, białek i tłuszczu. Nie liczyłam wszystkiego książkowo, bo to mnie tylko frustrowało i traciłam swobodę życia. Chciałam żyć normalnie z tą chorobą, nie myśląc o niej non stop. I w końcu zacząć brać z życia pełnymi garściami.

Rozdział siedemnasty

Do odważnych świat należy

Rok: 2008

Wiek: 22 lata

Staż cukrzycy: 11 lat

Sobota, 28 czerwca 2008, była dla mnie wyjątkowa. Nadszedł dzień mojego absolutorium. Dokładnie pamiętam, jak pierwszy raz przekraczałam progi uczelni. Za wielkimi, przeszklonymi i rozsuwanymi drzwiami rozpoczęłam trzyletnią drogę do zostania nauczycielką języka niemieckiego.

Zachowałam w pamięci rozmowę mamy z jej siostrą, która poddawała w wątpliwość, czy „oby na pewno powinnam wybrać tak trudne studia”. Z moimi chorobami i problemami, twierdziła, że wskazane jest, bym wzięła coś lżejszego. Rodzice nie chcieli mnie jednak ograniczać w marzeniach i planach. Dali mi tę szansę i umożliwili studiowanie. I to na bardzo wymagającym dla mnie kierunku, jakim była germanistyka. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, ile te studia będą mnie kosztować trudu, godzin przesiedzianych w akademiku nad książkami oraz mnóstwa zaliczeń i egzaminów. Miewałam chwilę zwątpienia, zwłaszcza, kiedy po półtora roku studiowania oblałam końcowy egzamin z literatury. Wtedy chciałam

rzucić te studia. Myślałam, że nigdy nie przyswoję wiedzy, a jednak nie poddałam się. Egzamin poszedł za drugim razem dobrze. Ta ocena wystarczyła mi w zupełności. Nie mogłam mieć przecież samych bardzo dobrych stopni.

Wiedziałam też, że rodzice początkowo mieli obawy i towarzyszył im strach, czy na pewno sobie poradzę. W końcu miałam pierwszy raz wyprowadzić się z domu i zamieszkać sama w akademiku. Z moimi zaburzeniami odżywiania i zmiennością nastrojów było to czasem wręcz niebezpieczne. O cukrzycę się nie bali. Tutaj dawałam sobie całkiem nieźle radę. Pod warunkiem oczywiście, że nie męczyły mnie anorektyczne i depresyjne zachowania. Z czasem zauważyłam, że te choroby znacznie na siebie wpływały.

Z pewnością czas studencki zaliczam do jednego z najbardziej szczęśliwych i udanych okresów. To wspaniałe przyjaźnie, beztrioskie imprezowanie i cenna wiedza językowa, którą wykorzystałam w późniejszym życiu zawodowym.

Jednak co dobre, szybko się kończy. Z bólem w sercu kończyłam pewien etap i za chwilę miałam odebrać dyplom. Z tego faktu akurat się cieszyłam, ponieważ jako pierwsza z rocznika zdążyłam obronić tytuł licencjata. Nie czekały mnie więc już żadne egzaminy, a co za tym idzie spory stres. Zdałam więc klucze do pokoju i wyszłam po raz ostatni z akademika.

Przed uczelnią stała już grupka studenckiej paczki.

— Macie ognia? — zapytałam.

— Ania, ty palisz? — zdziwił się Patryk, kumpel z ławki.

— Paleniem bym raczej tego nie nazwał — zaśmiałam się, dziwiąc się, że pierwszy raz widzi mnie z papierosem w ręku. — Poczęstujesz koleżankę ogniem?

Faktycznie, po papierosa sięgałam raczej okazjonalnie, co zresztą bardzo nie podobało się mojemu diabetologowi. Tłumaczenia, że „jakoś muszę rozładować stres związany z egzaminami”, i „że to tylko do piwa” i tak go nie przekonywały. Tak... Życie studenckie rządziło się swoimi prawami.

Staliśmy tak przed kochaną uczelnią, buchając dymkiem i wspominając nasze zajęcia.

— Boże, jak ten czas biegiem zleciał — zaczęłam nostalgicznie. — Pamiętacie pierwsze ćwiczenia z doktorem Fritzem i te jego charakterystyczne: „zostajesz ekspertem” — puściłam oczko do Patryka, wiedząc, że to on był najczęstszym wybrańcem profesora.

— Eh... — zadumał się. — Zgadza się. Całe półtorej godziny potrafił mnie tak męczyć. „Patryk to wie, Patryk to powie”. Oszaleć było można! — zaśmiał się zadziornie, nie kryjąc wzruszenia. — Mówcie co chcecie, ale to były i tak moje ulubione zajęcia.

— Zwariowałeś! — oburzyli się pozostali.

— A ja też bardzo lubiłam tego profesorka — poparłam kolegę. — Pamiętacie wypracowania na przynajmniej dwie strony A4? Te jego zaczepne i filozoficzne tematy były czasem naprawdę wyssane z kapelusza. To ja po polsku nie wiedziałam, co mam napisać, a gdzie to jeszcze przełożyć na niemiecki — wybuchnęłam śmiechem, rozkładając zgrabnie ręce.

— Dla mnie i tak literatura była największym hardkorem — dodała Ela, a ja ją w tym od razu poparłam. — Ponad trzydzieści pozycji zadane na wakacje. Ja tylko „Proces” Franca Kafki przeczytałam... — zamyśliła się, zdając sobie sprawę, że nie ma się czym chwalić. — Dobrze, że te zajęcia trwały tylko półtora roku. A i tak przesiew był tam niezły, co?

Nie dało się zaprzeczyć. Wspominaliśmy sobie te trudne, a zarazem tak piękne czasy studenckie do momentu, gdy rozległ się gong rozpoczynający uroczystość absolutoryjną. Przywdziani w czarne togi oraz birety podążyliśmy na główną aulę uniwersytetu. Na sali siedziała już część wykładowców i zaproszonych gości. Dojrzałam też rodziców i Marcina. Byli dumni. Ich córka i siostra kończyła dziś studia wyższe.

Rektor wszedł na scenę i wspólnie odśpiewaliśmy pieśń „Gaudeamus Igitur”. W jednej chwili poczułam, jak ciarki przechodzą mi po plecach. Po kilku przemowach władz uczelnianych i zaproszonych gości, prowadzący zaczął wyczytywać nazwiska do odbioru dyplomów. Padło i moje:

— Dyplom odbierze... Anna Miśkiewicz, absolwentka wyższych studiów zawodowych.

Rzutko wstałam i skierowałam się na scenę. Przez chwilę poczułam

się jak jakaś gwiazda Hollywood. Wkraczałam tam, po czerwonym dywanie, w czarnej „sukni” do kostek, w blasku fleszy publiczności. To było niesamowicie przyjemne uczucie: satysfakcji, dumy, radości i wdzięczności jednocześnie. Co prawda, nie byłam jakąś wybitną studentką, więc musiałam zadowolić się normalnym dyplomem, bez wyróżnienia. Odebrałam długą czerwoną różę i stanęłam z innymi do wspólnego zdjęcia. Od razu przypomniały mi się słynne sceny z filmów, w których studenci rzucali biretami w górę. Dostaliśmy też taki sygnał i jako pierwsza wyrzuciłam w górę czapkę absolwencką. Miałam wrażenie, że poszybowała najwyżej. To chyba z tej radości. Jakbym to ja ze wszystkich absolwentów cieszyła się najbardziej. A przecież wszyscy byli tak samo zadowoleni. Zgarnęliśmy sporo braw i uścisków. Jak na „gwiazdy” przystało. Zabrakło chyba tylko jedynie rozdania autografów, ale to jakoś przeżyłam.

Po skończonym absolutorium rodzice przygotowali mi przyjęcie w domu. Cieszyłam się, że tyle osób raduje się moim szczęściem i wspólnie możemy świętować odniesiony sukces.

— Aniu, gratulujemy! Jesteś z ciebie dumni, córeczko! — wyściskała mnie mama, chyba po raz dziesiąty tego dnia.

— Dzięki! Ty dobrze wiesz, że nie było łatwo — spojrzałam na nią, starając się okazać wdzięczność. Często wspierała mnie w nauce, o finansach nie wspominając. — Pokroję tort — zmieniałam temat, bojąc się, że się zaraz rozkleję. — Tacie dam największy kawałek — uśmiechnęłam się do niego. W końcu był największym łasuchem w rodzinie.

— Nie żałuj mi — przytaknął, gładząc swój nieco zaokrąglony brzuch.

Krojenie tortu nie było moją mocną stroną, ale fortunnie, jakoś w miarę zgrabnie sobie z tym poradziłam. Ku uciesze babci, żadna z truskawek nie wylądowała na świeżo wypranym obrusie. Także i ten egzamin zdałam. Tym razem na piątkę.

Insulinka i wcinamy.

Naprawdę tort wyjątkowo mi smakował. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak bez wyrzutów sumienia wcisnęłam w siebie ponad trzysta kalorii.

— To kiedy wyjeżdżasz, Aniu? — zapytała moja przyszła bratowa, delectując się, podobnie jak ja, śmietanową bombą.

— Prawdopodobnie już we wrześniu — powiedziałam nieśmiało, wiedząc, że mój pomysł rocznego wyjazdu do Niemiec na podszkolenie języka znowu spowoduje strach rodziców. — Muszę tylko dostać potwierdzenie od tej rodziny, do której jadę.

— To ile dzieci będziesz miała do opieki? — dopytał Marcin.

— Wygląda na to, że dwójkę. Martin ma trzy lata, Lukas chyba pięć.

— To chyba po polsku ich imiona znaczą... Czekaj! Daj mi sobie przypomnieć. Martin to chyba Marcin, a Lukas to Łukasz — zauważył i od razu się zaśmiał, nie czekając na moją germanistyczną korektę wymowy. — He, coś tam jeszcze z tego niemieckiego pamiętam ze szkoły. Ale fajnie, że nie będzie to jednak. Zawsze się mogą też ze sobą bawić i nie będziesz musiała się nimi tyle zajmować.

Popatrzyłam na brata lekko zatrwożona. Mało poprawny akcent niemiecki przestał zaprzętać moją głowę. Uświadomiłam sobie, że ja ani trochę nie mam doświadczenia w zajmowaniu się dziećmi. Zważyłam nawet, czy odnajdę się w tej roli.

— Oj dziecko, dziecko — mama, jakby znowu zapomniała, że już jestem dużą dziewczynką. A może zauważyła moje zakłopotanie. — Jak ty sobie poradzisz w tym Hamburgu?

— To jest dla mnie szansa, mamuś — odpowiedziałam trochę pewniejszym tonem w przeciwieństwie do tego, jak wyglądałam. — Chcę jeszcze lepiej poznać ten język. Boję się, że na magisterce sobie nie poradzę. Ma być „perfekt”.

— Oj Helga, Helga... Ty i ten twój perfekcjonizm... — rzucił Marcin.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Widocznie spodobało im się niemieckie imię, jakim mnie określił. Mówiąc o moim perfekcyjnym sposobie bycia, też miał z pewnością dużo racji.

— Dobra, jeszcze o tym nie myślmy. To ja może zobaczę prezenty od was? — zmieniałam znowu temat. — Ale przecież nie musieliście... Ale skoro już je dostałam, to nie zamierzam czekać dłużej i ich nie obejrzyć.

Wygrałam, bo drażnienia tematu związanego z wyjazdem więcej nie było. Ciekawość wzięła górę.

Wyciągnęłam pierwszy z podarunków. Paczuszka była pięknie zapakowana w ozdobny papier z kluczami wiolinowymi, a na niej mała karteczka: „Dla Helgi, Ani”. Znowu te określenie mnie rozbawiło. Prezent odpieczętowałam wolno, bo aż żal było uszkodzić tak pięknie wydrukowane klucze. W środku znajdowała się piłkarska koszulka mojego ulubionego klubu – Manchesteru United.

— Jejku, dziękuję! — krzyknęłam z radości. — To dziś będzie prawdziwe kibicowanie!

— Też właśnie z tą myślą ci ją kupiliśmy — ucieszył się Marcin, że koszulka mi podpasowała. — Zestaw kibica już na ciebie czeka — mrugnął okiem wskazując na stolik, na którym stało ulubione piwo i paczka chipsów.

Mecz finałowy Ligi Mistrzów z udziałem mojego klubu miał się rozpocząć o 21:00. Co do zasady, jakoś zagorzałym kibicem nie byłam, ale zawsze lubiłam oglądać zawody sportowe.

Usiedliśmy zatem wieczorem wszyscy razem, nawet i mama. Odsypałam sobie miseczkę chipsów, aby łatwiej było mi obliczyć, ile powinnam podać na nie insuliny. Kibicowałam zacięcie, ale na nic się to zdało. Niestety moja drużyna przegrała ten finał, ale ja i tak triumfowałam. Przebolełam, że ukończyłam studia bez wyróżniania, za to miałam dyplom i plany na przyszłość. Jeszcze kilka lat temu chciałam mieć same piątki i świadectwa z paskiem. Na studiach wręcz przeciwnie. Nie walczyłam dla ocen, lecz dla wiedzy. Fajnie było czasem tak odpuścić i nie być zawsze idealną.

Również w kwestii jedzenia i leczenia cukrzycy zaszło wiele zmian. Sześć lat wcześniej nie wyobrażałam sobie, by zjeść choćby kilka chipsów. A teraz robiłam to bez wyrzutów sumienia. No może delikatnych... I pewnie nie był to idealny zestaw meczowy dla cukrzyka, ale tutaj raczej chodziło o coś innego – o przełamanie głowy, by nie zastanawiać się, czy nie przytyję od tych kilku sztuk. Wiedziałam, że nie powinnam pozwolić sobie na zjedzenie całej paczki. Trudno byłoby mi wtedy zapanować nad cukrami, z racji dużej ilości tłuszczu w składzie. Kończyło się to przeważnie wysokimi cukrami po kilku godzinach. W

takim wypadku robiłam dodatkowy zastrzyk z insuliną. Było to możliwe dzięki temu, że jednak zmieniłam metodę leczenia i rodzaj insuliny na szybko działającą. W takich momentach nie żałowałam, że zdecydowałam się na ten przełom, i że kłuję się tyle razy dziennie. Wcześniej zjedzenie takich produktów było wręcz niemożliwe, żeby nie skończyło się to na hiperglikemii. Tamtego wieczoru byłam jednak spokojniejsza i wiedziałam, że od kilku sztuk nic mi nie będzie.

Gorzej było jednak z moim folgowaniem sobie z paleniem papierosów w ostatnim okresie studiowania. Z czasem na ten temat miałam takie przemyślenia:

Z konsekwencjami palenia papierosów jest trochę tak, jak z pilnowaniem się w dobrym prowadzeniu cukrzycy. Od jednego papierosa nikt nie umrze, podobnie jak od jednego za wysokiego cukru. Ale kilkaset czy nawet kilka tysięcy wypalonych papierosów może mieć już swoje negatywne skutki. O tym jednak nie myśli się od razu, skoro nic nie boli i nie doskwiera. A już szczególnie wtedy, gdy się jest w młodym wieku. Wydaje się, że wszystko można, że nic nam nie będzie, że się nie uzależnimy...

I właśnie te ostatnie stwierdzenie – „uzależnienie”, znacząco różniło palenie od cukrzycy typu 1. Bo od cukrzycy się nie uzależniłam, ona przyszła do mnie sama. Ja jej nie wybrałam dobrowolnie. A palenie było moim świadomym wyborem. Nikt mi do buzi papierosa nie wkładał. I z tym nałogiem też przyszło mi później trochę powalczyć.

*

Rok: 2008

Wiek: 22 lata

Staż cukrzycy: 11 lat

Kierując się mottem „do odważnych świat należy” oraz „kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana”, wyruszyłam do Niemiec, do pracy, jako opiekunka do dzieci. Głównym celem było podszkolić język, a pobocznym usamodzielnąć się, poznać kulturę niemiecką nie tylko z

książek oraz skosztować ich życia. Czasu na to miałam sporo, aż cały rok. Po raz pierwszy na tak długo wyjeżdżałam z rodzinnego domu. Wprawdzie, byłam już dorosła, ale i tak nie uniknęłam obawy przed nieznanym.

Autobus do Hamburga startował o godzinie 19:00. Na dworze zrobiło się szarawo. Nauczona wyjazdami orkiestrowymi, usiadłam na tyłach. Nie jechało nas dużo, więc spokojnie mogłam sobie wybrać takie miejsce, jakie mi pasuje. Rodzinę już dawno pożegnałam. Bałam się, że jak ruszymy, to się rozplaczę. Na amen. Wołałam nie zapewniać sobie dodatkowych emocji i stresu. I tak były już nadszarpnięte.

Ruszyliśmy, a ja nie płakałam. Zaczęłam sobie coś przeglądać w telefonie. Szybko ululało mnie kołysanie autobusu. Ocknęłam się pół godziny później, poobijana, z delikatną plamą krwi na koszulce.

— Halo! — szturchała mnie jakaś kobieta. — Nic pani nie jest? Halo!

W pierwszej chwili nie wiedziałam, co się dzieje i gdzie jestem.

— Proszę pani! — pokrzykiwała nerwowo. — Mieliśmy wypadek, czy coś panią boli?

Zorientowałam się, że nadal jestem w autobusie. W środku było ciemno i nie mogłam złapać ostrości. Poczułam ból głowy. Z przodu mężczyźni próbowali otworzyć drzwi. Wyglądały jak harmonijka.

— Zaraz przyjedzie pewnie pogotowie — mówiła pasażerka. W jej głosie słysząc było strach i przerażenie.

— Co się stało? — zaczęłam odzyskiwać świadomość.

— Jakiś kierowca wyjechał nam z podporządkowanej. Miałyśmy sporo szczęścia, że byliśmy na tylnych siedzeniach.

Gdy mężczyźni wyważyli drzwi, wszyscy wyszliśmy z autokaru. Ci bardziej poobijani usiedli na trawie. Ja, w tym całym amoku, podeszłam do auta osobowego, sto metrów dalej, w którym siedział chłopak. Miał może dwadzieścia lat. Samochód był porządnie skasowany, a on nieprzytomny. Chciałam go jakoś ratować, ale błyskawicznie pojawiła się już straż pożarna. Kazali mi się odsunąć i podejść do ratownika, aby się przebadać. Podeszłam, nie mogąc otrząsnąć się widokiem poszkodowanego mężczyzny.

— Coś panią boli? — zapytał, świecąc latarką po oczach.

— Nie, chyba nie — odpowiedziałam mało pewnie. — Trochę kolana i głowa, ale chyba nic mi nie jest.

— Zaraz to obejrzymy. Proszę powiedzieć, czy na coś pani choruje?

— Nie.

Nie wiem czemu, ale zupełnie zapomniałam o swojej cukrzycy. Pewnie jeszcze nie myślałam racjonalnie.

— Wygląda, że wszystko jest w porządku. Delikatne zadrażnienie — popatrzyl na łuk brwiowy. — Zrobimy opatrunek.

Strażacy po pewnym czasie zabrali tych mniej rannych do remizy strażackiej. W tym również mnie. Mieliśmy w cieple poczekać na kolejny autobus, jaki miał podstawić przewoźnik. Zanim podjechał autokar i z powrotem dostałam mój bagaż podręczny, minęło kilka godzin. Musiałam sobie koniecznie zmierzyć cukier, ponieważ nie najlepiej się czułam. Bolała mnie dość mocno głowa i pomyślałam, że to również od hiperglikemii. Pora podania wieczornego zastrzyku z bazą też już dawno minęła. Początkowo chciałam nawet podejść do sanitariusza i zapytać, czy mają jakiś glukometr, ale szybko zrezygnowałam z tego pomysłu. Przestraszyłam się, że jak się dowiedzą, że jestem chora na cukrzycę, to trafię na obserwację do szpitala. Nie chciałam robić też zamieszania moim błahym problemem.

W remizie dowiedzieliśmy się również, że mieliśmy sporo farta w tym wypadku. Jeszcze dwa miesiące temu na polu rosły brzozy i z pewnością wylądowalibyśmy na jednej z nich. Nie wiem, jak by się to skończyło. Mi się nic groźnego nie stało. Pasażerowie, którzy siedzieli z przodu nie mieli tyle szczęścia i karetka zabrała kilka osób do szpitala, na dalsze badania. Ja z kolei bardzo martwiłam się tym mężczyzną, który nam wyjechał z podporządkowanej. Jak się później dowiedziałam, przeżył, więc wiedzieć nie musiałam.

Przed południem byłam już w Niemczech. Wysiadłam z autobusu z dobrym cukrem i z plastrem na czole. W oddali zobaczyłam młodą i zgrabną kobietę z dwójką małych chłopców. Natychmiast stwierdziłam, że to oni, choć na zdjęciu w internecie wyglądali jakby inaczej. Podeszłam do nich. Pewnie ich trochę wystraszyłam tym opatrunkiem. Na takich wyglądali.

— Cześć, Ania! — przywitał się po niemiecku mniejszy z chłopców. W jednej chwili zachwyciłam się tym żywym językiem. Po niemiecku wymowa mojego imienia zdecydowanie więcej mi się podobała. — Co ci się stało w głowę? — dopytał bez zawahania lekko wystraszony.

— A to nic takiego — machnęłam ręką. — Mieliśmy mały wypadek po drodze, ale to naprawdę nic wielkiego — zapewniałam.

— Witamy! — uściskała mnie delikatnie jego matka. Zrobiła to z tak dużą ostrożnością, jakbym była co najmniej połamana. A nie byłam, więc nic nie poczułam. Za to od razu uderzyła mnie jej otwartość i ciepłe spojrzenie. — Ja jestem Emma, to jest Martin i Lukas, a tam stoi mój mąż – Ben — wskazała na rosnącego mężczyznę stojącego sto metrów od nas, przy samochodzie. Odmachał mi. — Zaraz nam wszystko opowiesz. Miło cię przywitać w naszej zwariowanej rodzinie.

Podeszliśmy do Bena. Chłopcy w mig chwycili mnie za rękę, jakbym to ja była ich mamą. Czułam, że trafiłam na dobrych ludzi, i że będzie dobrze. Obawiałam się tego, jaka będzie ta nieznajoma mi rodzina. Przecież nie mogłam być pewna, kto siedzi po drugiej stronie komputera.

Całą drogę myślałam o wypadku. Byłam nadal lekko oszołomiona, ale leki przeciwbólowe pomogły chociaż uśmierzyć ból głowy. Zastanawiałam się intensywnie, dlaczego nie chciałam przyznać się, że choruję na cukrzycę. W głowie kotłowało się mnóstwo myśli.

Czy coś było w tym złego, gdybym się przyznała? Przecież to nie jakaś zakaźna choroba. Czego ja się obawiałam czy wstydziłam?

Dało mi to do myślenia. Byłam zła na siebie, że wstydziłam się powiedzieć i zataiłam chorobę. Zwłaszcza, że musiałam przyjąć leki. Zresztą, postępowałam tak od samego początku chorowania. Zastrzyki robiłam byle tylko nikt nie zobaczył. Aby zmierzyć cukier w jakiejś restauracji, wychodziłam do łazienki. Nawet nie orientowałam się, czy moi opiekunowie ze szkoły będą wiedzieć, jak mi pomóc w razie załabnięcia. Nikt o nic nie pytał, ja nic nie mówiłam. Z zewnątrz wyglądałam przecież normalnie. Tylko moja trzustka była chora. Ale nic nie bolało, to też się nie skarżyłam. Czasami delikatnie odczuwałam ból od zastrzyku, ale przecież dostępne igły stały się już tak maleńkie i

cienkie, że rzadko coś poczułam. Nie mogłam zrozumieć, czemu tyle lat się krępowалам, czy czegoś obawiałam. Obiecałam sobie, że postaram się przełamać opory, i że przynajmniej moją niemiecką rodzinę poinformuję o cukrzycy. Po jedenastu latach bycia diabetikiem, w końcu się do tego publicznie przyznam.

*

Rok: 2009

Wiek: 23 lata

Staż cukrzycy: 12 lat

Był luty, 2009 roku i właśnie rozpoczął się mój półmetek rocznego pobytu w „Dojczlandii”. Z niemiecką rodziną świetnie się dogadywałam i naprawdę swobodnie się tam czułam. Bardzo lubiłam tamtych dwóch małych brzdąców, którymi się opiekowałam. Nie myślałam, że tak dobrze dam sobie radę w opiece nad dziećmi, w roli Au-Pair. Ja, bez żadnego doświadczenia jako opiekunka.

Najlepiej jednak rozumiałam się z mamą chłopców. Emma była wspaniałą osobą. Stanowiła dla mnie ideał kobiety: pełna wdzięku, zawsze niezwykle zadbana, paznokcie pomalowane, długie, rozpuszczone i starannie ułożone włosy. Sylwetka wysoka, szczupła, nie wychudzona, lecz ładnie umięśniona. Ubierała się zarówno pięknie i seksownie, jak i elegancko i sportowo. A wisienką na torcie był jej sposób bycia: ciągle pogodna, energiczna, optymistyczna i stanowcza w swoim działaniu. Zawsze biło od niej taką ciepłą aurą. To było niezwykle.

Emma znajdowała również czas, abyśmy mogły sobie poplotkować. Godzinami siedziałyśmy przy kominku, rozmawiając o dzieciakach, sąsiadach, życiu, a nawet książkach, które obie uwielbiałyśmy czytać. W domu rodzinka miała zasobną biblioteczkę i jak już do niej razem wparowałyśmy, to czasem wychodziłyśmy po kilku godzinach.

Dzieciaki nie kryły rozczarowania, że się nimi nie zajmuję. Ale Emma lubiła ze mną przebywać. Opowiadała mi przeróżne historie, które wyczytała w książkach, ja też często dopytywałam o różne wątki przedstawianych przez nią wydarzeń. Uwielbiałam jej słuchać, zwłaszcza, że znacznie poszerzałam przy tym niemieckie słownictwo, którego nie uczyłam się na studiach.

Ani ja, ani ona nie zauważaliśmy ponad dwudziestoletniej różnicy wieku. Nadawałyśmy na tych samych falach. Czułam, jakby Emma była jednocześnie moją mamą, siostrą i najlepszą przyjaciółką. Niesamowita kobieta, w przeciwieństwie do jej męża, który dla mnie był pyszałkowatym gburem, dającym rodzinie jedynie masę pieniędzy. Najdłuższą rozmowę między sobą przeprowadziliśmy w samochodzie, podczas gdy on testował, czy potrafię prowadzić auto. Nie dziwię się, bo nie była to byle jaka fura. Wielki SUV – Lincoln Navigator. Egzamin zdałam i to za pierwszym razem. Sama dziwiłam się sobie, że tak dobrze mi poszło, ale Ben był chyba jeszcze bardziej zdziwiony. Naturalnie, że nie mogłam dać po sobie poznać, że trochę obawiam się prowadzić takiego grzmota. Trochę bardzo. I to jeszcze w automacie. Mniejszych samochodów nie mieli. Same duże, zautomatyzowane gabloty. Ben na „egzaminie” kazał mi zaparkować przy markecie między dwoma samochodami. Żeby nie było tak prosto – tyłem. Wiedziałam, że jest gnojkiem, a utwierdził mnie w tym w stu procentach, kiedy wyłączył kamery cofania. Ale nie dałam się tak łatwo. Za kółkiem czułam się zawsze jak ryba w wodzie. Wjechałam między te auta, jakbym robiła to całe życie. Kopara mu opadła. Mi też, ale mojego użębienia nie zobaczył. Późniejsze rozmowy z Benem, to tylko prośba, żeby pożyczył mi kluczyki, abym mogła jechać po sprawunki lub na kurs języka. Na szczęście miałam z tym facetem mało do czynienia.

I tak szkoliłam język i spędzałam z nimi, nie licząc Bena, wspaniałe chwile. Nie tylko w Niemczech, ale też i w innych krajach, do których jeździliśmy na wspólne wczasy. Jeden z takich wyjazdów skończył się dla mnie groźnie.

Któregoś ranka obudziłam się z wielkim bólem ucha. Była sobota, więc miałam wolne i nie musiałam zajmować się chłopcami. Jeszcze do końca nie zdążyłam rozpakować się z wyjazdu do Włoch. Każdy z nas

leczył też zakwasy po narciarskich przygodach w Dolomitach.

Tak czy inaczej, standardowo zesłam wcześniej do kuchni, aby przygotować dzieciom śniadanie. Lubiłam to robić. Zresztą, przy nich nie czułam się tak samotnie. Wolałam spędzać z nimi każdą chwilę, niż siedzieć w swoim osobnym domku, w którym mieszkałam. Budynki były połączone ze sobą tylko łącznikiem. Ale jak na ich hektarową działkę i ogromny dom, było zawsze co chodzić.

Obolała, doczłapałam więc do pokoju zabaw chłopców. Dzieciaki w najlepsze bawiły się nową kolejką, którą dostały od dziadków.

— Chodźcie, chłopcy — zwróciłam się do nich. — Zjemy śniadanie. Martin, dla ciebie czekoladowe musli?

Przytaknął, pochłonięty elektroniczną atrakcją.

— A ja poproszę parówki — dorzucił Lukas, który nieco mniej zainteresowany był nową ciuchcią.

Ciężko było trafić z ich jedzeniowymi zachciankami. Zwłaszcza dotyczyło to tego starszego brzdąca. Określenie go: „uciążliwie wybrednym”, pasowałoby tu jak ulał. A do tego stwierdzałam lekką skłonność do ADHD. Długo nie musiałam na nią, również tamtego ranka, czekać.

— Ania, pokopiemy w piłkę? — zapytał od razu żywo w progu, chwytając fusbalkówkę, i robiąc przy tym maślane oczka.

— Zobaczymy, Lukas... — odpowiedziałam trochę niechętna. Nie lubiłam sprawiać im przykrości, odmawiając. Szczególnie, gdy tak słodko i błagalnie na mnie patrzyli.

— Oj, Ania, no nie bądź taka... — popatrzył na mnie wzrokiem jeszcze „gorszym” od poprzedniego.

Eh... No co za słodziak!

— Tylko troszkę. Jak chcesz, to możesz postać na bramce.

W piłkę nie zagraliśmy, za to ja zagrałam trochę na zwłokę i po kilku prośbach zaciągnęłam ich do kuchni na śniadanie. Po chwili weszła Emma.

— Dzień dobry, moje trzy śpiochy — przywitała się z nami ciepło. Nie usłyszałam jej i wpadłam na nią z całą miską płatków z mlekiem, którą niosłam do Martina. Część z nich rozpaćkała się na jej garsonce, a część rozbryzgała po podłodze.

— Ups... Przepraszam, Emma! — chwyciłam od razu za ręcznik, by zetrzeć plamę.

— Ee tam... Nic się nie stało — machnęła ręką. — I tak miałam iść po śniadaniu pobiegać, więc nie wiem, czemu ubrałam te niewygodne szmatki — chwyciła za falbanki. Tego ranka w kolorze czekoladowego musli.

Zdjęła upaćkaną garsonkę i została w samym topiku. Pięknym, czerwonym. Siedzieliśmy przy kawie i wspominaliśmy razem narciarski urlop. Chłopcy, ze skwaszoną miną Lukasa, wyszli na dwór pograć w piłkę. Beze mnie. Uwielbiali ze mną grać, ja zresztą z nim też, ale tym razem skapitulowałam. Naprawdę źle się czułam z powodu bólu ucha. Z trudem wsłuchiwałam się we wspomnienia Emmy, która nawijała jak katarynka. Nie mogłam jej dosłyszeć i miałam wrażenie, że tracę słuch na to bolące ucho. Wypiłam jeszcze drugą kawę i poszłam się położyć, komunikując, że nie czuję się najlepiej.

Do końca dnia nie schodziłam już na dół do rodziny. Zadzwonili, pytając tylko, czy nie chcę jechać z nimi do dziadków chłopców. Odmówiłam. Z uchem było ewidentnie coś nie tak, ale jeszcze nie wiedziałam co. Ból narastał szybko i stawał się coraz silniejszy. Całą noc wiłam się w łóżku w torturach. Z niedzieli, poza potwornym bólem, nic więcej zbytnio nie pamiętam. Cukry szalały niczym ja ostatnio na nartach. Wiedziałam, że zawsze przy jakichś infekcjach glikemia szybowała mi w kosmos, dlatego jeszcze raz, pod wieczór, postanowiłam ją skontrolować.

345, czyli standard przy infekcjach. Oj, robi się groźnie...

W poniedziałek nie wstałam, żeby wyszykować chłopców do przedszkola. Do drzwi zapukała Emma.

— Ania, zasnęłaś? — cicho zaszeptała. — Jest już po 12:00. Od wczoraj cię nie widzieliśmy. Wszystko OK?

Z trudem podniosłam się, aby otworzyć drzwi. I tak nadal ledwo słyszałam, co mówi. Cud, że usłyszałam jej pukanie.

— Musimy jechać chyba do jakiegoś lekarza — zdążyłam powiedzieć i osunęłam się na ziemię.

Nie zemdlałam, bo wiedziałam, co się wokół mnie dzieje, ale byłam tak słaba, że nie mogłam utrzymać się na nogach. Emma zapakowała

mnie od razu w samochód i pojechałyśmy na prywatną wizytę do laryngologa, 60 km od Hamburga. Powiedziała mi, że jest to najlepszy lekarz w okolicy. Na moje ubezpieczenie, choć miałam, nie zważała, ono było dla niej drugorzędną sprawą. Trzeba było mnie ratować.

Kiedy weszłyśmy do prywatnej kliniki, Emma zrobiła taki hałas w poczekalni, że od razu laryngolog przyjął nas bez kolejki. Po chwili lekarz postawił diagnozę – zapalenie ucha środkowego i zakomunikował Emmie jednocześnie, że jeszcze tak złego stanu w życiu nie widział. Gorączka i ogólne otępienie nie pozwoliły mi na zrozumienie jakiegokolwiek jego słowa. Ponadto, na studiach nie uczyli takiego lekarskiego i fachowego słownictwa. Zrozumiałam tylko, że jest źle. Zakładałam, że laryngolog wstrzyknął mi jakiś antybiotyk do ucha, bo tak naprawdę byłam na wpół przytomna. Nie krzyczałam, ja się po prostu darłam z bólu. W życiu czegoś takiego nie przeżyłam. Chwyciłam się mocniej poręczy fotela, by jakoś znieść ten ból. W pewnej chwili to ręka bardziej doskwierała od ucisku niż chore ucho. Grymas na twarzy Emmy tylko świadczył o tym, jak mocno musiałam cierpieć. Wyglądała na przerażoną, nie mniej niż ja.

Po wizycie bolało mnie chyba wszystko od szyi w górę. Podróż powrotna to droga przez mękę. Czułam każdy minimalny manewr kierownicy.

Całe szczęście, że mają tutaj takie dobre drogi, bo nie wytrzymałabym nawet najmniejszej dziurki...

Emma miała „ciężką nogę”, także ekspresowo znalazłyśmy się w domu. Pomogła położyć mi się na łóżku i obiecała, że będzie do mnie zaglądać. Po dwóch całkowicie nieprzespanych nocach, poczułam, jak mnie morzy. Z pewnością był to też skutek silnych leków, jakie zaaplikował lekarz. Nagle zapaliła mi się czerwona lampka i sięgnęłam po glukometr. Z tego wszystkiego od kilku godzin nie mierzyłam sobie glikemii, a czułam, że jest bardzo wysoka.

512. Kurde, niedobrze! Może ten glukometr coś szwankuje?

Dla pewności popatrzyłam jeszcze raz na kolor paska na odwrocie. Mocno purpurowa kropka ewidentnie wskazywała, że glikemia jest kosmicznie wysoka.

Zatem glukometr działa... Jakoś muszę zbić ten cukier. Tylko jak,

skoro insulina zachowuje się, jakbym podawała sobie wodę...

Mój schorowany organizm zupełnie nie reagował na jej działanie. Nie pomagały zwiększone dawki. Przestraszyłam się, że zaraz zakwaszę organizm i tym razem nie wyładuję u laryngologa, a w niemieckim szpitalu. Ni jak nie wiedziałam, jak sobie z tą sytuacją poradzić. Nie miałam dotychczas tak długo wysokich cukrów. Pomyślałam, że w Polsce, to pewnie pojechałabym do szpitala na diabetologię i poprosiła, by się mną zajęli. Tam, w Niemczech, byłam sama, co prawda z ubezpieczeniem, ale z zerową wiedzą, jak wygląda tamtejsza służba zdrowia.

Niewątpliwie należało pić dużą ilość wody, by się nie odwodnić i wypłukać cukier i aceton z organizmu. Chwyciłam więc za butelkę, próbując zmusić się do wypicia choćby kilku łyków. Każdy z nich powodował cierpienie. Ból promieniował już nie tylko w obrębie ucha, ale na głowę, oczy, nos, zęby, a nawet na żuchwę. Tak skatowana, zasnęłam.

Do końca tygodnia dostałam od rodziny wolne. Gdy tylko leki zaczęły działać, a gorączka spadać, cukry wróciły na odpowiednie tory. Obyło się bez pobytu w szpitalu. Miałam zalecone odpoczywać, brać antybiotyki i pojawiać się na kolejnych, prywatnych wizytach u laryngologa. Koszty leczenia częściowo pokryło ubezpieczenie, a częściowo moja niemiecka rodzina. Mieli wyrzuty sumienia, że nabawiałam się tego, kąpiąc z dziećmi na basenie we Włoszech. Tak przynajmniej mi to tłumaczyli. Zresztą, pieniądze nie odgrywały tu roli. Ja byłam dla nich ważna. Wspierali mnie w katuszach i byli razem ze mną. Szczególnie chłopcy, którzy nie mogli się doczekać wspólnych zabaw. Przychodzili i starali się mnie rozweselić i czymś zająć.

Również dziadek chłopców zaglądał, z troską pytając, jak sobie radzę z cukrami. Rozumiał mnie doskonale, ponieważ sam chorował na cukrzycę typu 2. Sporo cukrzycowych poglądów wymieniliśmy między sobą. On opowiadał o swoich trudnościach, ja o swoich. Przede wszystkim ciekawe było poznanie niemieckiego słownictwa w temacie cukrzycy. W końcu po to też pojechałam na obczyznę, by się czegoś nowego nauczyć. A co najważniejsze – nauczyłam się też otwarcie mówić o swojej cukrzycy. Co prawda, po niemiecku, ale zawsze.

Zapalenie ucha środkowego przysporzyło mi sporo męki. Choć nigdy ból fizyczny nie był dla mnie tak straszny jak ból psychiczny. Wiedziałam jednak, że dam sobie radę. Już nie z takich opresji wychodziłam. Tutaj byłam naprawdę twardą zawodniczką. Po dwóch tygodniach po infekcji nie było śladu. Ucho miałam jeszcze przez pewien czas wrażliwe, ale już po tygodniu pomagałam Emmie przy chłopcach.

Na pewno zdobyłam dużo doświadczenia w opiece nad dziećmi. Zawoziłam je do przedszkola, podpowiadałam w lekcjach, bawiłam się na placu zabaw, pilnowałam nawet wtedy, gdy miałam fajrant. Graliśmy w piłkę, jeździliśmy na deskorolkach, rowerach i innych sprzętach. Nawet rodzinka próbowała nauczyć mnie windsurfingu, ale byłam osobą oporną na naukę wodnych ewolucji. Za to osobą, którą chyba pokochali równie mocno i podobnie, jak pokochałam ich ja.

Strasznie trudne było dla mnie rozstanie, kiedy mój roczny pobyt dobiegał końca. Rodzinka chciała, abym została z nimi kolejny rok, ale nie mogłam przedłużyć wyjazdu. Językowo dużo mi on dał. Ten egzamin zaliczyłam pozytywnie. Na piątkę. Nawet z plusem.

Cieszyłam się też, że się usamodzielniałam, będąc zdana na siebie, i to jeszcze na obczyźnie. Poczułam się nawet dumna, że sporo potrafię zrobić sama, i że wiele mogę. Również z cukrzycą. Wiedziałam jednak, że mam wracać do Polski. Tam czekały następne wyzwania: rozpoczęcie zaocznych studiów magisterskich, znalezienie pracy, a także zmiany zdrowotne. Po pobycie w Niemczech chciałam rozpocząć leczenie cukrzycy przy pomocy osobistej pompy insulinowej. Szykowałam się zatem intensywny i niełatwy okres w moim młodym i dorosłym życiu.

Rozdział osiemnasty

Bezkarne hamburgery

Rok: 2009

Wiek: 23 lata

Staż cukrzycy: 12 lat

Decyzja o zmianie sposobu leczenia i przejściu na pompę insulinową była dla mnie bardzo ciężka, ale wydawała się być nieodzowna. Miałam zrezygnować z zastrzyków i podłączyć się do małego pudełka wielkości paczki papierosów. Jeszcze przed wyjazdem do Niemiec mój nowy diabetolog namawiał mnie, abym spróbowała tej metody leczenia. Odwlekałam to w czasie, a dobrym pretekstem był roczny pobyt zagranicą. Wiedziałam, że będę musiała położyć się na oddział i przejść szkolenie, ale też nie byłam pewna, jak sobie później poradzę z cukrami. Rok szybko minął, a ja nadal czułam niepewność, czy dobrze robię.

Pamiętam, gdy pierwszy raz w 2007 roku zobaczyłam to małe urządzenie u jednego z pacjentów na oddziale diabetologicznym. Z jego ramienia wystawał plaster i wężyk. Gdyby była to kobieta, to może jeszcze przypuszczałabym, że jest to plaster antykoncepcyjny, ale to był mężczyzna. Jakoś tak nie miałam wtedy śmiałości podejść do niego i podpytać, do czego to wszystko służy. Dziwiłam się tylko, że stale ma te

pudełko przy sobie.

Pamiętam moje przerażenie i niepewność przy zakupie i pierwszym podłączeniu pompy. Po głowie chodziło mnóstwo myśli: gdzie ją będę nosić, to będzie takie niewygodne, wszyscy teraz będą wiedzieć, że jestem chora, jak sobie poradzę finansowo z jej utrzymaniem. Pomijam fakt, że rodzice chcieli wyłożyć niemałą ilość gotówki na jej zakup. Powiedzieli mi, że oddaliby wszystkie pieniądze świata, żeby mi jakkolwiek ulżyć w chorobie. Nie była to dla nich mała kwota. Dla przeciętnego Polaka wiązało się to z odłożeniem trzech całych wypłat. O dofinansowaniu, czy jakiejś innej formie pomocy ze strony państwa dla osób dorosłych, nie było mowy.

Na początku zafascynowała mnie nowa forma leczenia. Najbardziej cieszyła zerowa liczba zastrzyków penem z insuliną. Jedno wprowadzenie teflonowej lub metalowej kaniuli do ciała, raz na dwa, trzy dni, wydawało się ogromną ulgą w porównaniu do minimum ośmiu zastrzyków penem. I tak insulina ze zbiorniczka w pompie, trafiła za pomocą wężyka do organizmu, właśnie przez wbiją w skórę kilkumilimetrową kaniulę. Gdy miałam ochotę spontanicznie zjeść na mieście choćby loda, wystarczyło wyjąć pompę i wpisać cyferki do urządzenia. Tylko przy tych cyferkach doszła jeszcze większa matematyka. A tego już nie cierpiałam. Do gry weszło również obliczanie tłuszczu i białek w posiłku. I mimo, że moja dieta nie obfitowała bogato w te składniki, to czasem jednak, zwłaszcza przy fast foodach, powinnam je uwzględniać. Pierwszy taki test, jak wpływają białka i tłuszcze na glikemię, nadszedł podczas kolejnej hospitalizacji.

Któregoś dnia, na jednej z wizyt u diabetologa, dostałam małe zaproszenie.

— Pani Aniu, — zaczął diabetolog — jeśli chcesz, to mogę położyć cię na oddział. Organizujemy tydzień z pompami insulinowymi — podobało mi się nawet to, jak z „pani” przechodził na „ty”. Od razu poczułam się, jakbym nadal należała do grona młodocianych diabetyków.

— Oo... — nie ukryłam zaskoczenia, a jednocześnie zatrwożyłam się. — A jest taka potrzeba?

— W zasadzie w pani przypadku to nie jest to konieczne, by kłaść

panią na oddział — zwrócił się do tej mojej pełnoletniej części, po czym postanowił mnie ponownie odmłodzić. — Widzę, że dobrze prowadzisz cukrzycę. Choć hemoglobina glikowana ostatnio 7,0%, co oznacza, że średnia cukrów to około 150 — pokręcił nosem. — Jak dla leczenia pompą insulinową, mogłaby być trochę niższa. Mam pacjentów, którzy mają wyniki w okolicach 6% i mniej, więc wtedy średnie są około 120. Ale rozumiem, że dopiero co się jej uczysz. Myślę jednak, że ten tydzień mógłby być dla ciebie dość ciekawym doświadczeniem.

— Rozumiem... — sceptycyzm wziął górę. — A kiedy to będzie? — dopytałam, na przekór swoim obawom.

— Terminu jeszcze nie znam, ale będę informował, jak tylko zbiorę chętnych.

Jakoś siebie namówiłam. Miesiąc później leżałam na oddziale. Wszystkich „pompiarzy” było nieco ponad piętnaście osób. Resztę oddziału stanowili pacjenci leczeni penami. Poza szpitalem zawsze dziwiłam się, kiedy widziałam osoby z cukrzycą. Wśród moich znajomych nadal nikt, poza jedną koleżanką, nie chorował na cukrzycę typu 1, a tu proszę – tak sporo osób i to w różnym wieku. Wszystkich nas łączyło to samo – nieuleczalna choroba.

Zastanawiałam się, który to już raz trafiłam do szpitala z powodu cukrzycy lub pod jej pretekstem. Zaczęłam nawet liczyć, ale zabrakło mi palców u rąk. Największego szoku doznałam jednak podczas tego pobytu. Po korytarzu spacerowała młoda dziewczyna. Nie wiem dokładnie, ile mogła mieć lat, ale nie więcej jak dwadzieścia dwa. W rękę trzymała kijek, a obok niej pod ramię szła jakaś inna pacjentka. Dziewczyna nie widziała. Z tego, co się dowiedziałam od pozostałych osób, wzrok straciła na skutek źle prowadzonej cukrzycy. Taki widok zawsze dawał mi do myślenia. Od razu zastanowiłam się, kiedy ja ostatnio badałam sobie dno oka. I choć kontrolę okulista zalecał mi przynajmniej raz na rok, tak ja nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy go ostatnio odwiedziłam. W tej kwestii na pewno obiecałam sobie poprawę.

Na szczęście na oddziale zrobili mi cały zestaw badań oraz przeprowadzali drobne szkolenia. Nie zmieniało to faktu, że szpitalna nuda musiała mnie prędzej czy później dopaść. Rzecz jasna, dopadła

prędej. Została jednak przerwana czymś niezwykłym.

— Na jutro szykujemy dla was małą niespodziankę — usłyszeliśmy podczas jednego z obchodów. — Co powiecie na jedzenie z KFC i wypasionego, podwójnego burgera.

Chwila, czy ja dobrze usłyszałam? KFC?

— No nie róbcie takich min, jakbyście ducha zobaczyli — zaśmiał się lekarz. — Zamiast ducha, zobaczycie na talerzach bułkę, a w niej kurczaka w chrupiącej panierce. Co wy na to?

— No to zapowiada się niezła wyzerka! — rzucił od razu Mateusz, jeden z uczestników tygodnia pompowego. — A jaki jest tego cel, doktorze? Chyba nie chcecie przekupić nas, byśmy zostali tutaj dłużej niż tydzień? Sądzę, że nasza glikemia nie będzie rewelacyjna po takim fast foodzie — uśmiechnął się zadziornie, a inni najwyraźniej go w tym poparli. Ja nadal byłam lekko zszokowana.

— I to właśnie chcemy wspólnie z wami sprawdzić, panie Mateuszu — odpowiedział, nie kryjąc ekscytacji tym sprawdzianem. — I powiem więcej – ta uczta potrwa całe trzy dni. Codziennie będziecie dostawać takiego Grandera i będziemy patrzeć, jak zachowują się wasze glikemie.

Teraz to już nie tylko ja zrobiłam wielkie oczy. Choć mnie od razu przeszła dodatkowa myśl przez głowę.

O jak dobrze, że moje zaburzenia odżywiania są obecnie w trochę lepszej kondycji. Takiej bomby kalorycznej, to ja już dawno nie jadłam. Nie mówiąc o wyzwaniu cukrzycowym. Ciekawe, jak się sprawdzi w tym pompa? No ale, żeby aż przez trzy dni? Zatem zapowiada się niezła uczta!

Tak, jak kadra lekarska obiecała, tak też zrobiła. Na drugi dzień, w samo południe, przed moim nosem wylądował obfity w kalorie burger. Odwinęłam papier i zaczęłam rozkoszować się tym dawno zapomnianym smakiem.

Ten słodko-ostry sos barbecue, pomidorek w majonezie, ta delikatna czerwona cebulka i topiony ser. Mniam... I to jeszcze za darmo!

Pomyśleć, ile razy na oddziale widziałam pochowane w szafkach niezalecane jedzenie cukrzycowe: ciasteczka, wafelki. A teraz proszę, na legalu, za friko, zajadam sobie fast food-a.

Szok i niedowierzanie. Radość i wolność. I pięć minut rozkoszy.

Pyszne! I co dalej mamy robić?

— Insulina poszła, teraz będziemy zapisywać co godzinę wasze wyniki. I tak do 20:00 — poinformował lekarz. Zapraszamy zatem, abyście co godzinę meldowali się w dyżurce. I pamiętajcie proszę, że kompletnie nic nie wolno wam w międzyczasie dojadać.

— Doktorze, serio? — zdziwił się Karol, kolejny uczestnik. — Może chociaż jakaś mała paróweczka?

— Kompletnie nic, panie Karolu! — odpowiedział zdecydowanym tonem, jakby od tego miało zależeć nasze życie. — To bardzo ważne. Będziemy obserwować zmienność waszej glikemii. Wszystko powoli wytłumaczymy, spokojnie. Także, jak macie pochowane jakieś kabanosy, to proszę je oddać rodzinie. I jeszcze coś — dorzucił na odchodne. — W miarę możliwości nie spacerujecie po korytarzach. Zalecamy odpoczynek, bo wiecie przecież dobrze, że wysiłek może spowodować spadek. Zależałoby nam na możliwie miarodajnych wynikach.

Do dużej liczby pomiarów glikemii byłam przyzwyczajona. Ale przed nami czekało ich przynajmniej osiem, na przestrzeni ośmiu godzin. Całe szczęście mogliśmy wykonywać je swoim nakłuwaczem. Pamiętam, jak jeszcze na oddziale dziecięcym robili pomiar szpitalnymi igłami. Ból opuszka palca był okropny.

Ale ta łózkowa wegetacja...? No nic, zatem coś za coś – chwila przyjemności z jedzenia, by później do wieczora przechodzić testy. Przynajmniej jakoś, dzięki tym pomiarom glikemii, ten czas zleci.

Mężczyźni już po pięciu godzinach wyglądali na poddenerwowanych. Dopadł ich głód. I nie był to głód wynikający z hipoglikemii, a najzwyczajniej zwykły, ludzki głód. Ja przodowałam tutaj zdecydowanie nad kolegami. Dla mnie burczenie w brzuchu nie stanowiło żadnego problemu. Znałam je i potrafiłam bardzo dobrze nad tym zapanować. Nie powiem jednak, bo o godzinie 18:00 i mnie dopadło łaknienie. O 20:00 nasza, jak to nazywaliśmy, „tortura głodzenia” dobiegła końca i mogliśmy zjeść szpitalną kolację. Choć skromna, jak zresztą zawsze, dziś smakowała wyjątkowo dobrze.

Na drugi dzień obrałam inną taktykę jedzenia burgera.

Postanowiłam dłużej się nim rozkoszować. Moje ostatnio wygospodarowane pięć minut na jedzenie, przedłużyłam do dziesięciu. W trzecim dniu doszłam nawet do piętnastu minut.

— Tylko rozwścieczacie nasze żołądki! — dobiegały wkurzone głosy. — Taka mała bułeczka na takich wielkich chłopów. Choćbyście porcję frytek dorzucili.

Daj palec, a utną ci całą rękę...

Ale rzeczywiście, ta porcja nie była duża na tak rosnących mężczyzn. A jak tak leżysz przez kolejne osiem godzin na oddziale, snujesz się z nudów z kąta w kąt i twoje kiszkki zaczynają grać marsza, to faktycznie można było być rozdrażnionym. Może i w pierwszym dniu każdy jakoś cieszył się na te testy. W kolejnych dniach było jednak słychać irytację: „to bez sensu”, „dajcie jakiś normalny obiad i podwieczorek”, „ja odpadam z tego testu”. „Szczęściarze” ci, którym glikemia spadła i mogli coś chociaż dopić słodkiego, choćby na zmianę smaku. Zawsze to jakiś zastrzyk energii. Także i ja znalazłam się w tym gronie, bo odnotowywałam spadki cukru. W trzecim dniu miałam już zalecenie inaczej podać insulinę i wybroniłam się przed hipoglikemią. Tamto doświadczenie było jednak dla mnie bardzo ciekawe zarówno pod względem cukrzycowym, jak i szczerze ludzkiego zachowania. Choć czasem przypominało ono zwierzęce instynkty.

W czwartek, w jednej z sal, zrobiło się małe zamieszanie. Ja spacerowałam akurat po korytarzu, więc ciekawość zmusiła i mnie, aby zajrzeć do środka. Na łóżku siedział jeden z młodych pacjentów. Nad nim stała trójka lekarzy, a także postawny mężczyzna. Zakładam, że był to przedstawiciel handlowy jednej z pomp insulinowych, bo mocno się udzielał i coś tłumaczył. Takich gapiów jak ja, znalazło się już kilkanaście, także z trudem coś dojrzałam. Dzięki mojemu małemu i szczupłemu ciału, znalazłam jednak lukę, aby się wcisnąć i zrozumieć, o co to całe zamieszanie. Chłopakowi nakleili jakiś dodatkowy plaster na brzuchu. Obok niego miał drugi plaster podobny do mojego. Wychodził z niego wężyk, także wiedziałam, że jest to dobrze mi znane wkłucie, aby szła tam insulina. Zastanawiał mnie ten pierwszy plaster i mała górka, jaka pod nim była. O ile wkłucie było cienkie na kilka milimetrów, tak tam znajdowało się jakieś dużo większe urządzenie

wielkości połowy piłeczki pingpongowej.

— Co to jest za urządzenie? — zapytałam jednego z gapiów, bo lekarzy i handlowca nie szło dosłyszeć w tym całym gwarze.

— To jest ponoć urządzenie, które mierzy ci cały czas glikemię.

— Cały czas? — nie kryłam zaskoczenia. — Ale gdzie ją można odczytać?

— Ponoć wysyła sygnały do pompy i na niej odczytujesz wynik.

— Ale jak to tak? — nadal nie pojmowałam. — Cały czas widzisz, jaki masz cukier?

— Też właśnie to jest ten bajer, koleżanko.

Nie tylko ja przecierałam oczy ze zdumienia. I nie wiem, czy z powodu tego, co usłyszałam, czy z powodu tego chłopaka, który wyglądał jak jakiś robot. Pompa insulinowa przypięta do paska, a do tego na brzuchu „milion” plastrów.

Czemu nie słyszałam o takim cudenku? Może już był ten system na rynku, a tylko ja dopiero teraz się o nim dowiaduję...

Rzadko śledziłam technologiczne nowinki cukrzycowe. Wcześniej nie było dostępu do informacji, ale przecież później, za pomocą internetu, można było wiele rzeczy doczytać. Zrobiłam się zła na samą siebie, że tak zaniedbałam zaangażowanie w życie cukrzycowe. Żyłam leczona w swoim świecie sprawdzonych metod i w małym stopniu otwarta na jakiegokolwiek zmiany.

Złość na siebie przeszła od razu, gdy dowiedziałam się o cenie utrzymania takiego urządzenia. Była totalnie poza moim zasięgiem finansowym. Przeciętnego Polaka kosztowałoby to pewnie 1/2 lub 1/3 wynagrodzenia. Już sam zakup pompy insulinowej powodował spore wyrzuty, że naruszyłam budżet rodziców. Odkładali ponad rok z emerytur, by mi ją kupić. Ogarnęła mnie znowu wściekłość.

Jakie to przykre i niesprawiedliwe! Przecież ja sobie w życiu tego nie kupię! Nawet nie mam pracy, a dopiero co zaczęłam magisterkę. Są już w Polsce tak dobre metody leczenia, a ja nie mogę sobie nawet na nie pozwolić... Ile mogę żebrać po rodzinie, żeby wsparli finansowo? To takie upokarzające! No nic... może kiedyś będzie jakieś dofinansowanie na tego typu sprzęty? Teraz, szanowana pani, nie dla psa kielbasa...

Widok chłopaka, ze stałym monitoringiem glikemii, dał mi jednak

dużą nadzieję, że może i ja kiedyś doczekam się takich czasów, że nie będę musiała sześć czy siedem razy dziennie kłuć się i mierzyć cukru. Od razu rozmarzyłam się jeszcze głębiej.

Pal licha częstotliwość tych pomiarów. Do nich już zdążyłam trochę przywyknąć. Trochę, bo nie zawsze przecież. Ale zwłaszcza te główniane, nieprzespane nocki! Jak wspaniale byłoby wcześniej wiedzieć, czy nie będę mieć hipoglikemii czy hiperglikemii... Mogłabym bezstresowo wyjść na dwór, na rower i nie bać się, że po piętnastu minutach jazdy będę mieć hipoglikemię... Jaki to byłby spokój dla mojej głowy...

Poza tym w końcu zapanowałabym nad glikemią po zjedzeniu mojego ulubionego drożdżowego ciasta. Mm... Jejku... A głupie przeziębienie i te wariujące cukry ponad 300. Och... Swoją drogą, żąb też mnie ostatnio coś pobolewa, to może od tego te beznadziejne wyniki? Nie wiem, bo przecież nie mierzę cukru co godzinę, jak tutaj w szpitalu.

Do łóżka położyłam się, jakoś tak bardziej optymistycznie patrząc w przyszłość. Odeszło chwilowe zdenerwowanie na polskie wsparcie medyczne. I nawet nie przeszkadzało mi, że mogę stać się takim robotem, z przypiętymi do ciała aparaturami. Pograżona w marzeniach, zasnęłam. Tuż przed 6:00 nad ranem obudziła mnie sprzątaczką myjąca na sali podłogę. W tej kwestii mało zmieniło się od momentu mojego zachorowania.

Za to spora rewolucja była w leczeniu mojej cukrzycy. Może nie śledziłam postępu w technologii, ale i tak pocieszało mnie, że chociaż dwa lata temu, po zaleceniach od diabetologa, zdecydowałam się przejść na metodę intensywnej insulinoterapii, czyli wielokrotnych wstrzyknięć insuliny za pomocą penów. Dzięki niej mogłam sobie samodzielnie dostosowywać ilość insuliny do jedzenia, aktualnej glikemii i wysiłku fizycznego. Nie musiałam trzymać się już sztywnych dawek tego hormonu. Miałam przez to lepszą kontrolę nad cukrzycą. Kosztowało mnie to jednak wiele trudu, by posiłek odpowiednio przeliczyć i podać dawkę insuliny. Gdy przeszacowałam jednostki i podałam sobie jej za dużo, lub kiedy nie dojadłam czy źle zaplanowałam wysiłek fizyczny, miałam niski cukier. Robiąc odwrotnie, cukier szybował czasem w górę. Przeprowadzałam więc ciągle

eksperymenty na sobie samej: czy, kiedy, jak, i ile wstrzyknąć sobie insuliny. Początkowo z dużą liczbą zastrzyków, a później z pomocą pompy insulinowej.

Samo przejście na pompę miało dla mnie wiele plusów, ale też i minusów. Zanim się na nią zdecydowałam musiałam zrobić bilans zysków i strat. Z jednej strony cieszyłam się, że zawsze mogę mieć insulinę pod ręką i wystarczy, że tylko wpiszę odpowiednio przeliczony posiłek i powinno być dobrze. W końcu dużo dało się wyczytać z etykietki na produkcie. W teorii już po sprawie – cukier w normie. Nic bardziej mylnego. Niestety wiele było zmiennych. Wysilek fizyczny, choroba, hormony, stres, nawodnienie organizmu, to tylko niektóre z elementów tej całej układanki, które miały wpływ na glikemię. Kiedy cukier był za wysoki, to miałam komfort zrobienia „korekty” bez wykonania dodatkowego zastrzyku. Wkurzało mnie jednak niesamowicie, że jestem uwiązana do jakiegoś „kabla”, a urządzenie, poza prysznicem, mam dwadzieścia cztery godziny na dobę przy sobie.

Na pewno sporym wyzwaniem było dla mnie ustawienie odpowiedniego wlewu podstawowego, przypominającego podaż insuliny u zdrowego człowieka. I tu pompa miała przewagę nad terapią za pomocą penów. Tę dawkę mogłam ustawić bardzo dokładnie i w każdej godzinie inną ilość. Z czasem technologia poszła tak do przodu, że precyzja sięgała 0,001 jednostki. Dla małych dzieci, gdzie zapotrzebowanie na insulinę jest przeważnie małe, jest to zbawienne. Poza tym nie musiałam już mieć dwóch rodzajów insuliny i wykonywać zastrzyków rano, wieczorem i do każdego posiłku. Pompa w mini dawkach, przez cały czas, podawała mi insulinę, a ja potrzebowałam je odpowiednio dobrać. A to z kolei nie było takie proste. Najgorzej było z nockami, gdzie co kilka godzin musiałam się budzić, aby ustalić i odpowiednio dopasować zapotrzebowanie na insulinę. Dobranie prawidłowego wlewu podstawowego stało się dla mnie katorgą. Przeprowadzałam mnóstwo testów, budząc się w nocy i czasem na śpiku kłamał co godzinę palce. Niekiedy czułam się jak karmiąca matka, która musi wstać do dziecka. Wszystko po to, by cukier był również i w godzinach nocnych i nad ranem w normie, a moje „dziecko” – cukrzyca nie narzekało.

Analizując te wszystkie wady i zalety pompy insulinowej, ostatecznie pogodziłam się z faktem, zarówno dostania po kieszeni, jak i z faktem noszenia ekstra urządzenia przy sobie. Niewątpliwie przykuwało ono uwagę otoczenia. Jak na co dzień chowałam je po kieszeniach i stanikach, by tylko nikt tej pompy nie zauważył, tak już w niektórych sytuacjach było to po prostu niemożliwe. Szczególnie wtedy, gdy spacerowałam w stroju kąpielowym po plaży. Początkowo miałam ochotę krzyczeć na tych ciekawskich: „co się tak gapisz”, by za chwilę dumnie brodzić w wodzie, myśląc sobie, że jestem o kilka tysięcy złotych „droższa”.

Moje wyniki na pompie polepszyły się, ale znowu zależały one w dużej mierze od tego, co wkładałam na talerz. A z tym chwilowo radziłam sobie nawet całkiem nieźle. Jadłam regularnie, niedużo, ale zdecydowanie nie były to porcje niejadka. Po części ta nowa metoda leczenia cukrzycy trochę mnie zmobilizowała, by zadbać o tę strefę życia. Choć psychicznie nadal miałam problem z jedzeniem i akceptacją swojego wyglądu, to z zewnątrz wyglądałam na całkiem normalną kobietę. To jednak w żadnym stopniu nie oznaczało, że byłam zdrowa. Zaburzenia natury psychicznej siedziały we mnie głęboko i tylko czekały, aż w końcu będą mogły wkroczyć do akcji. Tym razem z dużo większym przytupem niż do tej pory.

Rozdział dziewiętnasty

Życie nie na garnuszku rodziców

Rok: 2011

Wiek: 25 lat

Staż cukrzycy: 14 lat

Od czasów studenckich koniecznie chciałam się usamodzielnąć i żyć na własny rachunek. Życie na garnuszku rodziców od dawna mnie irytowało i doprowadzało tylko do frustracji. Potrzebowałam gotówki, i to sporo, ponieważ sam osprzęt pompowy dużo kosztował. Rodziców, nie mnie. A to kłóciło się z chęcią bycia niezależną i samodzielną.

Już w trakcie robienia magisterki nauczałam w prywatnych szkołach językowych. Były to jednak pojedyncze godziny lekcyjne, w których uczyłam zarówno małe dzieci, jak i dużo starsze osoby. Podobało mi się to, ale potrzebowałam stałego etatu. Po uzyskaniu tytułu magistra, postanowiłam uczyć w państwowych instytucjach. Dostałam pracę w gimnazjum, ale już po kilku miesiącach stwierdziłam, że nie jest to miejsce dla mnie. O ile nauczanie dzieci szło mi bardzo dobrze, tak już z dyrekcją nie bardzo znajdowałam porozumienie. Czasami zastanawiałam się, czy są oni w ogóle otwarci na moje propozycje. Nie byli. Najlepiej, gdybym podporządkowała się systemowi i siedziała cicho. Zachowywali się tak, jakbym mówiła do nich w totalnie

niezrozumianym dla nich języku. Choćby i po niemiecku. A ja spokojnie starałam się przedstawić swoje opinie i sugestie, tylko że po polsku. Co innego było z uczniami, do nich zwracałam się już na lekcjach w większości w języku niemieckim. Często poddawali w wątpliwość, czy przypadkiem nie jestem Niemką. Było to bardzo miłe i czasem nawet zabawne, jak tak mnie określali. Wiedziałam jednak, że to świadczyło o tym, że doszłam do perfekcyjnej znajomości języka. Po roku nauczania sama zrezygnowałam z pracy w tej placówce. Dyrekcja prosiła mnie, wprawdzie, abym przemyślała decyzję, próbując nakłonić do zostania. Ja jednak miałam już inne plany.

Chcąc chwilę odetchnąć od szkolnictwa, postanowiłam zdobyć całkiem nowe doświadczenie i pracować w handlu. Wyrobiłam sobie książeczkę sanitarno-epidemiologiczną i zatrudniłam się w sklepie spożywczym. Swoją ścieżkę zawodową wyobrażałam sobie od rozpoczęcia pracy na kasie, aż do późniejszego stanowiska kierowniczego lub ewentualnie w działach zakupów.

Moja decyzja nie obeszła się bez rozmowy z zatroskanymi rodzicami.

— Dziecko, ta praca jest niełatwa — zaczęła mama. — Klienci są bardzo różni. Jak ty sobie poradzisz?

— Wiem, ale chcę spróbować. Jak nie poznam struktury handlu od zaplecza, to jak mam później pracować w korporacjach?

— Tak, ale po co ci to, przecież tam się wykończysz...

— Trudno — byłam nieugięta. — Zawsze to będzie jakieś doświadczenie.

Nie chciałam dalej tłumaczyć, że zdążyłam już powysłać CV. Tydzień później dostałam pracę. Postawiłam rodziców przed faktem dokonanym.

— Od lipca startuję w roli sprzedawcy na kasie.

Krótko i na temat. Tym razem obyło się bez słowa sprzeciwu.

Sklep spożywczy, w którym podjęłam pracę, nie był duży, także na zmianie wystarczyły tylko dwie kasjerki, łącznie ze mną. Podobało mi się, że pracodawca uwzględnił moje zaświadczenie o umiarkowanym stopniu niepełnosprawności, które miałam w związku z cukrzycą. Kiedyś przyznali mi takie na stałe. Według przepisów przysługiwała mi

zatem dodatkowa piętnastominutowa przerwa. Ku radości mamy, pracę miałam też kończyć o godzinę wcześniej niż standardowo kończyli ją pracownicy bez zaświadczenia, czyli po siedmiu godzinach. Zadowolona tego w żaden sposób nie podzielały koleżanki z pracy i krzywo na mnie patrzyły. A gdyby dowiedziały się o dodatkowych dniach urlopu, jakie mi z tego tytułu również przysługiwały, to już pewnie wcale nie zamieniłyby ze mną słowa. Zastanawiało mnie tylko jedno:

Ciekawe, czy chciałyby się zamienić za tę dodatkową przerwę, za ten urlop, i o godzinę krótszą pracę i wzięły moją cukrzycę? Nie miałabym nic przeciwko...

W końcu lipca mój grafik przypadł na popołudniową zmianę. Zdażyłam zjeść w domu obiad i pójść do pracy, na godzinę 14:00. Raczej wołałam pracować od rana, ponieważ popołudniami w sklepie był zdecydowanie większy ruch. Od razu odebrałam kasetkę z pieniędzmi i poszłam na kasę.

— Dzień dobry — zaczęłam skanować produkty. — Płatność będzie gotówką czy kartą?

— Kartą — odpowiedział klient.

— Polecam również kawę rozpuszczalną — musiałam dopowiedzieć, choć była ona najgorszą z możliwych. Ratował ją spory rabat.

— Nie, dziękuję — odpowiedział mężczyzna. Faktycznie, nie wyglądał na takiego, który piłby takie podróby.

— Proszę, tu jest paragon. Dziękujemy za zakupy i zapraszamy ponownie.

I tak powtarzałam w kółko, wciąż te same regułki. Czasem zdarzyło mi się dłużej wejść w konwersację z klientem, ale wstęp i zakończenie należało do niezmiennych. Największy problem sprawiało mi zapamiętanie numerków do produktów, których nie mogłam ot tak zeskanować. Na kasę musiałam wbić przypisany pięciocyfrowy kod. Na samym początku posługiwałam się małą ściągą, co zajmowało mi dużo więcej czasu i stąd często potrafiłam zakorkować kasę. Widząc tworzącą się kolejkę, dzwoniłam wołałam drugą kasjerkę, żeby trochę mnie odciążyła i otworzyła drugą kasę. A ludzie czekający w kolejkach

potrafiłi być naprawdę niecierpliwi i mało sympatyczni, szczególnie w swoich uszczypliwych komentarzach.

Największy ruch w sklepie zaczynał się zawsze po godzinie 15:00. W pewnym momencie poczułam, że staję się trochę słabsza. Od razu pomyślałam:

Obym nie miała hipo...

Ale za dobrze znałam swój organizm, żeby nie domyślić się, że to jednak niski cukier. Glukometru przy sobie nie miałam. Od razu sięgnęłam do kieszeni spodni, by wyciągnąć torebkę z cukrem. Kieszeń była pusta.

O nie... Muszę zachować spokój i zawołać drugą kasjerkę.

— Co się dzieje, Ania? — rzuciła gniewnym spojrzeniem, dziwiąc się przy okazji, że musiała do mnie podejść, podczas gdy przy kasie stały tylko dwie osoby.

— Będę potrzebowała zaraz pójść na przerwę. Usiądziesz za pięć minut na kasie?

— Już!? — oburzyła się. — Przecież dopiero co zaczęłaś zmianę. Popatrzyłam na zegarek.

Kurczę, jest dopiero 14:50, a więc nie przepracowałam nawet godziny...

— Tak — odpowiedziałam spokojnie, nie chcąc tłumaczyć się przy kliencie, że spada mi cukier i potrzebuję coś zjeść. — Muszę na moment pójść na zaplecze. Zastąpisz mnie?

— Nie rozumiem cię! Ty i te twoje przerwy... Jak rozłożę towar, to przyjdę — rzuciła fochem i odeszła.

Klientka spojrzała na mnie i się uśmiechnęła. Tak, jakby też nie mogła zrozumieć jej oburzenia. Kasowałam dalej, ale było ze mną coraz gorzej. Zaczęły trząść mi się ręce. Wydając jednemu klientowi resztę, niechcący zrzuciłam pieniądze na ziemię.

— Niech pani uważa! — furknął na mnie. — Trochę poszanowania dla pieniądza!

— Przepraszam, nie chciałam — odpowiedziałam, chcąc choć ciepłym spojrzeniem załagodzić sytuację. Nie mogłam jednak złapać ostrości. Wzrok mi się rozmazywał, przez co nie oceniłam, jak mocno oburzony jest ten mężczyzna.

— Żegnam! — zgarnął gotówkę i wyszedł naburmuszony.

Zadzwoiłam ponownie dzwonkiem, aby koleżanka mnie zmieniła. Koniecznie potrzebowałam tej przerwy. Wparowała wściekle, drąc się na całe gardło.

— Co mi tu dzwonisz?! Jeszcze muszę odwieźć wózek na zaplecze! Przecież go tutaj nie zostawię na środku alejki!

Nie zdążyłam nawet powiedzieć, że naprawdę źle się czuję. Już jej nie było. Krople zimnego potu zaczęły spływać po mojej twarzy, brzuchu i plecach. Kasowałam, ale w zasadzie nie wiem, czy wszystkie produkty. Kolejka robiła się już na dobre siedem osób.

— Dobrze się pani czuje? Błado pani wygląda — zapytała druga z klientek stojących w kolejce.

— Niech kasuje! Czekam już tu godzinami! — starsza pani, której zakupy starałam się skasować, wyraźnie się niecierpliwiła.

— Przepraszam — odpowiedziałam cicho. — Racja, źle się czuję.

Zadzwoiłam po raz trzeci, czwarty i piąty. Zmienniczka przyszła, pukając się po głowie i wymachując rękami w moim kierunku. Zdążyłam zamknąć kasę i chwiejnym krokiem udałam się na zaplecze. Nawet nie przeprosiłam klientów, którzy już mieli powykładany towar na taśmę, żeby udali się do drugiej kasy. Nie myślałam już racjonalnie.

Ostatkiem sił doczłapałam do kanciapy. Cała się trzęsłam. Pewnie też i z nerwów. Cukru nie musiałam mierzyć, bo wiedziałam, że jest bardzo niski.

— Co się dzieje, Ania? — weszła poddenerwowana kierowniczka. — Sylwia mi się skarżyła, że musi już usiąść na kasę.

— Musiałam wykorzystać tę przerwę, pani kierownik.

Krzywo na mnie spojrzała i wróciła do swojego biura. Nie drążyła tematu, co jest powodem przedwczesnej przerwy. Przez chwilę przeszedł mnie strach, że może poszła szykować dla mnie wypowiedzenie. W końcu to tylko okres próbny.

Pewnie przesiedziałam na zapleczu dłużej niż piętnaście minut. Fizycznie czułam się już w miarę dobrze, ale psychicznie byłam wykończona.

A jak rodzice się nie mylili i słusznie ostrzegali, że ta praca nie jest dla mnie? Tylko skąd ten nagły spadek cukru? Przecież siedziałam tylko

na kasie... Pewnie za dużo podałam insuliny na obiad. Ale przecież dzień wcześniej jadłam dokładnie to samo, podałam taką samą ilość insuliny, a nie było takich problemów...

Gdy doszłam już trochę do siebie, wróciłam z powrotem na kasę. Koszulkę nadal miałam mokrą od zimnych potów. Nie złościłam się na Sylwię.

To ja się źle zachowałam. Skąd miała wiedzieć, że spadł mi cukier? Trzeba było jej powiedzieć... Czyżbym znowu bała się przyznać do choroby?

Owszem, pracownicy wiedzieli, że mam cukrzycę, ale być może nie znali tej choroby i tego, jak zachowuje się cukrzyk, mający za niski lub za wysoki cukier. Nie rozumiałam tylko, dlaczego koledzy z pracy uznają mnie za tę „lepszą”. Często zachowywali się wobec mnie opryskliwie, traktując mnie z góry. Z pewnością nie podobały im się moje przywileje. Miałam wrażenie, że myślą sobie, że jestem leserką i tylko mi odpoczynek w głowie, że nie chce mi się pracować. A przecież to bzdura. W żaden sposób nie chciałam wykorzystywać choroby w pracy. Nie robiłam tego również w życiu codziennym. Choć mogłam i nieraz kuśli.

Najbardziej jednak, ponownie, byłam rozczarowana sobą, że znowu nie potrafiłam otwarcie powiedzieć o problemie. Nie chodziło przecież o to, żeby trąbić światu wszem i wobec, że „jestem Ania i od lat choruję na cukrzycę”. Nie. Chciałam, by traktowano mnie normalnie, jak inne osoby bez tej choroby, i nie być dyskryminowana, wytykana palcem czy choćby wyróżniana. Musiałam znaleźć jakiś złoty środek, jak nie przyklejać sobie łatki: „zobacz, to jest ta Ania, która ma cukrzycę”, a zamienić ją w: „to jest Ania, choruje też na cukrzycę”.

Ciężko było pominąć tę chorobę i ukryć ją przed światem. W końcu nieraz płała mi figle w najmniej oczekiwanym momencie. Czasem to moja zasługa, skoro insulinę podawałam „w ciemno”, a cukier mierzyłam dopiero wtedy, gdy gorzej się poczułam. Nie miałam przecież stałego podglądu, jaki on jest.

Niekiedy czułam się jak królik doświadczalny. Jadłam jakieś nowe danie, po którym potrzebowałam co godzinę sprawdzać poziom cukru, by nie doprowadzić się do złego samopoczucia. Wszystko robiłam na

zasadzie prób i błędów. Te eksperymenty bywały jednak bardzo trudne, bo nieudane próby kończyły się tylko rozgoryczeniem i złością, że znowu mi nie wyszło.

Chciałam sobie jakoś ułatwić to życie z cukrzycą. Zamarzyła mi się więc pewna rzecz:

Jak tylko będzie mnie stać na stały monitoring glikemii, to sobie go bez zastanawiania się zafunduję. Trudno, zrezygnuję z corocznych wakacji zagranicą pod palmami, a lajsnę sobie tego CGM-a. Cały czas miałabym podgląd na pompie, jaki mam cukier. Mogłabym pewnie wcześniej przewidzieć i zareagować, by nic złego mi się nie stało. Tutaj w końcu chodzi o moje życie. Bo cukrzyca nie może być żadną wymówką do niewykonywania takiej aktywności, jaką sobie zaplanuję czy zamarzę.

A marzenia miałam naprawdę spore i nadchodził najwyższy czas, bym zaczęła je w końcu realizować. Nie w roli kasjerki. Trzymiesięczny okres próbny musiał mi wystarczyć, abym zobaczyła co, z czym się je w handlu. Od zaplecha. Po tym okresie zrezygnowałam z tamtej pracy, by chwilę później dostać inną. Tym razem w roli magazyniera, zaopatrzeniowca i handlowca jednocześnie.

*

Rok: 2012

Wiek: 26 lat

Staż cukrzycy: 15 lat

Nastroje w biurze panowały co najmniej głupkowate. Był piątek, za dwadzieścia minut miała wybić upragniona 16:00, więc można było odbić kartę i rozpocząć wyczekiwany weekend.

Tryskający, jak zresztą zawsze, dobrym humorem Mariusz, wyrzwał zza monitora i rzucił w moim kierunku propozycję.

— To gdzie balujecie w ten weekend z Pawłem? Może wyskoczmy gdzieś wspólnie na jakieś piwko? Spawalnicy ponoć też

idą.

Długo nie musiałam się zastanawiać.

Mm... Piwanko... A co tam, czas zaszaleć, jeśli nie teraz, gdy nie mam jeszcze obowiązków „matki Polki”, to kiedy? W końcu po to haruję tutaj w tej prestiżowej firmie, by na coś te pieniądze wydać.

— Oczywiście, że chcemy! — odpowiedziałam bez chwili namysłu za mnie i za mojego chłopaka, którego w biurze nie było.

— Superancko! — kolega wyglądał na bardzo zadowolonego. — To może w tym nowym klubie Caprino? Tylko pewnie po 22:00, jak tamci trzej skończą zmianę, więc nie wiem, czy nie będzie dla was ciut za późno?

Nie zdążyłam wysłuchać dokładnie jego pytania. Moją uwagę przykuła inna rzecz. Na skrzynkę pocztową wylądował e-mail: „Zamówienie nr 299”, z niemieckim dopiskiem: „PILNE!”.

Uczucie po otrzymaniu poczty tuż przed fajrantem – bezcenne.

No to są chyba jakieś żarty?! Serio? O tej godzinie?

— Ania, co jest? — Mariusz wyraźnie się niecierpliwił, wyczekując potwierdzenia. — To jak, 22:00 pasuje?

— Nie zgadniesz — odpowiedziałam, patrząc cały czas w dziewiętnastocalowy monitor.

— Co? Szefuńcio wzywa cię znowu na dywanik? — zażartował kąśliwie.

— Zamówienie od Fischera. Ja pierniczę! — otworzyłam szerzej oczy, gdy zajrzałam do PDF-a i zobaczyłam kwotę. — Na czterdzieści tysięcy euro! O ja... dwadzieścia wózków rehabilitacyjnych z dodatkami! Na już!

W jednej chwili byłam i szczęśliwa, i wkurzona. Cały tydzień dopracowywałam z klientem ten „deal”, no i jest! W piątek, kilka minut przed weekendem.

— No, Ania, gratuluję! — podbiegł do mnie Mariusz, gotowy do wyciskania. — To będzie się co w poniedziałek uwij...

Nie zdążył dokończyć. W biurze rozległ się dźwięk telefonu.

Uff... Fuks, że nie do mnie...

Dzwonił u Mariusza.

— Ej, to szef, co robić? — wesołe oczy kolegi, w jednej chwili

straciły blask.

— No odbierz, jest jeszcze przed 16:00 — rzuciłam szybko.

Zawsze ceniłam Mariusza za jego opanowanie w głosie. Stanowczy i konkretny w wypowiedziach. W końcu taki powinien być prawdziwy facet. Tym razem usłyszałam trochę innego Mariusza. Zaczął kręcić, owijać...

— No dobra, szefie... Jakoś to ogarniemy. Na razie.

Nie czekając zanim odłoży słuchawkę, krzyknęłam z drugiego końca biura:

— Co chciał?

— Jasna cholera! Mamy zostać i jeszcze dziś uszykować te zamówienie do Fischera. Czaisz? Przecież to jest prawie pięć palet towaru. No chyba go porąbało... Przecież ja obiecałem mojej Krysi, że dziś po pracy idziemy do parku trampolin. Co ja jej teraz powiem? Kur...de! — wykrzyknął, trochę się wycofując. Wiedział, że mam go pilnować, aby tak nie przeklinał.

— Byłeś blisko straty złotóweczki — zażartowałam, wskazując palcem na słoik z napisem: „za przekleństwa”. — Spoko, Mariusz. Ja to jakoś ogarnę. Zostanę dziś dłużej. Najwyżej w poniedziałek od rana dokończymy. I tak Paweł jest dzisiaj na drugiej zmianie, więc co będę siedzieć w domu z przyszłą teściową, posiedzę dłużej tutaj.

— Serio? — zawahał się. — Mogę w sumie zostać, tylko najwyżej dryndnę do Aśki i jej powiem, że z małą pójdziemy w przyszłym tygodniu. No będą fochy, ale jakoś je później udobrucham – jedną pod wieczór, a drugą zajmę się odpowiednio w nocy — Mariusz jak zwykle nie tracił dobrego humoru, i za to go lubiałam.

— Daj spokój i leć do rodziny. Moja „rodzina” właśnie rozpoczyna drugą zmianę — spojrzałam na biuro obok, na Pawła, który właśnie do niego wchodził.

Nie musiałam dłużej namawiać kolegi. Wyjrzałam przez okno na halę produkcyjną. Zrobił się tam większy ruch. Pracownicy biurowi zmierzali do czytnika kart. Mario jak zwykle, pierwszy w kolejce. A ja zostałam sama. W biurze ucichło, ale w tle grała muzyka, więc nie czułam się taka samotna i pokrzywdzona. Spojrzałam na moniterek na pompie insulinowej.

Kurde, 73 i spada... Muszę coś zjeść.

Po drugim śniadaniu w żołądku nie pozostało już ani śladu. W końcu jadłam dobre pięć godzin temu. Usłyszałam głośnie burczenie wydobywające się z brzucha. Byłam głodna. Ba, potwornie głodna!

Cukrzycowy, wilczy „potworek – głodomorek” znowu się widać zbliża...

— A ty, kochanie, jeszcze tutaj jesteś? — w drzwiach zobaczyłam Pawła, mojego ukochanego.

— Eh, tak... Wleciało zamówienie od Fischera. Na dwadzieścia spacerówek i na wczoraj. Arek dzwonił, że mamy zostać i je uszykować, bo na poniedziałek Niemcy zamówili transport.

— Rozumiem. To przeczuwam pracownicę miesiąca — uśmiechnął się do mnie łobuzersko.

Nawet nie zdążyłam mu przez skromność zaprzeczyć, a już był przy moim boku. Delikatnie musnął moje usta.

Jak ja go kocham...

Rozmarzyłam się, ale w mgnieniu oka pohamowałam przed jeszcze bardziej namiętym pocałunkiem.

— Przestań, jeszcze ktoś nas zobaczy — odsunęłam go powoli od siebie.

— Przecież cała banda jest na produkcji, widzisz tutaj kogoś innego poza twoim przystojnym konstruktorem? — zamrugał oczkiem o niezwykle długich rzęsach. Takiej długości mogłaby pozazdrościć mu niejedna kobieta.

— Mam robotę, skarbie... Muszę to jeszcze dziś skończyć. A chciałam wyjść wcześniej i zrobić ci małą niespodziankę na wieczór.

— Ups... to może zafundujesz mi tę niespodziankę tu i teraz — Paweł nie odpuszczał i jeszcze bardziej przyciągnął mnie do siebie.

— Paweł, nie! — tym razem ja się odsunęłam. — Nie teraz. Leć do swoich maszynek na hale, a ja do moich wózków na magazyn.

— Jak zwykle uparta... Czegoś ci potrzeba?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, a obok nas rozległ się wyjący dźwięk z boku mojej kieszeni u spodni. Powiadomienie o niskim cukrze, glikemia: 65 mg/dl.

— Oho, to ja już wiem. Poczekaj chwilkę. Zaraz twój prywatny

„lekarz” się tobą zajmie.

Długo nie czekałam, biura mieliśmy obok siebie. Za dwie minuty pałaszowałam jego bułkę, którą rano razem szykowaliśmy wspólnie do pracy. A Paweł stał już na hali, przy automatach z napojami.

— Trzymaj — wbiegł zdyszany z powrotem do biura. — Wybrałam Sprite — otworzył puszkę, częstując się małym łykiem. — Ja muszę wracać na halę. Zobaczymy się jakoś „w locie”. I nie ruszaj się stąd, dopóki nie zjesz i nie wypijesz — dorzucił z troską i pobiegł na produkcję do wycinarek laserowych.

Czułam się dość słabo, ale to nie przeszkodziło mi w logicznym i racjonalnym myśleniu. Wiedziałam, że trafiłam na najlepszego mężczyznę, ever. Nie musiał mnie w tym utwierdzać poprzez te gesty. Ja byłam tego pewna, a przecież prawie wcale się nie znaliśmy. Trzy miesiące temu dopiero co się tutaj zatrudniłam, a my byliśmy już parą. Tamtego dnia natomiast jeszcze nie wiedziałam, że najpiękniejsze nadejdzie wieczorem. I miał to być drugi najwspanialszy dzień mojego życia.

*

Do domu dotarłam wyjątkowo wypompowana. Te dodatkowe zlecenie dało mi solidnie w kość. Wyrobiłam się jednak ze wszystkim i z czystym sumieniem mogłam rozpocząć weekend.

Paweł też miał zaraz przyjąć z popołudniowej zmiany. Plan na tamten wieczór miałam całkiem inny – chciałam przygotować ukochanemu jego ulubione spaghetti, no i pójść z nim wieczorem na piwko. A że sklepy były już w większości pozamykane, więc nie zdążyłam już nic sensownego kupić. Naprędce zadowoliliłam go tostami. Na szczęście Paweł nie był wybredny. Zdziwił mnie natomiast jego brak apetytu.

— Nie smakują ci? — zapytałam.

— Nie, nie. Są bardzo dobre — pokiwał głową, ale wyglądał na niespokojnego.

Nie drażylałam.

— Ja to chyba się zaraz położę do łóżka. Padam na pysk... — przewróciłam oczami i nagle mnie olśniło. — Jasny gwint, Paweł...!

Zapomniałam, że umówiliśmy się dziś z Mariuszem do klubu. Kompletnie zapomniałam. Mariusz mnie zabije! — rzuciłam i spojrzałam na komórkę, czy już przypadkiem nie dzwonił. Była wyciszona. Wiadomości też żadnej. Poza jedną, od mamy, ale tej nawet nie chciało mi się na wieczór odczytywać.

— Oj tam. Weź mu napisz SMS-a, że nie przyjdziemy i tyle.

— No, ale będzie zawiedziony... — jęknęłam w oburzeniu, że Paweł tak po prostu umiał odmówić. Moja asertywność często kulała.

— To ja mu napiszę, a ty mi szoruj do łóżka — powiedział to bardzo zalotnie. — Ja tu jakoś chyba ogarnę cały ten bajzel — i zgrabnie zgarnął jednym ruchem nasze dwa talerze.

Nie upierałam się więcej, choć zawsze lubiałam mieć wszystko pod kontrolą. W końcu z chłopami nigdy nic nie wiadomo.

Weszłam do naszej sypialni, już nie myśląc, co dzieje się w międzyczasie w kuchni. Podobał mi się ten minimalizm w pokoju Pawła. Poza łóżkiem, komodą, szafą i biurkiem nic w nim więcej nie było. Trzy dni wcześniej zobaczyłabym jeszcze bojownika, ale ten postanowił sam zakończyć żywot, wyskakując z akwarium. Nie dociekaliśmy z Pawłem powodu samobójstwa, ale żał nam się go zrobiło, zwłaszcza, że ta rybka nas ze sobą połączyła. Na pierwszej randce w sklepie zoologicznym. Pomimo braku rybki, czułam się u Pawła dobrze i bezpiecznie. Swojego mieszkania jeszcze nie mieliśmy.

Wdrapałam się do łóżka i otuliłam po uszy kołdrą. Zawsze zaliczałam się do tych ciepłolubnych osób, stąd miękka, puchowa kołdra sprawiła, że od razu zaczęło mi się robić ciepło i błogo. Przymknęłam oczy. Nawet nie usłyszałam, kiedy Paweł do mnie dołączył.

— Śpisz już? — zapytał czule i nieśmiało przyciągnął do siebie.

— Już nie — zachichotałam, ściskając jego ramię, którym mnie utulił. — Chyba mnie obudziłeś, bo już odlatywałam.

Zapadła cisza. Czułam jego oddech na mojej szyi.

— Kochanie... — zagał ponownie tak delikatnie, jak tylko mógł.

— Hm... — zamamrotałam pod nosem.

— Bardzo cię kocham, wiesz? — objął jeszcze mocniej.

— Wiem, skarbie.

Znowu nastała chwila ciszy, a on odsunął rękę.

— Kochanie... Co byś powiedziała, jakbyśmy tak na poważniej byli ze sobą?

Co on tutaj za podchody robi? Dziwne to...

— Przecież ja jestem z tobą na poważnie, Pawełku.

— Ale tak na dłużej?

Boże... Co ma na myśli?

Serce zaczęło mi bić mocniej. Usłyszałam, że coś tam szurał pod kołdrą, ale nie wiedziałam, co robi, bo byłam odwrócona do niego plecami.

— Tak bardzo cię kocham, że chciałbym spędzić z tobą resztę życia — powiedział jednym tchem, po czym podstawił pod nos coś złotego.

Nic nie widziałam. W pokoju było ciemno, a brak okularów czy soczewek na oczach też nie ułatwiał sprawy. Zdawało mi się, że to małe kółeczko wielkości grosika mieni się. Nadal nie docierało do mnie, co to jest. Paweł chwycił swoją zimną ręką moją nic nie lepszą pod względem temperatury dłoń i założył to „coś” na serdeczny palec.

— Paweł, co to ma być? — wydusiłam, niemalże krzyżąc z przerażenia. — Co to ma znaczyć? Ja nic nie rozumiem...

— Chciałbym, żebyś została moją żoną, Aniu — odpowiedział spokojnie, a jednocześnie mocno przestraszonym głosem.

Nie wierzyłam. Myślałam, że serce mi zaraz wyskoczy. Ze szczęścia, rzecz jasna. I właśnie z niego zaczęłam płakać.

— Kochanie, dlaczego płaczesz? Czy to znaczy, że się zgadzasz?

Nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Nie wiedziałam, od czego zacząć.

— Oznacza to... Skarbie, czy to jest pierścionek zaręczynowy? — wołałam się upewnić, niż za chwilę się wydurnić.

— Tak, i on oznacza, Aniu, że chcę wziąć z tobą ślub i spędzić z tobą resztę życia.

No... teraz wszystko jasne. To są oświadczyzny! Nie! Nie wierzę!

— Skarbie, jestem teraz chyba najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Tak! Tak! — krzyczałam, nie przejmując się, że babcia Pawła pochrapywała za ścianą. — Tak, chcę zostać twoją żoną!

Pocałowałam go i nie mogłam puścić z uścisku. Łzy kapąły mi na poduszkę jedna za drugą. Nagle się opamiętałam i lekko posmutniałam.

— Ale, Paweł... przecież wiesz, że ja nie jestem do końca zdrowa. Możemy mieć chore dzieci, jeśli w ogóle będziemy chcieli mieć potomstwo. Wiesz przecież, że mam cukrzycę i inne zaburzenia. Że jestem nieuleczalnie...

— Wiem to, Aniu, wiem... — przerwał mi stanowczo, wyraźnie nie chcąc dalej na ten temat dyskutować. — A znajdź mi na świecie całkiem zdrowego i normalnego człowieka. Najważniejsze, że będziemy razem.

— Ale my się prawie wcale nie znamy. Poza szczęściem, że mamy siebie, i traumą ze śmierci naszej rybki nic o sobie nie wiemy.

Co ja plotę? Co ma rybka do wiatraka...?

— I co z tego? — obruszył się.

— No nie wiesz wszystkiego o mnie, ja też nie wiem o tobie — ciągnęłam swoje.

— A czy to ważne? Chcę spędzić z tobą resztę życia. Jako mąż i żona.

W pewnej chwili zaczęłam się zastanawiać, czy to jest jawa czy sen. Kazałam się nawet uszczypnąć. Zabolało, więc nie śniłam.

— Jest jeszcze coś — nagle wypaliłam, uznając tym razem ten fakt za kluczowy dla naszego „być albo nie być”.

— A już miałem cichą nadzieję, że pójdzie gładko... Co znowu?

— Bo jeśli chcesz, żebym była twoją żoną, to musisz przyjąć do naszej rodziny również... Pieniusia — oznajmiłam tonem adekwatnym do poważnej miny, której w tej ciemnicy i tak nie widział.

A on się zaśmiał.

— Uff... A już myślałem, że wymyślisz ślub na Malediwach — powiedział rozbawiony. — Dobra, myślę, że z nim jakoś sobie poradzę.

Odetchnęłam z autentyczną ulgą.

Popatrzyłam raz jeszcze na moją prawą dłoń. Niewiele mogłam dojrzeć. Wiedziałam jednak, że mam pierścioneł, i że będę miała wspaniałe życie u boku tego mężczyzny. Od początku, jak mało kiedy, byłam tego na sto procent pewna.

Może nie tak sobie wyobrażałam oświadczyny. Biedny mój Pawełek... Ale się musiał chłopak stresować, skoro nawet nie dał mi

tego pierścionka przy kolacji. Teraz już rozumiem ten brak apetytu.

Z tej radości i podniecenia długo nie mogłam zasnąć. W końcu się udało, by za pół godziny ponownie się obudzić. To za sprawką Pawła, któremu przeszkodziła pompa insulinowa. Zupełnie nieświadomie, w półśnie, rzucił nią w moje biodro. Widocznie musiała jakoś do niego przywędrować. Z tego rozmachu prawie udało mu się wyrwać mi wkłucie. Rano Paweł był całkiem nieświadomy, twierdząc, że na pewno mi się to przyśniło. Nie przyśniło, bo plaster ledwo co się trzymał skóry, i nie przyśniło również to, że za kilka miesięcy zostanę jego żoną. Złoty pierścionek nadal błyszczał na moim palcu.

Od razu przypomniały mi się też słowa koleżanki z orkiestry: „Zobaczysz, Aniu... Kiedyś przyjedzie do ciebie rycerz na białym koniu i będziesz szczęśliwa.”. Myślałam, że takie rzeczy to tylko w bajkach. Nie wierzyłam jej, skoro miałam po drodze wiele nieudanych związków. Mężczyzn, z którymi nie czułam się bezpiecznie, którzy krzywdzili słowem, poniżali czy nawet bili. A ja, głupia, wierzyłam, że coś się zmieni. Zmieniało, owszem, ale na gorsze. Sporo wycierpiałam również za sprawą depresji czy cukrzycy. A tu proszę...

Magda miała rację. Niespodziewanie wjechał rycerz i skradł moje serce. Na dobre.

Czułam strach i obawę przed wiązaniem się z kimś na stałe, myśląc, że mnie prędzej czy później zostawi, nie zrozumie lub będzie miał dosyć moich chorób. W tym głównie cukrzycy. Paweł zdawał sobie jednak sprawę, że nie będzie dnia bez tematu o tej chorobie. Chciałam, żeby był tego świadomy. Że życie cukrzyka to codzienne zmaganie się z nią, bo jak jeden choruje, to choruje i cała rodzina. Wciąż mu to powtarzałam. Jeszcze zanim wzięliśmy ślub. Ten lęk długo mi towarzyszył. Niepotrzebnie. Otrzymałam wsparcie i zrozumienie. Takie, jakie potrzebowałam.

Bo miłość jest na zawsze albo jej wcale nie ma. W doli i w niedoli, na dobre i na złe.

Rozdział dwudziesty

Przetańczyć z Tobą chcę całe życie

Rok: 2013

Wiek: 27 lat

Staż cukrzycy: 16 lat

Przyszedł piątek, 23 sierpnia 2013. Tego dnia wszystko musiało być idealne, bo właśnie wtedy miałam stanąć na ślubnym kobiercu. Perfekcjonizm nawet w dniu ślubu nie pozwalał mi choćby na chwilę odpocząć. Z nerwów nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Kręciłam się z kąta w kąt, wyczekując w domu rodzinnym przyjazdu Pawła. Wiedziałam, że już do mnie jedzie, abyśmy zaraz, przed wszystkimi na ziemi i w niebie, mieli powiedzieć sakramentalne „tak”.

W końcu usłyszałam dzwonek do drzwi. Głuchy, pusty dźwięk. Otworzył mój tata.

— Czy jest moja przyszła żona? — zapytał lekko zdenerwowany.

— Już na ciebie czeka, zięciu.

Wszedł do mieszkania, witając się z rodziną. Powolnym krokiem wkroczył do mojego pokoju. Mało pewnie, ale z uśmiechem na twarzy. W tym czarnym garniturze wyglądał jeszcze bardziej męsko i przystojnie. Buty na glanc. Włosy delikatnie maźnięte żelem. W rękę trzymał biało-czerwone goździki. Moje ulubione.

— Dzień dobry, kochanie!

Chwycił mnie za rękę i zerknął z daleka. Było widać, że mu się podobam. Biała suknia jeszcze wyraźniej podkreślała moją wąską talię. Podeszłam do niego i nadstawiłam policzek. Nie chciałam, aby różowa szminka zapaćkała jego usta. Dzięki pięciocentymetrowym obcasom nie musiał schylać się prawie o głowę, by cmoknąć w policzek. Dostałam całusa.

— To co, gotowa? — spytał. — Fotograf już czeka.

— Stresuję się, ale jestem gotowa — odpowiedziałam drżącym głosem.

— Nie bój się. Będzie dobrze.

Przed wyjściem zdążyłam jeszcze zmierzyć cukier: 134 mg/dl.

No proszę, czyli dziś nawet cukrzyca postanowiła, że będzie idealna!

Zaśmiałam się do siebie i chwyciłam w biegu kanapkę, żeby czasem nie paść przed ołtarzem. Podpięłam pompę do brzucha, podałam insulinę, odpięłam od ciała i z powrotem spakowałam do torebki.

Wybacz, moja droga pompo, ale dziś nie mam cię do czego przypiąć.

Sukienkę miałam tak dopasowaną, że nie bardzo wiedziałam, gdzie mogę ulokować pompę. Nie chciałam, żeby coś mi wystawało i było ją widać. Wszystkie dostępne paski do przyczepiania pompy, wydawały się być bardzo niewygodne. Stwierdziłam zatem, że na okres posiłków będę chodzić do toalety, żeby ją podłączać i tak wstrzykiwać sobie insulinę. Nie było to może najlepsze rozwiązanie, ale w końcu dzień swojego ślubu był raz w życiu. Chwilowa hiperglikemia dużej krzywdy by mi nie zrobiła. Także z grubsza się nią nie przejmowałam.

W dniu mojego ślubu miałam inne zmartwienia: by pogoda była ładna, by wszyscy zaproszeni goście przyjechali, by smakowało jedzenie, by zespół fajnie grał, i by mój przyszły mąż nie uciekł sprzed ołtarza. O sobie byłam spokojna, bo nie miałam zamiaru tego robić. Wszystko szło zgodnie z planem, poza jedną rzeczą.

Godzinę przed ślubem podarłam suknię. Podczas sesji fotograficznej mieliśmy z Pawłem przebiec pięć metrów, aby fotograf zrobił ładne ujęcia w ruchu, a raczej w biegu. A że tuż przed ślubem schudłam dwa kilogramy, to i suknia obwiesiła się na ciele. Dlatego przydepnęłam ją i podarłam. Urwała się cała obramówka u dołu, a do tego trawa zabarwiła

ją w miejscu przydepnięcia na zielono. Horror. O kontynuowaniu sesji zdjęciowej nie było już nawet mowy. Te kilka ujęć musiało wystarczyć, no chyba, że zależałoby nam na ujęciach momentów zrozpaczonej panny młodej.

Nie zależało, więc szybko wróciliśmy do domu, by godzinę przed ślubem oddać kieckę w ręce mamy. Ta, na całe szczęście, dość dobrze radziła sobie z maszyną do szycia i jakoś z bratową ją wspólnie zacerowały. Ja wołałam nie wchodzić do pokoju, gdzie dzielnie walczyły kobiety. W głowie miałam tylko przerażenie, by ta sytuacja nie przytrafiła się ponownie, podczas naszego pierwszego tańca. Z tego przerażenia chwyciłam nawet drugą kanapkę, łudząc się, że brzuch urośnie, a ja przytyję i kreacja nie będzie spadać. Cóż, uczono mnie, że zawsze należy mieć nadzieję. Krótco przed 17:00 suknia została odratowana i może nie była już w kolorze czystej bieli, ale kto by tam patrzył pod nogi. Chyba, że znowu los położyłby pod nie jakieś kłody. Ale musiały mieć niezły tupet, aby robić to akurat wtedy. W dniu mojego ślubu.

Na ceremonię zdążyliśmy jeszcze przed zaproszonymi gośćmi, którzy punktualnie zaczęli się zjeżdżać i wchodzić do świątyni. Kościół robił wrażenie. Był pięknie wystrojony. Ołtarz ozdobiły bukiety, ławki małe goździki, a posadzkę czerwony dywan. Ceremonię umilały natomiast dźwięki organów kościelnych i skrzypiec.

Po raz pierwszy w życiu msza tak szybko mi zleciała. Pewnie dlatego, że wszystko kręciło się wokół nas. Gdy wyszliśmy na zewnątrz rozsypało się konfetti oraz ryż. Znajomi wiwatowali i gratulowali, a my byliśmy niezaprzeczalnie szczęśliwi.

— Olśniewająco wyglądasz w tej sukni, żono! — powiedział z dumą, gdy jechaliśmy na salę srebrnym mercedesem. — Wznoszę toast, za moją piękną żonę.

Przechyliliśmy kieliszki, by delektować się schłodzonym szampanem, przygotowanym przez szofera – mojego kochanego Piotrusia.

— Bardzo cię kocham — wyszeptał, tym razem tylko do mnie.

— Ja ciebie też kocham, mój mężu! — wypowiedziałam te słowa równie wzniosłe, jak on.

Chyba dopiero teraz Paweł powiedział mi, że mu się podobałam w sukni ślubnej. Też był zestresowany. Jako introwertyk, nie lubił takich zgromadzeń i imprez, a już na pewno nie wtedy, kiedy miał odgrywać rolę pierwszego skrzypka. Wiedziałam, że dla niego nie musiałyby być ani ceremonii kościelnych, ani wesela. Równie dobrze moglibyśmy być tylko my i świadkowie. Z uporem kobiety nie ma jednak sensu za bardzo dyskutować. Poza tym chciał, żebym była szczęśliwa i przeżyła ten dzień tak, jak sobie wymarzyłam. I te marzenie właśnie się spełniało.

Była tylko jedna rzecz, która nie bardzo mi się podobała, a trzeba było ją „odbębnić” – pierwszy taniec. Przeczuwałam, że będę się krępować i stresować, skupiając na sobie wzrok ponad siedemdziesięciu zaproszonych gości. Mieliliśmy mini układ taneczny, ale raczej bazowaliśmy na podstawowych krokach walca. Paweł pięknie tańczył. Na studiach uczęszczał do folklorystycznego zespołu pieśni i tańca, także wyjątkowo dobrze radził sobie w kwestiach rytmu. Mnie zresztą z muzyką też przez wiele lat dużo łączyło. W orkiestrze dętej czasem zdarzało mi się grać solówki, stąd wiedziałam, jak to jest występować przed szerszą publicznością. Na dodatek w roli głównej. Tutaj było jednak trochę inaczej. Byłam podekscytowana, a jednocześnie przerażona. W tańcu moja pewność siebie nagle nikła, a ja stawiałam się małą, przestraszoną dziewczynką. Teraz jednak byłam już dojrzałą kobietą, która miała mieć swoje „pięć minut” na parkiecie.

Orkiestra poprosiła, abyśmy wyszli na środek. Wszyscy wstali i skierowali wzrok właśnie na nas. Paweł chwycił i pocałował moją dłoń, zapraszając tym gestem do tańca, i dodając odrobinę odwagi. Z boku musiało wyglądać to nieziemsko, bo ciocia Krysia, aż szepnęła coś na ucho wujkowi.

Z głośników rozbrzmiał „Walc nr 2” Dmitrija Szostakowicza. Zaczęliśmy tańczyć, robiąc małe kółka wokół sali.

— Dodajmy im odwagi oklaskami — zachęciła orkiestra.

Nie słyszałam ich. W uszach tykał tylko rytm walca: raz – dwa – trzy, raz – dwa – trzy, raz – dwa – trzy. I ta przepiękna kompozycja. Melodia była klasą samą w sobie. Kunszt muzyki klasycznej. Chyba najpiękniejsza wersja walca, jaką mogliśmy sobie wybrać. Z tyłu głowy

przypominał mi się nasz układ, ale on nie był ważny. My byliśmy ważni. Jakby całego świata nie było. Walc nabierał tempa, a my, wraz z melodią, wydłużaliśmy krok, by za chwilę wirować już po całej sali. Zbliżaliśmy się powoli do punktu kulminacyjnego. Silne ręce Pawła uniosły moje ciało w powietrze. Odfrunęłam.

— Przepięknie! — krzyknął zespół. — Brawa! Brawa dla nich!

Wtedy dopiero usłyszałam oklaski. Paweł jeszcze przez chwilę chciał, żebym była tam w powietrzu. Czuł, że to jest mój czas, że jestem w raju. To była najpiękniejsza chwila mojego życia. Nigdy nie czułam się tak wspaniale i beztrosko. Jak ptaszek, który odleciał. Być może tak właśnie czują się gołębie, które puszczone są na ślubach...

Po chwili wróciłam na ziemię. Goście wiwatowali jak szaleni. A my już nie tańczyliśmy, choć mieliśmy zrobić jeszcze kilka figur. One już się nie liczyły. Wpadliśmy w swoje ramiona i nie potrafiliśmy puścić się z objęć.

Ten taniec i te pięć minut zapamiętam do końca życia. Nigdy ich nie wypuszcę z pamięci. To było takie cudowne...!

Westchnęłam, tańcząc już do innej melodii, z którą ni jak radzili sobie biesiadnicy. Pomyślałam, że są pewnie jeszcze zbyt trzeźwi, aby robić tu jakieś wygibasy.

Zabawa powoli się rozkręcała. Każdy chciał zatańczyć ze mną choć jeden kawałek. Polubiłam ten przywilej panny młodej. Na szczęście stan techniczny sukni umożliwiał mi bezproblemowe poruszanie się po parkiecie.

Trzeba przyznać, krawcowe się spisały!

W przerwach między utworami rozmawialiśmy z gośćmi, piliśmy drinki, ale ja musiałam też zadbać o cukrzycę. Choć stoły wręcz uginały się od jedzenia, ja nie bardzo miałam na nie czas. Mimo wszystko wiedziałam, że brak aktywnej insuliny w organizmie przez kilka godzin, to nic dobrego. Chwyciłam torebkę i poszłam do łazienki, aby podać sobie insulinę. Już w drzwiach dopadła mnie szwagierka.

— Aniu, jeszcze tak pięknego pierwszego tańca nie widziałam. Jak będziecie mieli nagranie, to chcę je dostać.

— To muszę cię rozczarować, kochana. Tutaj nie ma kamerzysty — zauważyłam, delikatnie się podśmiewając.

— O nie, faktycznie! — wykrzyknęła zrozpaczona. — A tak się cieszyłam, że sobie odtworzę ten wasz taniec. Mistrzostwo świata! Ja nie wiedziałam, że Paweł tak pięknie tańczy.

— Oj tak! — nie szło się nie zgodzić. — Ale kilka byków było. A tak, pozostaną tylko te piękne wspomnienia — puściłam oczko, zamykając się w kabinie.

Orkiestra grała kolejne utwory. Ledwo starczyło mi czasu na załatwienie „spraw cukrzycowych”, choć te, o dziwo, pomimo stresu i braku podpięcia pompy, miały się całkiem dobrze.

Jednak tańce i hulańce potrafią zdziałać wiele.

Ponownie utwierdziłam się w fakcie, jak istotny jest wysiłek fizyczny w cukrzycy. Od razu przypomniał mi się mój 60-cio kilometrowy trening szosowy, który zrobiłam dzień przed ślubem. Znowu sport zaczął cieszyć, ale wówczas nie przypuszczałam, że już za kilka lat, stanie się dla mnie tak ważnym elementem i poświęcę mu sporą część życia.

Zrobiłam lekką korektę insulinową i poszłam z powrotem szaleć na parkiecie. Od razu dopadł mnie Piotrek.

— Czy mogę prosić pannę młodą do tańca? — spytał dumnie.

— Ależ oczywiście, mój kochany braciszku!

I tak przebalowałam z gośćmi do białego rana. W nienagannym stanie sukni, ale bez butów. W końcu o stopy przy cukrzycy należało dbać.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Szalona pani!

Rok: 2015

Wiek: 29 lat

Staż cukrzycy: 18 lat

W ciągu kolejnych dwóch lat zdążyłam już się przyzwyczaić do naszego wcale nie tak małego mieszkanka w bloku. O ile przeprowadzka zajęła dwa dni, tak remont ciągnął się miesiącami. Wyrzuciliśmy wszystkie meblościanki, boazerie i inne „ozdoby” po poprzednich właścicielach i zatrudniliśmy pana, który sam remontował i odświeżał nam mieszkanie. No nie śpieszył się chłopina, no nie, nie... Jako młode, świeżo upieczone małżeństwo, nie stać nas było na wynajęcie dużej ekipy remontowej. Najważniejsze jednak, że mogliśmy być na swoim. Powiedzmy „na swoim”, ponieważ kredytu na zakup mieszkania nie uniknęliśmy.

Pieniądze szły na życie, a w tym na osprzęt cukrzycowy i wymarzonego CGM-a, czyli ciągły monitoring glikemii. Dzięki nieco lepiej płatnej pracy, w końcu było mnie na niego stać. Tym razem pracowałam jako handlowiec. Kwota za ten ciągły monitoring glikemii nadal była ogromna. Rezygnowałam z bajecznych wakacji, by wydać je na leczenie i poprawiać sobie komfort życia, na co dzień. Refundacja po

dwudziestym szóstym roku życia wprawdzie w Polsce przyszła, ale głównie na wkłucia do pompy. Na CGM już nie.

A podłączając się pod stały monitoring glikemii, czułam się, jakbym częściowo wyzdrowiała. Nie musiałam już tyle razy dziennie się kłuć. Wystarczyło od czasu do czasu skalibrować system monitoringu i tak miałam odczyt wyników na pompie non stop, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dzięki temu czułam się przede wszystkim bezpieczniej, bo dokładnie wiedziałam, kiedy będę miała zły poziom, czy to po zjedzeniu czegoś niestandardowego, czy to podczas uprawiania sportu. Dynamiczny i źle zaplanowany spacer kończył się wskazaniem na monitoringu strzałek w dół. Trzy oznaczały, że trend jest gwałtowny i lada moment czeka mnie hipoglikemia. Strzałek w górę też nie brakowało, zwłaszcza gdy przytrafiła się jakaś infekcja. Wykresy pokazywały wartości, jakbym wspinała się na „Rysy”, a czasem nawet na „Mont Blanc”. Ale dzięki temu systemowi mogłam z nich schodzić – powoli i w miarę bezpiecznie. A nie wdrapywać się bez końca, wciąż ku górze. A gdyby jednak cukrzycę naszła ochota na dalszą eskapadę w Alpach, to skutecznie uniemożliwiłabym jej to, serwując sobie ekstra jednostki z insuliną, tak zwane bolusy. Po prostu mogłam przewidzieć, i to z wyprzedzeniem, jakie wędrówki planuje ona po tych szczytach. Po dolinach zresztą też.

Cóż, musiałam się jakoś pogodzić, że nie zawsze będzie mnie stać na dobre wakacje „pod palmami”. A kiedy, dzięki premii w pracy, pojawiała się możliwość zobaczenia tych palm, to i tak do nich nie pojechałam. Wolałam odłożyć pieniądze na inne „doznania”. W planach mieliśmy zapełnić po brzegi garaż. Posiadaliśmy już samochód i jeden motor. Znalazło się też miejsce i część gotówki na zakup drugiego motoru, tym razem dla mnie.

Decyzję o zrobieniu prawa jazdy na kategorię A podjęłam dość szybko. Już od osiemnastego roku życia „za kółkiem” czułam się jak ryba w wodzie. Uwielbiałam kierować, jednak chciałam poczuć jeszcze więcej adrenaliny i wolności. Pamiętam doskonale, jak pierwszy raz Paweł przewiózł mnie na motorze.

— A teraz mocno się mnie złap — zalecił.

Nim się zorientowałam, poczułam mocne przyspieszenie. Moje

wnętrznosci w jednej chwili przykleiły się do pleców, a głowa odchyliła mocno do tyłu, w kierunku asfaltu. Dobrze, że zdążyłam się chociaż mocniej chwycić Pawła brzucha. Jechaliśmy na jednym kole, a ja przez chwilę widziałam głównie niebo.

— Ja nie wiedziałam, że ty umiesz tak jeździć — rozentuzjasmowana zsiadłam z motoru i poklepałam Pawła po ramieniu. — A jeździłeś już tak z kimś z jednym kołem w powietrzu?

— Yyy... — zawahał się, po czym nieśmiało przyznał. — Ty byłaś pierwsza.

— O ja! — zrobiłam duże oczy. — Przecież mogliśmy wywalić się na plecy.

— Mogliśmy — przytaknął, jak gdyby nigdy nic. — Ale pod nogą miałem hamulec, także, powiedzmy, panowałem nad tym — z uśmiechem na twarzy wskazał na małą dźwigienkę hamulca nożnego KTM-a. — Super, że ci się podobało.

— Było ekstra! — adrenalina cały czas mnie trzymała. — Fajnie byłoby kiedyś mieć swój motor i tak sobie pojeździć... — rozmarzyłam się.

— Przecież dziewczyny też jeżdżą na motorach.

— Serio? — zdziwiłam się. — Myślisz, że ja też mogłabym jeździć?

— A czemu nie? — podchwycił. — Jak będziesz chciała, to wszystko możesz.

W życiu nie przeszłoby mi przez myśl, że mogłabym zostać motocyklistką. Szczerze, nie bardzo podobało mi się jeżdżenie w roli „plecaka”, na tylnej kanapie. Zawsze lubiłam niezależność. Nie wiem dlaczego, ale od razu pojawiła się obawa, że nie będę mogła zrobić prawa jazdy ze względu na cukrzycę.

— Nie rozumiem, czemu mieliby ci nie pozwolić — dziwił się Paweł, kiedy wróciliśmy z przejażdżki. — Spróbuj umówić się na badania i wtedy się dowiesz, co i jak.

— Ale mamy już sierpień, więc i tak w tym sezonie już nie pojeżdżę.

— Dowiedz się najpierw, czy nie ma przeciwwskazań, a później będziemy się zastanawiać.

Decyzja zapadła – chcę mieć motor i robię prawo jazdy. Albo i w odwrotnej kolejności. Trzeba było się spieszyć, ponieważ zrobiła się już połowa sierpnia, a egzaminy na kategorię A w dużej mierze zależały od aury na zewnątrz. Zatem czasu na zrobienie uprawnień do kierowania motorem miałam niecałe dwa miesiące.

W pierwszej kolejności umówiłam się do centrum szkolenia kierowców na badania lekarskie. Coś mi ciągle w środku mówiło, że mogę mieć problemy w związku z cukrzycą. Przez chwilę chciałam ten fakt nawet zataić, ale ostatecznie podjęłam decyzję, że po bożemu powiem tak, jak jest.

— Proszę, niech pani siada — wskazał na krzesło lekarz. — Na kategorię A, tak? — zerknął na mnie. — Takie chucherko i motor?

— Myślę, że dam radę — odpowiedziałam pewnie, lecz nieco nabuzowana.

— To się okaże — wymruczał pod nosem.

Ewidentnie niesympatyczny...

— Jakież choroby? — dopytał.

— Dalekowzroczność i poza tym nic. No może cukrzyca typu 1.

— Cukrzyca? — spojrzał na mnie ponownie. — A to w takim razie nie powinna pani prowadzić motoru.

A jednak... Zapowiada się ostra walka.

W tamtym momencie do worka chorób mogłabym spokojnie dorzucić jeszcze nadciśnienie. Z pewnością skoczyło mi mocno do góry. Chorobą Hashimoto, która pojawiła się rok wcześniej, postanowiłam sobie nie dowalać. Zresztą, co miałyby mieć moja chora tarczyca do motoru. Chwilę odczekałam, by się uspokoić, a on nadal patrzył na mnie, jakby czekał, aż powiem: „OK, to rezygnuję”.

Nic z tych rzeczy, szanowny doktorku.

— Powiada pan, że nie powinnam...? — spytałam opanowanym i spokojnym tonem.

— Ile czasu choruje pani już na cukrzycę? — odpowiedział pytaniem.

Wystarczająco długo, aby poznać już swój organizm...

Cisnienie podskakiwało niczym młoda, niesforna sarenka, a ja nadal pozostałam przy taktyce – zrównoważonych odpowiedzi.

— Jestem pod stałą opieką diabetologa, a choruję już od osiemnastu lat. Ponad — dorzuciłam, aby wzmocnić nieco statystyki.

— To chyba doskonale pani wie, co może się pani stać w przypadku hipoglikemii — nie odpuszczał.

— Oczywiście — odpowiedziałam pewnie. — Obecnie prawie w ogóle ich nie miewam. Teraz technologia poszła bardzo do przodu i nawet jestem w stanie dużo wcześniej przewidzieć, kiedy będę miała niski cukier.

— Doprawdy? — wyglądał na zaskoczonego.

Ha, i tu cię mam! Czas chwycić byka za rogi.

— Tak — wyciągnęłam z kieszeni pompę insulinową. — Teraz na ekranie widzę, jaki obecnie mam cukier. Dodatkowo pompa alarmuje mnie i sama zatrzymuje podaż insuliny kiedy zauważy, że cukier mi spada.

— Hm... A co w przypadku, jak pani załabnie na tym motorze? Sama pani rozumie... — spojrzał na wniosek. — Kategorię B widzę pani ma. Bo tutaj w samochodzie to jeszcze, odpukać, jak pani załabnie, to chroni panią jakaś puszka, a w motorze? Przewróci się pani, poobdziera, a nie daj Boże coś gorszego...

Starłam się zrozumieć tę lekarsko-ojcowską troskę, ale ja potrzebowałam w tamtym momencie czegoś innego – jego świstka. Żaden argument nie przekonałby mnie, abym zrezygnowała. Ostatecznie zbyt nie wchodziłam z nim w dyskusje. Dałam mu przestrzeń, aby wyraził swoje obawy i po piętnastu minutach odebrałam potrzebny dokument.

— Uprzejmie dziękuję — wycodziłam przez usta. W końcu grzeczności nigdy dość.

Zaraz po badaniu poszłam zapisać się do ośrodka szkolenia kierowców na teorię i jazdy. Paweł zaproponował, że pójdzie ze mną na pierwsze starcie się z motorem. Przerazenie instruktora, jak mnie zobaczył, było bez wątpienia większe niż moje.

— Co taka mała kobietka szuka na takim wielkim motorze? — zapytał.

— Proszę się nie obawiać — pogłaskałam motor, jak jakiegoś konia. — Postaram się za bardzo go nie uszkodzić.

Motor zwierzęciem, rzecz jasna, nie był, ale sporo mechanicznych koników drzemało w silniku i czekało, aż tylko odkręcę manetkę gazu. Za to na pewno ten rumak miał sporą masę, około dwustu kilogramów. Dwieście kilogramów kontra moje pięćdziesiąt.

Dosiadłam maszynę. Czubkami palców ledwo dosięgałam do podłoża. Teorię znałam: odstawienie nóżki, lewa klamka od sprzęgła, obrotowa manetka w prawej dłoni i wio. Ruszyłam i pierwszą jazdę zaliczyłam. Bez gleby. Gorzej było na kolejnych jazdach, kiedy zaduszałam motor. Wtedy, tracąc równowagę, potrafiłam położyć go na ziemię. Szczerze, nie miałam na tyle siły, żeby go utrzymać. Inną kwestią był brak doświadczenia, jak mam poprawnie usiąść i się odpowiednio złożyć.

Jakbym była chociaż dziesięć centymetrów wyższa... Eh... A tego Bozia nie dała... Nie dość, że bratu bliźniakowi przekazałam w brzuchu swoje matematyczne zdolności, to jeszcze dostał ode mnie te kilka potrzebnych mi teraz centymetrów. Dobra siostra ze mnie! Jak bum cyk!

Przygotowania do egzaminu były nie tylko dla mnie ciężką próbą. Instruktor jeździł ze mną z nożem na gardle. Początkowo wywracałam motor na placu bardzo często. Wystarczyło tylko, że źle balansowałam ciałem i wywrotka murowana. Motor się przewracał, a wraz z nim ja. Z czasem przywykłam już do tego ciężaru i lepiej radziłam sobie z jego masą. Nie mniej jednak instruktor czasem palił jednego papierosa za drugim, patrząc jak walczę na placu boju, wykonując slalomy między pachołkami. Pomimo kilku upadków starałam się nie zrażać i zaciskałam zęby, walcząc dalej i strącając pachołki. A to szło mi akurat bardzo dobrze. Choć tak egzaminu z pewnością bym nie zdała.

Dwadzieścia godzin jazdy na placu i po mieście zleciało błyskawicznie. Po tej praktyce nie czułam się jednak na tyle pewnie, aby przystąpić do egzaminu. Bądź co bądź, zbliżał się już październik i to był ostatni dzwonek, aby się na niego zapisać i zdążyć zdać jeszcze przed końcem roku. W listopadzie z reguły egzaminy na motor już się nie odbywały i musiałabym czekać do wiosny, kolejnego roku. Sama widziałam, że pogoda zaczęła być już naprawdę zmienna i bałam się, czy w ogóle się on odbędzie.

Zatem nadszedł czas, aby przed egzaminatorem pokazać, czego

nauczyłam się w ciągu tego krótkiego dla mnie czasu. Staralam się samą siebie jakoś uspokoić.

Spokojnie... Jak tylko przejadę plac, to miasto będzie już pestką...

Wiedziałam, że plac manewrowy będzie trudny do zdania, ponieważ w 2013 roku zmieniły się przepisy i trzeba było naprawdę nie lada umiejętności, by go zaliczyć. Nie zaliczyłam. Poległam już na pierwszym zadaniu egzaminacyjnym, tak zwanej ósemce.

— Boże, kochanie, nie płacz proszę! — uspakajał przez telefon Paweł.

— Jak ja tak mogłam!? Na ósemce! Rozumiesz?! Na ó-sem-ce! — lamentowałam do słuchawki.

— Rozumiem... No zdarza się. Nie przejmuj się, zdasz z pewnością za drugim razem.

— Za jakim drugim razem? Drugiego razu nie będzie! Do niczego się nie nadaję! — jęczałam dalej. — Jak mogli tak podrasować te motory? Uczyłam się na całkiem innym niż ten tutaj.

I ja, i Paweł dobrze wiedzieliśmy, że to była kompletna bzdura. Motor był dokładnie taki sam. Poza rocznikiem: ten na egzaminie – nowy, mój już po niejednych przejściach, przez co gorzej się go prowadziło.

— Jak chcesz, to kupimy ci motor i będziesz się na nim dodatkowo uczyć — zaproponował po chwili Paweł, aby mnie trochę uspokoić.

— Po co będziemy teraz kupować, jak ja tego w życiu nie zdam... — ciągnęłam uparcie swoje.

Za nic nie mogłam się otrząsnąć z porażki. Uznałam ją za jedną z największych klęsk w moim życiu. Tak mi się przynajmniej na tamtą chwilę wydawało. Długo mi zajęło, zanim ruszyłam autem do domu. Wróciłam na tarczy.

Tydzień później miałam już swój własny motor. Co prawda, inny niż tamten egzaminacyjny, ale zawsze mogłam dodatkowo oswoić się z techniką jazdy i masą motoru. Do szczęścia brakowało mi już tylko zdania egzaminu praktycznego. Rozpoczęła się walka z czasem, ale rzutem na taśmę dostałam ostatni tegoroczny termin. Egzamin miał się odbyć w mieście, którego nic a nic nie znałam – Lesznie. Mogłabym nawet zdawać w Honolulu, topografia miasta nie odgrywała tutaj żadnej

roli. Ruchu ulicznego się nie obawiałam.

Czwartek nie cieszył dobrą pogodą. Na zewnątrz było zaledwie dziesięć stopni, ale najważniejsze, że nie padało. Wtedy egzamin nie mógłby się odbyć. Siedmioro na trzynastu mężczyzn już nie zdało. Ja miałam startować jako ósmy kandydat – rodzynek płci żeńskiej. Pierwsze zadania na placu manewrowym poszły gładko. Zostało ostatnie – ominięcie przeszkody. Wystarczyło rozpędzić motor i ominąć pacholki z prędkością nie mniejszą niż 50 km/h. I tak miałam powtórzyć ten manewr dwukrotnie.

Kątem oka zobaczyłam pierwszy pomiar: 48 km/h. Chwilę się zestresowałam, czy oby mi go zaliczą.

— Zaliczone — usłyszałam w słuchawce. — Proszę wykonać manewr po raz drugi.

Przejechałam obok ośrodka, w którym gapie patrzyli się przez szybę. Miałam wrażenie, że mój egzamin przyszło oglądać chyba połowa mieszkańców Leszna. Tak naprawdę wiedziałam, że jest ich może z pięćdziesiąt osób i czekają na swój egzamin. Wszyscy stali i się patrzyli. Jakby czekali, aż dziewczucha się pomyli.

Ruszyłam po raz drugi. Zamarkowałam ruch głową, w celu upewnienia się, czy nic nie jedzie i odkręciłam manetkę. Minęłam przeszkodę z prędkością 58 km/h.

Leciutko! Teraz na mieście już musi się udać!

Odetchnęłam z ulgą, choć miałam obawy, czy mnie nie wywalą, tym razem za zbyt szybką jazdę. Egzaminator w słuchawce milczał, także to był dobry znak. Ponownie przejechałam koło okna z gapiami. Moim pierwszym przejazdem udało mi się porwać ze sobą chyba jeszcze więcej publiczności. Ludzie stali w oknie tym razem już w dwóch rzędach. Z tej radości, że zaliczyłam plac manewrowy, wcisnęłam celowo sprzęgło i dodałam gazu. Motor zaryczał. Tym rykiem silnika już na pewno skupiłam uwagę całej widowni. Puściłam sprzęgło i grzecznie przygazowałam, aby podjechać do egzaminatora. Postanowiłam jeszcze zarzucić tyłem motoru, robiąc przy tym zgrabny wężyk. Wyglądało to zapewne widowiskowo, na tyle widowiskowo, by w słuchawce usłyszeć:

— Szalona pani! Zapraszam na miasto.

Zdałam bez problemu, choć lekko nie było. Egzaminator przewiózł mnie chyba po całym Lesznie. Zdążyłam już nawet poczuć wibrację z pompy insulinowej, która, jak się później okazało, domagała się, żebym w końcu coś zjadła. Po egzaminie, na ekranie pompy zobaczyłam wynik 70 mg/dl, z trendem w dół. Wyłączyłam więc „wyjca” i wypitałam sok.

Do domu weszłam zadowolona. Uśmiech nie schodził mi z twarzy od dobrych kilku godzin. W rękę trzymałam kartkę z pozytywnym wynikiem. A tu czekali już na mnie moi chłopcy – Paweł z dużą butelką szampana i kieliszkami oraz Pieniuś z małym szampanem i naparstkiem w roli kieliszka. Wielkość była wprost proporcjonalna do naszych gabarytów.

— Wróciła nasza „szalona pani”! — zaśmiał się, wręczając mi trunek. — Gratulacje, żono! To kiedy jedziemy do tej Chorwacji?

Do Chorwacji nie pojechaliśmy, bo i sezon na motor się kończył, i nasze fundusze też zostały solidnie nadszarpnięte. Pojechałam za to motocyklem do Poznania, do NFZ, po zaświadczenie na kolejny rok dofinansowania włączyć do pompy.

Swoje w kolejce, oczywiście, odczekałam. Rok wcześniej nie było automatycznych numerków do pobrania. Instytucja NFZ-tu widać prężnie się rozwijała. Wyklikałam na monitorze chęć zgłoszenia się po ten papier. Po trzydziestu trzech osobach, które zrobiły to przede mną, w końcu przyszedł na mnie czas, bym mogła wejść przez zautomatyzowane drzwi.

Podalam urzędasowi zlecenia od lekarza rodzinnego, mówiące o tym, że nadal jestem chora na cukrzycę i nic od ostatniego roku się w tej kwestii nie zmieniło. Ba, nic nie zapowiadało również kolejnego przełomu w leczeniu. Postanowiłam zatem trochę podroczyć się z mężczyzną.

— Jakbym z cukrzycy miała się w ciągu tego roku wyleczyć — zakomunikowałam problem panu w okienku. — Dlaczego nie przyznajecie tego zlecenia na stałe? Nie rozumiem...

— Mnie proszę nie pytać. Proszę pisać w tej sprawie do ministerstwa — odpowiedział urzędowo.

Czyli nic tutaj z facetem nie wskóram... Urzędasek chyba ma już wyuczoną tę regułkę. No chyba, że tylko mnie to wkurza, że muszę się co

roku o to samo prosić i marnować czas... Jakby nie szło wystawić tego zlecenia na dłużej...

Jego wzrok przykuł mój strój motocyklowy.

— A swoją drogą, czy to pani przyjechała tym pięknym, czerwonym motorem? — skierował wzrok w lewo, w stronę okna.

— Tak — odpowiedziałam z podniesioną głową, a oburzenie od razu mi przeszło. Na niego, nie na służbę zdrowia. — To mój motor.

— Wygląda pani na młodocianą, a tu proszę... — spojrzał na dowód. Metryka nie kłamała. Miałam dwadzieścia dziewięć lat. — Czasami jeżdżą takie młode szczony, pewnie bez prawa jazdy. Panią też bym osądził. Niesłusznie... bo zakładałam, że nie jeździ pani bez prawka? — spojrzał nadal podejrzliwie, po czym dodał. — I nie boi się pani tak nim jeździć? Zresztą trochę chyba teraz zimno jak na motor, co?

— Spokojnie — rozbawił mnie tym zazdrosnym pytaniem. Sprawę zdania egzaminu przemilczałam, ale przez chwilę poczułam się jak młoda szczeniara. W pozytywnym tego słowa znaczeniu. — Mam podgrzewane chwytaki na kierownicy — wyjaśniłam, co go uspokoiło.

Widać, wpadłam mu w oko, bo znacznie inaczej ze mną później rozmawiał. Odebrałam zlecenie, wiedząc, że nie czas tutaj na takie pogawędki. Wyszłam z pokoju, z trudem przedzierając się przez zatłoczony korytarz. Po trzech godzinach czekania...

Podeszłam do mojego BMW.

Przepiękny jesteś, wiesz? Ileż to mnie kosztowało, aby móc teraz tutaj na tobie przyjechać...

Byłam dumna, że mój upór i konsekwencja nie pozwoliły mi się poddać w zdobyciu uprawnień na kategorię A. Nie było łatwo zdać ten test. Test na wiarę, siłę i nadzieję, że to zrobię.

Westchnęłam i odpaliłam maszynę, by podjechać do apteki, po refundowane wkłucia, zbiorniki na insulinę do pompy i nierefundowany monitoring glikemii. Wyszłam z całą siatką leków — „tonami” pudełek i plastiku, za które zresztą zapłaciłam, i to nie małą część pensji.

Oczywiście pismo do ministerstwa też napisałam. W razie, jakby przeoczyli, że cukrzyca typu 1 nadal była nieuleczalną chorobą. Chyba zrozumieli, bo w późniejszych latach nie musiałam tłuc się już więcej po placówce NFZ-tu.

Rozdział dwudziesty drugi

Domek z kart

Rok: 2016

Wiek: 30 lat

Staż cukrzycy: 19 lat

Była to kolejna noc z rzędu, kiedy nie mogłam zasnąć. Kręciłam się z boku na bok, próbując choćby na krótko zmrużyć oko. Z górnego piętra dochodziły jęki starszej i schorowanej kobiety. Koszmar... Otworzyłam okno, ale powiew jesiennego, chłodnego powietrza rozdrażnił jeszcze bardziej. Rok wcześniej o tym czasie było zdecydowanie cieplej. Przypomniała mi się moja pierwsza podróż motorem do Poznania, po zlecenia na osprzęt do pompy.

Wciąż żadnej zmiany i znowu muszę po nie jechać...

Na dworze zrobiło się już jasno. A ja w końcu zasnęłam. Obudził mnie głośny sygnał budzika w telefonie.

— Dzień dobry, kochanie! — przywitał się ze mną Paweł. — Wstajemy?

— Chyba nie mam siły...

— Znowu nie spałeś? — zapytał zatroskany.

— Tak — odburknęłam.

— Ania, musisz koniecznie iść do jakiegoś lekarza. Nie widzisz, że

to wszystko ci wraca?

Nic nie odpowiedziałam, ale wiedziałam że Paweł ma rację. Z powrotem działo się ze mną coś niedobrego. Brak apetytu, apatia, brak jakiegokolwiek siły i chęci do życia. To było niemalże pewne – depresja wróciła.

Wygoniłam Pawła z pokoju, rozkazując, żeby mnie zostawił w świętym spokoju, i leżałam dalej. Po chwili zajrzał do mnie i prosił, abym coś zjadła, ale odmówiłam.

— Kochanie, to chociaż ci tutaj postawię na szafce — położył jogurt. — Na wypadek, jakby ci cukier spadał. Powinnaś zjeść... Ja muszę uciekać do pracy.

Pocałował mnie w policzek i wyszedł z domu. Znowu ta pustka w mieszkaniu, przepleciona wrzaskami sąsiadki. Czułam się zmęczona z niewyspania, ale nic nie mogłam zrobić, aby choć na pół godziny ponownie zasnąć. Pompa po godzinie zaczęła alarmować o zbliżającej się hipoglikemii. Wzięłam jogurt i spróbowałam wypić choć dwa łyki. Czułam, jak staje się od nich potwornie gruba. W rzeczywistości utrzymywałam wagę na granicy niedowagi. Odłożyłam napój i poszłam do toalety. Chciałam go zwymiotować. Moją chęć przerwał telefon. Dzwoniła mama.

— Aniu, jak się czujesz? — zaczęła nieśmiało. — Jest ci trochę lepiej?

— Nic mi nie jest — odpowiedziałam automatycznie, krztusząc się śliną.

— Przecież wiem, że źle się czujesz. Nie udawaj, proszę. Matki nie oszukasz — nie dawała za wygraną. — Znalazłam wczoraj w gazecie ogłoszenie. Aniu, wydaje się, że to będzie naprawdę bardzo dobra psycholog. Jedź do niej. Przyjmuje w Poznaniu. Mogę cię nawet zawieść, jeśli będziesz chciała. Zobaczysz, pomoże ci, tylko się zgódź.

— Mi już chyba nic nie pomoże... — zaczęłam się rozklejać. — Nie ma już dla mnie ratunku.

— Wiem dziecko, że ci ciężko — ciągnęła matka. — Umówię cię na wizytę. Zgodzisz się?

— Nie chcę! — oburzyłam się. — Jak już, to sama się umówię. Prześlij mi najwyżej tylko jej numer.

— Proszę, zrób to dla na... — nagle się wycofała. — Zrób to dla Pawła, on bardzo się o ciebie martwi. Nie możesz mu tego zrobić!

Miała rację. Podziękowałam i powiedziałam, że to przemyślę. Nie minęła nawet minuta, a już miałam SMS z numerem telefonu. Patrzyłam na ekran telefonu i nie wiedziałam, co zrobić.

Jak ja, trzydziestoletnia i dojrzała kobieta, mam się zwracać o pomoc? Przecież jestem już dorosła i powinnam sobie jakoś sama dawać radę. A nie lazić po psychologach... Strata czasu i pieniędzy!

Odłożyłam telefon i postanowiłam zrobić chociaż drobne zakupy. Lodówka już od kilku dni świeciła pustkami. Bałam się, że będę mieć kontrolę z ZUS-u, ponieważ przez ostatnie tygodnie przebywałam na L4. Wzięłam receptę wypisaną przez diabetologa, żeby po drodze wykupić też paski do glukometru i insulinę.

Tak przynajmniej będę mogła spokojnie wyjść z domu i w przypadku kontroli, nic mi nie zrobią.

Zebranie się i ubranie zajęło mi zdecydowanie więcej czasu, niż robiłam to zazwyczaj. Pewnie niejedna staruszka zostawiłaby mnie daleko w tyle. Wysłam z domu i udałam się do najbliższej apteki. Podałam farmaceutce recepty, po czym utkwiałam wzrok w jakichś lekach.

— Jakie igły pani potrzebuje? — zapytała.

Nie zwróciłam uwagi, że zadała mi pytanie.

— Halo! Proszę pani! — zapytała ponownie nieco głośniejszym głosem. — Zapytałam, jakie igły mam podać do tej insuliny?

— Przepraszam, nie słyszałam — spojrzałam na nią mętным wzorkiem. — Nie potrzebuję igieł, jestem na pompie insulinowej. Proszę przekazać komuś innemu — odpowiedziałam, zastanawiając się, czy farmaceuci faktycznie je komuś dalej przekazują.

Zapłaciłam i wróciłam do mieszkania. Zapomniałam, że miałam iść jeszcze kupić choć kilka produktów spożywczych. Moje myśli znowu gdzieś uciekły. Przez drogę myślałam nad telefonem do psycholog, o której wspomniała mi mama.

Paweł przyszedł do domu pod wieczór. Sporo ostatnio pracował. Ja siedziałam w pokoju gościnnym, słuchając spokojnej muzyki.

— Co tam u mojej kochanej żonki? — zagaił na przywitanie,

całując delikatnie w czoło. — Co sobie porabiałaś?

A co ja mogłam robić? Wegetowałam!

— Dzwonił ktoś? — zapytał ponownie, widząc, że nie bardzo mam ochotę na rozmowę.

— To ty kazałaś mamie do mnie zadzwonić?! — skapnęłam się.

— Też się martwi o ciebie, Aniu. Wiesz — zmienił od razu temat i przysiadł się do mnie — tak sobie siedłem z pracy i coś mi przyszło na myśl. Ja wiem, że źle się czujesz, ale może jakbyśmy zrobili sobie dzidziusia, byłoby ci lepiej? Wiesz, że ja sam nie za bardzo chcę mieć dzieci, ale jeśli ty byś chciała, to nie widzę przeszkód.

— Dziecko? Teraz? Zwariowałaś?! — nie kryłam zdziwienia. O oburzeniu nie mówiąc. — Poza tym nie wiem, czy chcę mieć jakieś dzieci. A już na pewno nie w stanie, jakim jestem. Sam na mnie popatrz! — chwyciłam moje przepocone i brudne ubranie. — Nawet nie chce mi się myć, jeść czy o siebie zadbać. Cud, że insulinę biorę. I musiałabym wziąć się bardziej za ustabilizowanie cukrów.

— Twoje cukry są przecież w porządku. Może nieidealne, ale nie ma przecież tragedii. Tak ci zresztą mówił twój diabetolog ostatnio, prawda? — popatrzył na mnie lekko zirytowany i miał w tym sporo racji. — Może właśnie dziecko dałoby ci trochę chęci do życia?

— Paweł — zaczęłam poważniej — dziecko to poważna i odpowiedzialna sprawa. Nie darowałabym sobie, gdyby przeze mnie miało się nie urodzić, albo, nie daj Boże, było chore.

— A ty swoje... — wzruszył ramionami, wiedząc, że dalsza dyskusja niczego nie wniesie. — Ja nie twierdzę przecież, że musimy mieć teraz dzieci. Nic na siłę, Aniu. Jak będziesz gotowa, to mi to powiedz.

Nie ciągnęliśmy dalej tego tematu. Popatrzyłam kątem oka na Pawła i żal mi się go zrobiło, bo chciał dobrze, a ja tak na niego naskoczyłam. Zastanawiałam się, ile ma jeszcze do mnie cierpliwości, bo moje zachowanie i stan ducha był naprawdę co najmniej na hospitalizację. Tej się jednak wzbraniałam, licząc, że mi jakoś samo przejdzie. Pomyślałam tylko, że mam naprawdę wyrozumiałego męża.

Siedzieliśmy tak w milczeniu, wsłuchując się w dźwięki muzyki.

— Mama mnie namawia, żebym spróbowała iść jeszcze raz do

jakiegoś specjalisty — oznajmiłam po pewnym czasie łagodnym tonem. — Zasugerowała terapię u psychologa w Poznaniu. Mówiła, że ma dobre opinie i jest skuteczna.

— To wspaniale — wiadomość wyraźnie go ucieszyła. Widocznie tu w konszachty z matką nie wchodził. — Jak chcesz, to mogę iść z tobą, żeby było ci raźniej?

— Ale to będą wizyty prywatne, Paweł. Ci na fundusz to przyjmują od wielkiego dzwonu... Jak my sobie poradzimy? Nie chcę pożyczać znowu pieniędzy od rodziców. A na ten miesiąc kończą mi się sensory do monitoringu glikemii i znowu tyle na nie wydamy — starałam się jakoś sama siebie przekonać, że ta wizyta nie ma sensu. — Poza tym, nie czuję, żeby psychoterapia mogła mi w czymś pomóc — dorzuciłam na koniec.

— Kochanie — Paweł przysiadł się jeszcze bliżej — pieniędzmi się nie przejmuj. Jakoś sobie poradzimy. Ty potrzebujesz pilnej i częstej pomocy. Nie wiesz, czy ci ona pomoże czy nie. Nie gdybajmy. Bardzo się cieszę, że chcesz chociaż spróbować — objął mnie mocniej ramieniem. — Mam tylko jedną prośbę — zaczął niepewnie. — Powinnaś zapisać się też do psychiatry i zacząć brać leki na depresję. Wiesz tylko, że niewskazane jest wtedy picie alkoholu?

Zamurowało mnie. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Co mi tutaj wyjeżdża z alkoholem? Chyba nie sugeruje mi, że mam problem też i z tym? Najpierw psycholog, psychiatra, a teraz jeszcze to? A może słusznie mówi? Ale czy piwo albo drink, raz na jakiś czas, to grzech?

Dobrze wiedziałam, że piję znacznie więcej. Ale znowu poczułam poddenerwowanie. Wstałam od stołu i zaczęłam się ubierać.

— Co robisz? — spytał, choć wyczuwał, że chcę wyjść.

— Mam ochotę się przejść. Nie gniewaj się, chcę iść sama. Mam kilka rzeczy do przemyślenia.

— Dobrze, ale weź komórkę ze sobą, w razie czego.

Taki był też mój plan. Chwyciłam telefon i wyszłam na zewnątrz.

Zbliżała się godzina 20:00, więc na dworze już dawno zrobiło się ciemno. Październik był wyjątkowo chłodny tamtego roku, także szczególnie owinęłam się szalem. Miałam ochotę zapalić papierosa, ale

przecież nie paliłam już od dobrych pięciu lat.

Co się ze mną, do diabła, dzieje? Czemu się tak wkurzam na wszystko i nie doceniam tego, co mam? Przecież mam dom, wspaniałego męża, dobrą pracę. A złe stany ciągle powracają... Muszę się jakoś ogarnąć! Ale jak...?

Poczułam, że nie dam rady sama. Znowu moje puzzle życia zaczęły się, nie wiedzieć czemu, rozpadać. Wyciągnęłam komórkę z kieszeni. Wybrałam numer. Było późno, ale musiałam zadzwonić. Właśnie wtedy.

— Tak, proszę? — odezwał się ciepły, kobiecy głos w słuchawce.

— Yyy... Przepraszam, że tak późno dzwonię, ale ja... — zawahałam się. — W zasadzie to chciałam się umówić na wizytę. Dodzwoniłam się do pani psycholog, tak?

— Tak, zgadza się, dzień dobry. Miło mi, że pani dzwoni — odpowiedziała, jak gdyby zupełnie nie przeszkadzała jej godzina, w której rozmawiamy. — Oczywiście, mogę panią umówić. Nie mam jednak przy sobie kalendarza. Czy zechciałaby pani przedzwonić do mnie jutro rano, jak będę w gabinecie?

— Dobrze, zadzwonię jutro — i od razu odłożyłam słuchawkę, jakby parzyła.

No brawo! Lepiej nie mogłam wypaść... Jutro zacznę rozmowę od przeprosin, że się z nią nawet nie pożegnałam i tak szybko ucięłam rozmowę.

Ale zrobiłam pierwszy krok. To dobrze. Swoją drogą, zdaje się być całkiem miłą osobą. Kto wie, może to dobrze wróży...?

Spacerowałam dalej i zbierałam siły, by kolejnego dnia zdobyć się ponownie na odwagę i jeszcze raz wykonać do niej telefon. Odważyłam się i umówiłam na pierwszą, prywatną wizytę.

Październik 2016 roku był dopiero początkiem wewnętrznej przemiany. W zasadzie mój horror dopiero co się zaczynał. Zdawało się jednak, że nie było innego wyjścia. Miałam trzydzieści lat, a stawałam się psychicznym wrakiem człowieka. Dotychczasowe leczenie nie przynosiło rezultatów. Leki czasem działały, ale tylko na chwilę przynosiły ulgę.

Moje życie, jak domek z kart, zaczęło się sypać. Musiałam postawić ten dom od nowa. Cegła, po cegielce. Rok po roku. I tak przez pięć

kolejnych lat. Nie miała to być ani łatwa, ani przyjemna droga. Powoli budowałam solidniejsze fundamenty, zaczęłam wylewać grubszą posadzkę, stawiałam kolejne ściany, by za chwilę znowu miało nadejść tornado i wyważyć drzwi czy okna. Gdy dom zdawał się być już zbudowany, znowu zaczęłam zamiatać trudy i przeciwności losu pod dywan, które i tak po czasie wyrastały niczym chwasty po deszczu. Wewnątrz i na zewnątrz. Szybko rosły w oczach i stawały się wielkie, trujące i śmiertelnie niebezpieczne. Ale wrywałam je cierpliwie, siałam nową trawę i zaczęłam ozdabiać również i wnętrze domu. Od nowa, po swojemu i na swoich zasadach.

Po pięciu latach dom był postawiony. Nie wyglądał idealnie. Nie wszystko mi wyszło tak, jakbym tego chciała i oczekiwała. Pewnie inni mieli też lepszą wizję na tę budowlę. Ale dom stał się mój i powoli mogłam w nim z powrotem zamieszkać.

Przepracowałam wiele zagadnień i tych cukrzycowych, rodzinnych, a także życiowych. Przez lata sporo nazywało się niedobrego. To był proces, który trzeba było przerwać. Musiałam porzucić stare, utarte schematy, którymi się kierowałam, i przez które szukałam ukojenia w jedzeniu, sporcie, alkoholu czy innych niebezpiecznych sposobach na życie, a nauczyć się nowych. Początkowo niewygodnych, mozolnych i znacznie innych niż te wyuczone i pewne. Bez ciężkiej pracy mojej i mojej wspaniałej terapeutki byłoby to bardzo trudne. Czasami wręcz niemożliwe... Ale dla mnie nie było rzeczy niemożliwych. Udowadniałam to sobie każdego dnia, wstając z łóżka, i zaczynając dzień w zgodzie ze sobą i swoimi potrzebami. Zaczęłam żyć!

Rozdział dwudziesty trzeci

(Nie)możliwe BAJKcukrzycOWE 400km

Rok: 2021

Wiek: 35 lat

Staż cukrzycy: 24 lata

Początek roku 2021 z pewnością nie rozpieszczał pod względem pogody. Już dawno rozpoczęła się wiosna, a za oknami nadal było zimno, mokro i szaro.

— Wiesz, że na jutro robi się okienko pogodowe? — zagaiłam męża wieczorem, przy serialu. — Chyba jutro startuję.

— Dobrze — odpowiedział trochę zamyślony. — Ale przecież możesz jeszcze poczekać. Nie musisz się śpieszyć.

Nie mogłam czekać. Rower szosowy miałam już od dawna przygotowany do wyprawy: łańcuch nasmarowany, koła napompowane, sakwy kupione. Kondycję szlifowałam całą zimę, aby w końcu ruszyć i ją sprawdzić na wcześniej przygotowanej i wymyślonej przeze mnie trasie. Wiedziałam, że jestem w stanie przejechać dużo kilometrów. Robiłam już trasy dwustu czy nawet raz trzystukilometrową. Sama. Teraz przyszedł czas na dłuższą jazdę i sprawdzenie nie tylko swojej formy, głowy, ale również cukrzycy. O tę ostatnią się nie martwiłam, choć pewnie trochę powinnam z powodu dystansu, który zaplanowałam.

Do krótkich, z całą pewnością, nie należał. Założyłam sobie, że zrobię czterysta kilometrów i to w jeden dzień. A co!

Rano wstałam podekscytowana i gotowa do drogi. Odświeżyłam pogodę w telefonie.

— Ja pierdzielę! — wściekłam się. — Zapowiadają deszcze. Zobacz — pokazałam prognozę Pawłowi i zaczęłam swoje lamentowanie. — Nie ma szans! Wieczorem, jak nic, będzie padać, więc dziś znowu nie pojedę...

— No tak... Lepiej nie ryzykować — odpowiedział też trochę smutnawy, bo wiedział, jak bardzo zależy mi na realizacji tego fizycznego wyzwania.

Miałam nadzieję, że usłyszę: „pogoda może się jeszcze zmienić, jedź”. Ale Paweł był zawsze rozważny i opanowany w decyzjach. Moja rzutkość i spontaniczność w działaniu często nas ze sobą różniły. Gorzej, jak do tego dochodziły moje niepotrzebne nerwy czy frustracja. Wtedy, wewnątrz mnie, robiła się z tego mieszanina wybuchowa, która musiała mieć swoje ujście.

Chrzanić to! Skoro nie mogę jechać na czterysta, to pojedę stówę. I to do odcinki, na maksa, aż mi mięśnie nie pozwolą dalej kręcić.

Wzięłam rower pod pachę i poszłam pojeździć. Naprawdę nie wiem, czemu tak się denerwowałam i niecierpliwiłam na tę dłuższą wyprawę. Nie zapanowałam nad emocjami. Głowa jakby wyłączyła rozsądek i opanowanie.

A skoro głowy nie bardzo chciałam słuchać, to trzeba było posłuchać cukrzycy, której najwyraźniej nie spodobał się mój nieprzemyślany wysiłek fizyczny. Na trasę ruszyłam z dużą ilością aktywnej insuliny. Gdy dodałam do tego spontaniczny wysiłek tlenowy, to katastrofa była murowana. Już pół godziny później musiałam dojadać banany i czekać na przystanku, aż mi łaskawie podrośnie cukier.

Taka stara, a taka głupia...

Dobrze wiedziałam, że tak to się skończy. W końcu trenowałam moje amatorskie kolarstwo już dobre kilka lat, i to bez względu na porę roku. Zimą potrafiłam kilka razy w tygodniu kręcić na trenażerze w pokoju, obserwując, na co stać cukrzycę. Uczylałam się przez ten cały czas, jak organizm reaguje na wysiłek fizyczny, zjedzone węglowodany,

i jak zachowują się glikemie.

Gdy uspokoiłam siebie i niesforne myśli, a cukrzycę zaspokoilałam węglowodanami, ruszyłam dalej na trasę. Jechałam mimo wszystko ponadprzeciętnie szybko w porównaniu do dotychczasowych wyników. Do domu wróciłam zmęczona, ale za to spokojniejsza. Niepotrzebne nerwy zostały wypocone. Przez te siedemdziesiąt siedem kilometrów, z tyłkiem na siodełku, miałam naprawdę dużo czasu, by przemyśleć swoje kapryśne zachowanie.

Na drugi dzień rano znowu spojrzałam na prognozy.

— Paweł — szturchnęłam go, gdy on jeszcze smacznie spał. — Jadę!

— Co? — przekręcił się na drugi bok. — Która jest godzina?

— 6:00. Wstajemy! Robię śniadanie. Zjesz ze mną? — spytałam pośpiesznie.

— Co ja mam z tą dziewczuchą... Dobrze, zaraz wstanę — wymamrotał pod nosem, gdy ja już szłam do łazienki.

Zanim Paweł pojawił się w kuchni, ja zdążyłam przygotować już tosty i sobie bułki na drogę. Zupełnie nie zważałam na wczorajsze, przejechane kilometry. Choć obiecałam sobie, że do trasy podejść wypoczęta.

Trudno, co ma być, to będzie. Mięśnie może jakoś przez noc się zregenerowały. Ruszam dziś. Kropka.

A jednak pytanie.

— Serio dziś jedziesz? — Paweł spojrzał na stół pełen prowiantu. — Nie będzie padać?

— Chyba nie. Proszę — podsunęłam talerz z kanapką z masłem orzechowym i bananem, ale najwyraźniej moja kolarska kompozycja przedstartowa nie przypadła mu do gustu. Minę miał nietęgą.

— Rozumiem, że zaraz ruszasz? — wyczuł mój pośpiech, oszczędzając kanapkowego komentarza. — A nie miałaś jechać wieczorem? — dopytał, choć przeczuwał, że nie jestem skora do dyskusji.

— Trudno. Muszę wykorzystać, że przez dzień ma być ładnie. Dopiero od jutrzejszego popołudnia zapowiadają opady.

— Pojedziesz cały dzień i później całą noc. Lepiej, jakbyś była na

wieczór wypoczęta, a nie na odwrót. No ale, jak tam chcesz...

— Spokojnie, Pawełku! — spojrzałam na niego, szukając w rozmowie odwagi. Znalazłam. — Dam radę!

— Ja to wiem — uniósł kciuk w górę, przełykając jednocześnie kawę. — Najwyżej cię zgarnę z trasy.

— Nie będzie takiej potrzeby — przez chwilę spodobała mi się nawet jego troska, ale tym razem chciałam być zdana tylko na siebie. — Jeśli zaczniesz padać, to się wrócę. Choć zależy mi, by przejechać to za pierwszym razem...

Bałam się tego deszczu. Raz, że nie miałam doświadczenia w jeździe w takich warunkach, a dwa, że średnio jechałoby się przez kilkanaście godzin w przemoczonych ciuchach. Byłam jednak zdeterminowana, desperacko zdeterminowana. Gdy sobie uświadomiłam, że za chwilę mam ruszyć, do gry wkroczyła przestraszona głowa. Zaczęła się buntować.

Czteryście kilometrów w jeden dzień? Chyba oszalałam... Skąd w ogóle ten pomysł? Oby cukrzyca też to zaakceptowała... Na takim dystansie jej jeszcze nie sprawdzałam...

Zapakowałam prowiant, osprzęt cukrzycowy i potrzebny zestaw naprawczy do roweru. W przypadku awarii umiałam zmienić sobie dętkę. W nocy miało być też chłodno, dlatego zadbałam o dodatkową, cieplejszą bluzę i długie spodnie. Nie zapomniałam również o kamizelce odblaskowej, którą specjalnie kupiłam na tę trasę. Z całym tym ekwipunkiem masa roweru zrobiła się dość spora, na pewno dwadzieścia kilogramów, a to dwa razy więcej niż normalnie jeździłam na treningach. Dla krótszego dystansu nie miałoby to może aż takiego znaczenia. Liczyłam się jednak z tym, że nogi, te dodatkowe kilogramy, prędzej czy później odczują. Kwestia tylko, od którego kilometra?

— Powodzenia i przyjemności — pomachał mi Paweł.

— Dzięki — przesłałam mu buziaka, wpięłam buty w platformy SPD i ruszyłam.

Przyjemności?

Zastanowiłam się nad tym słowem w trzydziestym kilometrze trasy, gdy stres już trochę odpuścił. Starałam się ze sobą rozmawiać, aby zająć czymś głowę, która cały czas była mocno wystraszona.

No nie wiem, czy można to w ogóle traktować w skali przyjemności. Może przez pierwsze sto kilometrów będzie fajnie. Później mogą zacząć boleć nogi, tyłek, kark i ręce. Także muszę być na to gotowa. Pozostaje zatem tylko pytanie: które pierwsze zaczną marudzić?

Pierwsza zaczęła... cukrzyca. Już po piętnastu kilometrach cukier pokazywał 220 mg/dl, z trendem w górę. Pomyślałam, że to pewnie przez stres, śniadanie i przez za małą ilość insuliny. Świadomie podałam okrojoną dawkę o ponad połowę. Bardzo bałam się dopuścić do hipoglikemii, by później źle się po niej nie czuć, choćby z ogólnego rozbicia czy bólu głowy. O straceniu cennych minut, czekając aż cukier podrośnie, nie wspominając.

Postoje zaplanowałam już dużo wcześniej, aby tym się nie martwić, i aby zmieścić się w wyznaczonym przez siebie limicie czasu. Pierwszy miał być około sześćdziesiątego kilometra. Ja byłam dopiero na piętnastym. Podałam korektę, a cukier nadal robił swoje. Zatrzymał się na poziomie 272 mg/dl i tak utrzymywał przez kolejne dziesięć kilometrów. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy mam drożne wkłucie, i czy idzie insulina. Szła, bo już za kolejne dziesięć kilometrów cukry leciały na łeb na szyję w dół. Chwyciłam banana, bułkę i pół batona proteinowego, a one nadal drastycznie spadały. Niestety za chwilę glikemia wskazywała już 65 mg/dl, także pierwsze niedocukrzenie zaliczyłam już na pięćdziesiątym kilometrze. Musiałam się zatrzymać. Przyszedł czas, aby poważnie porozmawiać z cukrzycą, a raczej głową, nie tracąc przy tym dobrego humoru.

Dobra, moja droga, jak będziesz się tak nieposłusznie zachowywać, to nie zabiorę cię na dalszą „wycieczkę”. Ja jadę dalej, a ty skoro się mi tutaj wpakowałaś do pakietu startowego, to proszę cię o jakąś dyscyplinę i opanowanie. Nie tak cię wychowałam!

Najedzona, o ile nie przejeżdżona, ruszyłam po piętnastu minutach dalej w trasę. Cukrzycę ogarnęłam, ale pojawił się inny problem – gęste, szare chmury na niebie. I tu humoru już nie miałam.

— Jestem na 112 km, ale coś kiepsko się psychicznie czuję... Fizycznie chyba też jakoś tak se. Jadę do 200 km i zobaczę, co dalej — napisałam SMS do Pawła. Nie chciałam go martwić wcześniejszymi zmaganiem z cukrami czy negatywnymi myślami o kiepskiej pogodzie.

Jakbym bała się, że będzie namawiać mnie do zawrócenia albo po mnie przyjedzie i nie będę mogła kontynuować jazdy. A tu proszę, dziesięć sekund później dostałam inną wiadomość.

— Wytrwałości — i dwa duże, wirtualne buziaki.

W życiu nie sądziłam, że to jedno słowo, może znaczyć tak wiele. Przyszła otucha. Aby zająć czymś innym myśli, poza zamartwieniem się o pogodę czy choćby o cukrzycę, włączyłam na głos muzykę z telefonu. Przejeżdżając przez miasta i wioski, tamtejsi ludzie patrzyli się na mnie co najmniej dziwnie, gdy w tle usłyszeli piosenki typu „jesteś szalona”. I dużo by się pewnie nie pomylili, gdyby pomyśleli właśnie o mnie. Absolutnie mi to jednak nie przeszkadzało i jechałam swoje. Muzyczka z „bumboxa” robiła robotę, bo wyraźnie przybyło mi sił.

Z cukrami zaczęłam radzić sobie wyjątkowo dobrze. Jak tylko cukier delikatnie spadał, zjadałam pół banana lub pół bułki na większy posiłek. Jadłam często: co godzinę, czasem może częściej. Organizm już od sto sześćdziesiątego kilometra był tak podkręcony, że nawet nie potrzebowałam podawać insuliny na posiłek. Bazowałam tylko na wlewie podstawowym, a czasem i jego całkowicie wyłączałam na pompie.

Wiedziałam też, że kluczową sprawą było picie dużej ilości wody, aby nie tylko się nie odwodnić, ale też i stały monitoring glikemii nie szwankował. O tendencji do hiperglikemii nie wspominając, choć tej raczej już nie miałam. Trudność z uzupełnieniem płynów pojawiła się około godziny 20:00, w dwusetnym kilometrze. Na dworze zrobiło się dużo chłodniej, góra trzynaście stopni. Picie zimnej wody otrząsało. Musiałam się zatrzymać na zmianę kolarskiej garderoby na cieplejszą i zaliczenie toalety.

Ciekawe, jak ja będę sikać w nocy?

Przeszedł mnie lekki dreszcz, ale tym razem nie z zimna, a raczej ze strachu. Wyposażona byłam, wprawdzie, w dobre oświetlenie na nocną eskapadę, ale nie wyobrażam sobie, żebym miała skręcić do jakiegoś lasu. Stacje benzynowe odwiedzałam tylko z konieczności uzupełnienia wody. Poza tym obawiałam się zostawić rower tak bez zapięcia, którego nie targałam ze sobą. W końcu to dodatkowe gramy balastu.

W oczekiwaniu na nocną jazdę, kolejne kilometry zleciały mi

błyskawicznie. Obawiałam się tej jazdy w ciemności, szczególnie wtedy, gdy przy drodze patrzyły na mnie sarny, zające i inne nocne stwory. Stały i świeciły tymi swoimi zielonkawymi oczami. A wokół nich panowała kompletna cisza. Tylko od czasu do czasu mijał mnie jakiś samochód. Stwierdziłam, że gdyby nie mój nocny strach i zimno, bardzo dobrze trenowałoby mi się właśnie wieczorem, przy mniejszym ruchu.

Po północy dojechałam do miejscowości Pniewy. Koniecznie chciałam przejechać przez tą sentymentalną dla mnie miejscowość. Tutaj w 1920 roku swoje życie i działalność prowadziła święta Urszula Ledóchowska, a ona była mi bardzo bliska. Szczególnie, kiedy miałam ciężko w życiu. Lubiłam się do niej zwracać o pomoc i opatrność. Kiedyś w ogólniaku napisałam o Ledóchowskiej esej, który spodobał się mojej kochanej pani polonistce. Startowałam z nim nawet w międzyszkolnym konkursie, ale widocznie nie przypadł do gustu ówczesnemu jury.

Cześć Matuchno! Jest godzina 1:00 w nocy, a ja cię tutaj odwiedzam. Powiedzmy, że robię taką małą rundkę, wokół „komina”. Jakies 300 km mam już w nogach i w dupce. Co ty na to? Muszę jechać dalej, bo robi się zimnawo. Trzymaj za mnie kciuki! Bitte... to znaczy „proszę” po polsku, choć przypuszczam, że ty tam pewnie w przestworzach masz swoich germanistów.

Postój w Pniewach też zaplanowałam celowo. Wiedziałam, że w tamtym kilometrze trasy będę potrzebować od Matuchny jej wsparcia i opieki. Szczególnie wtedy, gdy pozostało mi do przejechania jeszcze ostatnie sto, bardzo trudnych kilometrów. Odczuwałam już spore zmęczenie, ale prędko opracowałam sobie nową taktykę.

Dobra! Jest ciężko. Muszę coś z tym cholerstwem zrobić, to znaczy z moją głową. Zaczyna mi już świrować. Czas, by obrać inną strategię – zacznę myśleć o wszystkim, dosłownie o wszystkim, ale nie o tym, że coś mnie boli. O tak wielu wspaniałych rzeczach mogę sobie przecież w tym momencie myśleć. Może to będzie fajny pomysł?

Nie no, sorry! Co ja tu czekam na jakąś moją zgodę?! Muszę sobie zaufać. W sumie to nic nie „muszę”, no ale dobra jest... Ufam sobie!

Jak postanowiłam, tak też zrobiłam.

Zaczynamy... A gdyby tak napisać o tej wyprawie w książce, którą kiedyś wydám...? No bo artykuł na moim BAJKcukrzycOWYm blogu swoją drogą, ale książka ma być przecież w innej formie napisana. I będzie na pewno bardziej osobista... Dlaczego by się tą historią z kimś nie podzielić...?

Taktyka pomogła. Dotychczasowy dyskomfort obtartego tyłka czy bólu karku chwilowo przeszedł. Żaden ból nie mógł być przecież powodem, dla którego miałabym nie ukończyć tego dystansu. Przyłynęły ponownie siły, choć tak naprawdę jechałam już na rezerwie.

Pozostała mi walka z dużym wyziębieniem ciała. Zimno dopadało mnie od razu, gdy zatrzymywałam się w przydrożnym rowie, na przymusowe siusiu i posmarowanie tyłka kremem nawilżającym. Szczęśliwie nie było gapiów ani z przejeżdżających samochodów, bo tych prawie nie mijałam, ani zwierzątek.

No kulturalne jesteście, kochane zwierzątka, że mnie tutaj nie podglądacie. Zrobię grzecznie, co mam zrobić i już mnie tu nie ma. Także luzik, jeszcze nie wychodźcie z krzaczków... Strach ma tylko wielkie oczy. Noc nie jest wcale taka groźna, jak się wydawało.

To którą to mamy godzinę? 2:52. Paweł i Pieniuś smacznie sobie teraz śpią, też bym się położyła... Nie, nie... Ja jadę dalej i to szybko, bo mnie tu nieźle telepie.

Ruszyłam i tak sobie myślałam o różnych sprawach, poza ścierpniętym karkiem, którego odczuwałam akurat najbardziej. Jak już kręciłam korbami, to i zaczęło robić się cieplej. Zresztą adrenalina wynikająca z jazdy nocą, też rozgrzewała atmosferę.

Po godzinie 4:00 nad ranem na dworze zrobiło się już jasno. Spojrzałam na licznik – dystans całkowity 385 km.

O Matuchno! Ja chyba naprawdę zrobię ten dystans!

Po raz pierwszy od startu poczułam wewnętrzny spokój. Właśnie zdałam sobie sprawę, że dam radę i zrobię tę trasę. Piętnaście kilometrów przed końcem planowanego zakończenia dystansu. Zmęczenie dokuczało już na całego. Moja cukrzyca też, bo domagała się naprawdę sporej ilości jedzenia na końcówce. A mi z tego wycieńczenia nie chciało się już jeść.

Cukier 90. Oj, a tu jeszcze niecała godzinka jazdy do domu. Nie ma szans, żebyśmy dojechała bez niedocukrzenia.

Wyciągnęłam Marsa, którego dokupiłam na stacji benzynowej.

No może nie jesteś najlepszym produktem na te ostatnie kilometry, ale właśnie na ciebie mam teraz ochotę.

Wiedziałam, że tłuszcz w nim zawarty mógł spowodować wyrzut glikemii dopiero po jakimś czasie.

Ale przecież mój metabolizm będzie i tak mocno podkręcony, więc niekoniecznie będę miała hiperglikemię po zakończeniu jazdy. A co tam... Zasłużyłam!

Poczułam w ustach słodki, karmelowy smak. Klejącą konsystencją zalepiłam na tyle usta, by rozkoszować się nią długo. Skupiłam uwagę już tylko na jego walorach: piankowo-nugatowym nadzieniu i grubej, mlecznej czekoladzie, która od tego zimna przyjemnie chrupała. Naładowana energią wstałam z siodełka i mocniej wyszłam na zmianę. Tylko, że ani przede mną, ani za mną nikt nie jechał. Może cukrzyca, która uradowana z dostarczonych węglowodanów wesoło nuciła melodię: „No pokaż na co cię stać”, zespołu Feel.

Ponownie popatrzyłam na licznik: 399,8 km, 399,9 km, 400 km...

Jest! Udało się! Nie, chwila! Nic się nie udało. Ja to zrobiłam! Przejechałam właśnie 400 km rowerem w niecały dzień!

Zatrzymałam się. Poczułam, jak łzy zaczęły kapać na moją kurtkę przeciwwiatrową. Z tej radości zaczęłam krzyczeć. Gdyby ktoś mnie zobaczył, krzyczącą tak o 5:05, i to na rowerze, pomyślałby: „ta, to ale ma krzepę i zdrowie, tak od rana zasuwać”. Ale nikogo nie było. Wszyscy spali, a ja tam stałam, patrząc z niedowierzaniem na licznik.

400 km. Niesamowite! Tyle wyrzeczeń, tyle godzin spędzonych na siodełku, tyle samozaparcia i mam to! Zrobiłam to! Mogę być z siebie dumna! Brawo ja! Wracam do domku.

Weszłam po cichutku, aby nie obudzić Pawła. Choć najchętniej, to darłabym się wtedy z radości. Moja dusza świętowała. Ciało natomiast prosiło się o odpoczynek.

*

Satysfakcję miałam jeszcze przez długie dni i miesiące. Pokonałam

swój strach dystansem, a także złość i frustrację na cukrzycę. Te uczucia towarzyszyły mi przecież nie tylko podczas tej wyprawy, ale przy każdym treningu. Każdego dnia. Ileż to razy próbowałam je przekształcić w opanowanie i pokorę. A nie wychodziło.

Nieraz chciałam wsiąść na rower, a nie mogłam. Często skracałam dystans lub kończyłam go nie z taką intensywnością, jaką sobie zaplanowałam. To wszystko z powodów złych glikemii. Przeprowadzałam mnóstwo testów: podania, lub nie, odpowiedniej ilości insuliny, czy zjedzenia odpowiedniego posiłku, by nie mieć spadku lub za dużego cukru przed, w trakcie i po wysiłku. Czasem było dobrze, ale przecież nie każdy dzień był taki sam. Podczas jednego treningu sprawdzała mi się jakaś metoda ustabilizowania cukru, a na drugi dzień, robiąc dokładnie to samo, wyglądało to zupełnie inaczej.

Zawsze zazdrościłam osobom bez cukrzycy, że mogły bez namysłu wsiąść na rower i pojechać. Ja musiałam o tylu rzeczach zawczasu myśleć, planować i kontrolować. Starłam się nie pozwolić jednak na to, by to cukrzyca dyktowała mi warunki, ale ja sama.

Jedzenie też nie było dla mnie łatwą sprawą podczas tego dystansu. Nie chciało mi się jeść ze zmęczenia, a musiałam z powodu niskiego cukru. Chciałam jeść, bo organizm się fizycznie tego domagał, a nie mogłam, bo miałam hiperglikemię. To było trudne. Cholernie trudne. Nie mówiąc już o głowie, którą musiałam przekonać do tego, aby zjadła takie ilości jedzenia. Czasem zmęczenie fizyczne okazywało się przy tym niewielką trudnością. Wiedziałam jednak, że potrzebowałam tej energii. Prędzej czy później niedojedzenie mogło skończyć się „odcięciem prądu”, którego nie dałoby się na szybko uzupełnić. Miałam wrażenie, że jeszcze nigdy w życiu tyle nie zjadłam, jak podczas tamtego dystansu.

Pokornie starałam się też opanować natłok negatywnych myśli. Jak wiele trzeba było przy tym wiary i zaparcia, by zrobić to, co zaplanowałam. Czułam, że ta trasa będzie dla mnie dużym wyzwaniem. Dla mnie, amatora, był to bardzo długi dystans. Ba, niekiedy nawet trzydziestokilometrowy trening bywał testem na wytrwałość, bo nie zawsze miałam chęć na sport. Czasami potrzebowałam się do niego zmusić czy znaleźć odpowiednią motywację. Zdawałam sobie sprawę,

że bez pojedynczych treningów, pokonanie tamtego długiego na 400 km dystansu, mogłoby być trudne do zrobienia. Trzeba było wysiedzieć długie „dupogodziny” na siodełku, by wzmocnić kondycję.

Inną kwestią był mój nadmierny, sportowy reżim, bo rzadko kiedy potrafiłam odpuścić trening. Cisnęłam ostro, nawet wtedy, gdy organizm domagał się odpoczynku. I to był błąd, bo w sporcie, nawet na poziomie amatorskim, potrzebna jest regeneracja. A nie katorżnicze treningi, które w kolarskim żargonie znane są pod nazwą „jazdy w trupa”. Bo na 100% można do momentu, gdy nie pojawi się przetrenowanie, kontuzja, czy nawet niechęć do sportu. I długo zajęło mi, zanim to zrozumiałam i potrafiłam o siebie zadbać.

Uzmysłowiłam sobie jedno: przejechanie 400 km w jeden dzień było dla mnie trudnym testem na prawdziwą próbę charakteru. I zdałam ten test na najdłuższym dystansie rowerowym, jaki w życiu zrobiłam. Cukrzyca stanowiła dodatek do tej całej składanki. Nie chciałam jej zabierać, ale skoro się przypałała, to wsadziłam ją na bagażnik i tak sobie razem kręciłyśmy. Przez szesnaście i pół godziny. Ja, ona i nasze myśli: jechać czy zawrócić, damy radę czy nie, dzielić się tym ze światem czy zostawić to dla siebie?

Podzieliłam. Wrzuciłam filmik na mój kanał YouTube i owszem zauważyłam w nim, że skubana cukrzyca miała spory udział w tamtej „zabawie”. Przedstawiłam ujęcia z jazdy w ciągu dnia i nocą, moje emocje, zmagania z cukrem i głową. Chciałam pokazać niedowiarkom, że z cukrzycą można naprawdę wiele. Serio!

Rozdział dwudziesty czwarty

(Nie)idealne życie

Rok: 2021

Wiek: 35 lat

Staż cukrzycy: 24 lata

Właśnie zdałam sobie sprawę, że od czasu wybuchu pandemii COVID-19 w 2020 roku nie widziałam się z diabetologiem. Mijał już dobry rok, jak nie dłużej. On, zapracowany po uszy, ja chyba już na tyle cukrzycowo wyrównana, że nie było potrzeby wcześniejszych wizyt. Gdyby nie fakt, że zmieniałam terapię pompą insulinową na system „zamkniętej pętli” pewnie i nie zawracałabym mu głowy. Lata doświadczeń z chorobą pozwoliły mi na samodzielne testowanie nowinek technologicznych. Zauważyłam też, że chętniej szukam nowych rozwiązań w leczeniu.

„Zamknięta pętla” była rewolucyjną metodą leczenia cukrzycy. Pompa insulinowa zaczęła samodzielnie dostosowywać dawki insuliny w zależności od wyniku glikemii. Nie oznaczało to, że byłam wyleczona i już nie musiałam robić. Tak dobrze nie było. Pompa, mimo zaawansowanych algorytmów sztucznej inteligencji, nie wiedziała, co jem, i ile się ruszam. I tu nadal ingerowałam ja, przeliczając odpowiednią dawkę insuliny do posiłku czy choćby zaplanowanego

sportu. Koniecznym było wpisanie jej do urządzenia, tak by ono podało insulinę. Bez mojego zaangażowania i motywacji cukry byłyby, mówiąc w prost, kiepskie. Algorytm pompy czuwał jednak, by te glikemie utrzymywać w zalecanych normach TIR-u, czyli czasu w zakresie 70 – 180 mg/dl. Sprawdzalo się to szczególnie wtedy, gdy niedoszacowałam potrzebnej dawki do posiłku i podałam jej za mało. Wtedy te pompowe pudełeczko samodzielnie korygowało wartości, dostrzykując dodatkowe bolusy. Dzięki temu potrafiłam przespać całe nocki, nie zrywając się co chwilę od sygnałów wyjącej pompy: hipo – hiper. Budziłam się za to wyspana i wypoczęta, a nie sfrustrowana złymi cukrami i wypompowana od alarmów. „Wypompowanie” idealnie określało, dosłownie i w przenośni, mój stan przed przejściem na zamkniętą pętlę.

Ponownie musiałam przeboleć też fakt finansowego wsparcia rodziców w zakupie nowego systemu. Przez długie lata zabiegałam, by być samowystarczalna i niezależna, ale niestety nie zawsze było tak, jak tego chciałam i mogłam. Z jednej strony dobrze, że otrzymałam pomoc, a z drugiej strony bolało, kiedy o nią prosiłam. Na wsparcie państwa już dawno przestałam liczyć, choć niejedno pismo w sprawie dofinansowań dla dorosłych diabetyków podpisałam i sama też takie tworzyłam. Bez odzewu. Tutaj jednak nie powiedziałam ostatniego słowa i obiecałam sobie, że będę się starać, aby coś w tej kwestii ruszyć. Chociażby w miesięcznym utrzymaniu osprzętu dla cukrzyka. Dla mnie było ono trudne, a dla wielu wprost nieosiągalne. Przeciętny Polak musiałby odkładać 1/4 czy 1/5 pensji na sam osprzęt, nie mówiąc już o tym, że sama pompa kosztowałaby go aż pięć takich wynagrodzeń.

Musiałam jednak schować dumę i z trudem przyjęłam pieniądze od rodziny. A to wszystko po to, by żyło nam się lepiej: i mnie, i cukrzycy. Paweł, w moich codziennych zmaganiach z chorobą też miał swój duży udział. W końcu to często razem musieliśmy mierzyć się z trudnościami. Chcieliśmy pójść na spacer, a nie mogliśmy, bo cukier spadał. Mieliśmy ochotę zjeść lody, nie w danej chwili, bo miałam hiperglikemię. Chcieliśmy jechać na wczasy, nie, ponieważ już dużo wcześniej miałam umówiony termin wizyty u okulisty, endokrynologa czy diabetologa.

Przyszedł czerwiec 2021 roku, czas, by udać się do ostatniego z

wymienionych – najlepszego diabetologa, jakiego dotychczas miałam – doktora Gabrylewicza. Przyznam szczerze, że i ja po dwudziestu czterech latach chorowania potrzebowałam czasem od niego kopa w tyłek, motywacji, otwarcia się na jakiś problem albo nic więcej, jak wsparcia i dobrego słowa. Wizyta była niezbędna.

Chyba uraz po wcześniejszych diabetologach w wieku młodzieńczym pozostał, bo rano czułam lekki niepokój przed zbliżającą się wizytą. Prawdę mówiąc, moje wyniki na pompie insulinowej nie świadczyły, abym musiała się czegoś obawiać. Zawsze jednak byłam z czegoś niezadowolona. Uważałam, że mogłoby być ciut lepiej. Tendencja do perfekcjonizmu nadal brała od czasu do czasu nade mną górę.

Tak było i przed tamtym spotkaniem. Poddenerwowana, jak mała, siedmioletnia dziewczynka, którą zaraz mieli skarcić, usiadłam na krześle w poczekalni. Ja trzydziestopięcioletnia, dorosła kobieta. Pomyślałam, że dobry humor i odpowiednie nastawianie to podstawa sukcesu.

Przecież jest nieźle. Czego ja się znowu obawiam? Choć z drugiej strony dobrze, że chociaż zauważam ten perfekcjonizm. Zapowiadam sobie jednak od razu, oficjalnie, tu w tej poczekalni, że popracuję nad nim w innym terminie. Teraz zajmę się cukrzycą.

— Oo... Witam moją świetną pacjentkę! — doktor już z końca korytarza zmierzał do mnie z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Czy ja wiem, czy świetną? — zaśmiałam się, odczuwając ulgę, że może będzie to przyjemna wizyta. Perfekcjonizm nie odpuszczał. — Na pewno wierną. Ile to już czasu my się nie widzieliśmy, prawda?

— Sporo, sporo — otworzył drzwi do gabinetu, przepuszczając pierwszą. — Proszę, wejdź!

Nie dość, że przystojny, to jeszcze taki grzeczny.

Nie zdążył nawet zamknąć za sobą drzwi i od razu zadał pytanie:

— Przede wszystkim powiedz, jak się czujesz? Nie — dopowiedział. — Nie z cukrzycą. Jak psychika?

— Dzięki — zdziwiła mnie ta otwartość w jego pytaniu. Przez chwilę pomyślałam, że jestem u mojego psychiatry, nie diabetologa. — Pół roku temu zakończyłam terapię z moją wspaniałą panią psycholog.

Trochę to przeżyłam... A może nawet bardzo... — zadumałam się. — No ale jakoś sobie radzę. I już od półtorej roku nie biorę żadnych leków na depresję.

— Czyli jest już tak dobrze? — ucieszył się.

— Czy dobrze? — zastanowiłam się przez chwilę. — Czuję się na pewno stabilnie. Ale cały czas wiem, że muszę być pod opieką psychiatry.

— Fajnie. A jak jedzenie i alkohol? Tyle lat to pani przede mną ukrywała. Niesamowicie!

To prawda, a ja nie bardzo miałam na to wytłumaczenie. O problemach natury psychicznej wiedział dopiero od dwóch lat. Wcześniej na ten temat milczałam. Pewnie ze wstydu...

— Myślę, że radzę sobie całkiem nieźle. Proszę zobaczyć — zaprezentowałam swoją łydkę. — Niedługo będzie grubsza niż udo. Chyba zaczynam powoli akceptować swoje ciało.

— Proszę — pokiwał radośnie głową. — Czyli jeździsz, jeździsz?

— Pewnie, że tak! To mi daje motywację do życia. W sporcie szukam ukojenia, ale muszę być cały czas uważna, żeby nie przesadzić. Dobrze wiem, że mam do tego skłonności.

— Rozumiem... — zamyślił się. — Nie będzie ci przeszkadzać, jak zawałam jeszcze profesor Staszekiewicz na naszą wizytę?

— Nie mam nic przeciwko.

Jezu... Jakiś czas mnie nie było na wizytach, więc nie wiem, czy aż tak jest na co patrzeć w moich wynikach. Z pewnością nie są idealne. A jak zacząć marudzić?

Kurde, stop! Znowu ten przeklęty perfekcjonizm! Przywołuję się do porządku! W końcu jestem u diabetologa, nie psychologa.

Do gabinetu weszła pani profesor. Ucieszyłam się na jej widok. Kiedyś, leżąc na oddziale, opiekowała się mną. Z wyglądu była bardzo poważna i stonowana, ale pomyślałam, że może taką ma rolę. Ja wiedziałam, że pod spodem kryje się bardzo sympatyczna osoba.

— Spójrzmy, co my tu mamy — zaczął doktor Gabrylewicz, patrząc na ekran komputera.

Zaczęli coś analizować, a ja odpłynęłam we wspomnieniach.

Pomyśleć, że jakieś dwadzieścia lat temu wszystkie wyniki

zapisywałam w zeszycie. He, o ile w ogóle coś zapisywałam. No bądźmy szczerzy... Nie było też dostępnych tylu pasków do mierzenia cukru. Czasem jeden czy dwa pomiary w ciągu dnia musiały wystarczyć. Inaczej leczyło się cukrzycę... A teraz? Proszę, przez cały dzień widzę, jaki mam cukier, w jakich godzinach podaję insulinę. Te wszystkie wykresy, średnie, procenty... Niewiarygodne, jak medycyna posunęła się tutaj do przodu.

Wykresy były mi znane, ponieważ często korzystałam z tych dobrodziejstw we własnym zakresie, w domu. Lubiłam śledzić, co się ze mną dzieje, gdzie mogę coś poprawić lub nad czymś popracować.

Po chwili, wróciłam do gabinetu.

— Czy już mogę się tłumaczyć? — zażartowałam, widząc, że cały czas coś tam omawiają.

Doktor z profesor spojrzeli się na siebie i wybuchnęli śmiechem.

— Myślę, że w pani przypadku, pani Aniu, nie ma takiej potrzeby — popatrzył poważniej doktor. — A coś pani zmieniła w ostatnim czasie?

— Insulinę — odpowiedziałam cicho.

Czekałam, aż zaraz spadnie na mnie lawina krytyki. Zrobiłam to bez konsultacji z lekarzem. Nie wiem, czy usprawiedliwiłby mnie fakt, że już wcześniej byłam na tej insulinie dość długi czas i wiedziałam, jak ona na mnie zadziała. Ich milczenie dało mi sygnał, abym kontynuowała zeznania.

— Chciałam sprawdzić, jak bardzo będą się różnić wyniki dla tej insuliny, na tym systemie zamkniętej pętli. I różnica jest znaczna. Na minus — wytłumaczyłam.

A oni wciąż nic. Cisza jak makiem zasiał. Milczał doktor, milczała pani profesor. Żadnej krytyki, zero wyzywania, krzywej miny. Kompletnie nic.

— Proszę zobaczyć — doktor zwrócił się do koleżanki, wskazując na krzywą glikemii. — To są bardzo dobre wyniki.

Hola, hola! Ale ja właśnie powiedziałam, że zmieniałam insulinę, i że moje obecne wyniki są gorsze, niż miałam jeszcze dwa miesiące temu. Może nie dosłyszeli?

— Ale, doktorze — zareagowałam — ja i tak będę z powrotem

wracała do tej poprzedniej insuliny. Wtedy wyniki będą, myślę, że lepsze.

Popatrzył i skinął głową. Przewijał jeszcze dalej ekrany poszczególnych wykresów i coś wskazywał.

— Nie wiem... — zaśmiał się do niej. — Może chociaż wypiszę recepty?

— Dobrze. To ja nie będę już tutaj wam przeszkadzać — wstała i podała mi rękę. — Dziękuję i trzymam kciuki za tak dobre wyniki.

— Dziękuję, pani profesor — odpowiedziałam dumnie.

Chwile jeszcze podyskutowałam z doktorem na temat kilku drobnych korekt i zmian. Nawet nie musieliśmy analizować treningów, bo z tymi ostatnio bardzo dobrze sobie radziłam. Zresztą lekarz to widział. Pograżyłam się jeszcze w myślach, podczas gdy on wypisywał skierowanie do laboratorium, abym wykonała badania, w tym ważny dla cukrzyka poziom TSH i hemoglobinę glikowaną.

Cóż... Potrafię czasem przejechać dystans z dobrymi cukrami. Choćby ostatnia wyprawa czterystu kilometrowa, którą skończyłam w dziewięćdziesięciu pięciu procentach w zakresie docelowym. Fakt, linia glikemii przypominała góry i doliny, ale cukry mimo wszystko były w normie. Tylko, że te treningi kosztują mnie tyle pokory... Ale niewątpliwie cierpliwa nauka i testy czasem nie idą w las.

Zaraz po wizycie udałam się do placówki na pobranie krwi. Zawsze ciekawiło mnie, jaki wynik uzyskam z tych trzech ostatnich miesięcy zadanego trudu. Zapowiadało się obiecująco.

Wieczorem odczytałam wynik: 6,8%.

Co?! To o 0,3% za dużo niż teoretycznie wskazuje norma! Przecież lekarze tak chwalili...

Patrzyłam na wynik i starałam się znaleźć jakąś przyczynę, dlaczego poziom jest odrobinę za wysoki.

Może to ta zmiana insuliny mogła tutaj wpłynąć negatywnie? Może nieodpowiednie jedzenie? Może za duża ilość sportu? W końcu nie każdy trening zaliczałam do udanych.

Po chwili do pokoju wszedł Paweł. Zauważył mój wisielczy humor i zwieszony nos na kwintę.

— Co to za minka? — zapytał delikatnie.

— Odebrałam wyniki — odburknęłam.

— I co? Rozumiem, że jesteś niezadowolona? — przeczuwał, że coś się kroi.

— Szlag by to trafił, Paweł! Mam za wysokie te glikemie — pokazałam hemoglobinę. — Ale przecież tak się staram, więc o co chodzi?

— Ale to jest przecież bardzo dobry wynik, kochanie. Pewnie jakbyś nie zmieniała tej insuliny, byłoby jeszcze lepiej — zauważył po chwili. — Ale, według mnie, jest super — starał się mnie pocieszyć.

— Nie wiem, być może — odpowiedziałam od niechcenia. W końcu dobrze wiedziałam, że lekarzem nie jestem i nie mnie tu oceniać poprawność tych cyferek.

Wynik nie dawał mi jednak spokoju. Cały czas o nim myślałam i analizowałam. Nagle się otrząsnęłam.

Co ja sobie tak nabijam do tej mojej główki? Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam hipoglikemię. Cukry kiedyś powyżej 250 były tak często, a teraz ich prawie nie mam. Nie mam tylu wahań glikemii. Staram się też lepiej odżywiać. Ale przecież nie zawsze tak jest. Moje zaburzenia odżywiania nie zniknęły na dobre. One czasem nadal przychodzą. Głodówki, przejadanie się... No znam to... Znam...

Może Paweł ma rację i nie jest tak źle? Dlaczego dążę zawsze do ideału? Przecież nie musi być ciągle perfekcyjnie.

Przestałam dociekać. Nie było sensu. Wiedziałam, że mocno się staram i to mi, w miarę moich możliwości i sił, wychodzi. Żyłam dobrze i normalnie. Jadłam wszystko, korzystałam z życia i to było najważniejsze. Lekkie odchylenia od normy mogły się zdarzyć. Uznałam je ostatecznie, za akceptowalne.

Podeszłam do Pawła, który naprawiał coś przy moim trenerze. Wtuliłam się w jego ramiona. Trochę się zmieszał, ale pewnie też zrobiło mu się przyjemnie.

— Jak dobrze, że cię mam, Pawełku — cicho zaszeptałam, najcieplej, jak umiałam.

— Moja Ania — odparł, mocno mnie ściskając, i nie dopytując, co mi się tak ni z gruchy, ni z pietruchy zebrało na takie czułości.

Staliśmy tam w objęciach jeszcze przez chwilę. Zamyśliłam się.

Mam takiego wspaniałego i wyrozumiałego męża. Tyle trudności musieliśmy pokonać. A nie jest czasem lekko, jak pojawiają się problemy czy choroby. Wiele nas to kosztowało nerwów, złości, a także cierpliwości i zrozumienia do siebie nawzajem.

Nasze milczenie przerwał sygnał dochodzący z pompy. Mój cukier zbliżał się do hiperglikemii.

— To co? — puściłam Pawła. — Chyba trzeba go trochę zbić. Przejedziemy się rowerami?

— Chętnie — ucieszył się.

— Ale, jak wrócimy i cukier będzie ok, to zjemy sobie jakiś deser. Co ty na to?

Paweł nie był raczej łasuchem, ale nie chciał mi odmawiać. Od czasu do czasu pozwalaliśmy sobie na odrobinę słodkości, by całkowicie nie dostać na głowę. Choć ja też starałam się po nie zbyt często nie sięgać. Bywały uzależniające.

Tak... Mogę sobie czasem trochę odpuścić, bo nie zawsze będzie wszystko na 100%. Święta nie jestem i mam swoje grzeszki. Ba... Nawet całkiem sporo... Zresztą, kto ich nie ma...

Epilog

Jest początek 2022 roku.

Jestem szczęśliwą żoną mojego kochanego męża i spełnioną trzydziestosześcioletnią kobietą. Kobieta na pewno dużo bardziej dojrzałą emocjonalnie niż jeszcze niespełna sześć lat temu, kiedy to pierwszy raz pojawiłam się w gabinecie mojej psycholog. Wiele spraw przepracowałam. W moim życiu już dużo wcześniej działały się niedobre rzeczy, które swoje ujście miały dopiero po prawie trzydziestu latach.

Nie sposób było mi opisać tutaj, w tej książce, tego procesu zmiany, licznych i tragicznych prób wołania o pomoc, które wpłynęły na to, jak teraz się prowadzę. Z cukrzycą i bez niej.

Pomięłam wiele wątków moich zaburzeń odżywiania i osobowości, uzależnień, depresji, pobyków w szpitalach i placówkach ratujących życie. Niejednokrotnie próbowałam przedwcześnie odejść z tego świata. Bezskutecznie, bo tak naprawdę chciałam żyć, ale ciało i zaburzona dusza obsesyjnie domagała się śmierci. A przecież miałam dla kogo żyć, a jednocześnie czułam się potwornie samotna. Czasem byłam tylko ja, śmierć i cukrzyca. Ona zawsze wiernie towarzyszyła mi w niedoli, często nie ułatwiając sprawy.

Pewnie nie starczyło mi też odwagi, by niektóre wydarzenia tutaj przedstawić. Nie zamykam się jednak na nie. One były, są i będą. Towarzyszą mi również na co dzień i muszę się z nimi zmagać. Ale już w inny sposób: dużo bardziej dojrzały i świadomy.

Cieszę się, że mimo tych licznych trudności potrafiłam przez lata zatroszczyć się o cukrzycę. Kiedyś być może i z nią walczyłam, buntowałam się, zamykałam w swojej traumie. Zadawałam sobie tylko

te brutalne pytanie – dlaczego właśnie mnie to spotkało i zachorowałam na cukrzycę typu 1?

Dziś już z nią nie walczę, bo uważam, że jest to złe określenie i postępowanie. Ja się z nią zmagam, dyskutuję, a także słucham, co potrzebuje, ale to ja dyktuję warunki. Tu nie ma wygranych i przegranych, bo takie jest po prostu życie z tą chorobą.

Walką? Nie. Już nie raz życie pokazało mi, że kończy się to tylko frustracją i złością. A tego nie potrzebuję, to nic nie daje.

Wzlotami? Czasem tak i to one napędzają do działania.

Upadkami? Również, ale to ode mnie będzie zależeć, co z nimi zrobię. Czasem mogę sobie poleżeć, tak długo, jak będę tego potrzebować. Ale później otrzępię się, pogłaskam, i pójdę dalej.

Trudnością? Też, ale to moja siła pozwoli mi się podnieść i robić swoje.

Błędami? Oczywiście i to niejednymi. Grunt, to wyciągać z nich odpowiednie wnioski.

Urokiem? A czy kiedykolwiek życie takie nie było? Cukrzyca jest tylko dodatkiem, z którym warto się pogodzić i go jakoś zaakceptować.

I tak też właśnie staram się żyć ze swoją chorobą. Wielu rzeczy, tych złych i dobrych, doświadczyłam, mnóstwo błędów popełniłam i sporo też się nauczyłam. Jedno jest pewne: czeka mnie ciągła praca nad sobą i cukrzycą. To się nie zmieni, ale ja naprawdę mogę wiele. Ha, nawet i przejechać dystans 212 km na rowerze szosowym, będąc 97% czasu w zakresie docelowym (70 – 180 mg/dl). Tak, to jest możliwe! Kiedy napisałam o tym diabetologowi, był ze mnie na tyle dumny, że aż pokazał moje cukrzycowe doświadczenie na zjeździe Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego w Warszawie, w 2021 roku. Dowiedziałam się o tym przypadkiem, ale uświadomiłam sobie tym samym, że dokonałam rzeczy dla wielu niewyobrażalnych. A jednak. Pozwoliłam sobie też na bycie zadowoloną z tego sukcesu. To ważne, aby siebie docenić czy pochwalić.

Wiem jednak doskonale, jak trudno jest pogodzić się z faktem bycia nieuleczalnie chorym. Że żyje się inaczej z tą chorobą niż bez niej. Że bywa ciężko, choć wcale nie musi. Że przychodzi kryzys i jedynym rozwiązaniem wydaje się tylko poddać. Czasem trzeba zawalczyć.

Innym razem spaść na dno, by później móc się od niego odbić.

Chciałabym bardzo, aby ta książka była pewną otuchą dla cukrzyków i ich bliskich oraz dla osób zmagających się z różnymi uzależnieniami i chorobami. Żeby jeszcze lepiej zrozumieli emocje z nimi związane i zmagania. Że pomimo tylu utrapień, znajdą tutaj nadzieję i siłę do dalszej pracy. Bo one będą się pojawiać, w większym bądź mniejszym stopniu. Każdego dnia.

Ja „pakuję” cukrzycę, wsiałam na rower i jadę swoje, bo wiem, że może być pięknie. Nawet i z nią.

Do czytelników i osób chorujących na cukrzycę:

Dziękuję Ci, że zostałaś/zostałeś do końca mojej książki.

Gdy piszę ten fragment, jestem właśnie wzruszona. Mam łzy w oczach, ale to są takie łzy radości (ha, nawet czasem cukrzyca wprawi mnie w lepszy nastrój). Zrobiłam kolejny, ważny krok w chorobie. Pokazałam Ci dużą część mojego cukrzycowego życia. Nieidealnego. Po dwudziestu pięciu latach chorowania nie mam powikłań cukrzycowych, ale być może kiedyś będę miała. Tego nie wiem, bo cukrzyca bez powikłań przecież nie boli. Aczkolwiek, to ja jestem za siebie odpowiedzialna, i to ja przeżyję to życie, z tą chorobą, na swój sposób. Nie taki, jak chcą lub każą mi inni.

Najważniejsze, że nie wstydzę się już cukrzycy. Jeśli trzeba, wspominam i mówię o niej otwarcie. Nawet pompę insulinową noszę na wierzchu. A co tam, kto mi zabroni. Chyba, że mój troskliwy mąż, który boi się, że pompa się potrzaska lub porysuje.

Pogodziłam się z cukrzycą, choć zajęło mi to lata. Pewnie się zastanawiasz – co to znaczy lata? Rok, dwa, pięć, a może i dłużej? Ciężko mi to określić, bo miewam lepsze dni i często te gorsze, ale to normalne. Nie mam takiego okresu w roku, żebym nie chciała odpocząć od tej choroby, pójść na cukrzycowy urlop, a tak się niestety nie da. Pewnie, mogę to zrobić: nie mierzyć cukru, nie podawać insuliny, czy jeść co popadnie. Z tym ostatnim tak czasem robię, ale później cierpię na tym ja sama, bo cukry wariują. A później moja głowa. Błędne koło, do którego i tak, mimo świadomości, dopuszczam. Nie jestem święta... Mimo wszystko staram się w tych gorszych dniach wykrzesać choć

minimum z siebie, by jednak nie popaść w obłąd. Słodki, cukrzycowy obłąd. Im krócej, tym lepiej. Bo stoczyć można się łatwo. To działa jak puszczone z góry kula śnieżna – na początku jest mała, a im niżej, dalej, tym jest większa. Jak już się rozpędzi, to ciężko ją zatrzymać, ale można i warto to zrobić. Bo później długo trwa zanim ta kula się rozpuści, o ile w ogóle.

Ja też mam chwile beznadziei w życiu. Ale tu nie tylko o cukrzycę chodzi, przecież nie samą cukrzycą człowiek żyje. Jest jednak wiele innych aspektów życia, które możesz zauważyć czy docenić. Choćby uśmiech obcej Ci osoby. Taki mały gest, a tak wiele znaczy. Pewnie miło byłoby go dostać, a czy sama/sam od siebie też go dajesz? A co, gdy ten ktosiek nie odwzajemni Twojego dobra? Diabli z nim! To Ty uśmiechnij się do siebie. Bo nikt nie jest tak ważny, jak Ty! Zatroszcz się o siebie i ciesz z małych sukcesów, jak dobry cukier po zjedzeniu gofra. Niech by i z bitą śmietaną! To Twoja praca i naprawdę dobrze sobie radzisz!

Cukrzyca dla mnie nigdy nie będzie ani przyjaciółką, ani nawet koleżanką. Przyszła niespodziewanie, na doczepkę, i tak już ze mną zostanie. Do końca życia. Mam jednak tę przewagę, że to ona jest podporządkowana mnie, a nie ja jej.

Ta choroba może przysporzyć o zawrót głowy (stąd tytuł tej książki), ale nie daj się zwariować. Znajdź własny sposób na opanowanie choroby i przeżyj fajne życie. A jeśli znalazłaś/znalazłeś, choćby na chwilę, to „lekarstwo” właśnie w tej książce, to będzie mi bardzo miło. Dlatego właśnie ją napisałam. Zatrzymaj „Cukrzycowy zawrót głowy” w swojej bibliotece. Niech Ci pomaga w chwilach smutku i zwątpienia.

A jeśli czujesz, że tę książkę powinna przeczytać inna osoba, to poleć ją dalej. Nie bój się być otwartym i dobrym dla ludzi i świata. Dobro zawsze wraca. Ba, czasem nawet z podwójną siłą!

Zrobi mi się też podwójnie miło, jeżeli podzielisz się ze mną Twoją opinią na temat tej książki. Jakakolwiek by ona nie była, chciałabym ją poznać. Koniecznie napisz do mnie. Kontakt do mnie znajdziesz na pierwszych stronach. I już bardzo Ci za to zdanie dziękuję.

Ania Przybylak

